

LUDLUM ROBERT

Lot ku śmierci

Prolog

Kiedy Mike Duckham wychodził z domu, zapadał ciepły wrześnieowy zmierzch. Poruszał się, jak zwykle, cicho i ostrożnie, ale mała Klara zauważyła go, zbiegła po schodach z dziecinnego pokoju i zaczęła żegnać ojca swoim śpiewnym głosem. Nie mógł jej uciszyć. Podciągając się z trudem w górę, otworzyła drzwi i podczas gdy Mike wyprowadzał samochód z garażu, powtarzała swoje pożegnalne zawołania w mniej więcej pięciosekundowych odstępach.

Mike uśmiechał się do córki przez otwarte okno wozu, natomiast Julię, kiedy wybiegła z domu, aby zabrać Klarę, te pożegnalne okrzyki dziecka zdenerwowały tak, że zastukała w niemalowane drewno poręczy i zaniósła małą do domu. Zapamiętała na zawsze słodki zapach jabłek zawieszony w dusznym powietrzu tego wieczora, biały samochód skręcający z garażu w ulicę i pożegnalny gest ręki Mike'a.

Wszystko od początku potoczyło się pechowo. Opóźniony samolot, trzydniowy kurs po zaledwie czterech dniach przerwy, męczący gaduła George Raven jako mechanik pokładowy i kwaśny Peter Nyren jako drugi pilot w zastępstwie chorego kolegi.

- Przykro mi - usprawiedliwiał się personalny - ale nie mam nikogo innego. I Siedzieli ze stewardesami w sali załogi i słuchali rechotu George'a Ravena, który opowiadał tłuste kawały. Kiedy kontroler lotów potwierdził spóźnienie, Mike Duckham poszedł do swojego pokoju, żeby uporać się z zaległymi papierkami. Powinien był okazać nieco więcej uprzejmości, szczególnie wobec Petera. Nadarzała się znakomita okazja, żeby zatrzeć stare nieporozumienia, - ale Mike był dzisiaj zmęczony i apatyczny. Całe popołudnie spędził w łóżku, nie mógł jednak zasnąć. Teraz opadały mu powieki, bolał kark. Gdyby nie lot, wypiłby mocnego drinka.

G-FETN "Tango November" został zatrzymany w Niemczech. W czasie czarterowego lotu do Stuttgartu rozległ się sygnał fałszywego alarmu przeciwpożarowego i trzeba było sprawdzić silnik numer dwa. Kiedy maszyna wróciła do bazy w Gatwick, była już spóźniona o dwie godziny. W budynku dworca lotniczego urzędniczki z trudem uspokajały pasażerów. Największe trudności miały z niemłodym, ale ubranym młodzieżowo mężczyzną. Odbywał podróż poślubną. Odlot opóźnił się jeszcze bardziej, bo Duckham zażądał ponownego przeglądu silnika numer dwa. Raport techniczny w Gatwick potwierdził diagnozę mechanika niemieckiego: "Sprawdzono możliwość przesączenia się gorących gazów. Przewody pożarowe w porządku. Silnik zapuszczono. Też w porządku".

"Tango November" był samolotem zbudowanym w Ameryce. Model 119 ze sterem ogonowym w kształcie litery T i trzema silnikami z tyłu, zbliżony rozmiarem i konstrukcją do boeinga 727, a kształtem do TU-154. Teraz, w blasku świateł lotniska,

wyglądał jak wielki potwór. Duckham wyszedł na płytę, i zanim wdrapał się na pokład, głęboko nabrał powietrza w płuca. Noc była.

wilgotna i z pewnością przy powrocie powita ich wczesna poranna mgła. Jako stary pilot myśliwski był zabobny, więc uśmiechnął się do siebie i szepnął: "Oczywiście, jeżeli wrócimy",

O pierwszej dwadzieścia pięć lot numer GC-523 zaczął kołować na start. Na pokładzie znajdowało się dziewięciu członków załogi i stu osiemdziesięciu jeden pasażerów. Dwie wycieczki czarterowe na Sycylię obejmowały osiemdziesiąt siedem osób, czterdziestu członków Stowarzyszenia Włochów z New Yorku odbębniał dwunasty dzień podróży do Europy, a pięćdziesięciu czterech członków Klubu Rezydentów udawało się na Maltę.

Zaraz po starcie radio przyniosło informację, że niejaki pan Juliusz Janius, znajdujący się w podróży poślubnej, jest na pokładzie i że należy okazać mu specjalne względy. Janius był w latach sześćdziesiątych młodym potentatem giełdowym, obracającym się wśród złotej młodzieży. Kiedy samolot osiągnął wysokość podrózną Duckham wszedł do kabiny pasażerskiej. Główna stewardesa dyskretnie wskazała mu młodą parę i Mike z uśmiechem podszedł do pasażera.

- Bardzo mi przykro, panie Janius, że jesteśmy spóźnieni... - Ten stary chwyt podział, jak zwykle, magicznie. Osobiste zainteresowanie kapitana, wymienienie nazwiska... Próżność pana młodego została miłą połączona, a jego młoda żona uśmiechnęła się nie bez dumy.

"Tango Noyember" leciał korytarzem Seaford 1 i znalazł się nad wybrzeżem francuskim na wysokości dziewięciu i pół tysiąca metrów. Ale pech wciąż go prześladował. Po przelocie nad Rambouillet mechanik zauważył, że w przekładni generatora numer jeden rośnie temperatura oleju.

- Przełączam zasadniczą moc na generator numer dwa.

- Co jest ?'

- Temperatura oleju. Wyłączyłem generator z amperomierza.

Po kilku minutach mechanik odezwał się znowu. | - Temperatura wciąż rośnie, kapitanie. Wyłączam generator. Niech to szlag trafi! Zdaje się, że akumulator też jest do kitu.

Pech ich nie opuszczał. Kiedy przelatowali nad linią wybrzeża, blisko Genui, radio z Sycylii podało: "Obszar Taormina-Peloritana w chmurach. Widoczność na lotnisku spadła do sześciuset metrów. Pułap chmur - sześćdziesiąt metrów. Warunki lądowania minimalne".

"«Tango November» linia Greyhound - zezwalam na przejście sygnału Kilo Lima, wysokość lotu jeden jeden pięć". Odezwał się kontroler ruchu z Taorminy. Jego angielszczyzna była kiepska, ale głos wyraźny.

- Zrozumiałem, Taormina. Schodzę na poziom jeden jeden pięć.

Srebrny ptak o wadze dziewięćdziesięciu ton pędził z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę na wysokości sześciu kilometrów nad Morzem Śródziemnym. Powietrze było przejrzyste, a niebo różowiało. Po chwili samolot począł z wolna schodzić w dół ku widniejącemu na horyzoncie kłębowisku chmur.

Głos Włocha odezwał się znowu w słuchawkach. Tym razem był mniej formalny.

- Jak się masz, Greyhound?

Mechanik trzepnął się w kolano i roześmiał się:

- Ten makaroniarz naprawdę zna angielski!

- Przykro nam, Taormina, że jesteśmy opóźnieni. Daj- ; cie komunikat o pogodzie.

- Chwileczkę, Greyhound!

Mechanik George Raven, lat trzydzieści dziewięć, były lotnik RAF-u i znany żartowniś, znowu parsknął śmiechem.

- Na pewno naślinił palec i wystawił go za okno!
- Warunki atmosferyczne w Taorminie z godziny trzeciej czasu Greenwich.

Pada lekki deszcz. Wiatr jeden cztery zero, dziewięć kilometrów na godzinę. Podstawa chmur dwieście metrów. Widoczność na lotnisku - sześćset pięćdziesiąt metrów. Ciśnienie jeden zero zero sześć.

-Dziękuję, Taormina.

Właściwie nie ma za co dziękować - pomyślał Duckham.

- Podciąga widoczność na lotnisku. Podniesie ją do siedmiuset metrów tylko po to, żeby nas tam ściągnąć!

Za plecami pilotów George Raven gadał bez przerwy. Ale teraz Duckham musiał mu przyznać rację. Sam nie był przekonany, czy należy lądować przy dopuszczalnej granicy widoczności. Jeszcze rok temu zawróciłby i skierował się na Maltę.

Ale przed dwunastu miesiącami Duckham nie był jeszcze szefem pilotów Greyhoundu i nie musiał brać pod uwagę argumentów eksploatacyjnych firmy. Rejs był już opóźniony o trzy godziny, duża grupa pasażerów czekała na Maltę; żeby powrócić do Gatwick. Gdyby teraz wylądował na Maltę, nie mógłby wziąć ich na pokład i trzeba by było dwa razy lecieć na wyspę. Dodałoby to dalsze dwie godziny opóźnienia sobotnich lotów i dodatkowe zużycie paliwa.

Mechanik pokładowy, George Raven, nie spuszczał oka z radaru.

- Widzicie to paskudne echo na ekranie? To ten parszywy wulkan; Największy cyc pomiędzy Mont Blanc i Kilimandżaro. Ściąga na siebie wszystkie chmury z całej okolicy.

Duckham spojrzał na białe plamy, punktujące burzowe chmury na ekranie. Znał tę wyspę jeszcze z młodzieńczych lat. Przypomniał sobie nagle chwilę paniki sprzed trzydziestu lat. Pilotował wówczas Moskita. Ta góra omal go wtedy nie zabiła. Mechanik wciąż pompował złe wiadomości w ucho pilota.

- Ten pas startowy jest fatalny, kiedy jest mokro.
- Kontrola listy czynności podejścia i lądowania, ja Rozkaz Duckhama uciszył mechanika. Wszyscy trzej wzięli do ręki schematy.
- Sygnał zapięcia pasów?
- Włączony. >
- Radiowe wysokościomierze?
- Włączone i ustawione.
- Przełączniki przyrządów na tablicy?
- Sprawdzone i ustawione.
- Ciśnienie powietrza w kabinie?
- Ustawione.
- Paliwo?
- Ustawione do lądowania.

Kontrola toczyła się zwykłym trybem. Oczy i ręce pilotów reagowały mechanicznie. Duckham trzymał w ręku schematy lądowania w obszarze Taormina - Peloritana. Ale myślami powrócił do roku 1943. Był to pierwszy rok jego pilotażu. Latał w rejonie Morza Śródziemnego i ostrzeliwał włoskie pociągi. Messerschmitty j 109 odpędzały brytyjskie myśliwce w stronę macierzystego lotniska, którym była chyba Sigortella na zdobytym 1 świeżo skrawku Sycylii. Chcąc zgubić messerschmittist | wpadł w ławicę chmur. Zaczęło go tak trząść, że zapomniał o wulkanie.

Peter Nyren w swoim fotelu obok Duckhama odezwał się teraz:

- Pięćset do jeden jeden pięć. .

Duckham skinął głową, ale myślami był gdzie indziej.[^]; Kiedy wyszedł wtedy z chmur, zamroczony od wstrząsów, znajdował się na wysokości trzech metrów ponad j wierchołkami drzew i pędził wprost na wulkan. Teraz | powracał na wyspę po trzydziestu dwóch latach. -

- Jeden jeden pięć. i

Duckham reagował automatycznie. Ściągnął wolant w tył. i

- W porządku. Schodzą na jeden jeden pięć.

Wieża lotniska odezwała się ponownie.

- Greyhound "Tango November". Widoczność na pasie startowym wzrosła do siedmiuset metrów.

George Raven znowu trzepnął się w kolano.

- A nie mówiłem! Chcą koniecznie dostać swoją o- płatę lotniskową.

- Zrozumiałem, Taormina. Spróbujemy.

Duckham odpędził wspomnienia i nacisnął dzwonek

wzywający stewardesę. Stella Pritchard weszła i szybko pozbierała puste talerze i filiżanki. Pozostał po niej lekki zapach perfum.

Idiota jestem - pomyślał drugi pilot -nawet nie powiedziałem jej "halo".

Peter Nyren miał dwadzieścia siedem lat, był absolwentem szkoły lotniczej w Hamble i miał ze sobą tysiąc pięćset czterdzieści siedem godzin lotu. Od dwóch godzin, czyli od opuszczenia Gatwicku, nie powiedział jednego, słowa nie dotyczącego procedury kontrolnej. Leciał po raz pierwszy z Duckhamem od dziesięciu tygodni.

Wtedy byli w Maladze, w przyjemnej i wesołej podróży. Ale od czerwca stosunki między nimi pogorszyły się radykalnie.;

- A oto i Etna!-krzyknął siedzący za pilotami mechanik. Duckham tjderwał oczy od tablicy przyrządów i wyrzał przez boczne okienko. Znajdowali się nad północnym przesmykiem wyspy, trzysta metrów nad poziomem wulkanu i bez mała dwadzieścia kilometrów na północ od niebezpiecznej góry. Przed dwoma tygodniami Peter Zobaczył -tę górę po raz pierwszy. Wtedy dymiła sobie leniwie w jaskrawych promieniach słońca. Teraz wyglądała groźniej, rysując się pobielaną śniegiem sylwetką na

tle zbierających się na zachodzie i północy czarnych burzowych chmur. Cała w promieniach wschodzącego słońca.

Nagle zamigotało niebieskie światełko i odezwał się brzęczyk. Nyren podskoczył, zajrzał do schematu i powiedział:

- Sygnał Kilo Lima. Zewnętrzny marker. ,

Zagapił się przed chwilą i wiedział, że kapitan musiał to zauważyć. Duckham widział wszystko.

- Greyhound "Tango November" do Taorminy. Mamy Kilo Lima i lecimy na prowadzeniu.

- Roger Greyhound. Zezwalam zejść do poziomu siedem tysięcy stóp na QNH jeden zero zero pięć.

| Zrozumiano. Schodzimy do siedmiu tysięcy stóp. Potwierdźcie QNH. Odbiór.

- QNH jeden zero zero pięć.

Ciśnienie spada - pomyślał Duckham. - Czyżby centrum burzy zbliżało się?

Maszyna schodziła teraz w dół długim prawym skrzętem. Było to już wyraźnie odczuwane przez stu osiemdziesięciu jeden pasażerów w obydwu przedziałach kabiny. Lądowanie w Taorminie zostało zaanonsowane i trzy stewardesy w mundurkach linii szybko sprawdzały zapięcie pasów ochronnych. Dwie inne stewardesy przymocowywały tace i wózki w bufecie pokładowym. W tyle samolotu

szeftowa obsługi zamykała pojemnik z towarami wolnocłowymi. Po otrzymaniu informacji od swojej zastępczyni z kabiny pasażerskiej zatelefonowała do pilota. I Pasy ochronne sprawdzone. Obydwa bufety pokładowe zabezpieczone do lądowania.

Duckham potwierdził informację. Spojrzał przez okienko na różowiejący horyzont. Było to spojrzenie pożegnalne, bo w pięć sekund później weszli w chmury i zaczęli schodzić na dół ślepo, w ciemnościach, w kierunku niewidzialnych gór. Nawet po trzydziestu sześciu latach doświadczenia Duckham czuł napięcie w mięśniach brzucha i przyspieszenie pulsu. "Wszystko albo nic" - zwykł mawiać jego instruktor pilotażu. Tym razem wyglądało raczej na "wszystko". Zepusty generator, niepewny akumulator, Peter Nyren nastroszony jak stara kura, mechanik pokładowy wyrzucający z siebie tuziny kiepskich dowcipów, gromada wściekłych z powodu spóźnienia turystów. A do tego burza, zła widzialność, przekłeta góra i to podłe lotnisko, na którym lądował dotychczas jedynie drugi pilot. Dobrze mu tak - pomyślał Duckham - niech ten ponurak Peter sprowadzi maszynę do lądowania. W tej samej chwili Peter zawiadomił go, że zbliżają się do wyznaczonej wysokości.

- Pięćset stóp do siedmiu tysięcy.
- Greyhound "Tango November" schodzi do siedmiu tysięcy.
- Roger Greyhound. Zezwalam na zejście do czterech tysięcy i lądowanie na przyrządach na pasie dwa dziewięć - głos z wieży brzmiał spokojnie i pewnie.
- Zrozumiano. Lądujemy na przyrządach na pasie dwa dziewięć.
- Zgłoście się po wykonaniu procedury podejścia.
- Roger.

Duckham spojrzał na Petera Nyrena.

- Mamy pięćdziesiąt sekund na sprawdzenie przyrządów i opuszczenie podwozia.
- Przełączniki przerywacza.
- Włączone.
- Sygnał zakazu palenia.
- Włączony.
- Przeciwpółlżg.
- Zielone światło.

| Pięćset stóp do czterech tysięcy stóp. Dziesięć sekund do pięćdziesięciu sekund. Łuk podchodzenia wyprowadził ich nad morze. Trzeba było teraz zrobić zwrot w kierunku wyspy i lotniska i znaleźć sygnał systemu lądowania na instrumentach.

- Podwozie opuszczone i zablokowane.
- Cztery tysiące stóp.
- Wyrównujemy na czterech tysiącach.
- Sygnał lokacyjny przechwycony. Duckham usłyszał ironiczne:
1 Cud numer jeden!

George Raven otrzymał rozkaz monitorowania lądowania."

- Przechwyciliśmy sygnał lokacyjny. Cztery tysiące stóp. Odbiór.
- Roger Greyhound "Tango November". Zgłoście się; na zewnętrznym markerze.

Kiedy przyrządy pokładowe odebrały sygnał wiązki i systemu lądowania, Nyren zawołał:

- Ścieżka lądowania ustabilizowana.
- Raven roześmiał się wprost do ucha Duckhama.
- Cud numer dwa.
 - Zamknij się, George!

Schodzili teraz prosto po ścieżce wyznaczonej przez; wiązkę promieni, magiczne oko, które miało ich prowadzić aż do chwili, kiedy wejdą w optyczny kontakt z pasem lotniska. Zabłyśło wreszcie niebieskie światło i odezwał się brzęczyk.

- Zewnętrzny marker.

Peter Nyren spojrzął na schemat lądowania.

- Wysokość dwieście stóp.

- Po mojej stronie zgadza się. Chyba wszystko w po-1 rządku, Sprawdź kąt schodzenia po twojej stronie.

- Kąt lotu zgadza się - potwierdził Peter. Mechanik znowu mruknął za plecami Duckhama.

- Wspaniale! Założę się, że zmienili kąt zapomnieli i nam powiedziec!

- OK. Proszę o spokój. "Tango November" na zewnętrznym markerze.

- Roger, "Tango November". Zezwalamy lądować!

Zmęczony personel obsługi płyty lotniska usłyszał już jęk silników. Ludzie, ci od pięciu godzin czekali na przyjęcie opóźnionego lotu. Byli to dwaj robotnicy obsługujący cysterne benzyny, kierowca ciągnika, sześciu bagażowych, czterech celników, kilku policjantów i kierowcy autobusów lotniska.

Okolo piątej trzydzieści (czasu Greenwich plus dwie godziny) w zimny, mokry poranek samolot 119 schodził do lądowania. Elegancko, wprost na ogon. Podejście robiło wrażenie najnormalniejszego w świecie. Poprzez luki w chmurach widać było synchroniczne światła, błyskające zielenią, czerwienią i znów zielenią. Na ekranie radaru zanikały już sygnały samolotu, w miarę jak zniżał się poniżej profilu wzgórz. Gwizd potężnych turbin budził uśpioną wioskę.

Dla wielu ludzi rozpoczęły się ostatnie minuty ich istnienia. Ostatnie dziewięć minut. Nazajutrz gazety całego świata miały nosić niemal identyczny, czarny nagłówek, w którym figurowały dwa słowa: "Tango November".

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

- Taormina wzywa Greyhound "Tango November"... .

W rozbitych słuchawkach zdanie to powtórzyło się jeszcze dwukrotnie, a potem radio w kabinie pilotów zamarło.

W dwie minuty po zderzeniu rozległy się jęki rannych. Ze stu dziewięćdziesięciu pasażerów i członków załogi prawie połowa zginęła na miejscu. Główna stewardesa, uwięziona w składanym siedzeniu w tyle samolotu, stwierdziła, że może się poruszać. Lewy silnik przebił ogon samolotu i wpadł do środka, zmiądzzył bufet pokładowy, o który była oparta i w ten sposób powstała duża szczelina, w którą się osunęła, chociaż wciąż krępowały ją pasy. Miała wrażenie, że dokoła niej wszyscy są nieprzytomni. Z przedniej części samolotu dochodziły jęki. Dopiero w trzy i pół minuty po katastrofie zdołała się uwolnić. Spróbowała otworzyć lewe tylne wyjście zapasowe, ale było zatarasowane, gdyż skręcony kadłub wbił się drzwiami w ziemię. Wewnętrzne schodki prowadzące pod ogon maszyny były rozbite i zabarykadowane. Prawe zapasowe wyjście znalazło się wysoko w górze i dziewczyna nie miała siły, żeby je otworzyć. Zaczęła więc

pełznąć na czworakach ku przodowi, omijając ludzkie ciała i szczątki rozbitych foteli. Czy jest tu kto? - wciąż powtarzała to pytanie, a na myśl o otaczających ją nieruchomych i zniekształconych postaciach z oczu jej lały się łzy. Pamiętała tych ludzi, tę twarz. Jedni byli! zdenerwowani, inni spokojni. Kilku pasażerów upiło się 1 większość spała. Pali się! - pomyślała. Poczwała zapach benzyny.

Z poprzerrywanych przewodów paliwowych benzyna i powoli sączyła się na szczątki kadłuba samolotu. Pięć- minut po zderzeniu poziom paliwa podniósł się do wysokości lewego silnika. Nastąpił zapłon, wybuch i przez następne dziesięć minut

ranni pasażerowie unieruchomieni w fotelach od trzydziestego pierwszego do dwudziestego drugiego rzędu stracili życie przez uduszenie się albo w płomieniach. Główna stewardesa wciąż pełzała przez zgniecioną kabinę, aż dotarła do dwudziestego trzeciego rzędu. Tam dosięgnął ją dym. W dziewięćdziesiąt sekund później nie żyła.

W środkowej części kadłuba, pomiędzy rzędami trzynastym i dziewiętnastym, nie można było otworzyć lewych drzwi zapasowych, gdyż przechył wraku wbił je w ziemię. Jediną możliwą drogą ewakuacji stanowiła szczelina powstała w miejscu pęknięcia kadłuba na wysokości środkowej toalety. Ale nikt nie dostrzegł tego pęknięcia i tylko dwie osoby z tej sekcji zdołały się uratować. Była to stewardesa Stella Pritchard i pięcioletnia dziewczynka imieniem Trixie. Obydwie zostały wyrzucone z samolotu przez tę właśnie szparę.

W ciemnościach rozlegały się tylko nieliczne jęki strachu. Dwaj pasażerowie przedniej części samolotu wyszli z katastrofy bez większych obrażeń, a hałas, jaki robili przy usiłowaniu uwolnienia się, upewniał tych, którzy jeszcze żyli, że nadeszła pomoc. Ale po czternastu minutach od wypadku żar płomieni w ogonie samolotu wywołał przeciąg silniejszy od północno-zachodniego wiatru, który dotychczas wentylował wrak. Trująca fala tlenku węgla i cyjanku wydzielanego przez palący się plastik obicia foteli zaczęła rozprzestrzeniać się od ogona do pęknięcia w kadłubie. Teraz nie było już czym oddychać, a duszące opary cyjanku stawały się coraz to gęstsze.

Świadomość pożaru wywołała panikę wśród pozostałych jeszcze przy życiu i przytomnych pasażerów. Była to histeria ludzi uwięzionych, zagazowanych i niezdolnych do ucieczki. W przerażeniu i poczuciu własnej bezsilności większość z nich zginęła.

Kontrola ruchu w Katanii została zawiadomiona telefonicznie z Taorminy i w dziewięć minut od katastrofy zarządzono alarm. Helikopter straży przybrzeżnej i włoski samolot wojskowy, znajdujący się właśnie w pobliżu na ćwiczeniach, zostały skierowane na poszukiwania.

W trzydziestej czwartej minucie od wypadku helikopter dostrzegł dym płonącego wraka samolotu. Ułynęło dalszych piętnaście minut, nim helikopter dotarł na miejsce wypadku. Leciał niebezpiecznie nisko, ale ostrożnie. W czterdziestej dziewiątej minucie szczątki samolotu zostały zidentyfikowane, a helikopter wylądował jak mógł najbliżej na nierównej płaszczyźnie lawy. Znalaziono stewardesę i dziewczynkę. Stwierdzono, że żyją, nakryto je kocami i czekano na nosze. Wojskowy helikopter nadleciał po kilku minutach. Zapalono pochodnie, a piloci wraz z funkcjonariuszami straży przybrzeżnej rozpoczęli próbę dostania się do wnętrza wraku.

W odległej o trzydzieści kilometrów Katanii policja obudziła prokuratora generalnego i zawiadomiła go, że nastąpił wypadek i są śmiertelne ofiary. Prokurator polecił jednemu z wyższych urzędników, w podeszłym już wieku, zająć się ratunkiem i dochodzeniem. Ten

r

z kolei za pośrednictwem prefektury zwrócił się o pomoc do pobliskiej bazy lotniczej NATO.

W sześćdziesiąt jeden minut po katastrofie pierwszy z wielkich ratowniczych i przeciwpożarowych helikopterów przybył na miejsce wypadku. Był to boeing-vertol 114, należący do włoskiego lotnictwa i "Sikorski" S-64I skycrane z lotnictwa USA.

Tino G., który leciał po raz pierwszy do ojczyzny! swoich przodków leżał pod szczątkami foteli, osaczony! trupami współpodróżnych. Był zgięty Wpół i miał złamany kręgosłup. Czuł ciepłą wilgoć krwi spływającej wzdłuż nóg i wiedział, że ma wielką ranę w brzuchu. Miał nadzieję, że nikt z rodziny nie dowie się, jak długo umierał, i zastanawiał się, czy ktokolwiek znajdzie! zgniecioną gitarę z autografem, którą trzymał między kolanami.

Po głowie chodziły mu słowa jakiejś piosenki. Melodii i nie mógł sobie przypomnieć.

Piękne sny i latające maszyny |
Rozbite legły na ziemi.

2

Dyżurny urzędnik Ministerstwa Han- J dlu na Victoria Street odczytał teleks dwadzieścia minut po szóstej w sobotę. Wiadomość zredagowano według formuły ICAO, ale zawarte w niej fakty były niejasne i dyżurny poszukał szczegółów w depeszach Reutersa i Associated Press, zanim zatelefonował do starszego inspektora do jego mieszkania w południowej części Londynu. Była godzina szósta siedemnaście (czasu Greenwich plus jedna godzina), kiedy Ralph Burden podniósł słuchawkę. - Jest wypadek. Mam wiadomości z sieci stałej łączności lotniczej. - Dyżurny odczytał teleks: - "119 należący do linii Greyhound i zarejestrowany w Anglii uległ wypadkowi na stoku górskim w Sycylii". Sprawdziłem depesze agencyjne. Nie ma jeszcze danych o uszkodzeniach i ofiarach.

Burden miał na stoliku przy telefonie listę kolejnych czynności, jakie należało wykonać w takich przypadkach. Nie wstając z łóżka zawiadomił dwóch członków ekipy alarmowej i kazał im przygotować się do odlotu, a następnie przekazał zlecenia dla patologa i dentysty RAF-u w Halton. Po namyśle poinformował nocnego dyżurnego przedsiębiorstwa pogrzebowego na Edgware Road. W ciągu siedmiu minut odbył cztery krótkie rzeczowe rozmowy, pozbawione jednak szczegółów, których nie znał.

Centrala telefoniczna w Halton miała trudności z przekazaniem jego zleceń. Dentysta wyjechał korzystając z weekendu, a telefon patologa nie odpowiadał. Telefonistka czekała przez dwie minuty, a potem uśmiechnęła się do siebie samej. Mac Pherson - pomyślała - ma pewno jak zwykle kaca po pijaństwie albo po nocy z dziewczyną.

Europejskie Jura linii Greyhound mieściły się tymczasowo w ciasnych pomieszczeniach lotniska Gatwick. W okresie wakacyjnym, i do tego w sobotę, panował tam tłok przez całą noc. "Tango November" odleciał na Sycylię i Maltę z niemal trzygodzinnym opóźnieniem, co wpłynęło oczywiście na odlot trzech innych sobotnich wakacyjnych czarterów. Kontroler lotów szukał możliwości przesunięcia lotów wśród siedmiu 119 znajdujących się w Europie i był bliski - dzięki pomocy komputera - znalezienia rozwiązania, kiedy szef załogi, po odebraniu w sąsiednim pokoju telefonu, Zastukał gwałtownie w oddzielającą ich szybę. Associated Press domagała się szczegółów o załodze, pasażerach i rozkładzie loturozbi- tego na Sycylii samolotu. Była to pierwsza informacja jaką otrzymało biuro, linii o wypadku. W ciągu następnej minuty centrala telefoniczna została zablokowana telefonami od innych agencji i gazet.

Naprędce zaimprovizowana "ekipa alarmowa" wypo. życzyła od sąsiedniej firmy lotniczej dodatkowe biuro i telefony. Jednak dopiero po dwudziestu minutach otrzymano potwierdzenie wypadku z Włoch. Nikt nie był na razie w stanie określić rozmiarów strat i ilości ofiar w ludziach.

Ekipa alarmowa nawiązała kontakt z biurami turystycznymi, które zamawiały czarter i rodzinami członków załogi.

Kiedy zadzwonił telefon, Julia Duckham znajdowała się w kuchni. Wstała dzisiaj wcześniej, spodziewając się, że mąż wróci na śniadanie. Rozesłała mu już łóżko w pomalowanym na czarno pokoju, w którym sypiał za 9 dni. Poprzedniego wieczoru telefonował z lotniska, za-i wiadomił ją o spóźnieniu i ostrzegł, że wróci później, niż się spodziewał.

- Nie domyślisz się, z kim lecę.
- Chyba nie z Peterem?
- Drugi pilot jest chory i Peter go zastąpi. Jeżeli zechce się przeprosić, to przyprowadzę go na śniadanie.

Nie warto tak o niego zabiegać - pomyślała Julia, ale na wszelki wypadek przygotowała więcej jedzenia. Były to ulubione przysmaki męża - ni to śniadanie, ni to kolacja. Zupa jarzynowa, cynadereki, bekon, jajka, parówki, pomidory, miska jesiennych malin z ogrodu i szklanka wina dla ułatwienia zaśnięcia.

Ale w słuchawce zabrzmiał nieznamy głos. Mężczyzna mówił miękkim południowo-amerykańskim akcentem i usiłował być optymistyczny.

- Pani Duckham, obawiam się, że zdarzył się wypadek...

Nie była na to przygotowana. Zwłaszcza w tak piękny poranek. Słońce przebijało się przez krzewy ogrodu, stół w kuchni był zastawiony dla Mike'a, a na górze baraszkowały i śmiały się dzieci. Krzyknęła głośno z niedowierzania i strachu.

Najbliższym krewnym Petera Nyrena był jego owdowiały ojciec, stary proboszcz wiejskiego kościoła na wschodzie Sussex. Reakcja pastora na alarmującą wiadomość była niemal zawodowa.

- Bardzo mi przykro! O mój Boże, jak mi przykro - powtarzał tak, jakby jego zadaniem było pocieszać człowieka mówiącego z miękkim amerykańskim akcentem. Potem bez słowa odłożył słuchawkę.

O siódmej rano wielka plebania zbudowana w stylu georgiańskim była pusta i zimna. Pastor Ash Nyren przeszedł przez ogród, bramę cmentarną i duży cmentarz do jeszcze zimniejszego kościoła.

Kobiety z wioski, znajdujące się w drodze do zbierania jabłek, usłyszały w pół godziny później organy kościelne. Grały fałszywie pod uderzeniem artretycznych palców i schorowanych nóg starego pastora.

Już dwa razy zdarzyło mu się, że wiadomość o śmierci przyszła do jego domu wczesnym rankiem. Za pierwszym razem miał siedem lat. Wtedy poległ pod Loos jego starszy brat. Powtórnie dowiedział się, że jego jedyny wówczas syn zginął pilotując szybowiec pod Arnheim. i Chłopiec miał osiemnaście lat i wybitne zdolności. Mówiono, że dostanie się do reprezentacyjnej drużyny krokietu. Świetny był to chłopak. Iluż to chłopców tak zginęło jak on!

Dopiero znacznie później stary pastor przypomniał sobie, że trzeba się pomodlić.

W Waszyngtonie była pierwsza dwa- I dzieciąta w nocy, kiedy w sypialni Larry'ego Raille za- I dzwonił telefon i zbudził całą rodzinę.

- Zarejestrowany w Anglii Greyhound 119. We Wł- I szech | poinformował go nocny telefonista Narodowego 1 Urzędu Bezpieczeństwa Ruchu.

Raille spojrzął na swoją ledwo przebudzoną żonę i przeniósł aparat do kuchni, żeby stamtąd telefonować, i Pamiętaj, że w poniedziałek urządzamy przyjęcie - zda- | wał się mówić niechętny wzrok żony. - Osiem osób, same Ważne osobistości z NASA.

Gdyby wypadek zdarzył się o dwadzieścia dwie godzi- ny później, inne nazwisko byłoby na liście dyżurów. w Załatwił sobie przecież wolną niedzielę i poniedziałek, j Raille zamówił połączenie z Rzymem i Londynem i prosił i telefonistkę, żeby nie wyłączała jego linii. Był to już trzeci "wypadek" 119 w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Raille nie miał zamiaru poddać się żadnym grupom nacisku w

Waszyngtonie. Wiele tysięcy stanowisk pracy zależało od dalszej produkcji typu 119. Początkowo nazwano ten samolot 3W, ponieważ myślano, że ma największe szanse zbytu na terenie Trzeciego Świata. Najłatwiejszy samolot do pilotowania - powiedział Raillemu oblatywacz firmy na jakimś przyjęciu. A podchmielony handlowiec towarzystwa lotniczego dodał po prostu: - Nawet mała potrafi poprowadzić te maszyny. Po czym chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój i złapał za guzik jakiegoś afrykańskiego attaché lotniczego.

Larry Raille wzdrygnął się na to wspomnienie. W Waszyngtonie trudno było zachować niezmałowany obiektywizm. Niemniej jednak zawodowa duma znieczulała pracowników Urzędu na wszelkie naciski. Można było podejrzewać jedynie tych, którzy zostali mianowani ze względów politycznych. Larry miał nadzieję, że tym razem obejdzie się bez udziału jednego z nich. Dochodzenie i tak będzie bardzo skomplikowane: katastrofa we Włoszech, samolot amerykański, ale zarejestrowany w Anglii. Trzy państwa oficjalnie uprawnione do udziału w dochodzeniu przyczyn katastrofy.

- Czy to bardzo poważna katastrofa? - Najstarszy syn Larry'ego stanął w pidżamie w drzwiach kuchni.
- Jeszcze nie wiadomo.
- Nie będziesz mógł być na przyjęciu.
- Na to wygląda.
- Mógłbyś poprosić kogoś, żeby cię zastąpił.
- U nas się tak nie pracuje. Tylko w wypadku choroby.
- No to możesz zachorować.
- Nie mam zwyczaju chorować.
- Ale mama będzie wściekła! - Oczy chłopca posmutniały.

Znowu odezwał się telefon. Dzwonił skłopotany urzędnik włoskich sił lotniczych z Rzymu. Mówił płynnie po angielsku, ale nie miał żadnych konkretnych informacji. Nie znał rozmiarów zniszczeń, ilości ofiar ani szczegółów wypadku, wiedział tylko, że miejsce katastrofy jest dostępne wyłącznie dla helikopterów. Podobno nie wszyscy zginęli, ale maszyna pali się.

To nie jest wcale pocieszające - pomyślał Raille. - Kolejny wypadek nie poprawi opinii 119. Prasa światowa zaczęła ten typ samolotu nazywać "Latającą Trumną". Trzy miesiące temu dziewięćdziesiąt osób zginęło w Nairobi, tuż po katastrofie innej 119-ki.

Wpół do drugiej w nocy. O tej porze trudno będzie o lot przez Atlantyk. Larry zajął do rozkładu lotów. Włochy miały czas wschodnio-europejski. Gdyby nawet dostał miejsce w jakimś czarterze latającym poza rozkładem, to na pewno nie znajdzie się na Sycylii przed wieczorem. Nie ma więc na razie powodu, żeby budzić ludzi.

Ale znowu zabrzmiał telefon.

- Będzie mówił pułkownik Parker z bazy amerykańskich sił lotniczych w Travis. Grupa nacisku szybko pracuje - pomyślał Larry. - Terii wypadek nie jest im na rękę.
- Są dla was miejsca w samolocie ćwiczebnym 9 oświadczył pułkownik Parker. - Trzy miejsca. Możecie znaleźć się na Sycylii w ciągu pięciu godzin.

| To jest wielka przysługa, panie pułkowniku!

Trzy miejsca i w pięć godzin na Sycylii. Będzie to i przypuszczalnie nowy typ bombowca, ten B1 czy jak tam nazywają...

- Czy może pan przyjść ze swoimi ludźmi w ciągu pół i godziny?

Pół godziny? Jeszcze nawet nikogo nie obudził. Spój-a rzał na spis dyżurującego personelu. Trzeba będzie wziąć | ludzi w zależności od tego, jak blisko mają do lotniska j w Travis. Jednego wybrał ze względu na znajomość | włoskiego, drugiego,

ponieważ znał dobrze typ 119. 1 Obydwaj przyrzekli, że będą w Travis za pół godziny.

Raille wyciągnął z szafy trzy stale spakowane walizki, j Jedna przeznaczona była na gorący klimat, druga na | zimny, trzecia zawierała niezbędne narzędzia pracy. Sa- | molot spadł w górach. Wziął więc pierwszą, kilka sztuk | grubszego odzienia i sprawdził, czy ma przybory do | wspinaczki. Żona się nawet nie pokazała. Jeszcze rok 1 temu wyskoczyłaby z łóżka i pomogła mu przy pako- | waniu.

Pożegnał Bie z nią dopiero, kiedy był gotowy do drogi.

- Nie zamierzam go odłożyć - powiedziała o przyjęciu.

- Nie zamierzam się ośmieszać. Sześć miesięcy starałam : się o tych ludzi. Będę ich bawić za nas oboje.

Larry Raille nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

"Tango November" był tego dnia przyczyną wielu rozmów telefonicznych w Rzymie, budząc uśpionych urzędników lub przywołując ich z samowolnych weekendów. Ostrzegano też telefonicznie różne osoby, których interesy mogły ucierpieć na skutek katastrofy. Byli-i tacy, którzy mogliby na niej zarobić, i tacy, którzy powinni się byli zastanowić nad sposobami uniknięcia konsekwencji wypadku.

Wśród tego całego zamieszania miała miejsce jedna, raczej nieważna rozmowa telefoniczna. W tanim, dwu- pokojowym mieszkanku w ruchliwej dzielnicy Tuscolana, kilkaset metrów przed Cinecitté. Odezwał się dźwięk telefonu i obudził Sharliego Barzizzę, a kiedy nikt inny nie podnosił słuchawki, Barzizza uznał, że musi to zrobić sam. W pokoju na materacach leżało sześciu facetów i dwie dziewczyny, które pozostały od wczorajszego wieczora. Materace rozrzucone były niechlujnie po podłodze, każdy otoczony stosem ubrań, płyt i książek. Sharlie miał prócz tego jeszcze aparaty fotograficzne.

Telefon był jedynym luksusowym przedmiotem w mieszkaniu. Znajdował się w kuchni. Był przedmiotem niezbędnym, gdyż mieszkańcami pokoju było pięciu pełnych najlepszych nadziei, ale na razie bezrobotnych aktorów, zaś Sharlie był wprawdzie świetnie zapowiadającym się, ale biednym fotografem. Należał do nowej generacji rzymskich paparazzi, wiążących z trudem koniec z końcem, bo czasy, kiedy dolce vita było sensacją dnia, niestety minęły.

Telefonowano do niego. Na Etnie rozbił się samolot 119 pełen turystów. Dzwonił Citto i jak zwykle, połykał spółgłoski.

- No to co mam robić? Wskoczyć do helikoptera?

1 To jest przecież twoja góra, synu. I.jedyna sensaci którą będziemy mieli do Bożego Narodzenia.

Citto Risarda był redaktorem w katańskiej gazecie To on opublikował Sharliemu pierwsze zdjęcie.

1 Mam tu teraz robotę - skłamał Sharlie.

Citto udał, że nie słyszy.

- Zatelefonuję do Air Sicily w Ciampino.

- Nie mam ochoty jechać w tej chwili do domu.

i Zabiorę cię lotem towarowym.

Sharlie odłożył słuchawkę i spojrzał przez okno na późnojesienny, zmęczony, zakurzony miejski krajobraz, .oświetlony -rrtdłymi promieniami słońca. Prawdziwy, ' . piękny, leniwy wrzesień ciągnął się daleko za brudnym miastem i jego asfaltowymi ulicami. Dziś i jutro zamierzał polować na klientów dokoła dworca i na ulicach, i .placach sąsiadujących z koszarami, gdzie autobusy wyrzucały przybywających z prowincji pasażerów. Sharlie specjalizował się ostatnio w fotografowaniu żołnierzy z ich dziewczynami. Jego hasłem było: "Odbitki na oczekaniu". Wynajmował na

godziny małą ciemnię i za apteką. Nie był to łatwy sposób zarabiania na chleb : powszedni.

Katastrofa lotnicza na Etnie.. Mongibelló. Twoja góra - powiedział Citto, bo Sharlie spędził dzieciństwo w cieniu tego spokojnie dymiącego wulkanu. Przypomniał sobie gwałtowny wybuch, jaki fotografował przed rokiem w zimową noc. Płomienie i głązy strzelały z krateru, J a niżej wolno pełznął potok lawy. Citto zabrał go tam w kilka godzin po wybuchu i zdążyli jeszcze zobaczyć, | jak skały pękały pod potężnym ciśnieniem wytryskającej lawy.

Postacie na rozrzuconych w sypialni materacach wciąż j leżały bez ruchu. Tylko jedna z przygodnych dziewczyn 1 obudziła się i mrugnęła na Sharliego, kiedy przechodził j nad jej materacem, by wrócić do swojego kąta. Czy przyszlaby na jego materac, gdyby na nią skinął? Te dziewczyny były modelkami albo ąktoreczkami. Większość z nich z przyjemnością poderwałaby fotografa,' pod warunkiem że zrobiłby komplet portretowych zdjęć. Sharlie przysiadł na materacu, spojrział na dziewczynę, ale ta zdążyła się już odwrócić i zasnąć.

Sharlie wyciągnął torbę z przyrządami fotograficznymi. Naprawdę nie miał ochoty kłaść się z powrotem na swoje wyro. Żeby dostać się do miasta musiałyby iść piechotą półtorej godziny, chyba że znajdzie forszę na tramwaj. Ale, jak zawsze w sobotę, była to kwestia wyboru pomiędzy biletem tramwajowym a kawą.

Air Sicily odlatuje z Ciampino o dziewiątej - pomyślał - a do Ciampino jest tylko pół godziny drogi.

Wiadomości rozchodzą się z szybkością odwrotnie proporcjonalną do odległości. W Katanii, trzydzieści pięć kilometrów od Etny, dziennikarze przeczytali o wypadku na dalekopisie. Wiadomość pochodziła z Rzymu. Kiedy zadzwonili do szpitali, żeby zasięgnąć informacji o ilości zabitych i rannych, personel nie wiedział jeszcze nic o wypadku. A w ogóle - ostrzegła telefonistka - nie warto tu przyjeżdżać. Wszyscy znikają na weekend.

Redaktor miejscowej gazety polecił czterem reporterom zajęcie się różnymi aspektami katastrofy. Prowadzenie dochodzenia powierzył Cittowi Rigardzie - zażywnemu, uprzejmemu panu, spoglądającemu niewinnie spoza grubych szkielek. Od czasu katastrofy w Punta Raisi uważano go za eksperta od wad włoskich lotnisk. A wady te bywały starannie ukrywane. W Punta Raisi usiłowano obciążyć winą za wypadek zmarłego pilota.

Już w kilka godzin po katastrofie stara, podniszczona giulia, należąca do Citta, brała wiraże Statale 185, po czym wjechała na teren lotniska Taormina-Peloritana. Budynki stały spokojne i obojętne w promieniach porannego słońca. W spojeniach płyty lotniska połyskiwała jeszcze woda po nocnym deszczu, który obmył z kurzu niskie krzewy oleandrów otaczające parking. Wysokość drzewek była jedynym dowodem nowości lotniska, gdyż wszystko inne, a więc beton i asfalt, brudne szyby i metalowe żaluzje były zniszczone, skorodowane pod wpływem działalności słońca i wiatru. Citto postawił samochód przed głównym wejściem i obszedł budynek. Wszystkie drzwi były zamknięte i tylko daleki huk samolotowego silnika wskazywał, że są tu jakieś ludzkie istoty.

Citto nie był zdziwiony. Katastrofa wydarzyła się w prowincji Katania, a pomoc organizowano z Fontana- rossa i Sigonella. Nowe lotnisko znajdowało się poza granicą prowincji Hessina, a poza tym niewiele można było tu zrobić dla rozbitków. Nocna zmiana na pewno odeszła, gdy tylko uznano "Tango November" za zaginiony, a dzienna nie zaczynała pracy przed dziewiątą trzydzieści.

Zajrzał przez okratowane szyby do hali odjazdowej: zobaczył dwa upstrzone flagami stoły linii lotniczych, powielone w nieskończoność pęzez wielkie lustra. Marmurowa podłoga, trochę kolorowej mozaiki, wypełnione ceglami płaszczyzny na

ścianach, które w przyszłości miały być ozdobione obrazami albo tkaninami. Młody architekt, który wygrał konkurs na budowę gmachu, z trudem rozpoznałby swoje dzieło. Wykonawcy nie potrafili wykończyć wystroju budynku. Nawet zegar stał w miejscu, a jego lustrzane odbicie pokazywało bez końca godzinę piątą czterdzieści. Budowę gmachów finansował Rzym. Płyty lotniska i ścieżki startowe zbudowali w Belgowie, były więc lepiej wykonane.

Citto słuchał nierównego, dochodzącego z oddali szumu dieslowskiego motoru. W kilka chwil później spoza budynku gospodarczego i drogi prowadzącej na parking wyjechała ciężarówka. Była to czarna cysterna, tak brudna, że Citto z trudem odczytał jej katański numer rejestracyjny. Wrócił do swojego samochodu i nastawił się na co najmniej półgodzinne czekanie. Może po tym czasie zjawi się ktoś, kto zechce udzielić mu informacji.

Tymczasem cysterna jechała dalej, powoli i ostrożnie biorąc wiraże i zgrzytając biegami, aż znalazła się na głównej szosie. Rudy młodzieniec o czerwonych policzkach, ubrany w poplamioną skórzaną wiatrówkę, sprawnie przeprowadził wielki pojazd przez kręte drogi doliny do miasteczka leżącego u stóp pagórków. Zaparkował cysternę na szerokiej, zaśmieconej jezdni i poszedł główną ulicą do garażu Agip, znajdującego się we wschodniej części miasta. Został tam zaparkowany błyszczący, pomarańczowo-zielony ferrari model dino. Jego kierowca nazywał się Flavio Consoli.

5

Samolot leżał na stoku, mniej więcej w pół drogi od szczytu, na paśmie czarnej lawy, wśród powalonych kasztanów i świerków. Był przełamany wpół, a dym z palącego się wciąż ogona pełznął kilometrową smugą poprzez skały i dtzewa. Nad "Tangiem November" unosił się helikopter skycrane, spryskując go ostatnim ładunkiem piany przeciwpożarowej. Zebrawszy swoje śmiertelne żniwo ogień wygasł, a wielki helikopter oddalił się w poszukiwaniu miejsca lądowania. Członkowie ekipy ratunkowej ruszyli w stronę szczątków rozbitego samolotu, ślizgając się po powierzchni lawy. Tino G. usłyszał ich kroki. Poczekał, aż się zbliżyli, i zaczął znowu krzyczeć i płakać. Pierwszy usłyszał go stary, przygarbiony Turi. Ten

|

|

nieustający płacz prześladował go od chwili, kiedy zjawił się na miejscu katastrofy. Był zrozpaczony, bo wiedział, że nie jest w stanie wiele pomóc rannemu.

Turi Pennisi został zabrany z drogi niedaleko miejsca wypadku przez policyjny helikopter. Był to medico con- dotto - miejscowy lekarz, który sprawował pieczę nad sprawami życia, śmierci, chorób i warunków sanitarnych mieszkańców pół tuzina wiosek i miasteczek leżących u stóp wulkanu. Przez dwie godziny czołgał się wśród szczątków kadłuba, kierując akcją ratunkową sanitariuszy lotnictwa. Był już pewien, że nie został tam nikt żywy, prócz tego jęczącego człowieka, uwięzionego w zmiażdżonej i zupełnie niedostępnej kabinie w przodzie samolotu. Trzydzieści cztery osoby pozostałe przy życiu zostały ewakuowane - wiele z nich w stanie beznadziejnym, Turi nie wróżył im większych szans przeżycia w nędznych szpitalach wybrzeża. Zwłaszcza teraz, w czasie gorącego, wrześniowego weekendu. Jeden z pilotów helikopterów powiedział mu, że szpitale wyczerpały już swoje zapasy krwi i plazmy i że przesłano sygnał SOS do stojących w Katanii statków, prosząc marynarzy o dobrowolną daninę krwi.

Śmigłowiec zniżył się nad wrakiem. Podmuchał jego śmigieł niemal zdarł płaszcz z Turiego. Spuszczono z góry wielkie liny z hakami i spróbowano zrobić dziurę w przedniej części kabiny, żeby dotrzeć do uwięzionego tam człowieka. Jeden z osmalonych i spoconych policjantów poczęstował Turiego łykiem z manierki.

Karabinierzy i lotnicy byli stosunkowo dobrze zorganizowani. Po prostu wykonywali instrukcje przewidziane na wypadek trzęsienia ziemi albo wybuchu wulkanu. Obydwa zespoły ratunkowe zostały zmobilizowane przez starego magistrato, odpowiedzialnego za akcję ratunkową.

Haki wbiły się w kadłub, liny napięły się i wrak zaczął się ruszać ze straszliwym trzaskiem pękającego metalu.

Magistrato pomógł Turiemu wczłogać się do środka przez powstałą szczelinę.

- Obejrzyj ciała załogi, jeżeli je znajdziesz. Powinno ich być trzech.
- Jeżeli byli w kabinie, to nie żyją.
- Muszę mieć oficjalne potwierdzenie.

Stary magistrato nie był zbyt pewny siebie. Postępował po prostu według instrukcji z podręcznika.

Mechanicy z helikoptera mieli rację. Powiedzieli Turiemu, że główne wejście do samolotu i korytarz pomiędzy bufetem a toaletą będą stosunkowo mało zniszczone. Tak rzeczywiście było. Turi przeczesał się jedną stroną kabiny pasażerskiej do rozbitego kokpitu pilotów. Drugą stroną tarasował mur zgniecionych foteli i ludzkich ciał. Cztery fotele, spiętrzone jeden na drugim, zagradzały przejście do bufetu, a uwięziony głos wychodził gdzieś ze środka tego olbrzymiego rumowiska. Minęło już sześć godzin od katastrofy 1 ciała zabitych zaczynały stygnąć. Turi przesuwał się przestępując przez góry ludzkich zwłok. Nagle na ramię spadła mu ręka z kosztownymi pierścionkami na sztywnych palcach pobrzękując bransoletką. Była oderwana od ciała. Dotknął jej, a potem puścił. Ogarnęło go przerażenie. Trochę dalej natrafił na ciepłą jeszcze nogę, a kiedy nią poruszył, usłyszał znowu ten jęk, tym raz&n bardzo blisko.

- Czy słyszysz mnie? - zawołał.

Tino G. usłyszał ochryply głos, mówiący po angielsku z włoskim akcentem.

- Jestem lekarzem - mówił człowieka - Musisz mi dokładnie powiedzieć, co słyszysz, kiedy cię dotykam. Czy słyszysz, że dotykam twojej nogi?

Słyszysz? Sentire! On chce powiedzieć: czy czujesz? - pomyślał Tino G.

- Chyba tak - powiedział szeptem.

- Boli cię coś? Gdzie?

- W piersi.

Chłopiec był zgięty w kabłąk, z nogami i głową po stronie Turiego, a resztą ciała uwięzioną w gruzach. |

! Nie mogę głęboko odetchnąć.

- Czy masz coś w ustach i gardle?

.- Klatka piersiowa.

. - Nie mów już. Dam ci morfinę od bólu.

Turi znalazł rękę chłopca i obmacał mu ramię.

- Musimy cię uwolnić bardzo ostrożnie. To potrwa. ' Rozumiesz?

- Tak.

| Idę teraz do mechaników i wytłumaczę im, jak mają cię stąd wyciągnąć.

Rozumiesz?

- Tak.

Turi słuchał oddechu chłopca. Był krótki ale mocny.

i Nie bój się. Zaraz wrócę. Nie zostawię cię. Jak się nazywasz?

- Tino G.

- G ?

- To przezwisko.

- Zaraz wrócę. Słyszysz mnie Tino G? Okej?

- Okej.

Turi cofnął się do otworu i krzyknął na mechaników. Wytłumaczył im położenie chłopca. Będą musieli użyć podnośnika i piły do metalu i przesuwac szczątki kadłuba milimetr po milimetrze. Turi oświadczył, że zostaje w środku przy chłopcu. Magistrato zapytał go ponownie o stan zwłok załogi: - Muszę mieć potwierdzenie ich śmierci.

Turi wcisnął się, nogami naprzód, przez zgnieciony korytarz do kokpitu. W ciemnościach nie było nic widać. Dotykami wyczuł trzy ciała - zimne już i bardzo pokiereszowane. W drodze powrotnej natknął się na czwarte, jeszcze bardziej zmasakrowane. Były to zwłoki kobiety.

To dramatyczne odkrycie wstrzymało całą akcję ratunkową. Magistrato zabronił wszelkich dalszych posunięć, a także wynoszenia ciał z wraku, z wyjątkiem czynności niezbędnych dla uratowania uwięzionego chłopca. Wszystko inne musi zostać nietknięte dla umożliwienia dochodzeń technicznych i śledztwa.

Tylko dwaj ludzie otrzymali zgodę na dalsze poszukiwania. Byli to urzędnicy, wyznaczeni przez magistrato do odnalezienia tak zwanej "czarnej skrzynki", zawierającej zapis przebiegu lotu. Opuścili niebawem miejsce katastrofy we własnym małym helikopterze z płóciennymi torbami, wypełnionymi bliżej nieokreślonymi przedmiotami. Nikt nie zauważył, czy była pośród nich "czarna skrzynka".

Już w godzinę po zaskakującym odkryciu dokonany przez Turiego dalekopisy agencji prasowych rozniosły dramatyczną wiadomość o tajemniczej postaci w kabinie pilotów. Rozpatrywano możliwość próby porwania samolotu. Dodatkową sensacją było potwierdzenie tragicznej śmierci wszystkich członków załogi "Tanga November".

Julia niewiele mogła zrobić poza oczekiwaniem. Posłała dzieci do sąsiadów prosząc, żeby trzymano je z daleka od radia i telewizji. Zatelefonowała do pierwszej żony Mika w Richmond, potem do szkoły w Kent, w której przebywała jej pasierbica, a następnie do siostry w Guildford. Nie miała im wiele do powiedzenia; nikt dokładnie nie wiedział, co się stało.

W myślach widziała Mike'a na przemian żywego, rannego, zabitego, zgniecionego. Przypomniła sobie, jak śmiał się do niej, jak machał ręką przez okno samochodu na pożegnanie. Widziała go zamyślonego i niespokojnego, jakim był często w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. Widziała go we łzach, jak wtedy, kiedy ich miłość znalazła wreszcie wyraz w fizycznej rozkoszy.

Była pewna, że gdyby Mike żył, to zadzwoniłby albo wysłał telegram. Dźwięczały jej w uszach słowa pożegnania, wyśpiętywane przez małą Klarę wczorajszego wieczoru. Ilekroć dzwonił telefon, była pewna, że jest już po wszystkim. Ale myliła się za każdym razem. Raz dzwoniła siostra, Parń, zawiadamiając ją, że jedzie już do niej z Guildford. Potem dzwonił ze szkoły z wiadomością, że wysyłają jej pasierbicę do domu. Potem wesoły właściciel warsztatu z Woking poinformował ją, że właśnie dostał dla niej zapasowy łańcuch do maszyny do strzyżenia trawnika. Julia wyobraziła sobie Mike'a, prowadzącego tę maszynę jak samochód wyścigowy przez trawnik i sad.

Myślała też o stu dziewięćdziesięciu innych rodzinach oczekujących w rozpacz na wiadomość.

W momencie, kiedy usłyszała podjeżdżający samochód Pam, ten sam co przedtem, spokojny amerykański głos z biura firmy Greyhound w Gatwick, przekazał jej ostateczny i nieodwoalny wyrok. Pam wbiegła na górę, siostry padły sobie w ramiona i rozplakały się.

Lotnisko Taormina-Peloritana budziło się z wolna do życia. Personel, autobusy i samoloty przybywały na płytę, szykując się do porannego, sobotniego natężenia ruchu. Oczekiwano czterech czarterów z Niemiec i Skandynawii, a poza tym samolotów towarowych Air Sicily z Rzymu i Bari. Miały to być ostatnie lądowania na bliżej nieokreślony czas. Ministerstwo w Rzymie ogłosiło już, że lotnisko Taormina-Peloritana zostaje zamknięte dla ruchu pasażerskiego "do czasu całkowitego wyjaśnienia wszystkich przyczyn katastrofy". Atmosfera na lotnisku była więc ponura i nikt nie miał ochoty mówić o tej przykrej sprawie.

Citto Risarda siadł na kamiennej ławce w hali przyjazdowej i od czasu do czasu wstawał, żeby zamienić kilka słów z którymś z urzędników lotniska. Powiedziano mu, że nie otrzyma tekstu rozmowy radiowej z samolotem i że nie ma powodu sądzić, iż instalacje do ślepego lądowania działały wadliwie. Citto zauważył, że zegary w budynku znowu działały prawidłowo i wskazywały dokładny czas.

Kiedy "wylądował pierwszy czarter, DC9 z Bremy, Citto poszedł za dwoma pilotami do baru i nawiązał z nimi rozmowę w swojej kiepskiej angielszczyźnie. Powiedzieli mu, że nie mieli żadnych trudności z podchodzeniem do lądowania. Sygnały urządzeń do lądowania na instrumenty działały normalnie.

- Ale przecież - dodał niemiecki kapitan - nie ma w tym nic dziwnego w taki piękny, słoneczny dzień.

- Czy pańskim zdaniem to lotnisko jest bezpieczne? – zapytał go Citto.

Niemiec roześmiał się i podniósł rękę do góry. / - Czy mam panu wyliczyć bezpieczne lotniska po południowej stronie Alp i Pirenejów? Starczy mi na to palców jednej ręki!

- A więc nie uważa pan tutejszego lotniska za bezpieczne?

- Już panu powiedziałem. W ciepły słoneczny dzień lądowanie nie jest tu trudniejsze od zaparkowania samochodu. Niech pan teraz powie, jaka pogoda była tutaj ostatniej nocy?

Citto potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. W Katanii było ładnie. Ale w górach warunki zmieniają się co dziesięć kilometrów.

Piloci skończyli kawę i wstali.

- A jaka jest tutaj sytuacja w czasie złej pogody? - nalegał Citto.

- Raz lądowałem tu podczas burzy. Nigdy więcej. Ta wasza góra w czasie burzy zachowuje się jak zły pies.

Dwaj piloci powrócili do DC9, żeby ruszyć w powrotną drogę, a Citto poszedł na taras budynku. Właśnie Visco- I unt Air Sicily podchodził do lądowania i Citto przyglądał się przez lornetkę całej tej procedurze. Wyglądała bardzo prosto. W pewnej chwili samolot zlał się ze swoim cie- niem na asfalcie i poza lekkim dymkiem nie zostawił na nim żadnego śladu. Z dała rysowała się sylwetka wulkanu. Był teraz już tylko zwykłą górą, tyle że z pięknym pióropuszem dymu i otoczony nikłą koYoną obłoków.

Viscount przylatywał z Ciampino i Citto wrócił do .budynek w nadziei, że spotka się z Sharliem. Zobaczył najpierw pół tuzina rzymskich dziennikarzy, którzy skorzystali z nieprzewidzianego lotu i natychmiast rozbiegli się w poszukiwaniu telefonów, niewątpliwie po to, żeby zapewnić sobie jakiś środek lokomocji, który by ich zawiózł na miejsce wypadku. Za nimi zjawił się nie ogolony, chudy i głodny Sharlie, dźwigając zniszczoną torbę z aparatami fotograficznymi i obiektywami. Kiedy Citto, początkujący wówczas reporter, spotkał po raz pierwszy Sharliego Barzizę, ten był wyrostkiem o wszy- 1 stkich cechach chuligana z katańskiej dzielnicy porto- 1 wej. Citto odkrył w nim niezwykle talent fotograficzny, kiedy Sharlie skradzionym aparatem zrobił zdjęcia ulicznej bójki. Citto umieścił te zdjęcia w swojej

gazecie, a potem pracował z nim, jeżeli tylko nie było pod ręką fotografa firmy. Przed dziewięciu miesiącami wdrapali się razem na górę i Sharlie zarobił sporo pieniędzy na zdjęciach przedstawiających wybuch w kraterze i potoki 1A lejącej się lawy. Wtedy kupił kilka dobrych aparatów i pojechał na północ, by szukać fortuny w Rzymie.

Sharlie nie czekał na bagaż. Citto pamiętał, że przyjaciel miał zawsze przy sobie torbę z aparatami i płócienny worek. Dogonił go i zawołał: - Sharlie! :|

Chłopiec odwrócił się z obawą w oczach, ale odprężył

się, kiedy poznał przyjaciela.

- Czy oderwałem cię od innej roboty? - spytał Citto.

Chłopiec wahał się przez chwilę. Pewnie chce skłamać

- pomyślał Citto. Ale Sharlie uśmiechnął się i potrząsnął głową. Sprawy w Rzymie zapewne nie układały się najlepiej. Sharlie miał przetarte dzinsy, a buty dziurawe. Sharlie zaśmiał się po raz drugi. Zrozumiał spojrzenie Citta.

- Ledwie zdążyłem na samolot. Pobiegłem tak, jak stałem. - Wskazał ręką swoje ubranie. - Nie zdążyłem się nawet przebrać.

Dziennikarze wracali już od telefonów i kierowali się do wyjścia. Citto pociągnął Sharliego na bok.

- Mam transport na górę.

Sharlie był wciąż nieufny.

- Jaki masz w tym interes?

Dziewięć miesięcy temu nie zadałby tego pytania. Nie mógł widać uwierzyć własnemu szczęściu. Niezawodny znak, że kiepsko mu się powodziło.

- Po prostu robię to z przyjaźni dla ciebie. Nie dasz nam tych zdjęć, a ja dostanę dziesięć procent, kiedy przyniosą ci miliony.

Sharlie roześmiał się.

- Miliony! Zadowolę się tysiącami-w mojej sytuacji.

- Masz wielką okazję. O ile wiem, jesteś tutaj jedynym fotografem, a pierwsze dobre zdjęcia rozejdą się na cały świat.

- Jakiego to rodzaju transport?

- Wojskowy helikopter. Kumpel kumpla. Usługa za dawną usługę.

- A gdzie to się stało?

- Gdzieś między Citelli i Val del Bove.

- Trudny teren.

- Właśnie dlatego nie ma innego sposobu dostania się tam jak tylko helikopterem. Rany boskie - pomyślał Sharlie - mam nadzieję, że nie zabraknie mi błon.

7

We wnętrzu wraka samolotu było ciemno, ciasno, panował straszny smród. Ciało Tina G. było przywalone rozbitymi fotelami i chłopiec był pewien, że tylko dzięki temu nie rozlatuje się i że kiedy go wreszcie wydostaną, rozpadnie się jak strzaskana maszyna. Kiedy uwolniono mu ręce, zaczął nieco swobodniej oddychać. Włoski lekarz był wciąż koło niego, namawiał go do mówienia i utrzymywał w stanie przytomności. Tino G. opowiedział mu przebieg podróży w najdrobniejszych szczegółach i sam dziwił się jasności swojego umysłu. Zawsze myślał, że ludzie po wypadku zapominają o wszystkim.

Opuścili lotnisko Kennedy w olbrzymim, luksusowym ale brzydkim DC 10, którego wnętrze przypominało' dużą, źle zaprojektowaną salę łonową. Wysadzono ich gdzieś w Anglii w środku nocy. Długo czekali na połączer nie. Traktowano ich jak grupę uchodźców. W ogromnej hali lotniska nie było nawet wystarczającej ilości miejsc do

siedzenia. Dzieci płakały, matki denerwowały się, a bar był zamknięty, dopóki nie zrobiono dostatecznie dużej awantury. Potem, w drugim samolocie, ładna stewardesa podała mu drinka, a zauważwszy, że ma gitarę, poprosiła, żeby coś zaśpiewał. Wykonał więc kilka własnych piosenek i dostał za to drugiego drinka od ojca jakiejś rodziny z Brooklynu, który zajmował sąsiednie miejsce. Córeczka faceta bawiła się w chowanego właśnie w chwili, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania. Ładna stewardesa puściła się za nią, bo wszyscy pasażerowie musieli zapinać pasy. Potem coś się stało, bo

wznosili się znowu do góry, przy czym miało się wrażenie, że samolot przekrzywił się. Ludzie zaczęli wpadać w panikę. Mówiono, że jest burza. Potem zaraz wyszli z chmur, zrobiło się jasno i widać było wielkie czerwone słońce wychylające się z morza. Pasażerowie zaczęli bić brawo. Słońce było takie wielkie, okrągłe i wspaniałe. I takie jaskrawe. Jak ogromna dziura w niebie. Potem samolot zaczął opadać. Ładna stewardesa biegła potykając się między fotelami, a ludzie krzyczeli. A potem kilka gwałtownych wstrząsów. Tino siedział tyłem do kierunku lotu z gitarą między kolanami. Siła uderzenia zmiażdżyła jego fotel i zerwała pasy, tak że przewrócił się w tył, przerzucając nogi nad głowę. Od tej chwili nie mógł się już poruszać.

Tino G. został uwolniony w południe. Kiedy go podniesiono, jęknął z bólu, a stary Turi zaklął i wrzasnął na ratowników, żeby byli ostrożniejsi. Mimo że chłopiec był zgięty wpół, okazało się, że nie miał złamanego kręgosłupa, więc powoli rozłożyli go na noszach. Jego brzuch był wielką raną, pełną drewnianych odłamków i zakrzepłej krwi. Turi nie mógł zrozumieć, co tak urządziło chłopca, dopóki jeden z ratowników nie wyciągnął ze szczątków samolotu na wpół rozbitej gitary.

Turi spędził u boku chłopca trzy godziny. Teraz szedł przy noszach, wspinając się po stoku lawy do czekającego na nich helikoptera. Z początku chłopiec rozglądał się dokoła. Patrzył na świat leżący za ciemną bryłą wraka samolotu, niebo, drzewa, zarysy gór i twarze spoconych, zmęczonych ludzi. Ale tuż przed startem helikoptera Turi zorientował się, że ranny zaczyna tracić przytomność, że jego skóra szarzeje, a twarz pokrywa się warstwą potu. Turi kazał opóźnić odlot helikoptera o dwie minuty, zaaplikował chłopcu kroplówkę i polecił pilotowi lecieć do najbliższego miasteczka, położonego u podnóża góry. Był tam niewielki wprawdzie, kiepsko wyposażony szpitalik, ale przewiezienie pacjenta do miasta trwałoby o dwadzieścia minut dłużej. W stanie rannego nastąpiło nagłe pogorszenie. Po sześciu godzinach walki organizmu ze śmiercią teraz dopiero ujawniły się skutki szoku. Przypuszczalnie przyczyniła się do tego jakaś duża drzazga - pomyślał Turi. - Musiała się przemieścić, kiedy go wyciągaliśmy i może wywołała wewnętrzny krwotok. Nie mógł wyczuć pulsu chłopca, serce rannego biło jak oszalone, a ciśnienie kiwi spadało. Turi kazał jednemu z sanitariuszy unieść nogi chłopca i założył mu na twarz maskę tlenową. Drugi pilot podał przez radio wiadomość o stanie pacjenta, więc policja zatrzymała ruch na ulicach prowadzących do szpitala i w ten sposób przygotowała miejsce do lądowania.

Turi znał miejscowego chirurga. Był to niezły fachowiec, ale człowiek niemłody, a teraz zmęczony po dokonaniu licznych operacji na wcześniej przywiezionych ofiarach wypadku. Udało się zgromadzić kilku ofiarodawców krwi, reprezentujących prawie wszystkie grupy, ^z wyjątkiem bardzo rzadkich. Stary chirurg zabrał się do operacji w pięć minut po przywiezieniu pacjenta, bo trzeba było jak najszybciej wykryć źródło wewnętrznego krwotoku. Przebita wątroba – powiedziano Turiemu, kiedy ten opuszczał szpital. Może trzeba było zaryzykować dłuższy lot - pomyślał - i przewieźć chłopca do jednego z większych szpitali w mieście?

Zastanawiając się nad tym pytaniem Turi wyszedł na słoneczną ulicę, wsiadł do taksówki i wrócił do swojej wioski, gdzie już od wczesnego ranka czekali na niego jego własni pacjenci.

Rozważania Turiego były bezprzedmiotowe. Wszpita- lach miasta znajdowało się dwudziestu dziewięciu rozbitków z "Tanga November" i tylko trzech wykwalifikowanych lekarzy. Administracja szpitala odrzuciła propozycję pomocy lekarskiej ze strony bazy NATO. Nie chciano się przyznać, że większość personelu wyjechała na weekend, p ogólnej liczby dwudziestu dziewięciu rannych czterech zmarło, a pozostali znajdowali się w stanie beznadziejnym. Były.dwa wyjątki. Stewardesa Stella Pritchard i mała, znaleziona przy niej dziewczynka miały szansę przeżycia. Obie były jednak nieprzytomne i nie wiedziały jeszcze, jak im się poszczęściło.

8

Na tarasie restauracji położonej nad jedną z zatoczek na północ od Taorminy, około pięćdziesiąt kilometrów od miejsca katastrofy, pięciu ludzi zaczynało jeść obiad.

Najmłodszy z nich, mężczyzna o nalanej i spoconej twarzy, przybył ostatni, poprzedzony wyciem silnika zielono-pomarańczowego sportowego samochodu i zgrzytem żwiru. Był to Flavio Consoli. Zamiast poplamionej oliwą skórzanej kurtki miał na sobie białe ubranie. Biel garnituru kontrastowała z czernią jego włosów, i brwi. Grupa młodych Amerykanek, obok których przechodził, aż zamilkła z wrażenia. Zanim przyłączył się do siedzących przy stoliku na skraju tarasu czterech mężczyzn, odwrócił się i dokładnie obejrzał sobie każdą z dziewczyn z osobna. Przywitał go skinieniem głowy tylko jego ojciec, adwokat Consoli. Siedzący obok niego dwaj panowie byli politykami, którzy jechali od rana samochodem, aby zdążyć na spotkanie. Niepunktualność młodzieńca była im nie w smak. Piąty mężczyzna pełnił najwyraźniej drugorzędną rolę. Odzywał się tylko, kiedy go pytano. Mówił głośno i wyraźnie, jak gdyby obawiał się, że nie zostanie zrozumiany. Kapitan Duckham rozpoznałby głos kontrolera ruchu z wieży obserwacyjnej lotniska Taormina-Peloritana.- Odpowiedział teraz na pytania dotyczące katastrofy, opisując szczegółowo rozmowę z załogą samolotu do momentu, kiedy wydał pozwolenie na lądowanie.

- Czy wszystkie urządzenia lotniska działały prawidłowo?

Kontroler wzruszył ramionami.

- Była silna burza. Mamy tylko automatyczny gonio- metr bez radiolatarni wielokierunkowej. Mogli przelecieć nad fabryką.

- To jednakże tylko teoria?

Tak, proszę pana.

Jeden z polityków włączył się do rozmowy.

- Nie myli się pan co do warunków atmosferycznych?

1 Widoczność była minimalna. Decyzja lądowania należała do pilota.

Adwokat Consoli miał pomysł.

- Istnieje możliwość, że samolot w ogóle nie znajdował się blisko lotniska: Może jego przyrządy nawigacyjne źle funkcjonowały?

Kontroler potrząsnął głową.

- Samolot znajdował się nad naszymi głowami. Nie mam pojęcia, co się stało.

Wydaje mi się, że poleciał nagle w stronę gmachu fabryki.

I Adwokat wstał.

- To jeszcze jedna z pańskich teorii. Będę panu wdzięczny, jeżeli zatrzyma je pan dla siebie.

Adwokat Consoli dokładnie wytłumaczył kontrolerowi ruchu znaczenie wyrazu "wdzięczny" w czasie, gdy odprowadzał go do samochodu.

Kiedy adwokat powrócił do stolika, spróbował uspokoić zdenerwowanych polityków.

- Ten młody człowiek na pewno zachowa się rozsądnie.

Jeden z polityków uśmiechnął się.

- To oczywiste. Bardziej niespokojny jestem o Rzym.

- Rozmawiałem z Rzymem dziś rano. - Consoli nalał wszystkim wina. – W Rzymie wszystko będzie w porządku. W ministerstwie nie ma prawie nikogo. Wszyscy wyżsi urzędnicy zajęci są prowadzeniem śledztwa w sprawie wypadków lotniczych na północy. Mogą tu wysłać wyłącznie kilku techników.

i A więc kto będzie prowadził dochodzenie?

1 Nasze tutejsze władze. Z Rzymu przyjadą tylko specjaliści. Nasz miejscowy prokurator z jednym ze starszych urzędników będzie miał sprawę w ręku.

- Ale Anglicy i Amerykanie na pewno przyślą komisje śledcze.

- Przyjadą najwcześniej jutro rano. A poza tym będą musieli zadowolić się dostarczonymi im przez nas dowodami. Chyba rozumiecie, o co mi chodzi?

- A jak jest z "czarnymi skrzynkami"?

- Tym razem na pewno nie zostaną znalezione.

Kelnerzy podali obiad, ale jedynie młody Flavio wykazał zainteresowanie potrawami i z ogromnym apetytem konsumował risotto z krewetkami. Tylko pociągprzejeź- dzający pod tarasem przerwał raz ciszę. Jego huk pozwolił dosłyszeć słowa adwokata dwóm politykom:

- Mamy szczęście, że ten samolot spadł właśnie w tym miejscu. Prokurator Katanii jest moim starym przyjacielem.

Politycy pokiwali głowami. Znaczenie takiej przyjaźni nie wymagało komentarza.

Po zakąskach panowie przeszli do ryb, a następnie do owoców i kawy. Flavio był coraz bardziej ociężały, a oczy przymykały mu się jak nasyconemu wężowi boa. Ojciec płacił już rachunek, kiedy Flavio rzucił pytanie:

- Proszę mi wytłumaczyć, skąd ta pewność, że "czarne skrzynki" nie zostaną znalezione? I dlaczego to ma być dobrze? One przecież wykażą, że samolot skierował się w stronę fabryki!

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć.

Adwokat z jednym z polityków odjechali do Messyny samochodem prowadzonym przez kierowcę. Mieli tam ważną sprawę do załatwienia. Drugi polityk odjechał w przeciwnym kierunku, udając się do swojego domu w Palermo.

Młody, zażywny syn adwokata odczekał, aż wszyscy się oddalili, a potem poszedł n.a parking i dał dozorczy napiwek, żeby mu dobrze pilnował przez resztę dnia samochodu. Następnie zajął się C2terema młodymi Amerykankami, które rozsiadły się pod słonecznym parasolem na plaży po drugiej stronie toru kolejowego.

9

Mimo dokładnej analizy wydarzenia i wybitnej intuicji adwokat Consoli mylił się w dwóch sprawach. Zarówno amerykański, jak brytyjski zespół śledczy znajdowały się już w drodze na miejsce katastrofy. Amerykanie skorzystali z błyskawicznie zaimprovizowanego ćwiczebnego lotu lotnictwa USA, a Anglicy z uprzejmości europejskiego oddziału linii Greyhound.

Nie mając do dyspozycji własnego samolotu, kierownik Greyhounda zacarterował BAC 111 w celu zabrania dziewięćdziesięciu pasażerów wciąż czekających na Malcie na przybycie "Tanga November". Aparat ten otrzymał polecenie zatrzymania się na Sycylii i wysadzenia tam przedstawicieli linii. Zabrano również grupę ekspertów wydziału badania katastrof Ministerstwa Handlu i Przemysłu. Należeli do niej Ralph Burden i dwaj mechanicy. Pozostawiono też miejsca dla patologa RAF-u i jego pomocnika - jeżeli zdążyliby przyjechać na czas - jak i dla dwóch pracowników firmy pogrzebowej

z Londynu, specjalistów od identyfikacji zwłok ofiar wypadków lotniczych.

Start samolotu był opóźniony z powodu oczekiwania na grupę medyczną i przez ten czas urzędnik Greyhoun- da przywiózł na lotnisko paczkę zawierającą akta personalne załogi "Tanga November". Grupa śledcza miała teraz prawo dostępu do tych akt i Burden, jako osoba oficjalna, podpisał pokwitowanie ich odbioru.

Teczki były różowe dla stewardes, niebieskie dla pilotów. Burden przerzucił je pobieżnie. Pilot, drugi oficer - Peter Nyren, mechanik pokładowy - George Raven. Burden nie znał tych nazwisk. Obejrzał fotografie stewardes. Wszystkie dziewczyny były ładne, prezentowały się elegancko w obcisłych kostiumikach. Na samym spodzie leżała teczka dowódcy załogi.

Michael - Edward Duckham. Burden zadrzał. Czyżby to był ten sam Duckham? Zaczął czytać akta. Nie było wątpliwości. Duckham M.E., urodzony 1922. "Dixie" Duckham! Ni mniej, ni więcej! Ordery - DSO i DFC z dwiema belkami. 23-cia eskadra. Niegdyś playboy, znany z mocnej głowy, udzielną księżę północnego Norfolk. Idealny prototyp myśliwskiego pilota. Przedwcześnie porysowana zmarszczkami młoda twarz, zapadnięte oczy i lekko przechylona na bok głowa, jak u nerwowego ptaka. Przedmiot uwielbienia młodych oficerów eskadry. Burden nie musiał szukać w aktach fotografii, żeby uzmysłowić sobie tę postać. "Dixie" Duckham! Ty głupi, stary draniu - myślał wbrew wszelkim zasadom bezstronności, i Przemierzyłeś taką długą drogę, cudem wyszedłeś z tej wojny cało i to po to, żeby nadzieć się na tę górę. O ktok od emerytury. Powiniennem wyłączyć się z tej sprawy. Zadzwońię do szefa. Powiem, że znam Duckhama. A w każdym razie, że go znałem. Ale czy szef się tym przejmie? To było przed trzydziestu laty. A po tak długim czasie nie zna się już człowieka.

- Jest pański kolega - szepnął mu do ucha steward. Burden spojrział na zegarek, a potem wyjrzał przez okno. Brakowało tylko dwóch minut do odlotu i Mac Pherson maszerował szybkim krokiem przez płytę lotniska. Za nim biegł jego hinduski pomocnik, dźwigając ciężką pakę z instrumentami. Kiedy Pherson wchodził hałaśliwie po schodkach do kabiny, nawet dziennikarze ucichli. Pojawił się w drzwiach, wielki i brodaty, po czym, zgodnie ze swoim zwyczajem, przedstawił się:

- Doktor Pherson! - Zobaczywszy Burdena uśmiechnął się i dodał: - Ten dureń posadził helikopter na polu po drugiej stronie autostrady.

Burden wstał i pochylił się, żeby nie uderzyć głową w półkę bagażową.

- To ładnie, że przerwałeś sobie weekend, Mac. Pherson opadł na fotel i kopnął oparcie znajdującego się przed nim siedzenia.

- Mam nadzieję, że to pudełko od sardynek nie rozwali , się - powiedział tubalnym głosem, a potem zwrócił się do

Burdena: - Nie mogłem znaleźć dentysty. Przyleci jutro. Jaka jest sytuacja?

Burden podał mu notatki załączone do formalnego zlecenia. Zawierały dane o katastrofie: datę, godzinę, miejsce, nazwę linii, typ samolotu.

- Jeszcze jeden 119? Najwyższy czas uziemić te ' latające trumny!

Milczący Hindus usadowił się w fotelu po drugiej stronie przejścia. ♦

- Nazywa się Sanju. Specjalizuje się u nas - wyjaśniał Mac swoim głośnym basem. - Bystry facet. Dobrze mu robi, jak zobaczy trochę krwi.

Samolot ruszył i Ralph Burden przyglądał się w zamyśleniu płycie lotniska, po której kołował do startu 111. Przypomniwał sobie trudny start małego moskita z porośniętego trawą lotniska. „Dixie” Duckham wioził go na pierwszą nocną wyprawę wojenną. Tłumaczył mu, jak utrzymywać pozycję maszyny, żeby nie tracić z oczu sylwetki innego samolotu. "Spokojnie, chłopcze (dwa lata

różnicy wieku w tamtych czasach to była cała wieczność). Przechylił ją do przodu... wiem, że mnie kochasz, ale na razie zejź z mego tyłka..."

Mac namiętnie opowiadał Burdenowi jakąś historię. O kobietach albo o wódce. Ale Ralph nie słyszał z tego ani słowa. Wiedział, że tam na dole jest hrabstwo Sussex, ale czuł, jak pocisk junkersa przebija kadłub moskita, w słuchawkach słyszał krzyk Duckhama: "Lewa noga mocno w dół! Obróć maszynę!" Strach sparaliżował Burdena; zawisł pomiędzy niebem i ziemią i nie mógł się ruszyć. Potem Duckham powiedział słodko-kwaśnym głosem: "Do trzech razy sztuka, chłopcze. Został ci już tylko jeden raz".

Michael Edward Duckham, kapitan pilotów w europejskiej filii linii Greyhound. Lat pięćdziesiąt trzy, osiemnaście tysięcy siedemset jedenaście godzin lotu, siedemset siedemdziesiąt dziewięć dni w powietrzu, czyli jedna dwudziesta siódma życia.

Matematyczny umysł Ralpha Burdena bez trudu opanował te statystyczne dane, ale nie chciał jeszcze rekonstruować wspomnień o swoim byłym kombatancie. Pilot ma zawsze większe szanse przeżycia przymusowego lądowania niż pasażerowie. Ma lepszy fotel i mocniejsze pasy. Może jeszcze dzisiejszego wieczoru - myślał Burden - będę rozmawiał z Duckhamem, chociażby przy szpitalnym łóżku.

Ale po dwóch godzinach lotu w głośniku rozległ się głos kapitana 111 i zniweczył te optymistyczne nadzieje.

- Otrzymałmśmy właśnie wiadomość od linii w sprawie ilości ofiar katastrofy.

Ocenia się ją obecnie na około stu dziewięćdziesięciu zabitych. Zginęła cała załoga. W kilka minut później kapitan 111 wszedł do kabiny pasażerskiej i pochylając się nad oparciem foteli przedstawił się Burdenowi i Phersonowi.

- Ten pilot to był "Dixie" Duckham, prawda? Burden skinął głową.

- Pan go znał?

- Spotkaliśmśmy się kilka razy. Miły człowiek.

- Żadnych dalszych szczegółów wypadku? Kapitan potrząsnął głową.

- Nienowego.

- Czy pan zna to lotnisko? - zapytał go Burden.

- Latałem tam przez całe lato. Najlepiej będzie, jak pan przyjdzie do kabiny i usiądzie z nami. Zobaczy pan ogólną topografię. Chociaż wydaje mi się, że spróbują nas skierować gdzie indziej.

- Dlaczego?

- Zdaje się, że zamykają lotnisko na kilka dni. Dostali lekkiej hysterii po wypadku.

Pakują ludzi do kryminału, zabezpieczają dowody. Tak jest w każdym razie w Hiszpanii. Rozbiłem tam kiedyś samochód. Nie ma pan pojęcia, co to była za afera!

Przejdzie pan do nas?—zapytał na zakończenie.

Pherson skulił się w fotelu i przesunął tacę z sandwiczami, żeby pozwolić precyzyjnie się Burdenowi.

- Ale niech pan nie dopuści tego pajaca do sterów - roześmiał się Mac. -

Niedawno, kiedy wziął się do sterowania, spuścił w morze dziewięć ton mleka w proszku!

Burden podążył za kapitanem i minąwszy grupę urzędników Greyhounda, wszedł do kabiny. Przywitał się z drugim pilotem i usiadł na zapasowym siedzeniu. Kapitan uśmiechnął się do niego przez ramię i spytał:

- Co to za historia z tym mlekiem w proszku?

- Mleko w proszku i banany. Ważne dostawy wojskowe. Posadziłem samolot na morzu. Blisko jednej z wysp na środku Oceanu Indyjskiego.

Piloci 111 pokręcili głowami ze zrozumieniem i nie zadawali więcej pytań. Burden był wyraźnie zaambara-sowany.

1953 rok... - myślał Burden. | Hastings CI, nocny lot z Singapuru przez kośćcówkę tropikalnej burzy, próba lądowania w ciemnościach. Komisja śledcza stwierdziła potem przemęczenie pilota i oślepienie przez burzę. Byli dla niego łaskawi, a on pierwszego dnia dochodzenia przyjął ich wyrok. Ale nazajutrz, po nocy spędzonej na bezsennej dyskusji z własnym sumieniem, Burden podziękował komisji i oświadczył, że było zupełnie inaczej, że po prostu popełnił błąd. Potem wyjaśnił sobie samemu wszystkie okoliczności wypadku. Pas lądowania zaczynał się tuż przy plaży, więc ilość świateł prowadzących była bardzo mała. Była późna noc, w pobliżu żadnych innych świateł, na które można by się było orientować. Tego dnia drugi pilot uległ morskiej chorobie i Burden zwolnił go od rutynowego odczytywania wysokości, które mogłoby się być przyczynić do uniknięcia błędu. Ktoś, kto nie znał tego lotniska, łatwo mógł źle ocenić wysokość. Tak więc "wylądowali miękko" o sto metrów przed pasem do lądowania. Została jeszcze godzina na wylądowanie części bananów, po czym Hastings zdecydował się zatonać. Nic dziwnego, że ten błąd i jego przyczyny stały się dla Burdena istną obsesją. Zniszczyła ona jego karierę lotniczą. W kilka lat później przyjął pracę w wydziale badania przyczyn katastrof jako urzędnik śledczy.

Jeśli nie możesz wroga zniszczyć - przyłącz się do niego - uśmiecha! się kapitan 111. Zupełnie jak gdyby czytał w myślach Burdena. Ale właśnie w słuchawkach rozległ się głos i zaoszczędził Burdenowi dalszych wyjaśnień.

- Specjalny Greyhound Sierra Sierra. Zakręćcie w prawo na jeden cztery zero i podchodźcie do lądowania na lotnisku Catania-Fontanarossa. Taormina-Pelorita-

na zamknięta dla lotów cywilnych od godziny czternastej.

- Roger, kontrola. Przewidujemy lądowanie w Taorminie o trzynastej pięćdziesiąt. Prosimy o zgodę na podchodzenie do lądowania. Jesteśmy lotem niehandlowym, z urzędowym personelem na pokładzie. Odbiór.

Kapitan mrugnął na swojego zastępcę.

- Pogoda jest świetna. Nie mogą nas zatrzymać, chyba że zaparkowali ciężarówki na pasie.

Po dłuższej przerwie słuchawki znowu się odezwały. Dobra woła NATO albo EWG zatriumfowały.

- Specjalny Greyhound. Można kontynuować podejście do Taorminy na jeden pięć zero.

Znajdowali się nad małymi, ukoronowanymi przez obłoki wysepkami wulkanicznymi, rozrzuconymi dokoła Stromboli. Nad Sycylią gromadziły się kumulusy, gęstniejąc przy północnych i zachodnich stokach Etny. Burden zapisał w notatniku: "Kilo-Lima jeden pięć zero. Punkt kontrolny dla synchronizacji z przyrządami wieży znajdował się na 11 500 stóp nad zewnętrznym markerem, czyli w rozsądnej odległości, 25 kilometrów od wulkanu i na wysokości 700 stóp od jego szczytu. Trasa podchodzenia do lądowania otaczała zewnętrzny marker we wschodnim kierunku w stronę morza i z powrotem dt> lądu łukiem 289 stopni. Po raz ostatni mijano się zewnętrzny marker w odległości 17 kilometrów od lotniska na wysokości 5 000 stóp. Końcowe podejście przebiegało wzdłuż długiej dzikiej i poprzecinanej licznymi kanionami doliny, a samo lotnisko leżało na płaskowzgórzu, na wysokości 700 metrów nad poziomem morza; zejście końcowe wynosiło około tysiąca metrów i było całkowicie bezpieczne. W ciągu całego podejścia utrzymywana była odległość 25 kilometrów od Etny, a wzgórze dokoła lotniska nie stanowiły większego niebezpieczeństwa niż drapacze chmur przy lądowaniu pod wielkim miastem.

|

Biorąc pod uwagę położenie lotniska, podejście było tu bezpieczniejsze niż na wielu lotniskach alpejskich albo chociażby w Neapolu czy Palermo, gdzie porywiste wiatry potrafiły sprawić lotnikowi nie byle jakie niespodzianki".

W odległości dziesięciu kilometrów widać było teraz doskonale szerokie i długie, wycięte z płaskowzgórza lotnisko. Odnosiło się wrażenie, że wszystkie wzniesienia i stoki górskie zostały spłaszczone; pas startowy miał chyba szerokość dwóch czy trzech autostrad, a długość około trzech kilometrów. Od obydwu końców pasa odchodziły węższe drogi w stronę budynku lotniska. Stał on jakieś osiemset metrów w lewo od pasa. Wszystko to stanowiło poważne osiągnięcie techniczne i musiało kosztować krocie.

111 zeszła w dół i niemal niedostrzegalnie dotknęła asfaltu. Wyglądała na tym olbrzymim lotnisku jak zabawka. Świetny przykład doskonałego włoskiego budownictwa drogowego - pomyślał Burden.

- Świetne lotnisko.

- Bez zarzutu gdy nie pada - roześmiał się kapitan. - Zapomniano po prostu o drenażu terenu. Kiedy pierwszy raz wylądowałem tutaj po deszczu, woda zerwała mi dwie klapy.

Samolot pokołował w stronę budynku, a Burden spojrzął przez boczne okienko, żeby przyjrzeć się wulkanowi. Z daleka góra wyglądała niemal niewinnie. Jej sylwetkę przecinał z jednej strony obłok, a z drugiej dym wydobywający się z krateru. Tylko ta, niemal pozioma smuga dymu dawała pojęcie o przeszło trzykilometrowej wysokości wulkanu, i o sile wiatru w pobliżu środkowego krateru. Burden zastanawiał się, na którym stoku leży rozbity samolot.

Maszyna zatrzymała się przy hali przyjazdowej jak samochód na parkingu.

Schodki przy tylnym wyjściu

opuściły się wraz z zatrzymaniem się samolotu, a kiedy Burden żegnał się z pilotami, zaczęli już procedurę przygotowawczą do startu w powrotną drogę.

Kapitan przeprosił go rozkładając ręce:

- Jeżeli oni rzeczywiście zamykają o czternastej lotnisko, to pozostało nam tylko sześć minut.

Burden natychmiast wyrzucił z pamięci obydwu lotników. Kowboje - pomyślał - choć podobał mu się ich sposób pilotażu. Metodyczny, beznamiętny, ale nie pozbawiony humoru. Na pewno byli z RAF-u.

Jeszcze na schodkach uderzyła Burdena fala upału. Trzydzieści cztery stopnie w cieniu po dwunastu w Ga- twick. Opalony kapitan lotnictwa włoskiego, w koszulce bez rękawów, czekał już przy helikopterze.

Przysiedli na metalowych ławkach i wystartowali w minutę po odlocie 111. Burden obserwował cień maszyny przelatujący jak mała chmurka z szybkością dwustu kilometrów na godzinę nad przylepioną do wzgórza wioską, zieloną doliną pełną pomarańczowych i cytrynowych drzew, przeskakujący przez poszarpane granie i wyschnięte koryta strumyków. Był po raz pierwszy na Sycylii. Przypominała mu biblijne widoki białych skał Krety albo Cypru. Krajobraz zmienił się dopiero, kiedy dotarli nad spadające w morze stoki wulkanu. Przeważała tu intensywna zieleń, a uprawne tarasy opadały dwu- dziesiętkilometrowym pasem winnic i cytrusów, zlewając się z kasztanowym lasem, graniczącym z rozszanymi na ' wybrzeżu wioskami. Na północ od wulkanu Burden rozpoznał według mapy uzdrowisko Taorminę. Na południu teren opadał do morza, a na wybrzeżu rozciągało się miasto Catania. Włoski oficer dotknął ramienia Burdena.

- Taormina - powiedział. Reszta zdania utonęła w huku silnika. Burden zrozumiał jednak z gestu Włocha, który przyłożył policzek do dłoni, że Taormina będzie ich bazą. Było to niestety dość daleko od terenu operacji.

Znajdowali się teraz pod wulkanem i lecieli równo, wzdłuż stoku, niby duży wagonik kolejki linowej.

- Lawa! - krzyknął z tylnej części kabiny Mac, gestykulując jak podniecony uczeń i pokazując palcem ciągnący się pod nimi widok. Przelatywali właśnie nad wielkim grzebieniem skamieniałej lawy, która zapewne wydobyła się z krateru podczas niedawnego wybuchu, zakrywając i niszcząc wszystko na swojej drodze. Pilot przekręcił maszynę, żeby pokazać swoim pasażerom miejsce, gdzie strumień lawy zmienił kierunek, otaczając, ale nie naruszając wysoko położonej górskiej wioski.

- La Madonna! - krzyknął i uśmiechnął się. Burden nie mógł się zorientować, czy kapitan chciał wyrazić podziw, czy potępienie. Ale ten zaraz dodał, że wiejski ksiądz wyszedł na spotkanie strumienia lawy z posągami Matki Boskiej i miejscowego świętego, wyniesionymi z kościoła. Lawa posłusznie zmieniła kierunek i zniszczyła tylko jeden dom.

Burden zapytał lotnika.

- Na jakiej wysokości wydarzyła się katastrofa?

Lotnik pokazał mu punkt na mapie.

- Tysiąc sześćset metrów, czyli około pięciu tysięcy stóp.

- O, tak... - kapitan opisał położenie wraku. Jego dziób był skierowany na południe i styczny do stoku góry. Odległość od lotniska wynosiła około trzydziestu kilometrów. Wskazywałoby to na duże zboczenie z kursu.

Dostrzegli w dole drogę, wijącą się przez las i połysku* jącą jak rzeka. Droga była całkowicie zatkana przez samochody - to ich dachy tak połyskiwały w słońcu. To stłoczenie samochodów w ustronnym miejscu było niespodzianką, ale Burden przypomniał sobie, z jakim trudem przeciskał się z grupą inspektorów przez tłum gapiów po katastrofie Tridenta w Staines. Teraz też widać było niebieskie sygnały świetlne wozów policyjnych i karettek Czerwonego Krzyża; które utkwily w masie samochodów ciekawskich turystów. Dokoła pojazdów roiło się od pieszych poszukiwaczy sensacji. Ale rozbity samolot znajdował się zbyt daleko od drogi, żeby można tam było dotrzeć na piechotę. Toteż kiedy helikopter skręcał do lądowania, znalazł się znowu-nad dzikim i pustym terenem.

Burden dostrzegł ślady katastrofy, zanim zaczęli schodzić w dół. Zobaczył pas świętego lasu i kadłub samolotu, który zachował swój zasadniczy kształt. Oznaczało to, że zderzenie miało miejsce przy niewielkiej szybkości. Na pokrytym lawą zboczu, powyżej wraku, rozciągnięto białe płachty, wyznaczając nimi stosunkowo płaski teren. Helikopter powoli opuścił się na to miejsce i stanął obok dwóch innych zaparkowanych tam maszyn.

Powitał ich spocony, zmęczony i zdenerwowany starszy magistra to w towarzystwie policjanta. Nie bardzo wiedział, jak potraktować przybyszów. Zdawał sobie wprawdzie sprawę ze znaczenia prowadzonego przez nich śledztwa, ale jednocześnie chciał zachować pierwszeństwo i podtrzymać wagę własnej misji. Zapowiedział gościom za pośrednictwem tłumacza, że nie wolno usuwać z miejsca wypadku żadnych dowodów i że badania patologiczne i identyfikacja zwłok muszą być przeprowadzane pod nadzorem policji. Ale uprawnień Maca nie zakwestionował. Włosi nie przysłali jeszcze patologa, a trzeba się było zająć zwłokami stu siedemdziesięciu osób.

Magistra to polecił następnie policjantowi, żeby patrzył na ręce Anglikom, z ulgą wsiadł do helikoptera i odleciał do miasta, do biura.

Burden ze swoją grupą zatrzymał się na grzbiecie wzgórza, wysoko nad rozbitym samolotem i sfilmował

widok. Samolot uderzył w grzebień lawy, wystający z zadrzewionego i zarośniętego gęstymi krzewami terenu. Jego kadłub złamał się i przednia część, zaczynając od nasady skrzydeł, skręciła nieco pod kątem zgodnym z kierunkiem grzebienia lawy, a tylna część rozpadła się na kilka kawałków. Lewe skrzydło złamało się na skutek zetknięcia z drzewami jeszcze przed głównym zderzeniem, a prawe leżało tuż przy kadłubie i było rozbite na cztery części. Z tego, że lewe skrzydło leżało niżej, można było wnioskować, że samolot w chwili katastrofy był przechylony w lewo. Wskazywał na to także kąt położenia kadłuba. Za kadłubem, na przestrzeni stu metrów, znajdowały się połamane części mciszyny i walizki pasażerów, wyrwane zapewne z dolnej części samolotu, kiedy ten po raz pierwszy zawadził o spiętrzoną lawę na chwilę przed ostatecznym upadkiem. Pożar zaczął się w tylnej części kabiny pasażerskiej, niszcząc całkowicie dach i ściany, a następnie przesunął się ku przodowi. Stracił chyba napięcie, bo w okolicy skrzydeł jego ślady były mało widoczne. Na podstawie ogona widniały zakopcone litery "T" i "N" - wszystko, co dało się odczytać z nazwy samolotu. I tylko karmazynowo-czarny pas linii Greyhound pozostał nie zatarty i ciągnął się od ogona po sterujący na wysokości dziesięciu metrów ster i stabilizator. Tam, gdzie ogień nie dotarł, kabina pasażerska była stosunkowo mało zniszczona, jeśli pominąć wygięcia i dziury w blasze. Ostry dziób samolotu został rozbity, a kabina pilota była już tylko kupą miazgi wbitą w grubą warstwę lawy. Tam - pomyślał Burden - znajduje się to, co pozostało po "Dixie" Duckhamie.

Citto i Sharlie obserwowali przybyszów spoza krzaków jałowca rosnącego w odległości dwudziestu metrów od rozbitego samolotu. Sharlie zmieniał błony w aparacie,

a Citto robił notatki, które miały mu posłużyć do opisu zdjęć przyjaciela.

"Widok jest różny od widoku katastrofy samochodowej - pisał. - Rozbity samochód ma w sobie coś nieprzyzwoitego. Stanowi drastyczne przypomnienie faktu, że każdego z nas może spotkać nagle śmierć czy kajactwo. Strzaskany samolot jest jakby rozbiciem mitu. Świadczy

o tym, jak zawodne są wspaniałe osiągnięcia techniki

1 przypomina tym wszystkim, którym to jest potrzebne że tylko ptaki są naprawdę upoważnione do latania". (

Obydwaj przyjaciele znajdowali się na miejscu wypadku już od trzech godzin. Przylecieli "na gapę" wojskowym helikopterem. Tolerowano ich obecność, bo trzymali się z dala od szczątków samolotu. Dziennikarze nie uzyskali jeszcze oficjalnego zezwolenia na obejrzenie miejsca katastrofy i wobec przybycia komisji śledczej nie było szans na takie zezwolenie przed następnym dniem. Dawało to Sharliemu osiemnaście godzin wyprzedzenia w stosunku do innych fotografów. Zrobił już dziewięćdziesiąt zdjęć ze wszystkich możliwych kątów, kiedy uprzejmy pilot wojskowy zawiadomił ich, że startuje za dziesięć minut.

Citto bacznie obserwował przybyszów. Po wyjściu z helikoptera i wydobyciu bagażu naciągnęli na ubrania kombinezony, nałożyli gumowe buty, a następnie zaczęli schodzić do wraka. Wyglądali nieco dziwnie, jak to Anglicy. Znajdowali się między nimi rozchełstany brodaty olbrzym i Hindus w turbanie, idący za nim niczym niewolnik. Jednakże szefem był najwyraźniej człowiek o starej, zniszczonej twarzy, wąskich wargach i bystrym spojrzeniu, który rozglądał się dokoła podejrzliwym wzrokiem, jak gdyby podejrzewał, że szczątki samolotu zostały już sprofanowane.

Policjanci, żołnierze, lotnicy i dwaj ukryci w krzakach dziennikarze obserwowali cudacznie wyglądających An

glików, otaczających teraz wrak. Wyglądali oni jak karykatury turystów fotografujących piękne widoki. Jeden rysował coś w szkicowniku niczym artysta przed ruinami świątyni.

Po chwili chmury opuściły się i słońce ukryło się za nimi.

10

Dzienniki południowy i wieczorny włoskiego radia i telewizji zafrapowane były głównie obecnością czwartych zwłok w kokpicie niefortunnego samolotu. Kombinowano, jak zwykle z zastrzeżeniami, że wypadek był skutkiem próby porwania samolotu. Podawano, że Scotland Yard i Interpol wysłały fachowców od zamachów terrorystycznych z Londynu i Monacium. Bez jakiegokolwiek zmowy urzędy w Rzymie i w Katanii uznały, że "terrorystyczna koncepcja" najbardziej zadowoli wszystkie zainteresowane strony. Zarówno obsługę lotniska, jak i jedno z większych towarzystw lotniczych.

- Jest to oczywisty błąd pilota - oświadczyła pewna osobistość nieoficjalnie przez telefon z pewnej ambasady. - Ale na pewno ustalicie, że ktoś przyłożył mu rewolwer do pleców.

Pierwsze poszlaki wskazywały, że trudno będzie całkowicie wyjaśnić "incydent". Jeżeli nie zastosuje się zewnętrznych nacisków, rozumowano, pozostanie on jedną z połowicznie wyjaśnionych katastrof powietrznych. Toteż lekkie naciski z różnych stron były nieuniknione.

Późnym popołudniem adwokat Consoli zatelefonował do pilota jednego z helikopterów.

R ' T ' Y «

- Czy znaleziono pomarańcze? - zapytał.

- Obie zostały znalezione i zlikwidowane - brzmiała odpowiedź. - Zrzucano je z dużej wysokości w gęste zarośla.

Consoli podziękował pilotowi i zapewnił go, że jego pełna poświęceń praca zostanie odpowiednio oceniona. Wyraził też nadzieję, że pilot wybrał zarośla położone z dala od głównej drogi i ścieżek dla turystów.

Czarna cysterna zaparkowana na przedmieściu miasteczka w dolinie poniżej lotniska stała się pierwszą poszlaką w tej sprawie.

Citto spieszył wraz z Sharliem i jego filmami do ciemni w Katanii, kiedy dostrzegł cysternę i zatrzymał się, żeby ją dokładniej obejrzeć. Stała na szerokim, brudnym chodniku. Citto obszedł ją dokoła i powąchał zwinięty białe jak szlauch benzynowy. Szlauch śmierdzał festro benzyną, ale nie naftą używaną przez odrzutowce.

- Chcesz, żebym to sfotografował? - zapytał Sharlie przyjaciela.

■ - Tak, i to razem z numerem rejestracyjnym.

- Myślisz, że naruszyfa jakieś przepisy?

- Była dziś rano na lotnisku.

- Co z tego?

Citto uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nigdy nie potrafię oprzeć się pokusie zbierania niepotrzebnych informacji.

Podniósł z rynsztoka kawał papieru i wytarł smary i brud z drzwiczek. Odczytał nazwisko właściciela cysterny: "ETNOLIO, dostawca paliwa". Niżej widniał adres jednej z większych wiosek na stokach wulkanu.

Byłoby przesadą twierdzić, że już teraz Citto miał jakąś teorię. Ale dręczyły go dwa drobne fakty: poranna dostawa benzyny z tej cysterny na lotnisko i zegary na gmachu zatrzymane na godzinie piątej czterdzieści.

< O ' P t ' }

Twierdzono przecież, że "Tango November" uległo katastrofie pomiędzy godziną piątą trzydzieści pięć i piątą pięćdziesiąt.

Ludzie z Waszyngtonu przelecieli przez Atlantyk szybko, ale niewygodnie. Musieli siedzieć na twardych ławkach obserwatorów bombowca i nałożyć maski tlenowe. Mimo że byli oficjalną delegacją, nie dopuszczono żadnego z nich do kabiny pilotów. Lot do Taorminy trwał pięć godzin. Zarówno bombowiec, jak i jego wyposażenie były jeszcze tajne. Jedyną koncesją, i to tylko ze względu na ich zadanie, było zezwolenie na wyglądanie przez boczne okienko w czasie podejścia do lądowania i przysłuchiwanie się puszczonej przez głośnik procedury porozumiewania się z wieżą. Poza tym pułkownik był uprzedząco grzeczny. Larry'emu Raily wydawało się, że człowiek ten ma znacznie wyższą rangę niż przystało na dowódcę bombowca lecącego w zwyczajnej misji transportowej i należało przypuszczać, że miał ważniejsze zadania niż pilotowanie. I rzeczywiście, spędził dłuższy czas z Lanym w kabinie radarowej i tłumaczył mu dość zawile liczne zalety samolotu typu 119 - "najlepszego średniodystansowego transportowca w historii lotnictwa, standardowego samolotu o licznych zadaniach na lata osiemdziesiąte".

- Niech pan będzie spokojny o włoskich urzędników - powiedział w pewnym momencie pułkownik ze znaczącym mrugnięciem oka, nie zrażony obojętną miną Larry'ego - są zainteresowani przedłużeniem naszej licencji na budowę wojskowych helikopterów. Na pewno nie będą się z nami bawić w kotka i myszkę.

Pułkownik niepotrzebnie tracił czas. Raily nie miał B ambicji politycznych i był zły, że przez wykład pułkownika nie będzie mógł się przespać.

Dwaj inni członkowie jego zespołu spali z głowami opartymi o stół na mapy. Ale wszyscy byli równie zmęczeni i zamroczeni, kiedy w słoneczne popołudnie schodzili, potykając się, po schodkach bombowca na płytę lotniska Taormina-Peloritana. Chmury z wolna pełzały po stokach góry i wszystkie helikoptery, prócz jednego, zostały wycofane. Poza policjantami i ratownikami włoskiego wojska tylko ludzie Burdena pozostali na miejscu. Fotografowali "Tango November" ze wszystkich stron i robili notatki. Burden, w masce na twarzy, znajdował się w części ogonowej kadłuba i instruował policjantów, jak znaczyć zwęglone trupy, markować pozycję każdego z nich na rysunku i w jaki sposób wkładać ludzkie szczątki do plastikowych worków. Pherson, przy pomocy milczącego, ale sprawnego San-ju, robił to samo w przedniej części kabiny. Uwijali się jak mogli najszybciej w tym wnętrzu pełnym ludzkich szczątków, numerowali każdy fragment wraka, każde zwłoki i każdy kawałek ubrania i markowali je na rysunku. Chcieli jak najszybciej dostać się do kokpitu i wydobyć stamtąd ciała lotników. Zawiadomiono ich, że miejscowy lekarz, który kierował poranną akcją ratowniczą, przygotował w pobliskim miasteczku pomieszczenia dla dokonywania sekcji i przechowania zwłok. Mac chciał rozpocząć sekcję zwłok członków załogi jeszcze tej nocy, zanim nastąpi ich rozkład. Dopiero po dwugodzinnej pracy krzyknął do Burdena: - Zdaje się, stary, że znalazłem twojego kolegę Skierował pełną na kolanach Ralpa w stronę ciasnego przesmyku pomiędzy szczątkami foteli do miejsca, które było niegdyś kokpitem. Okna były całkowicie

zatarasowane. Mac oświetlił lampą wnętrze kabiny. Burden zobaczył plecy odbydwóch pilotów. Mieli zapięte pasy i wciśnięci w fotele wyglądali jak marionetki, którym ktoś skręcił karki. Kabina była wgnieciona z trzech stron, a ciała pilotów zmiażdżone przez tablicę z przyrządami.

- Nie patrz na niego. Niewiele zostało z jego twarzy - szepnął Mac.

Podał paszport Duckhama Burdenowi, który natychmiast rozpoznał go z fotografii. Patrzył na kark Duckhama. Włosy miał wciąż gęste, ale już lekko siwiejące, dość długie i niedbale zawinięte za uszy. Burden cofnął się odruchowo.

- Wydaje mi się, że on zdawał sobie sprawę z tego, że traci gwałtownie wysokość. Pozycja rąk i nóg odpowiada manewrowi lądowania. W ostatniej chwili sięgał ku dźwigni gaśnicy.

Burden przytaknął po raz drugi. Myślał o młodym, zaledwie dwudziestoletnim pilocie. Wychodzili razem z wieczornej odprawy, szli do swoich samolotów, każdy ze swoim nawigatorem. Słyszał głos Duckhama, który wołał do niego w ciemnościach:

- Wszyscy jesteście śmiertelni i umiera się tylko raz! Dobrej zabawy, przyjaciele!'

Gdzieś nad ich głowami rozległ się w chmurach huk . zniżającego się z wolna helikoptera typu Vertol. Przywoził Amerykanów. Burden wyczołgał się z wraka i poszedł w górę po stoku; żeby ich powitać. W myślach zestawiał wciąż obraz dwudziestoletniego pilota myśliwskiego z siwiejącą głową zwłok w rozbitym wnętrzu "Tanga Noyember". Ocknął się dopiero, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Na grzebieniu lawy, tuż nad nim, stał Larry Raille z podniesioną na powitanie ręką.

Burden nigdy jeszcze nie pracował z Raillem, ale spotkał go kilka razy na konferencjach ICAO w Montrea

lu. Mówiono na niego "krzyżówka" albo "łamigłówka", bo lubił zestawiać elementy śledztwa i rekonstruować wydarzenia.

- Widzę, że nie zdarzył się żaden cud - odezwał się Raille.

- Nie. Okropna miazga - odpowiedział Burden.

- Żadnych poszlak?

- Nie ma nawet "czarnych skrzynek".

- Rozbiły się?

- Jeżeli są pod ogonem, to są zmiżdżone. A jeżeli ich tam nie ma, to znaczy, że zostały sprzątnięte przez tutejszego szeryfa.

- Czy są jacyś Włosi z Ministerstwa Lotnictwa?

- Jeszcze nie potrafili zorganizować grupy. Przysłali tylko kilku techników.

Obawiam się, że za sprawę wzięły się miejscowe organa śledcze.

Schodzili powoli po zboczku ku szczątkom samolotu. Raille jedną ręką kreślił łuk trajektorii schodzącego do lądowania samolotu.

- Mała szybkość, wszystko przygotowane do lądowania. Czy było jeszcze ciemno?

Burden roześmiał się bez wesołości.

- Nie uwierzy pan, ale nikt nie potrafi nam powiedzieć, jaka była widoczność. Nie było ciemno, ale mogła być pokrywa chmur.

Członkowie trzech zespołów zebrali się dokoła zmię- donego kokpitu. Mac, który wyłonił się z głębi wraka, przewyższał wszystkich o głowę. Burden i Raille uzgodnili i rozdzielili zadania. Włosi zajmą się badaniem pogody, obsługą ruchu na lotnisku i oceną ewakuacji samolotu i akcji ratowniczej. Świadkowie będą przesłuchiwani przez grupę mieszaną. Raille będzie kierował zbadaniem samego miejsca wypadku. Przegląd silników, kadłuba i przesłuchanie historii przeglądów technicznych samolotu zostały przydzielone grupie techników

przysłanych przez zakłady produkujące odpowiednie części. Miały one przybyć nazajutrz i pracować pod ogólnym nadzorem Raillego. Mac zajął się sprawami dotyczącymi spraw ludzkich i medycznych. Burden stanął na czele grupy operacyjnej badającej historię niefortunnego lotu i załogi. Raz jeszcze Burden zastanowił się, czy nie powinien wyłączyć się z tego właśnie aspektu sprawy. Wspomnienia o "Dixie" Duckhamie nie opuszczały go przez cały dzień.

Raille zapytał Maca o stan zwłok załogi i tajemniczego porywacza.

- Dajcie nam jeszcze godzinę. Myślę, że przed wieczorem-wydobędziemy ich stamtąd.

- Może potrzebujecie pomocy?

Mac potrzęsnał głową.

- Tam jest tylko miejsce dla nas dwóch.

Odwrócił się i powrócił do Sanju, pracującego w zgniecionym kokpicie.

Pozostali podzielili się na grupki dwu i trzyosobowe. Tak mieli pracować przez następne dni. Dwaj kierownicy akcji udali się na inspekcję pozostałej po katastrofie wyrwy między drzewami i krzewami. Raille raz po raz pstrykał aparatem.

Wyrwa w zagajniku skręcała w prawo w stosunku do ogona samolotu.

Burden zakreślił ten kąt szerokim ruchem ramienia.

- Lewe skrzydło jest opuszczone. Linia zniszczeń po zewnętrznej stronie łuku jest bardzo regularna. To musiał być piekielnie szybki zwrot.

- Żeby oddalić się od wzgórza.

- Jesteśmy na wysokości tysiąca siedmuset metrów, czyli na kontrolnej wysokości zewnętrznego markera. Samolot mógł znajdować się na właściwej wysokości i lecieć w prawidłowym kierunku, ale niestety około dwudziestu pięciu kilometrów na południe. Kiedy wynu

rzył się z chmur, pilot dostrzegł błąd, próbował zakręcić,, I ale nie był w stanie tego zrobić.

- Wszystko jest możliwe.

- Obawiam się, że nie znajdziemy skrzynek z zapisem, j

1 Czy doprawdy myśli pan, że magistrato je ukradł?

- Zjawiliśmy się tutaj dopiero po godzinie czternastej. Włosi mieli dość czasu, żeby je znaleźć.

- Ale dlaczego mieliby je ukraść?

- Żeby podkreślić swoją ważność.

Doszli do końca wyrwy w terenie, po czym odwrócili się i spojrzeli na rozbitą maszynę.

- Nieszczęsna ofiara losu - mruknął Raille. – Wiedział, co się dzieje, skoro spróbował takiego desperackiego manewru.

“Dixie” Duckham - myślał Burden – jak to on, niej chciał dać za wygraną. Myślał, że jak zawsze, uda mu się wybić do góry.

•cA

12

Starzejący się magistrato wrócił spocony z miejsca katastrofy do biura i zabrał się do czytania instrukcji i starych raportów. Ale nie udało mu się znaleźć wielu prededensów, a w sobotnie popołudnie nie było w urzędzie nikogo, z kim mógłby się podzielić swoimi wątpliwościami.

Najwięcej pomógłby mu urzędnik pracujący w sąsiednim pokoju. Był to młody człowiek; który odbył służbę wojskową w lotnictwie. Pochodził z Turynu, był pewny siebie i energiczny. Toteż po dwóch godzinach wertowania książek i papierów, które zawałały mu biurko, starszy magistrato zatelefonował do kolegi do mieszkania i zaproponował mu udział w śledztwie.

- Pańskie doświadczenie techniczne może być bardzyc pożyteczne.

Młody człowiek zgodził się. Do cech jego charakteru nie należała fałszywa skromność.

Na lotnisku Katania-Fontanarossa z przybyciem każdego samolotu rosła ilość przedstawicieli prasy całego świata. Zebrani w barze, głośno wyrażali swoje niezadowolone. Na lotnisku panował chaos, bo przerzucono tu wiele lotów z zamkniętego lotniska Taormina-Peloritana. Władze zorganizowały biuro prasowe, które podawało od czasu do czasu skąpe wiadomości. Obiecano dziennikarzom dostęp do miejsca katastrofy nazajutrz rano, nie pozostawało więc nic innego, jak czekać. Kilku nie-

cierpliwych, którzy wybrali się na górę pieszo na przełaj albo samochodami, wkrótce powróciło. Użycie prywatnych samolotów czy helikopterów zostało zakazane aż do odwołania nie było więc żadnego sposobu dostania się do "Tanga November", chyba tylko skok na spadochronie.

Pozwolono dziennikarzom na wywiady z ludźmi, zajmującymi się akcją ratunkową, a późnym popołudniem zjawił się urzędnik, który w momencie katastrofy dyżurował w wieży kontrolnej i odczytał oświadczenie.

Zapewniał w nim, że podejście do lądowania było całkowicie normalne i prawidłowe, aż do chwili tuż przed zetknięciem się z ziemią, kiedy to z niewiadomych przyczyn samolot poderwał się znowu do góry. Od tego momentu stracono wszelki kontakt z pilotem. Samolot nie dał ani sygnału alarmowego, ani umownego sygnału oznaczającego porwanie. Widoczność w tym czasie była słaba, ale w granicach bezpieczeństwa. Pułap chmur wynosił trzysta trzydzieści metrów, a widoczność na pasie startowym, około dziewięćset metrów.

Oświadczenie to nie zgadzało się z informacjami, które ten sam urzędnik podał w czasie obiadu adwokatowi Consoli i jego politykom. Nie był to również kompletny

a opis wypadków tego poranka. Ale dziennikarze nie mieli możliwości uzyskania dokładniejszych informacji. Oficer lotnictwa wytłumaczył im, że kontroler lotów podlega niestety dyscyplinie wojskowej i nie może odpowiadać na żadne pytania.

"Światła" zostały zgaszone, kamery unieruchomione, a dziennikarze powrócili do baru, przeklinając pod nosem podstępnych makaroniarzy.

Zdjęcia Sharliego udały się. Skorzystał z ciemni miejscowej gazety, dając jej w zamian - za radą Citta - pierwszeństwo wyboru swoich fotografii. Trzydzieści najlepszych zdjęć przekazano następnie telegraficznie do Rzymu, gdzie agencja zajęła się sprzedawaniem ich prasie całego świata. W rozmowie telefonicznej urzędnik agencji był zaskakująco chłodny. Sharlit dotychczas nie przyczynił się do większych zysków.

- Na pewno znajdą się lepsze zdjęcia - powiedział. Sharlie próbował bagatelizować tę sprawę.

- To świństwo - powiedział już w samochodzie - myślałem, że będę miał z tego przynajmniej parę nowych dzinsów! - Przekręcił lusterko przy drzwiach samochodu Citta i przyjrzał się sobie. - Moja rodzina zdziwi się, kiedy pokażę się im ubrany jak włóczęga. Pisałem, że mi się dobrze powodzi!

Citto poprawił kąt nachylenia lusterka.

- Jestem przekonany, że nie przejmą się specjalnie twoim ubiorem!

Matki Sharliego nie było jednak w dwupokojowym mieszkanku położonym niedaleko portu, a chłopak nie miał klucza. Toteż Citto zabrał go do babki mieszkającej w rybackiej wiosce.

- Po co mnie aż tutaj zawiozłeś?

- A co byś zrobił? Przespałbyś się na ulicy?

- Matka zjawiłaby się po pewnym czasie.

- Może wyjechała na weekend? ,

- Dokąd? • '

- Skąd mogę wiedzieć? Jest teraz winobranie. Może wynajęła się do zbioru winogron?

W milczeniu minęły skały Cyklopów sterczące samotnie z morza, po którym płynęły kolorowe żagłówki.

Zarówno Polifem jak Odyseusz - myślał Citto - gdyby się tutaj znaleźli, woleliby oślepnąć, niż patrzeć na tę dwudziestowieczną .ohydną riwierę, ciągnącą się niewdzięcznie wzdłuż morza.

- Przynależem jej, że będę przysyłał pieniądze I mówił Sharlie, wciąż myślami przy matce, i Ale nigdy nie miałem ich dość IPaparazzo - roześmiał się. - To sami Rzymianie. Istna mafia! Nie ma wśród nich miejsca dla przybyszów z prowincji. A matka myślała, że zrobię fortunę!

Matka Sharliego była ciężko pracującą kobietą. Silna, niewielkiego wzrostu, harowała przez całe życie w fabryczce położonej niedaleko lotniska.

Czy jest wdową? - zastanawiał się Citto. "Mój ojciec był marynarzem" - powiedział mu kiedyś Sharlie.

Babka, mieszkająca w rybackiej wiosce, była matką jego ojca i nazywała się Nonna Lisa. Mieszkała w starym domku; zbudowanym na czarnych skałach lawy, kilkanaście kroków od morza. Otoczone pergolą podwórko, jedno pomieszczenie do gotowania i jedzenia, dwa do spania. Myto się za przepierzeniem na podwórku. Mąż Nonny Lisy był rybakim i przez pięćdziesiąt lat te kilka kwadratowych metrów mieszkania stanowiło cały jej świat. Ojciec Sharliego był ich jedynym synem, a liczne córki powychodziły za mąż do wiosek rybackich rozrzuconych wzdłuż wybrzeża. Dzieci jednej z nich - para nastolatków i dwójka młodszych - znajdowały się teraz u babki i powitały Sharliego śmiechem i krzykami radoś-

ci. Citto pozostał w samochodzie i przyglądał się powita. ^H niom z uśmiechem.

Chłopak niesłusznie wstydził się swojego ubioru. Wszyscy byli zbyt zaskoczeni jego nagłym przybyciem żeby zastanawiać się nad tym, co miał na sobie. Aję Sharlie był wciąż niespokojny. Kiedy dzieci zaczęły oglą. dać motocykl kuzyna, Citto dostrzegł w oczach Sharliego błysk zazdrości. Był to najszybszy motocykl na rynku ~ dęsmo ducati, 900 cc z opuszczaną kierownicą i wspania, łymi czarno-czerwonymi pasmami na zbiorniku benzyny. Nawet Citto, który dosyć dawno uznał, że nie nadaje się już do prowadzenia motocykla, poczuł w sercu ukłucie zazdrości. - Też lubisz motocykle?

Citto odwrócił się. Młoda kuzynka Sharliego tak go zaskoczyła tym pytaniem, że nawet jej nie odpowiedział. Dziewczyna patrzyła na maszynę z niechęcią. - To bzdura tak wyrzucać pieniądze. Dziewczyna była szczupła i miała poważną' twarz, ' jakby z portretu El Greca. Citto przyglądał się jej ze ' zdziwieniem. Był tu przed kilku laty, ale wtedy widział tylko baraszkujące dzieciaki. Uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś Citto.-

- Czy ja ciebie znam? - jąkał się w odpowiedzi.

- Nazywam się Laura. Pamiętam, jak przychodziłeś tu ze Sharliem. Byłeś z nim na górze, kiedy robił zdjęcia?

Sharlie przerwał im, zadowolony, że może zapomnieć • na chwilę o motocyklu.

- Byliśmy tam razem. Pracuję teraz dla wielkiego tygodnika - powiedział nonszalancko. - Przystali mnie tutaj, żebym zajął się katastrofą. Wyjeżdżałem nagle, widęc nie przywoziłem żadnych prezentów. Po co ten pajac kłamie? Przecież to bez sensu! Dziewczyna spojrzała na Citta.

Widziałeś samolot?

- Tak.

- To musiało być straszne!

- To bardzo przykry widok. To bardzo nieprzyjemne patrzeć na taki piękny rozbity samolot... - Citto wciąż jąkał się jak głupi.

- A ludzie?

- Ludzi nie widziałem. - Citto nie mógł oderwać oczu od dziewczyny o poważnym spojrzeniu.
- Odwróciła się w stronę Sharliego.
- Tam był też Turi.
- | Kto to jest Turi? - zapytał Citto.
- Lekarz z naszej wioski w górach. Poproszono go o pomoc w akcji ratunkowej.
- Jakie jest jego pełne imię i nazwisko?
- Turi Pennisi.
- A wasza wioska jak się nazywa?
- Lepiej do niego nie chodź i nie zadawaj mu żadnych pytań. Bardzo tego nie lubi.
- To jest ta sama wioska, z której przyjechała ta brudna cysterna - wtrącił się Sharlie.
- Nie zechce z tobą rozmawiać - mówiła dziewczyna.
- Bardzo nie lubi dziennikarzy.
- Mało kto ich lubi - uśmiechnął się Citto i oddalił się.
- Pójdziemy do baru w porcie - zaproponował Sharlie
- postawię ci whisky przed odjazdem. Chodźcie, dzieci - zawołał - kupię wam lodów!
- Pociągnął Citta na drogę, zanim towarzystwo się teebrało.
- Na litość boską - szepnął - pożycz mi trochę pieniędzy! Oddam ci, jak mi zapłacą za zdjęcia.
- Dureń! Kazał sobie teraz finansować te swoje głupie kłamstwa. Nie chciał stracić "la belle figura". Citto wyciągnął z kieszeni trzy dziesiątki.
- Powiedz im prawdę, idioto! W końcu to znacznie prostsze.

Poszli wszyscy razem na mały plac przy porcie^ Dzieciaki zaczęły bawić się w chowanego między brudnymi blokami cementu, tworzącymi obramowanie portowego mola, a ich okrzyki ginęły w ogólnym hałasie. Trzykołowa ciężarówka vespa, naładowana materacami stała pod kawiarnią, a jej kierowca popijał kawę p₀ trudach sprzedawania towaru w okolicznych wioskach, Z radia ciężarówki rozlegały się na cały regulator taneczne melodie. Kierowca uważał zapewne, że bawi w ten sposób bywalców portu i nikt nie miał mu tego za złe. Citto zastanawiał się, czy ludzie w ogóle zwracają uwagę na taki hałas. Dostrzegamy na ogół bardzo niewiele - myślał. - Żyjemy w hałasie, patrzymy na ohydne przybrzeżne wille, przechodzimy obok stosów śmieci na plaży, zupełnie jak gdyby jeszcze nie wynaleziono śmietników. Nawet stara Nonna Lisa rzuca śmieci do szczelin w skałach i twierdzi, że zimą wysoka fala i tak je wypłucze. Co się z ludźmi dzieje? - myślał Citto. - Jesteśmy zmęczeni, leniwi, nieokrzescani...

Do portu weszły dwa trawlerzy, zgasiły silniki i stanęły. Zmęczonym rybakom przybiegły na pomoc ich rodziny, żeby wyciągnąć łodzie na gruby, czarny piasek wybrzeża. Rybacy wynieśli kosze z rybami na drogę i pozostawiając je tam wrócili do łodzi, żeby uporządkować liny i sieci. Starsi członkowie rodzin, którzy już nie wypływali w morze, zajęli się rybami i wdali w przetargi z czekającymi w furgonetkach kupcami. Były tam sardynki, bonity, sarago i grube węgorze. Jedna z łodzi złowiła wielkiego kłkacza. Ryba była stalowobłękitna i miała różowe mięso, równie smaczne i delikatne jak mięso łososia. Była za cenna, żeby sprzedawać ją straga- niarom. Toteż stary rybak położył ją na deskę, polewał wodą morską i głośno zachwalał jej zalety i niską cenę. Starał się przy tym przekrzyczeć dźwięki dżezu dobiegające z ciężarówki. Nie miał nadziei, że zachęci do kupna mieszkańców wioski, bo cena ryby była dla nich zbyt wysoka. Polował raczej na ludzi z miasta, przyjeżdżających tu w sobotę samochodami. Lubili sobie posiedzieć w portowym barze i jeść domowego wyrobu lody.

Citto i Sharlie wypili whisky. Citto przyglądał się staremu rybakowi, a Sharlie obserwował przyjaciela. - Ty myślisz, że coś się za tym kryje, prawda?

Citto nie odpowiedział i wciąż przysłuchiwał się starcowi usiłującemu sprzedać rybę.

- Chodzi mi o samolot. Myślisz, że tam się coś niedobrego stało i że ktoś usiłuje zatrześć ślady?

Ryba została sprzedana za dwadzieścia pięć tysięcy lirów i Citto odwrócił się z uśmiechem w stronę Sharliego.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem.

Sprzedawca materaców odjechał swoją hałaśliwą ve- spą w stronę porośniętej cytrusami doliny, wycie muzyki tanecznej oddalało się powoli, zapadał wieczór. W powietrzu unosił się zapach cytrynowych drzew.

- Są sprawy, których lepiej nie ruszać - powiedział Sharlie - zwłaszcza w tutejszych stronach.

13

Tymczasem na górze chmury zgęstniały, zrobiło się ciemno i wszyscy członkowie ekspedycji śledczej wsiedli do helikoptera. Na razie dokonano tylko ogólnych oględzin, zrobiono zdjęcia, rysunki i wyciągnięto pierwsze wnioski. Jedynym osiągnięciem było to, że Raille znalazł w popiele i płątaninie żelastwa silnik numer dwa. Stwierdził, że łopatki turbiny są nienaruszone, co wskazywało, że w chwili zderzenia silnik był wyłączony. Było jednak za późno na dalsze prace. Samolot pozostał pod strażą niewielkiego oddziału karabinie-

a

rów. Czterdzieści ciał załadowano do dwóch helikopte.

^HH rów typu Vertol. W jednym zajęła też miejsce komisja Wśród zabitych byli trzej członkowie załogi, domniemany porywacz, dwadzieścia zwęglonych zwłok z sektora ogonowego i szesnaście z frontowej części kabiny. Piętnaście ciał ewakuowano już poprzednio. W samolocie pozostała ich jeszcze blisko setka. Ciała znajdowały się w różnych stadiach rozkładu. Nieco wcześniej miejscowy ksiądz udzielił im wszystkim zbiorowego błogosławieństwa.

Helikoptery wylądowały po dziesięciu zaledwie minutach lotu, po kolei, na szerokim placu najwyżej położonego górskiego miasteczka. Hałas silników ściągnął natychmiast tłum starych i młodych mieszkańców, którzy wybiegli z domów otaczających plac, ze stromych uliczek i z baru. Położony na skraju wioski plac kończył się stromym urwiskiem i piękną tarasową promenadą, porośniętą palmami i oleandrami. Motory helikopterów zwolniły obroty i Pherson zarządził wylądowanie plastikowych worków z ciałami. Potem helikoptery znowu wystartowały. Mac i Sanju zostali między rzędami ciał, a z kościoła przybiegł ksiądz, żeby skłonić mieszkańców wioski do rozejścia się.

Po odlocie helikopterów zapanowała nagła cisza, a zgromadzeni ludzie z podziwem przyglądali się brodatemu olbrzymowi, który tak nagle spadł z nieba wraz ze swoim dziwnym ładunkiem i towarzyszem w turbanie. Ludzie stali dokoła placu w milczeniu, jakby chcieli udowodnić przybyszom, że są przyzwyczajeni do niezwykłych odwiedzin. Głośno było jedynie w pobliżu baru, bo jeden z wielkich vertoli lądując zerwał kilka drutów telefonicznych i karabinierzy próbowali ustalić, czyje telefony zostały uszkodzone.

Mac przysiadł na skrzynce z instrumentami, zastanawiając się, który z tych gapiów wie, na co właściwie czeka. Podniósł do góry dwa palce i wrzasnął przez cały plac w stronę baru: ■ - Deuxbieres!

Nikt się nie ruszył.

| Biere! - wrzasnął po raz drugi i podniósł rękę do ust, udając, że pije. Ta kolonialna sztuczka nie przełamała lodów. Widziano tu już różnych przybyszów, zaczynając od Odyseusza, poprzez Greków, Włochów, Hiszpanów, Niemców, Francuzów i wielu rozwrzeszczanych Maców czy Jacków w czasie powojennej okupacji. Sanjuposzedł spokojnie do baru i załatwił sprawę piwa jednofuntowym banknotem.

Na jednej z uliczek prowadzących na plac zjawily się dwie ciężarówky. Trąbiły uporczywie, aby przedostać się przez tłum.

Mały, przygarbiony stary człowieczek wysiadł z pierwszej ciężarówky i posłał kierowcę na środek placu. Mac wstał, żeby go powitać.

- Doktor Turi Pennisi - przedstawił się przybysz, witając się z Macem. - Pan chce robić sekcję zwłok? - zapytał patrząc z dołu na olbrzyma i wskazując ręką plastikowe worki.

Mac skinął głową, dziękując w duchu Bogu, że lekarz mówi po angielsku.

- Dziś wieczorem?

- Tak. Zależy mi głównie na zrobieniu czterech sekcji.

- Jutro znajdziemy lepsze miejsce do pracy, a dzisiaj możemy pójść do mojej przychodni.

Tylne klapy obydwu ciężarówek zostały otwarte. Ciężarówky służyły normalnie do przewozu mięsa, byty klimatyzowane. Stary doktor umiał improwizować.

- Reprezentuję magistrato..Czy ma pan jakieś dokumenty upoważniające do sekcji tych zwłok?

Mac podał mu papiery, które otrzymał na górze od policjantów. Mały doktor policzył leżące na ziemi ciała.

\
Ich ilość zgadzała się z cyfrą podaną w spisie. Następnie wszyscy trzej załadowali worki do ciężarówek, a sami wsiedli do dyżurek przy kierowcach. Mieszkańcy wioski patrzyli za nimi, jak pojechali wąską uliczką ku głównej drodze, łączącej podgórskie miasteczko ze światem zewnętrznym.

Dom Turiego stał na stromej uliczce w środku dużej wioski, której mieszkańcy - jak się wydawało - zajmowali się głównie ściganiem się na hałaśliwych motocyklach i w małych fiatach. W takiej miejscowości nic nie da się ukryć. Doktor spróbował mimo to zamaskować plastikowe worki nakrywając je kocami, zanim zaczęto przenosić je do jego domu. Gabinet Turiego znajdował się od frontu. Przez zasłonięte okna można było zobaczyć, jak ludzie zaczęli wychodzić z baru i przyglądać się podejrzanyim ciężarówkom.

Ciała czterech ofiar z kabiny pilotów położono na kaflowej podłodze i Mac przystąpił do ich wstępnego badania. Dwa pierwsze ciała były stosunkowo mało uszkodzone, tylko twarze i czaszki zostały wgniecione. Widocznie pasy dobrze zabezpieczyły korpusy pilotów, natomiast górna. tablica z przyrządami została wypchnięta i zvaliła się na ich głowy. Jeden z nich w chwili uderzenia instynktownie zasłonił twarz ręką. Starszy znajdował się w normalnej, siedzącej pozycji i miał silnie uszkodzone ręce, ramiona i nogi. Mac zrobił szkic sytuacyjny kabiny, żeby ułatwić technikom zbadanie, którymi przyrządami kapitan operował, skoro odniósł takie, a nie inne rany. Lewą ręką trzymał wolant, prawą chwycił dźwignię przeciwpożarową. Tak przypuszczał Mac. Pa-* szpory w kieszeniach marynarek potwierdzały tożsamość ofiar i Mac wpisał do protokołu sekcji, że dwoje zwłok zostało bezsprzecznie zidentyfikowanych: kapitan Michael Duckham i pierwszy, oficer, lotnik Peter Nyren.

W kieszeniach nie znaleziono niczego, co by wskazywało na to, że któryś z nich używał narkotyków czy cierpiał na jakąś chorobą. Duckham miał w kieszeni pudełko

z aspiryną, którą należało poddać analizie, ale pigułki były w fabrycznym opakowaniu z folii i Mac nic

wątpił, że są prawdziwe. Spojrzał na fotografię wyjętą z portfela kapitana: zobaczył ładną, typowo angielską twarz na tle sympatycznego angielskiego ogrodu. Domyślił się, że jest to fotografia pani Duckham. Trzymała w ramionach dziecko.

Sanju pomagał przy rozbieraniu zwłok. Ułożono je na razie na stole. Trzeba je było przygotować do zrobienia sekcji.

Ciała mechanika pokładowego i czwartej, tajemniczej ofiary, która okazała się kobietą, były w znacznie gorszym stanie niż ciała lotników. Mechanik został chyba wyrwany ze swojego obrotowego fotela i poniósł liczne obrażenia głowy oraz kończyn. Jeżeli nie te rany spowodowały śmierć, to miał prócz tego złamany kręgosłup. Siła uderzenia wbiła go w znajdujący się przed nim fotel kapitana.

Czwarte, tajemnicze zwłoki z kabiny pilotów były w kiepskim stanie. Zmiażdżone czoło, prawe ramię urwane, a lewe przedramię wbite w szczękę, zapewne dlatego, że kobieta próbowała osłonić sobie twarz. Obydwa kolana miała zmiażdżone, a brzuch rozszarpany. Mac nie mógł się zorientować, skąd pochodzą te obrażenia. Można było założyć, że ofiara została wrzucona przy zderzeniu z kabiny pasażerskiej do kokpitu. Trzeba będzie odszukać urwane ramię i w zależności od tego, i w jakim miejscu zostanie znalezione, można będzie potwierdzić albo odrzucić teorię próby porwania samolotu. I

Dokumenty mechanika pokładowego zgadzały się z danymi podanymi w liście załogi. George Raven, lat trzydzieści siedem, nieżonaty. Najbliższym jego krewnym był brat w Australii. Tajemnicza kobieta nie miała na sobie żadnego wierzchniego odzienia ani torby, a więc żadnych dokumentów, które ułatwiłyby identyfikację. Była ciemnoskóra, a to, co pozostało z twarzy, wskazywało na pochodzenie arabskie lub śródziemnomorskie. Nie będzie łatwo ustalić jej tożsamość - myślał Mac - a przecież nie można wykluczyć, że ta młoda kobieta chciała z niewiadomych powodów zakłócić normalną pracę pilotów. Mac zapisał w swoim notatniku: "czy mechanik usiłował zatrzymać intruza?"

Turi przyglądał się wielkiemu brodatemu Anglikowi, prowadzącemu beznamiętnie swoje badania i przypomniał sobie straszny widok rozbitego samolotu pełnego zakrwawionych ludzi, z których część jeszcze żyła. Turi widział wiele wypadków drogowych, których liczba w ostatnich latach wciąż rosła, ale nigdy jeszcze nie zetknął się z tak straszliwymi obrażeniami. Trzydzieści lat praktyki nie wyrobiło w nim obojętnego stosunku do śmierci. W jego własnej wiosce byli to z reguły znajomi ludzie. Często pacjenci. Wtedy gnębiły go zawsze wątpliwości, czy aby się nie pomylił w diagnozie, czy nie zrobił błędu w leczeniu. Ale najwet śmierć osoby całkowicie obcej zawsze go wzruszała, chociaż się do tego nie przyznawał. Przypuszczał, że angielski patolog częściej stykał się z takimi wypadkami. Mimo to podziwiał całkowitą obojętność tego człowieka.

Hundus rozłożył na stole gumowe prześcieradło, ale mimo to Mac ostrzegł doktora:

- Spaskudzimy panu gabinet!

Turi wzruszył ramionami.

- Chodzi nam głównie o te cztery zwłoki. To będzie wszystko na dzisiaj. Boimy się, że wasz magistrato jeszcze je ukradnie - dorzucił z uśmiechem.

A potem Mac i Są: iju podnieśli z ziemi ciało kapitana Duckhama i położyli na stół.

Przy kolacji Ralph Burden nie mógł przestać myśleć o Mike'u Duckhamie. O Mike'u, na którego wtedy mówiło I sie "Dixie". Jeszcze teraz, po bez mała trzydziestu latach, doskonale pamiętał ten arogancki, nawet po pijanemu opanowany i pewny siebie głos, typowy dla absolwentów Harrow.

- Rafcio Burden, niezniszczalny Rafcio 1 zakpił sobie | niego "Dixie" pewnego wieczoru, i Wiecie, chłopcy, to doprawdy nadzwyczajne. Większość z nas, dumnych pilotów, daje się wykończyć bardzo szybko. Są dwa rodzaje kandydatów na rychłą śmierć w tak zwanych przestworzach - durnie, którzy pętają się po niebie bez pomysłu i durnie, którzy nie potrafią równo utrzymać steru. Ale ten tu powietrzny zawadiaka, moi drodzy - tu „Dixie” spojrzął wymownie na Burdena - ten wraca cało z każdej wyprawy. Samolot idzie prosto na szmelc, ale pan Burden - zdrowy i cały.

Duckham był mocno zalany. Zdarzyło się to chyba w tydzień po Dniu Zwycięstwa. Na drugi dzień po tym pijaństwie nie tylko przeprosił Ralpa, ale przespacerował się z nim dwukrotnie po obwodzie lotniska, usprawiedliwiając ze swojego zachowania poprzedniego wieczora. Teraz, o tyle lat za późno, Burden rozumiał jego rozpacz.

- Zrozum, nie został ani jeden z chłopców, których znałem. Nie pamiętam, co ci wczoraj nagadałem, ale pewnie dlatego, że nie mogę zrozumieć, dlaczego ja żyję!

Śmiał się gorzko, tym razem z samego siebie. "Dixie" Duckham. Przez kilka następnych dni nie rozstawali się prawie...

Burden rozejrzał się po hotelowej jadalni. Było już po kolacji i goście rozchodzili się pojedynczo i grupkami. Burden żałował, że pozostali członkowie jego grupy nie zamieszkali w tym samym hotelu, ale że rozlokowano ich po całym miasteczku.

Wytłumaczono im, że to pełnia

sezonu i Taormina jest przepelnioną. Burden zorientował się jednak nie bez irytacji, że Amerykanie zdołali załatwić sobie pokoje w luksusowym hotelu, starym klasztorze po drugiej stronie miasta, zamienionym na prawdziwy pałac.

Po kolacji wyszedł na rześkie oświetloną promenadę a potem przechadzał się po wąskich uliczkach miasteczka, pełnego hoteli, pensjonatów i nocnych lokali, do których schodziło się stromymi schodkami. Fotografie reklamowały występy. Ale Ralph Burden nie szukał rozrywek. Usiłował bezskutecznie znaleźć drogę w labiryncie tych uliczek na szczyt wzgórza, gdzie w skromnym pensjonacie umieszczono jego techników. Zrezygnowany usiadł przy bocznym stoliku kawiarenki na głównym placu i popijając kosztowną whisky przyglądał się grupie ludzi otaczających teleskop. Skierowano go w stronę góry, gdzie z ciemności wyłaniał się nikły zarys rozbitego samolotu, a może obłok duszyczek unoszących się z niego do nieba.

Po powrocie do swojego pokoju Burden usiadł przy stole i otworzył teczkę personalną linii Greyhound. "Michael Edward Duckham, urodzony w Rangunie w 1922 roku" - przeczytał. Zapewne syn plantatorów kauczuku - pomyślał. A potem wyobraził sobie, co było wypisane w jego teczce: "Ralph Sinclair Burden, urodzony w Sandderstead 1924, syn właściciela sklepu kolonialnego".

Michael Duckham był produktem angielskiego życia kolonialnego. Uczęszczał do pół tuzina szkół w Sussex i Kent, często podróżował statkami dalekowschodniej linii okrętowej "P. and O.". Dlaczego tak często zmieniał, szkoły? - zastanawiał się Burden. - Czy oznaczało to, że miał bujne dzieciństwo, czy po prostu nerwowych rodziców? Czy wreszcie ubóstwo? - Chyba jednak bujne dzieciństwo zdecydował Burden. Po trzech zaledwie latach studiów w Harrow Duckham przeniósł się do

marnej

londyńskiej uczelni i ukończył ją ze stopniami, które zadowolili biuro poborowe brytyjskiego lotnictwa. Ośrodek szkoleniowy znajdował się w St. Johns Wood i był swojego rodzaju internatem z wszystkimi właściwymi tego rodzaju instytucjom przepisami i ograniczeniami. No, ale w gruncie rzeczy znajdujący się tam chłopcy byli jeszcze uczniami, Z wyjątkiem kilku cwaniaków, którzy urywali się potajemnie w nocy i biegali, za dziewczętami w mundurach po Baker Street albo za pielęgniarkami na Swiss Cottage. Czy tam Duckham zdobył doświadczenie uwodziciela, czy to też było tylko legendą?

Michael Edward Duckham. Z początku eskadra ćwiczebna w Newquay, a potem „Nocne Tygrysy” w Worcester. Tam otrzymał prawo pilotażu. Potem sześć tygodni bezczynnego oczekiwania na statek w Heaton Park, w Manchesterze, a następnie praktyka w obozach ćwiczebnych w różnych częściach Kanady. Powrót przez Atlantyk w konwoju, mroźnym, północnym szlakiem. Przydział do eskadry moskitów w Szkocji. Burden znał to wszystko doskonale. Przebył niemal tę samą drogę w osiemnaście miesięcy później.

“Przydzielony do 23 eskadry drugiego grudnia 1942 r. Wysłany na Malte. Pierwszy udział w operacjach w styczniu 1943. Zestrzelony nad wybrzeżem maltańskim w lutym 1943. W marcu ponownie rozpoczyna loty. Odznaczony orderem DSO za wypadki na małej wysokości w czasie lądowania aliantów na Sycylii”.

Sycylia. Iż to razy Duckham powracał na tę wyspę od czasu wojny - zastanawiał się Burden.

■ “Przymusowe lądowanie w Castelforte (front Monte Cassino) kwiecień 1944. Wysłany do kraju do szpitala. Powrót do eskadry w Little Snoring, Norfolk, w lipcu 1944”.

Burden uśmiechnął się. Pamiętał to dokładnie: zawa diacki bohater, o którym opowiadano niezliczone historie, opierający się na niepotrzebnej lasce i przyglądający się badawczo przybyłym do eskadry w czasie jego nieobecności młodym pilotom. Prawdę mówiąc, nie poczuł wtedy osobistej sympatii do Duckhama, ale nie potrafił się oprzeć szacunkowi dla jego bohaterstwa.

“Odznaczony orderem DFC w marcu 1945. Przeniesiony do 29 eskadry 25 września 1945. Powrót do 23 eskadry we wrześniu 1946”. To przeniesienie nie miało istotnego znaczenia. Po prostu rozwiązano jednostkę. Burden po przejściu ponownego przeszkolenia na dakotach i hastingach został przeniesiony do Dowództwa Transportowego. Spojrzał teraz na fotografię załączoną do akt. Twarz “Dixie’ego” była pełniejsza, ale z mniejszą ilością zmarszczek niż na twarzy dwudziestoczteroletniego wówczas myśliwskiego pilota. Burden zastanawiał się, czy Dixie zachował zwyczaj przechylania głowy na bok i podnoszenia ramion do góry. Chyba na pewno się zmienił. Stracił swoją porywczność. W przeciwnym wypadku nie zostałby kapitanem pilotów cywilnej linii. W tamtych odległych czasach bywał bardzo zmienny. Można go było spotkać przechadzającego się po ulicy z łagodnym uśmiechem na twarzy i skłonnego do pogawędki. Ale kiedy bywał w złym humorze i znalazł się w barze czy zatłoczonej mesie, potrafił wywołać awanturę bez wyraźnego powodu. Czasem, czekając wieczorem na nocną misję, wyszukiwał oczami ofiarę i rzucał się na nią bezlitośnie. Ale, czy, można było winić człowieka, który właśnie powrócił do służby po odniesieniu licznych ran? Został dwa razy zestrzelony przez nieprzyjaciela i zdaniem lekarza eskadry przetrwał tylko cudem. Pewnej zimowej nocy powrócił na ziemię z zabitym obserwatorem, a jego samolot tak był pokiereszowany, że nie można było poznać jego sylwetki. Wszyscy myśleli, że to będzie koniec Duckhama. Ale stało się wprost przeciw nie. Ten wypadek postawił go na nogi. Sukcesy odniesione w następnych trzech misjach przyniosły mu DFC. Stał się też łagodniejszy wobec podwładnych. Aż do tamtego pijackiego wybuchu w kilka dni po zakończeniu wojny.

W lipcu 1945 bierze ślub w parafialnym kościele Hereworth z Deborą Poynton-Stevens. W 1951 rozwodzi się. W sierpniu 1952 bierze ślub z Angelą de Val w urzędzie stanu cywilnego w Norwich. W 1958 rodzi mu się córka. Rozwodzi się ponownie w roku 1967. 21 września 1967 bierze ślub w urzędzie stanu cywilnego w Guildford z Julią Anną Dutton. W 1969 rodzi mu się syn, w 1971 roku - córka”.

No cóż, miał facet bogate życie.

A Ralph Burden? "Żeni się z Mary Howard w roku 1957 w kościele parafialnym w Seldon. Małżeństwo trwa bez dramatów czy jakichkolwiek wyskoków przez wiele lat. W 1974 roku następuje separacja".

Burden przycisnął papiery popielniczką i odłożył pióro. Mary zamieszkała u siostry na Ibizy, gdzie, jeżeli sądzić z nadchodzących stamtąd wiadomości, szybko nadrabiała zaległości w dziedzinie seksu.

Ralph rozebrał się i umył, starając się nie myśleć onicznym specjalnym. Położył się, ale nie mógł się opędzić starym snom i majakom. Widział smugi dymu fajkowego zasnuwającego oficerską mesę, formacje smukłych myśliwców na tle nieba, szykujących się do polowania na nieprzyjacielskie bombowce, rajdy w głąb Niemiec, warkot bliźniaczych silników merlina, strach, nieustanny strach, który drażył ciała i dusze.

14

Stary magistrato po powrocie do domu poszedł pod prysznic, żeby zmyć z siebie brud i smród, którymi przesiąkł w górach i w samolocie.

I Poczul się od razu lepiej. Zalecił młodszemu koledze z biura przestudiowanie raportów i planów. Lubił dzielić odpowiedzialność.

Ale poczucie zadowolenia nie trwało długo. O siódmej zadzwonił telefon i odezwał się prokurator generalny, który zasypał go pytaniami. Miał już widać sporo informacji o katastrofie i wydarzeniach dnia.

Tutto eon calma si farz - powiedział m&gistrato. – Takie dochodzenie nie może być robione pospiesznie.

Prokurator nie był bynajmniej zadowolony z udziału w dochodzeniu znacznie młodszego magistrato. - Zbyt wiele technicznych wiadomości bywa często ■ przeszkodą - powiedział po dłuższym chłodnym milczeniu. - Młody kolega z pewnością będzie najbardziej współczuł pilotowi. i

Trochę jeszcze wilgotny od prysznicu stary magistrato wyczuł jakieś bliżej nieokreślone podskórne intrygi i tajemnicze interesy. Nie znosił takich dwuznacznych rozmów, bo wiedział, że i tak ulegnie. Był mało odporny na naciski.

- Wszyscy jesteście w stanie oskarżenia - powiedział prokurator. Miał zbyt wielu przyjaciół, za często się uśmiechał i za dużo mówił o własnej nieprzekupności. Nie można go było oskarżyć o sprzedajność, spiskowanie czy branie łapówek. Działał bardziej staroświeckimi metodami i delikatniej. Procedura, jaką uprawiał, przypominała grę w sprawnej drużynie piłkarskiej. Dobry gracz, kiedy dostaje piłkę pod nogę, wyczuwa instynktownie kombinację i odruchowo posyła piłkę na właściwą stronę.

Dino sunęło na południe starą drogą statale 114 z szybkością przeważnie przekraczającą sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Młody kierowca, w nieco przybrudzonym obecnie białym ubraniu, nie lubił jeździć autostradami. Jego nocne rendez-vnus wyznaczone było zresztą z dala od głównej drogi. Popołudnie spędził miło na słonecznej plaży w towarzystwie trzech spośród czterech Amerykanek, które prześcigały się w uwodzeniu go łamanym włoskim językiem. O zmierzchu zaproponował, że odwiezie je do Taorminy, ale po jednej, po kolei, gdyż dino było samochodem bardzo niepraktycznym. I już za pierwszym razem poszło mu dobrze. Dziewczyna zabrała się do niego w momencie, kiedy wyprowadzał samochód z parkingu i gdy dojechali do jej hotelu, nie miał już ochoty myśleć o pozostałych paniach. Zapewne wciąż czekały na niego na plaży. Innym razem - pomyślał.

Tej nocy Flavio będzie grać w pokera z przyjaciółmi i opowie im o swoich przygodach. Będzie mógł z nimi pozostać aż do rana, jeżeli zechce, gdyż ojciec odleciał po południu do Rzymu i ma wrócić dopiero w poniedziałek. A matka go nie zdradzi. Będzie wolała uniknąć awantury, która mogłaby z tego wyniknąć.

W ciemnym garażu za ostrym zakrętem stała niebieska alfa. Siedzący w niej ludzie przysłuchiwali się zbliżającemu się wyciu sześciocyndrowego ferrari. Weszło w zakręt i przemknęło obok nich w obłoku kurzu, zostawiając za sobą zapach gumy i oleju. Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, stwierdził nie bez podziwu policjant siedzący za kierownicą alfy. Obydwaj policjanci zauważyli jednak numer rejestracyjny wozu i kierowca zgasił motor.

- Moglibyśmy go przynajmniej postraszyć - zaproponował kolega. - Możemy dać znać następnemu wozowi patrolowemu. , : >

- A potem potracą nam karę za dwa dni pracy. On jest niebezpieczniejszy od gangstera.

Dino spóźnił się na wyznaczone spotkanie o godzinę. Capo Tomacchio klął na całego. Siedział w furgonetce, zaparkowanej koło cmentarza i czekał. Wreszcie zjawiał

się młody człowiek i bez słowa przeproszenia wysiadł ze swojego niskiego wozu. Tomacchio przyglądał mu się w milczeniu. Musiał grać rolę podwładnego, a nie był do tego przyzwyczajony. Ale był niespokojny: bał się o los ' swoich ciężarówek. Młody człowiek wyciągnął brudną skórzaną kurtkę z kufra wozu, przeszedł przez drogę, podszedł do furgonetki i wrzucił przez otwarte okno klucze od cysterny. W ręku trzymał kopertę z pieniędzmi.

- ne?

- Pięćset za benzynę. Dzielimy się po połowie. Capo Tomacchio miał gęste brwi, małe, zaczepne oczy, a na jego nalanej twarzy z ostrymi zmarszczkami koło nosa stale błąkał się wyzywający uśmiech.

Flavio skinął głową, odliczył pieniądze i poklepał Tomacchia po ramieniu.

- Były jakieś trudności? - spytał stary.

- Nie.

- Załatwiłeś to szybko dziś rano.

- Zatelefonowali do mnie z lotniska natychmiast po awarii prądu. Przyczyną nie był brak oleju. Wszystkie kurki zostały źle ustawione. Zapasowy zbiornik był pusty.

- Przypuszczam, że to mój błąd z ubiegłego tygodnia. Bardzo się wtedy spieszyłem, bo miałem pilne sprawy do załatwienia.

Młodzieniec zbierał się do odejścia.

- Czy wszystko będzie grało?

- A niby dlaczego nie?

- A bo ten przeklęty samolot rozbił się w górach. Zginęło sto pięćdziesiąt osób. Co mówi twój ojciec?

- Ma większe zmartwienia. Pojechał do Rzymu.

- Jest razem z nami zamieszany w tę aferę, no nie? Flavio wzruszył ramionami i odwrócił się bez odpowiedzi.

- Jeżeli to przez moją pomyłkę, to jest mi bardzo przykro! - krzyknął za nim Tomacchio.

Młody człowiek, stojąc już przy swoim wozie, odpowiedział uśmiechając się leniwie:

- Jeżeli chcesz mojego rozgrzeszenia, to wstaw się za mną u twojej córki.

Zielono-pomarańczowe dino zakręciło ostro przy bramie cmentarza, ślizgając się po żwirze.

Capo Tomacchio przysłuchiwał się oddalającemu się wyciu silnika. Miał tylko jedną córkę - jedyne dziecko, podobnie jak Consoli. Giuseppina. Tej młodej parze nigdy nie zabrakłoby pieniędzy. Ale ten chytry młody człowiek nigdy wyraźnie nie proponował małżeństwa. Gdyby kiedyś napomknął o czymś innym, Tomacchio skierowałby na niego swoją strzelbę, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad stanowiskiem jego ojca. •

Citto Risarda wyprzedził urzędowe śledztwo o co najmniej półtorej doby. W ciągu czterech godzin odwiedził piętnaście wiosek. W piętnastu barach zebrał większość potrzebnych mu informacji i wczesnym niedzielnym rankiem zaparkował swoją starą giulię przy ogrodzeniu lotniska Taormina-Peloritana. Zaczekał, aż w prywatnym aeroklubie koło wieży kontrolnej zgasły ostatnie światły. Wyrysował na mapie zasięg wieczornej burzy na podstawie wiadomości zebranych w barach, chociaż te nie zawsze zgadzały się ze sobą. Na przeważającym obszarze panowało wtedy duże zachmurzenie i padało, ale sama burza dotknęła chyba tylko wąski trójkąt na północny zachód od wulkanu, pomiędzy Linguaglossa, Bronte i Randazzo. Silny deszcz i pioruny spowodowały awarie prądu w kilku wioskach w różnych godzinach nocnych. Wczesnym rankiem burza skoncentrowała się dokoła Maletto na południowo-zachodnim zboczu góry.

Citto patrzył przez swoją ciemną szybę samochodu.

Było pochmurno. Świtało. Stwierdził kilka ważnych faktów, ale nic więcej, i zastanawiał się, czy jego teoria warta jest dalszych kłopotów. Przecież katastrofą "Tanga November" zajmowały się oficjalne osobistości, które miały być za to sowicie opłacone. Ale dręczyło go to, że zegar zatrzymał się na godzinie piątej czterdzieści. Czyż- by systemy kontrolne też nawaliły w tym samym czasie?

Wygaszono już wszystkie światła, lotnisko stało ciche i puste, błąkał się po nim tylko strażnik z psem. Citto wykręcił żarówkę w samochodzie, aby nie zaświeciła się, kiedy otworzy drzwiczki. Wyśliznął się ostrożnie na zewnątrz i z latarką w ręku poszedł się przejść. Noc była duszna, a rzadkie górskie powietrze wzmagało atmosferę niesamowitości i grozy. Citto poszedł przez pusty parking przy aeroklubie, do miejsca, w którym "tegoż ranka stała cysterna. Raz się odwrócił, bo zdawało mu się, że słyszy kroki na żwirze. Widział nawet jakiś cień na murze. Ale był zbyt mało doświadczony, żeby zdecydować się na odwrót.

Niedaleko miejsca, w którym rano stała zaparkowana cysterna, tuż pod wieżą kontrolną, znalazł kilka połączonych ze sobą zbiorników paliwa. Dwa szlauchy opatrzone były napisem: "benzyna", a na dwóch budkach stojących przy zbiornikach widniały napisy: "Generator - wszystkie obwody" i "Generator - obwody zapasowe". Citto uśmiechnął się i ruszył do samochodu. Część jego przypuszczeń okazała się prawdziwa.

15

W niedzielę wczesnym rankiem grupa śmielszych turystów dotarła do wraku i obwąchała "Tanga November" jak sfera psów myśliwskich. Ludzie ci natrafili na rozbity samolot zupełnie przypadkowo.

Błądzili po lasach i lawie już od poprzedniego wieczoru. Teraz wchłaniali w płuca dym po ugaszonym pożarze, a kiedy podeszli bliżej do wraku smród zwęglonego plastiku i parafiny.

Siedem osób znajdowało się w tej grupie - trzy dziewczyny i czterech chłopców. Ostatnie sto metrów przeszli w milczeniu, po czym dziewczyny stanęły na warcie, a chłopcy wleźli po drabinach do wnętrza nie spalonej przedniej części kadłuba. Karabinierzy spali twardym snem. 3

Po kwadransie przybysze usłyszeli nadlatujący helikopter i zobaczyli reflektory. Chłopcy wraz ze swoim łupem wyskoczyli czym prędzej z wraku i wraz z dziew-

czynami ukryli się w pobliskich drzewach. Udało im się zebrać pełny plecak brytyjskich i amerykańskich paszportów, portfeli i torebek, zegarków, pierścionków i aparatów fotograficznych oraz paczkę prezerwatyw, które rozdzielili sprawiedliwie, żeby zrobić z nich użytek później, kiedy słońce rozgrzeje leśną podściółkę.

Nocny lot helikoptera przywiózł grupę ludzi w ciemnych ubraniach. Przybyli w makabrycznej misji. Mieli przy sobie teczki i torby, z których wyjęli specjalny ekwipunek.

16

Przez cały następny dzień i noc trwało w szpitalach wielkie zamieszanie. Poczekalnie przepełnione były dziennikarzami. W pokojach chorych panował mrok, bo zapuszczono okiennice, za to sale operacyjne były jaskrawo oświetlone. Spośród trzydziestu pięciu przywiezionych z góry ofiar przy życiu pozostało już tylko czternaście. Dalsze sześć osób miało umrzeć w ciągu nocy - dwaj z powodu wewnętrznego krwotoku, jeden z powodu nierozpoznanego skrzepu w głowie, a trzy na stole operacyjnym, gdzie zmęczeni do ostatnich granic lekarze walczyli o ich życie.

Pięcioletnia dziewczynka z ramieniem w gipsie błąkała się po zaciemnionych pokojach wołając matkę." Stella Pritchard, leżąca w małej separacie, mimo trwającego zamroczenia narkozą, poznała ten głos. To była przecież Trixie. To ona w cudowny sposób uratowała życie stewardesy. Ale kiedy Stella obudziła się, majaczyło jej się wciąż, że była w wypadku samochodowym i z przerażeniem pytała, kto jeszcze znajdował się z nią w wozie? Czy rodzice jeżdżący morrisem, czy może Mike w swoim volvo? Dwie włoskie zakonnice słuchały jej głosu, ale nie rozumiały ani jednego słowa. Próbowaly ją uspokoić, ale Stella z kolei nie rozumiała, co do niej mówiły, i denerwowała się jeszcze bardziej. Wieczorem powróciły bóle i pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk morfiny, po którym Stella powróciła w stan nieświadomości, i już tylko głos Trixie był jedyną nicią, łączącą ją z rzeczywistością.

Na stole operacyjnym w szpitalu małego miasteczka, położonego o trzydzieści kilometrów na północ, leżał Tino G. Ciało jego podłączone było rurkami i przewodami do najważniejszych aparatów, a w głowie obsesyjnie huczała mu jedna i ta sama melodia. W wielkiej metalowej lampie nad głową widział postacie pracujących nad nim lekarzy i zastanawiał się, po co ci ludzie tracą tyle czasu i energii. Przytomność umysłu, jaką zachował w czasie akcji ratunkowej, rozplynęła się. Był pewien, że życie z niego ucieka, niczym czerwień wydobytego z wody koralu.

Chirurdzy zaszyli mu uszkodzoną wątrobę, wstawili zastępczy przewód, a do gardła włożyli rurkę, która miała ułatwiać oddychanie. Stan chorego pogarszał się z minuty na minutę. Stwierdzono uszkodzenie nerek Wskutek poważnej utraty krwi. W szpitalu nie było sztucznej nerki. Zastosowano więc dializę otrzewnej dla oczyszczenia funkcji wewnętrzności i w niedzielę wczesnym rankiem nastąpiła stabilizacja funkcji organizmu. Stary chirurg położył się na kanapce w poczekalni, żeby się trochę przespać. Poprzednio opisał stan chłopca jako "beznadziejny".

Tino G. grał na gitarze, harmonii, perkusji i trochę na fortepianie. Majaczyło mu się teraz, że nie umrze, zanim nie przypomni sobie nazwy i słów melodii, która tak uporczywie chodziła mu po głowie.

W holu szpitalnym wciąż siedziała grupa dziennikarzy. Ktoś zadepeszował do nich z New Yorku, że Tino G. występował w artystycznej dzielnicy miasta, w lokalach Greenwich Village, popisując się głównie amerykańskim folklorem.

CZĘŚĆ DRUGA* 1

We wnętrzu nieruchomego "Tanga November" znajdowało się jeszcze wiele ofiar wypadku. W świetle poranka wrak wyglądał nierealnie, jakby na zdjęciu

zdeformowanym przez fotografa. To, co wczoraj we mgle i chmurach było zrozumiałe, dzisiaj wydawało się niemożliwe i niewytłumaczalne.

Helikopter zawisł nad szczątkami samolotu, a potem z wolna opisał się na skałę. Byli w nim dwaj włoscy piloci wojskowi oraz Mac i Sanju w swoim turbanie. Obydwaj przespali noc w domu Turiego, a o świcie helikopter zabrał ich z miejskiego boiska. Sekcje czterech zwłok wydobytych z kabiny pilotów nie dały specjalnych rewelacji. Nie stwierdzono, by ofiary uległy atakom serca, a dokonana przez Maca wstępna analiza krwi nie wykazała niczego niezwykłego. Teraz Mac patrzył na zgniecione szczątki samolotu i wygramolił się z helikoptera zastanawiając się, czy potwornie zgnieciony wrak zdradzi kiedykolwiek tajemnicę swojego tragicznego końca.

- Przeklęta trumna - mruknął, myśląc o wnętrzu kadłuba, do którego za chwilę miał wejść. Obicia, fotele, pasy - wszystko będzie na pewno w porządku i zgodne z przepisami bezpieczeństwa. Obliczona to, żeby przy zderzeniu w sześćdziesięciu procentach umożliwić pasażerom przeżycie katastrofy. Stwierdzi na pewno, że przy zetknięciu z drzewami nastąpiło stopniowe zmniejszenie szybkości, przy zderzeniu podwozia i kół z ziemią utrata energii, kierunkowej i wreszcie, że długi ślizg kadłuba po ziemi wytracił szybkość, zanim przód samolotu zderzył się ze zboczem. Końcowa pozioma siła na pewno nie przekraczała 15g i można ją będzie określić do tysięcznych sekundy. Ciało ludzkie potrafi wytrzymać 30g, ale siedzenie w samolocie, zgodnie z amerykańskimi i angielskimi standardami bezpieczeństwa, obciążone były jedynie na 9g. Mac postanowił w końcowym sprawozdaniu umieścić kilka ostrych uwag na ten temat. Wnioski raportów katastrof zbyt często brzmiały dwuznacznie i niewyraźnie. W większości wypadków nie można było znaleźć tak przekonujących dowodów, by móc zaatakować ogólnie przyjęte normy lotnictwa cywilnego. Może tym razem tragedia "Tanga November" przyczyni się do uratowania w przyszłości wielu tysięcy ludzkich istnień.

Mac spostrzegł niewielkie grupki ludzi krzątających się dokoła wraku i przypuszczał, że są to inne zespoły śledcze. Ale po chwili zorientował się, że nie zna tych ludzi, a mieszanina ubrań cywilnych i mundurów, jak również fakt, że wszyscy ci osobnicy byli w ciemnych okularach wskazywały na to, że są to policjanci. Było też kilku karabinierów. Nie ogoleni i wymięci po nocy spędzonej w namiotach snuli się po miejscu wypadku. Próbowali zatrzymać Maca i Sanju, ale Mac odtrącił ich i poszedł ku szczątkom samolotu, jakby ten wrak i setka nie zidentyfikowanych ciał były jego własnością. Kilku facetów w garniturach i ciemnych okularach zbliżyło się do Maca.

- Kapitan Pherson z Królewskiego Lotnictwa - przedstawił się Mac i instynktownie sprężył się do walki.

V

Ale natychmiast opamiętał się, uśmiechnął i pomyślał, że należało ich raczej wziąć pod rękę i poklepać po ramieniu.

Podszedł do nich spokojnie jeszcze jeden pan w słonecznych okularach, mało różniący się od innych. Mac spojrzał na niego z góry. Był wyższy o trzydzieści centymetrów i uznał to za przewagę.

-< Przyjechaliśmy, żeby pomóc waszemu ministerstwu w przeprowadzeniu śledztwa. Jest to zgodne z międzynarodowymi umowami. Chodzi o identyfikację zwłok, zbadanie ich i odesłanie gdzie trzeba.

- Oczywiście, ale magistrato jest również za to odpowiedzialny. Ci zmarli - Włoch wskazał niepotrzebnie dramatycznym gestem sztywne, rozkładające się już, rozrzucone po terenie zwłoki. - My również jesteśmy odpowiedzialni za tych zmarłych.

- Czy magistrato jest na miejscu?

Człowiek w ciemnych okularach odwrócił się, a Mac poszedł za nim. Minęli szczątki zarytego w ziemię silnika, kupę rozbitych walizek i toreb.

Dzisiejszy magistrato był zupełnie inny niż wczorajszy. Młodszy, energiczniejszy i nieczuły na protesty Maca.

- Powiedziano mi, że nie wolno wywozić stąd ciał.
- Wszystkie poszlaki muszą pozostać nienaruszone.
- Ale za kilka godzin będzie się tu roić od angielskich i amerykańskich dziennikarzy. Nie chcę, żeby zobaczyli, że w dwadzieścia cztery godziny po wypadku zwłoki leżą jeszcze na miejscu.
- Nie dopuścimy tu dziennikarzy.
- Nie utrzymacie ich długo z daleka. A poza tym wzbudziecie w nich podejrzenia.

Magistrato spojrział na Maca z lekkim uśmiechem.

- Czy pan szuka czegoś specjalnego?

I Jestem, odpowiedzialny za ciała ofiar katastrofy.

Jeszcze dzień w tym słońcu, a nieboszczycy zaczną sami pełznąć po stoku.

I Czy widział pan zwłoki porywacza?

- Mam wyniki z sekcji zwłok, ale są niepełne. .. i Ponieważ wciąż brakuje czegoś...

I Skąd pan to wie?

- Ci karabinierzy pomagali panu wczoraj. Powiedzieli mi, że ciało porywacza miało urwane, ramię.

Mac skinął głową.

- Więc widzi pan, był tu ktoś w nocy. Znalazł ramię i zabrał je.
- Podczas kiedy cała ta zakichćta kompania wojska pilnowała miejsca katastrofy?
- Ktoś przyleciał tu helikopterem i to z oficjalnymi papierami. Wojsko nic na to nie mogło poradzić.
- Czy wiedzą przynajmniej, w którym miejscu znaleziono ramię?

Magistrato zaprzeczył ruchem głowy.

1 Jeżeli nie dowiemy się tego, nigdy nie będziemy pewni, jakie zamiary miała ta kobieta.

Młody człowiek podał Macowi bilet wizytowy.

- Są tu numery wszystkich moich telefonów - urzędowych i prywatnych. Jeżeli coś znajdziecie, proszę się ze mną porozumieć.

Magistrato podał rękę Macowi i ruszył do swojego helikoptera. Mac pomyślał, że chyba uda mu się znaleźć z nim wspólny język. Ale wiedział już, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niżby to mogło się wydawać.

2

Kanonik Ash Nyren wyjął ze skrzynki na listy niedzielną gazetę. Mimo że była potrójnie złożona, widać było wyraźnie wielki nagłówek na pierwszej kolumnie: "170 zabitych w katastrofie brytyjskiego czarteru. Próba porwania zakończona tragedią".

Ash Nyren rozłożył gazetę na kuchennym stole. "Drugi pilot, Peter Nyren, lat 29". Na jednej z dalszych stron' gazety znajdowała się fotografia uśmiechniętej, młodej, opalonej twarzy Petera. Z opisu wypadku Ash Nyren dowiedział się, że Peter znajdował się na pokładzie przypadkowo, bo zastępował chorego kolegę.

Kanonik uniósł głowę i spojrział na szare chmury zwisające nad zalanym deszczem ogrodem.

Dlaczego nie ja, stary i bezużyteczny człowiek? Życie moje było tak puste, że tylko Kościół mógł mu nadać jakiś sens. Dlaczego nie ja? Dlaczego zawsze giną młodzi?

Czy Peter widział nadchodzącą śmierć? Czy bał się? Jak długo umierał?

Tego ranka kościół był prawie pełny. Nawet w czasie ■ pięknej pogody nie przychodziło więcej niż pół tuzina wiernych. Dzisiaj znalazło się w nim ponad trzydzieści przemokniętych osób. Zachowywali się jak niedzielni turyści, szeptali między sobą i gapili się na Nyrena. Przyszli, żeby go zobaczyć. Czy po to-, żeby dzielić jego smutek, czy też przez pamięć na Petera? A może po prostu przez ciekawość? O ile czekali na wyraz ojcowskiego bólu, to - jeśli byli bystrzy - mógł ich zastanowić wybór hymnu, który pastor, jak każdej niedzieli, odśpiewał akompaniując sobie na organach. Nyren nie zmienił nut, jakie pozostały z poprzedniej niedzieli i wierni ze zdziwieniem stwierdzili, że śpiewa słowa nie pasujące do melodii. W milczeniu słuchali prymitywnego akompaniamentu i głębokiego barytonu swojego duszpasterza.

“Znużony jestem płaczem, sucho jest mi w gardle, oczy moje oślepy wypatrując Boga. Dlaczego odwracasz się ode mnie i mojego błagania?” Kanonik kłócił się z Bogiem, śpiewając wersety Biblii. Rada parafialna spotkała się tego dnia w domu emery

townanego admirała na drugim końcu wioski. Admirał zatelefonował do dziekana i sekretarza diecezji. Postanowiono, że nabożeństwa będą się odtąd odbywały w sąsiedniej parafii, a kanonik zostanie natychmiast wysłany na Sycylię.

Tego rana we wszystkich kościołach wschodniego Wybrzeża Sycylii odprawiano nabożeństwa za dusze ofiar katastrofy lotniczej i na intencję rannych. Przy życiu pozostało osiem osób: dwóch obywateli amerykańskich: Tino G. i mała, pięcioletnia Trbie, która była jedynym ocalałym członkiem podróżującej rodziny, oraz sześciu obywateli brytyjskich: Stella Pritchard, emerytowany major z Malty i jego żona, młody handlowiec z Twicken- ham, lekarz, kawaler z Weardale w hrabstwie Durham, i jego przyjaciel, sklepikarz spod Derwent w Northum- berland. Fachowców wcale nie zdziwił fakt, że poza Stellą Pritchard i dziewczynką wszyscy uratowani znajdowali się w fotelach zwróconych w kierunku przeciwnym do kierunku lotu: Tino G. siedział w pierwszym rzędzie na przodzie kabiny, a pozostała piątka w dwunastym rzędzie, tuż przed przepierzeniem oddzielającym klasy i centralne toalety.

Tylko major i handlowiec byli przytomni i mogli być pomocni prowadzącym dochodzenie.

- Obawiam się, że niewiele mogę powiedzieć - rzekł major. – Wydawało mi się, że opadamy, potem znowu zaczynaliśmy się wznosić, potem znowu opadać. W końcu zaczęło nami rzucać i trach! Przekoziółkowaliśmy i to nas uratowało. Zawsze, jak tylko mogę, siadam tyłem do kierowcy. Nauczyłem się tego w wojsku.

Włosi z trudem rozumieli słowa Anglika. Głos mu się rwał, a usta ledwie poruszały.

Magistrato zapytał go o porywaczkę. Czy ją zauważył?

- Dobry Boże! Nic nie wiem o żadnej porywaczce. Prawdę mówiąc, przez cały czas czułem się kiepsko. Przeważnie drzemałem. Moja żona powie wam więcej, jak się lepiej poczuje.

- Jak długo przebywał pan w szczątkach samolotu, zanim nadeszła pomoc?

- Co najmniej dziewięć lat. Naprawdę nie mam pojęcia. Widzi pan, mój zegarek został rozbity. Tak samo jak zegarek Aleca, który leży w sąsiednim pokoju. Tylko on i ja byliśmy przytomni. Wszyscy inni leżeli do góry nogami i mieli połamane kości. Chcieliśmy się wydostać, ale ógieri podchodził do przodu i staraliśmy się go zatrzymać. Próbowaliśmy też udzielać pierwszej pomocy, ale niewiele było do zrobienia. Zaimprovizowaliśmy bandażę i staraliśmy się tamować upływ krwi.

- De osób pozostało przy życiu? i To bardzo trudno powiedzieć. Mogliśmy się poruszać w bardzo ograniczonej przestrzeni. Kilka rzędów naprzód i w tył. Wyciągnąłem żonę i jakiegoś faceta. Oboje mieli złamane ręce i nogi.

W sąsiednim pokoju Ale znajdował się w ciężkim stanie i nie mógł mówić.

- Dzisiaj nie jest przytomny - powiedział major. - Wczoraj był w lepszym stanie. Myślę, że martwi się o przyjaciela.

Major najwyraźniej nie pochwalał stosunków, które, jego zdaniem, łączyły lekarza z właścicielem sklepu.

Młody magistrato opuścił szpital. Według niego zeznania świadków były bezwartościowe. Handlowiec z Twickenham mówił zupełnie co innego niż major.

W drugim szpitalu porozumiał się z młodym chirurgiem w sprawie przesłuchania znajdujących się tam pacjentów. Ale obydwaj znajdowali się na stołach operacyjnych i byli w beznadziejnym stanie. Obaj cierpieli na zanik czynności nerek i wątroby, a co gorsza, nie można

było ustalić przyczyny. Chirurg zażądał opinii specjalistów, ale zorganizowanie jej nie było łatwe. Skontaktowano się z urologiem, choć tylko przez radio. Znajdował się na południe od Syrakuz na jachcie unieruchomionym z powodu braku wiatru i był bezradny. Internista spędza(weekend w uzdrowisku wysoko w górach, w odległości czterech godzin jazdy samochodem od miasta. Jego diagnoza miała charakter bardziej detektywistyczny niż medyczny. Okazało się, że pacjenci otrzymali poprzedniego wieczoru obfite transfuzje i że pomieszano przy tym grupy krwi.

- Co teraz zrobić? - zapytał młody chirurg w rozpaczy.

- Dializę perytoniczną. Zażądaj, żeby ci przysłano sztuczną nerkę - odpowiedział internista. - A kiedy obaj pacjenci umrą, to przypilnuj, żeby w świadectwach zgonu nie było wzmianki o grupach krwi. Niedomogę nerek wywołał wstrząs, a uszkodzenie wątroby było wynikiem zmian patologicznych.

W ten zręczny sposób specjalista uporał się z sytuacją i wskoczył do samochodu, aby powrócić w góry na niedzielny obiad.

Kiedy SteHa obudziła się, na jej łóżku siedziała mała dziewczynka. Wraz z częściową przytomnością powróciły bóle i zamroczenia myślowe. Poznała głos dziewczynki i przypomniała sobie nawet jej imię, wiedziała, że dziecko jest jedyną więzią z tym, co się wydarzyło. Ale teraz, patrząc szeroko otwartymi oczami w twarz dziewczynki, nie mogła sobie niczego przypomnieć. Nasunęła jej się myśl o straszliwym wypadku samochodowym. Czyżby mała była jedyną ocalałą pasażerką tego samochodu? Czy może ofiarą przejechaną na szosie?

- Gdzie jest mama?

Dla Trixie Stella była jedynym konkretnym punktem odniesienia od tego, co działo się z nią od dwudziestu

czterech godzin. Pamiętała ją śmiejącą się i wesołą, a potem rozgniewaną, bo zabawa trwała zbyt długo. Potem twarz Stelli była nagle zakrwawiona i podrapana. Ale teraz jest znowu czysta, choć poprzecinana plastrami. Trixie znacznie lepiej od Stelli zdawała sobie sprawę z tego, co się stało, chociaż i ona nie wszystko pamiętała. Była przekonana, że sama wywołała katastrofę, bo biegła po samolocie, kiedy wszyscy pasażerowie siedzieli nieruchomo w pasach... Wołano ją przecież, pobięła za nią stewardesa, potem matka.

- Mamę boli... - szepnęła. Miała wciąż przed oczami rozbity, płonący samolot, kryjący w swoim wnętrzu jej matkę.

3

Na podwórzu widniał ślad gwałtownego pijackiego hamowania wozu. Dino stało jednym kołem w fontannie i blokowało garaż, w którym stał wóz pani domu. Ale signora w ciemnoszarej sukni tylko wzruszyła ramionami i wróciła do domu. Nie chciała budzić syna. Pojedzie na mszę wieczorem.

W tę niedzielę bogowie uśmiechnęli się do niej. W dziesięć minut później zadzwonił mąż z Rzymu. Mogła mu powiedzieć, że syn udał się na inspekcję pomarańczowego sadu. Było to małe kłamstwo, ale żadna ze służących nie zdobyłaby się na nie.- ; - Zawołaj go! - zabrzmiał rozkaz z Rzymu.

Musiła więc obudzić syna i wytłumaczyć mu szybko, co powiedziała ojcu. Ale kiedy młodzieniec zszedł na dół i podjął słuchawkę, miał wciąż jeszcze senny, zachrypnięty głos.

- Co tam oglądałeś w pomarańczowym sadzie? - zakpił sobie ojciec. - Obłoki czy dziewczęce pośladki?

Flavio Consoli roześmiał się. Była to jego jedyna obro-

na. Ojciec bardzo lubił, kiedy śmiano się z jego żartów. Powiedział synowi, że musi w ciągu przedpołudnia odwiedzić prokuratora, jego żonę, córkę i syna.

- Masz być szczególnie miły dla córki i traktować ją z szacunkiem i podziwem.

- Ależ to przecież tylko tłusta pensjonarka!

Ojciec zignorował go.

- Na pewno zaproszą cię na obiad. Masz się trochę opierać, ale w końcu zgodzisz się, wysłuchasz uważnie, co ci powie gospodarz, i przyrzekniesz mu pomoc we wszystkim.

- Ależ ojczel! Dziś jest niedziela!

- Kiedy wrócę jutro do domu, zdasz mi dokładne sprawozdanie, słowo w słowo.

- Mam wziąć magnetofon?

- Zwariowałeś? Boże, co z ciebie za idiota! To przez lenistwo i zbytni dobrobyt.

Zamilkł, a potem dodał już odmiennym tonem, jak gdyby żałując zbyt ostrych słów:

- Zrozumiałeś, co masz robić?

Młody człowiek pochylił z szacunkiem głowę. Potem zorientowawszy się, że ojciec nie może widzieć tego gestu, odpowiedział:

- Tak jest.

Adwokat Consoli zamieszkał w Rzymie jak zwykle w hotelu opodal Piazza Colonna.

Otrzymał staroświecki pokój umeblowany ciężkimi meblami, ale wygodny i stosunkowo cichy mimo hałaśliwych instalacji w łazienkach. Po rozmowie z synem nakręcił inny numer. Tego ranka otrzymał telex z lotniska. Poprzedniej nocy kręcił się tam jakiś dziennikarz. Trzeba podjąć środki zaradcze.

Po drugiej stronie podniesiono słuchawkę.

- Pan mnie zapewne nie pamięta - zaczął adwokat. - Spotkaliśmy się kilka razy, kiedy zasiadał pan w komisji budowy lotniska.

Rozmówca pamiętał go. Powaga jego głosu podkreślała, że pamięta o długach wdzięczności.

- W komisji zasiadał inżynier - ciągnął Consoli - któremu nasz projekt się nie podobał. Był dwunastym jej członkiem. Człowiek ten podał się do dymisji. Chciałem się upewnić, czy nazwisko jego zostało usunięte ze wszystkich protokołów.

i W swoim czasie zostało to zrobione. W miarę możliwości. - Głos rozmówcy Consolego stał się jeszcze poważniejszy. - Obrady były publiczne.

W głosie Consolego nie było śladu groźby.

- Polegam na panu - powiedział niemal szeptem.

Tamten chrząknął, jak gdyby ze smutkiem.

- Nazywa się Preuss.

- Przepraszam?

- Ten dwunasty. Mieszka w Wenecji.

Tamten znowu chrząknął.

- A więc polegam na panu.

Consoli odwiesił słuchawkę. Polegam, polegam - myślał - należałoby mu raczej przypomnieć, że w razie wsypy on też będzie w to wplątany!

Consoli jeszcze raz podniósł słuchawkę. Tego ranka wiele osób odpowiadało na telefony nerwowym głosem. Byli to oczywiście urzędnicy. Politycy wyjechali z miasta. Inżynier Preuss patrzył ze smutkiem i zachwytem, jak mgła się podnosiła, a laguna zaczęła mienić się kolorami. Wschód słońca zawsze budził w nim uczucie dotkliwej samotności. Odczuwał to jeszcze jaką małą chłopiec trzymający się spódnicy matki. Przeżywał to znowu teraz, stojąc na wschodnim krańcu zamierającego miasta i słuchając świstu lądującego na Fiesolo odrzutowca.

Prawie zapomniał o katastrofie. Wczoraj zdenerwował się na wiadomość o wypadku i uczucie troski na pewno jeszcze dzisiaj powróci. Nie chciał zostać uwikłany w tę sprawę. Jeżeli ktoś zechce się jej bliżej przypatrzeć, to na pewno odkopie wiele przykrych spraw.

- Pojadę na Lido - pomyślał. - Ostatnia kąpiel, póki woda jest jeszcze ciepła. Na popołudnie miał bilet na festiwalowy film. Kilku jego studentów wybierało się razem z nim.

4

"

W wiosce, w której mieszkali Turi i Laura, znajdował się duży teren zabudowany domami i zbiornikami paliwa. Nazywał się Etnolio i był oddzielony od ulicy grubym murem. Citto przypominał sobie, że była tam kiedyś destylarnia pędząca dobry koniak z okolicznych winnic. Z tych czasów pozostał wysoki komin, a w kotłowni, w której był teraz warsztat reperacyjny dla ciężarówek, stały jeszcze wysokie miedziane kotły. Na płaskim dachu magazynu znajdował się taras. Stała tam teraz opierając się o balustradę dziewczyna w bikini. Rozmawiała z kimś, kogo nie było widać. Ponętna, ale bezwstydna - pomyślał Citto przyglądając się jej dużym piersiom, gęstym kasztanowym włosom i ciemnej skórze. Przeszedł przez bramę a dziewczyna, zobaczywszy go, krzyknęła coś do niewidocznego rozmówcy i położyła się znowu na słońcu.

- Renzo, ktoś do ciebie!

Wybrudzony mechanik wylazł spod jednej z ciężarówek. Citto zająknąwszy się jak zwykle, zapytał go o gorzelnię.

- Sprzedana - odparł młodzieniec w kombinezonie. - Interes skończył się ze śmiercią założyciela, bo jego synowie zanadto lubili łatwe życie, żeby harować w rodzinnej firmie. - Dziesięciu ludzi, straciło pracę - dodał mechanik. - Czterdzieści akrów winnicy zmarnowało się. Teraz budują tam domki campingowe dla ludzi z miasta.

Młody mechanik mówił tonem ostrym i niechętnym, może był komunistą albo faszystą. Ale Citto nie chciał wdawać się w polityczną dyskusję. Rozejrzał się po placu: cztery stare cysterny, najstarsza czarna i tłusta od oleju, równie cuchnąca co poprzedniego dnia, kiedy parkowała na chodniku niedaleko lotniska. Citto wskazał głową cysternę.

- Czy macie stałą umowę z jakąś instytucją?

- Pan myśli o konserwacji?

- O dostawach. Chłopak skinął głową,

- Dostarczamy nafty, benzyny i paliwa do diesla.

- Jesteś szefem?

- Nie.

| A kto?

- Tomacchio. Capo Tomacchio. Młody człowiek podkreślił słowo "capo".

- Czy jest w warsztacie?

- Capo jest w terenie.

- Nie wiesz gdzie?

- Pojedzie pan na prawo przez wioskę, znowu na prawo i przez most. Na szczycie wzgórza skręci pan w lewo; tam zatrzyma pan wóz i będzie nasłuchiwał strzałów.

- Poluje?

- Można to tak nazwać. Najwyżej trafia mu się szczur albo żmija.

Renzo odprowadził wzrokiem niskiego, tęgiego człowieka i zastanawiał się, czy to glina. Giuseppina pokazała się znowu na tarasie.

- Czego Chciał?

- Szukał twojego ojca.

Szczotkowała włosy powolnymi, leniwymi ruchami. Renzo przyglądał się jej ze stopni ciężarówce.

- Matka poszła na mszę - powiedziała po chwili dziewczyna.

- No to co?

- Jeżeli chcesz, możesz przyjść na górę.

Renzo roześmiał się.

- Potrzebny mi nowy kłopot?

Rzucił niedopałek papierosa i wczołgał się z powrotem pod ciężarówkę.

Zarośnięte suchymi krzewami zbocze wzgórza podzielone było na działki budowlane. Na dwóch czy trzech parcelach budowano domy. Widać było tarasy winnic, okolone systemem murów i poletek, ciągnące się od szczytu wzgórza aż do potoku w dolinie. Parcelacja terenu zrujnowała większość tych murów, pozostał tylko szkielet systemu uprawy, mający za sobą tysiącletnią tradycję.

Citto znalazł Capo Tomacchia w połowie zbocza, w gęstych zaroślach jałowca. Capo był wściekły na intruza, który zepsuł mu przyjemność czekania na kulawego zająca, na którego czyhał od początku lata.

• Citto przedstawił się, usiłując się nie jękać. > •

Powiedziano mi we wsi, gdzie pana szukać, i- Postanowił nie mieszać do sprawy mechanika. Może się jeszcze okazać potrzebny.

- Ma pan interes do mnie?

. Citto próbował wyjąkać odpowiedź, ale tamten mu przerwał:

§jj Nie wie pan, że jest niedziela?;

Citto często oceniał ludzi w zależności od ich reakcji na jego jękanie się. Tomacchio był niewątpliwie agresywny. Kiedy widział czyjąś słabość - atakował. Chara-

- Jestem dziennikarzem i zajmuję się pewną sprawą.

Doktor Risarda - przedstawił się i wymienił nazwę swojej gazety. Był przygotowany do wymienienia jeszcze pół tuzina osobistości z pełnymi tytułami - swego wydawcy, posła do parlamentu, kardynała, profesora, ono- revole, eccellenza. Chamowi trzeba zaimponować językiem, i to takim, jaki rozumie.

- Piszę artykuł o nowym lotnisku. Powiedziano mi, że pan dla nich pracuje.

Tómacchio patrzył mu prosto w oczy. Citto czuł się nieswojo za okularami. Zdjął je i zaczął polerować szkła.

- Pan się myli.

-!- Jedna z pańskich cystern była wczoraj rano na lotnisku.

- Która?

Citto odczytał z notesu numer rejestracyjny.

- Ta cysterna była wczoraj wynajęta. Nie wiem, dokąd jechała. Nie prowadził jej żaden z moich kierowców.

- Ale pan wie, kto ją wynajął?

- Chyba pan nie przypuszcza, że pojedę do miasta tylko po to, żeby znaleźć nazwisko tego faceta, co?

- To dosyć niezwykła forma wynajmu cysterny... bez kierowcy...
- Są ludzie, którzy nie mogą sobie pozwolić na kierowcę.
- Więc pan nie ma stałej umowy z lotniskiem?
- Czy pan przypuszcza, że takie mizerne przedsiębiorstwo jak moje mogłoby się dochrapać koncesji na dostawę paliwa dla lotniska? O takie sprawy trzeba walczyć w Rzymie, a mogę panu dać słowo, że nikt tam nie będzie się o mnie bić.

Capo Tomacchio złamał strzelbę i wsunął nabój do lufy.

- A teraz, jeżeli pan pozwoli, chciałbym powrócić do swojej niedzielnej zabawy. Schodząc po stoku Citto ślizgał się i potykał. Droga biegła przez gęste krzewy opuszczonej winnicy. Czuł na plecach czujne spojrzenie starego i lufę jego dubeltówki. Był to niewątpliwie agresywny cham, ale zbyt pewny siebie jak na człowieka, który coś ukrywa. A może chamy są właśnie pewne siebie, kiedy coś ukrywają?

Przechodząc przez wioskę Citto zatrzymał się po raz drugi. Mechanik zbierał się właśnie, by pójść na obiad.

- Znalazł go pan?
- Tak, bardzo dziękuję.
- Miał pełną torbę królików?
- Niezupełnie.

Młody mechanik wybuchnął śmiechem.

- Powiedział mi, że czasem wynajmuje te swoje cysterny.
- Wynajmuje? Pierwszy raz słyszę. Musiał mu się pan bardzo spodobać. Ten człowiek nie znosi nawet tego, że jeden z nas siada czasami za kierownicą tych jego cennych ciężarówek.
- Może go źle zrozumiałem. Zdawało mi się, że mówił o tym, iż wczoraj wynajął jedną z nich jakiemuś facetowi.
- Ten czamy stary gruchot? Pożyczył go przyjacielowi na jeden dzień. Cysterna wróciła brudna jak nieszczęście.
- To musiał być niezwykle cenny przyjaciel, skoro wyświadczył mu tak wyjątkową przysługę.

I Consoli. S Młodzieniec rzucił okiem na taras, z którego przyglądała im się dziewczyna. Splunął na żwir. I Taki maminsynek. Ma wyścigowy samochód i goni za dziwkami. To jego ojciec kupił tamtą winnicę.

- Nie lubisz go? , ■;■■

^ Każą mi czasem myć jego wóz.

- A co to za samochód?
- Dino. Musiał je pan widzieć. Pomarańczowo-zielone, błyszczące. Ma taki skoczny sygnał.

Na górze Giuseppina roześmiała się, a Renzo zrobił kwaśną minę.

- Ona lubi takie wozy. A on zabiera ją czasami na przejażdżkę.

Mechanik pożegnał się z Cittem skinieniem głowy i nie spojrzawszy na dziewczynę poszedł na obiad. Młody człowiek z zasadami. Nie ma powagi zwolenników prawicy - pomyślał Citto. - Pewnie jest czarną owcą swojej wsi, gdzie przypuszczalnie czterdzieści procent mieszkańców głosuje na neofaszystów, a reszta na chrześcijańską demokrację. Rodzina Consolich była chadecka. Zupełnie inne środowisko niż to, w którym obracał się zapewne Capo Tomacchio. Citto nie rozumiał, co ich mogło łączyć.

Podniósł wzrok na taras, na którym dziewczyna bawiła się z dużym owczarkiem uwiązany na łańcuchu. Rzuciła mu kość a potem chwyciła ją, zanim pies mógł jej dosięgnąć. Citto miał wrażenie, że tak samo traktowała mężczyzn.

Renzo przechodził właśnie przez plac, kiedy Citto go dogonił.

- Niezła dziewczyna – powiedział.
- Należą jej się dobre baty.
- Od ciebie?
- Od każdego, kto by ją chciał wziąć w garść.

Citto pociągnął chłopca w stronę wiejskiego zajazdu.

- A ty nie?
- Jestem tylko mechanikiem.
- Podobasz jej się?
- Wielu młodych ludzi jej się podoba.
- I co ty na to?
- A ciebie co to obchodzi?

Citto zamówił dwa piwa. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Ja płacę za siebie - powiedział Renzo, kiedy przyniesiono kufle. Nie lubię zaciągać długów.

- Czy ja cię o cokolwiek proszę?
 - PrzeRtań kręcić i mów, o co chodzi.
 - Jestem dziennikarzem. Chciałem ci zadać kilka pytań dotyczących twojego szefa i jego przedsiębiorstwa.

- Skąd mam wiedzieć, że jesteś naprawdę dziennikarzem?

Citto wyjął z kieszeni legitymację dziennikarską i położył ją na stole.

- Możesz zatelefonować do redakcji i zapytać o mnie.

Ku zdziwieniu Citta Renzo z legitymacją w ręku poszedł w kąt baru do telefonu.

Co za ostrożność w jego wieku! - pomyślał Citto, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Ten młody człowiek jest solidny. Nie będzie kręcić ani kłamać.

Renzo wrócił do stołu wyraźnie zadowolony i gotowy do rozmowy. Kiedy po dwudziestu minutach Citto opuszczał wioskę, znał dokładnie metody działania "Etnolio", wraz z tygodniowym rozkładem dostaw i odbiorów paliwa. Jedna operacja zainteresowała go szczególnie. Był to wyjazd pustej cysterny z przyczepą w połowie każdego tygodnia w okolice gór Peloritano celem odbioru paliwa z rafinerii Milazzo. Renzo powiedział, że Capo zawsze sam siadał za kierownicą i jechał przez góry, a nigdy autostradą wzdłuż wybrzeża. Górską drogą przebiegała tuż obok lotniska.

Flavio Consoli wywiązał się dobrze ze swojego zadania: zaprzyjaźnił się z prokuratorem i nawiązał flirt z jego córką.

Pracował ciężko w czasie obiadu, starając się /zachować zasady dobrego wychowania i pokazać swój wdzięk.

Nikt nie zwrócił uwagi na drobne potknięcia, a po kawie tłusta pensjonarka postarała się wynagrodzić mu jego poświęcenia. Podczas spaceru przez gaj pomarańczowy Flavio zdobył się na dyskretny pocałunek złożony na jej policzku.

Wywołało to natychmiastowy efekt,

Podążyła mu ustami, odsłoniła wielkie, nabrzmiałe piersi i przywarła do niego biodrami. Na szczęście zjawił się zza drzew jej brat i przerwał tę gwałtowną scenę.

Flavio zabrał brata na przejażdżkę swoim dino. Prokurator został zasypany komplementami na temat pomarańczowego gaju, a córka otrzymała zaliczkę na przyszłe rozkosze. Rozmowa o katastrofie lotniczej ograniczyła się do ogólników. Jednakże Flavio odniósł wrażenie, że liczne telefony i wizyty, które przerywały niedzielny odpoczynek prokuratora, dotyczyły różnych aspektów tragedii. Jednym z gości obiadowych był starszy magistrato, który wczoraj kierował akcją ratunkową. Powracając do domu samochodem Flavio wydobył kieszonkowy magnetofon i nagrał zasadnicze punkty rozmowy przy stole. Najważniejszym z nich było nazwisko młodego magistrato, który przejął dochodzenie na miejscu wypadku. Zbyt zapalony

młody człowiek, powiedział o nim prokurator. Flavio miał zamiar przekazać wszystkie te szczegóły ojcu po jego powrocie z Rzymu.

Następnie przekreślił wyłącznik magnetofonu i puścił na cały regulator muzykę z kasy. Dźwięki rocka niosły się za samochodem i wraz z wyciem sześciu cylindrów samochodu budziły do życia ciche uliczki mijanych wiosek. Go ojciec powiedziałby na ten interes z Tomacchiam? - zastanawiał się Flavio. - Czy warto go o tym poinformować na wypadek, gdyby coś poszło krzywo?

5

Mimo Ostrzeżeń prasy, radia i telewizji, które mówiły o niedostępności miejsca katastrofy, przez całe przedpołudnie samochody płynęły po wąskich drogach nieprzerwanym strumieniem w górę, wywołując korki. Żadni sensacji turyści zaopatrzyli się w żywność i napoje i w porze obiadowej przydrożne lasy zaśmiecone były puszkami po coca-coli, papierami, roztrzaskanymi butelkami, tekturowymi talerzami, plastikowymi kubkami, widelcami i nożami. Niektóre rodziny, zgodnie ze zwyczajami weekendowymi, zabrały ze sobą śmieci z domów w plastikowych workach i ozdobiły nimi przydrożny krajobraz.

Korkom na drogach towarzyszyło wycie klaksonów i warczenie rozgrzanych silników. Po południu policja drogowa zanotowała liczne awarie silników, akumulatorów, wiele zderzeń i poślizgów. Kombinacja wszystkich tych wypadków wywołała w końcu całkowite zatarasowanie drogi.

Potem niedopałek papierosa albo rozbita butelka spowodowała zapalenie się leśnego podszycia. Pasażerowie samochodów przyglądali się smugom dymu z uśmiechem, jakby to była jeszcze jedna rozrywka. Ale po dziesięciu minutach podmuch wiatru zamienił nagle tłące się wrzosowisko w ścianę ognia.

Pożar szybko ogarnął półtora kilometra lasu stumetrowym pierścieniem. W dwóch miejscach odciął drogę i odizolował ponad trzydzieści samochodów unieruchomionych w pętli serpentyny. Po południu wiatr wzmógł się i skręcił z południowego wschodu na północny zachód, kierując pożar na stojące samochody. Każdy poryw wiatru wyrzucał słup płomieni na dobre pięćdziesiąt metrów naprzód. Prerażeni pasażerowie zdołali uciec, ale wozy zniknęły w chmurze dymu.

Znad miejsca katastrofy lotniczej wojskowy helikopter przekazał drogą radiową wiadomość o pożarze i kilka francuskich samolotów przeciwpożarowych typu CL-215, które stały na lotnisku Taranto po ugaszeniu pożarów leśnych w Gargano, zostało wysłanych do akcji na miejsce. Front ognia rozszerzył się już do trzystu metrów, a silny wiatr północny groził pochodem płomieni w stronę podgórskich wiosek.

Słupy dymu i ognia na stokach góry przyciągnęły nowe setki samochodów w pobliże wulkanu. Karabinierzy i policja drogowa zablokowała teraz drogi, ale było to pociągnięcie spóźnione o dwa dni. Mieszkańcy okolicznych wiosek widzieli już podobne sytuacje. W czasie ostatniego wybuchu wulkanu takie same twarze gapily się z zaparkowanych samochodów, które później zostały spalone i zalane lawą. Od tego czasu datowała się niechęć tubylców do gapiów, toteż słuchali wieści o palących się samochodach i odciętych przybyszach z miasta ze złośliwym zadowoleniem.

Ludzie prowadzący dochodzenie na miejscu katastrofy "Tanga November" przerwali pracę i przyglądali się samolotom przeciwpożarowym. Pobierały one wodę z morza, a potem pędziły, wyjąc jak bombowce w czasie wojny, do ataku na płomień. Przelatywały co dziesięć sekund wzdłuż linii ognia, pierwszy raz na próbę, aby ocenić siłę wiatru, a następnie kolejno wyrzucały swój mokry ładunek, cztery i pół tysiąca litrów wody, w kierunku czoła pożaru. Pięćdziesięciometrowy pas ognia przygasał, a zaraz potem następny samolot zrzucał swój ładunek w to samo miejsce,

tylko że nieco bardziej ku przodowi. Kiedy następny podmuch wiatru próbował 'rozdmuchać płomień, rozpalają się one tylko w kilku miejscach. W przesiąkniętych wodą zaroślach tliły się jeszcze skupiska ognia.

| Potrzebują co najmniej sześciu samolotów - myślał Raille obserwując dwa aparaty powracające nad morze dla pobrania wody. f Zanim powrócą, minie dobre dwadzieścia minut, przez ten czas pożar odrobi połowę utraconego terenu, co najmniej pięćdziesiąt metrów. Musiałyby powtórzyć manewr dziesięć razy, żeby całkowicie

zdusić pożar. Wątpił, czy samoloty mają paliwo na pięć godzin lotu.

Pożar lasu był dla pracujących przy wraku czymś w rodzaju rozrywki. Nie czuli bezpośredniego zagrożenia, a długa smuga dymu, która zwróciła się obecnie na południe, w kierunku miasta, nie utrudniała ruchu helikopterów.

Natomiast żar promieni słonecznych bardzo utrudniał robotę przy wraku. Temperatura w przedniej części kadłuba przekroczyła sześćdziesiąt stopni i trzeba było ewakuować dwóch pracowników, którzy zasłabli w czasie pracy.

Na szczęście udało się już odtransportować z miejsca wypadku wszystkie zwłoki ofiar. Ostatni transport odleciał wraz z Macem. Przedtem przedostał się on razem z Lanym Rallem do kabiny pilotów, żeby raz jeszcze odtworzyć dokładnie pozycję czterech znalezionych tam trupów i znaleźć przyczynę obrażeń rąk i nóg Duckhama, które stwierdzono podczas sekcji. Mac i Raille doszli do wniosku, że w momencie zderzenia kapitan samolotu "lądownał" maszynę. Klapy znajdowały się w położeniu do lądowania, a szczątki podwozia rozrzucone na trasie przebijania się samolotu przez las, wskazywały na to, że koła jego były opuszczone i zamocowane. Jedynym szczególnie niezgodnym z normalnym przebiegiem operacji lądowania był fakt, że prawa ręka Duckhama znajdowała się na dźwigni przeciwpożarowej. Zastanawiający był również tor lotu maszyny w ostatniej fazie. Jak stwierdził poprzedniego dnia Burden, wskazywał on niewątpliwie na to, że samolot znajdował się w lewoskrętnym łuku. Potwierdził to ponadto fakt, że kadłub samolotu był skręcony w tę samą stronę, a jego lewe skrzydło wbite w ziemię. Strzaskana prawa stopa Duckhama oparta była na orczyku kierunkowym, z czego wynikało, że próbował on przeciwdziałać temu skrętowi. Sugerowało

to także, iż z niezrozumiałych na razie przyczyn pilot nie panował całkowicie nad maszyną. | - Co sądzisz o porywaczu? - Zapytał Raille Maca.

- Nie mogę nic powiedzieć na ten temat. Muszę najpierw zobaczyć jakieś dowody.

Patolog był człowiekiem szorstkim i krytycznie odnosił się do tych medycznych aspektów katastrofy, które wiązały się z przebiegiem lotu w ostatniej fazie.

- Czy pan założy się ze mną? - zapytał Maca. - Stawiam po dziesięć dolarów na głowę każdego pasażera, że stu trzydziestu przeżyło zderzenie. - Było jasne, że jego raport nie będzie stanowił przyjemnej lektury.

Treść tego jeszcze nie napisanego raportu niepokoiła wielu ludzi. O czwartej rano obudził Raillego telefon z Waszyngtonu. Proponowano mu zastępcę.

- Słyszeliśmy, że pana żona wydaje ważne przyjęcie - mówił głos w słuchawce. - Może pan wróci? Wyznamy kogo innego do prowadzenia śledztwa.

Raille domyślał się, kto mógłby być tym zastępcą. Któryś z republikańskich karierowiczów, przyjęty w drugiej połowie prezydentury Nixona. Człowiek na pewno zaufany i dyskretny, gotów, by walczyć o dobrą opinię nieszczęśliwego modelu "119".

Raille uprzejmie odrzucił propozycję. Bez jego zgody nie mogli go wycofać. Było na to za późno. Znajdował się tu jako akredytowany przedstawiciel, odpowiedzialny jedynie przed Prezesem Zarządu. Wysłano go po to, żeby zrekonstruował możliwie

jak najdokładniej okoliczności katastrofy, niezależnie od konsekwencji dla posad pewnych ludzi czy też wpływu na wyborców. Niezależnie od skutków, jakie katastrofa mogła mieć dla dalszej produkcji modelu "119". Jeżeli samolot miał jakieś wady, to teraz była okazja, żeby je wykryć.

Przybyły wreszcie zespoły z Seattle i z Burbanku. Inżynierowie rozłożyli wielkie płócienne płachty koło silników i wkrótce wykryli, że generator w silniku numer jeden był wyłączony. Ponieważ model "119" nie jest zaopatrzony w generator awaryjny, to po wyłączeniu silnika numer dwa "Tango November" mogło polegać tylko na jednym, pozostałym mu generatorze.

Wszystkie części samolotu miały wkrótce zostać poddane badaniom mikroskopowym, prześwietleniu promieniami Roentgena, a fotografie szczegółowo przeanalizowane, złożone jak łamigłówka, zaś elektryczne i mechaniczne zespoły poddane próbom. Może w ten sposób wyjaśni się przyczyny alarmów pożarowych, wyłączenia generatora numer jeden i wpływ tych zabiegów na zachowanie się samolotu.

Larry Raille zajął się ponownie szczątkami kokpitu. Tego dnia natrafił na nową tajemniczą poszlakę: była to notatka na pokrzwawionym i wymiętym bloczku mechanika pokładowego, znalezionym w szczelinie podłogi. Mechanik pospiesznie nakreślił słowa: "Akumulator przeładowany".

Należało teraz przystąpić do delikatnej operacji rozebrania systemów elektrycznych i hydraulicznych. Przyrządy pokładowe miały być sfotografowane promieniami ultrafioletowymi dla stwierdzenia oryginalnych odczytów, obwody sprawdzone i prześwietlone celem wykrycia śladów zwarć, a wreszcie miano wykonać zdjęcia odcisków palców z dźwigni i przełączników dla stwierdzenia, którzy członkowie załogi nimi manewrowali, i wykrycia czy tajemnicza kobieta nie przeszkadzała pilotom w pracy.

Stawało się jednak coraz bardziej widoczne, że koncepcja "porywacza" była bezpodstawna. Stwierdzono dwie wady techniczne, z których żadna nie była ani groźna, ani niezwykła, ale ich kombinacja stanowiła niebezpieczeństwo, jak to zazwyczaj bywa w wypadkach lotniczych W okresie pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa

Raille zanalizował przeszło czterdzieści wypadków, które wydarzyły się zarówno jednoosobowym szybowcom, jak wielkim jumbojetom. Niektóre skończyły się tylko złamaniem nosa stewarda przy przymusowym lądowaniu, inne - gigantyczną katastrofą. Za każdym razem - jeżeli tylko można było ustalić szczegóły - dochodzenia stwierdzały kombinację różnych okoliczności. Wchodziły w rachubę: wada konstrukcyjna, zła konserwacja, warunki atmosferyczne, błąd pilota, zmęczenia albo stesy, zużycie materiału, a przede wszystkim pech - i to właśnie w dziedzinie, w której, teoretycznie przynajmniej, przypadek powinien być wyeliminowany. Raille usiłował wyobrazić sobie Duckhama w oku burzy, nawigującego bez jednego silnika, z uszkodzonym generatorem, prawdopodobnie przemęczonego i na pewno bardzo zdenerwowanego.

W lotnictwie wojskowym zdarzyło się Raillemu latać na starfighterach. I niejednym raz w takiej sytuacji awaryjnej zdarzało mu się robić w portki ze strachu.

Ralph Burden obserwował przez lornetkę z balkonu swojego hotelu unoszącą się w odległości dwudziestu kilometrów chmurę dymu. Początkowo myślał, że to pali się "Tango November" i że może powtórzy się wypadek sprzed kilku lat, kiedy samolot RAF-u po spadnięciu w tropikach zapalił się samoczynnie od promieni słonecznych.

Wytoczył przy pomocy kompasu linię na mapie i stwierdził, że źródło ognia znajduje się około ośmiu kilometrów w bok od miejsca katastrofy. Doszedł więc do słusznego wniosku, że pożar został zaprószonej w lesie przez gapiów.

Wrócił do pokoju i usiadł przy stole, na którym zaczynały piętrzyć się stosy teczek, papierów, wykresów i najrozmaitszych notatek. Z samego rana Burden otrzymał od inspektora bezpieczeństwa linii Greyhound dane dotyczące "Tanga November": ciężar ładunku, ciężar samolotu z paliwem podczas startu*, a także dodatkowe informacje kompletujące zapiski pokładowe samolotu. Burden szybko przejrzał cyfry dotyczące konserwacji maszyny i wynotował to, czego mu było trzeba. Powinien był przekazać dane Amerykanom, skoro tylko powrócą wieczorem do hotelu. Sporządził następnie dokładną chronologię kolejnych opóźnień lotu, zaczynając od chwili, kiedy Duckham zarządził ponowną kontrolę silnika numer dwa, następnie obliczył czas konieczny na dostosowanie urządzeń kabiny dla celów cywilnych po transporcie wojskowym, zajął się przyczynami pierwotnego opóźnienia i kontroli silników w Niemczech. Do chwili katastrofy "Tango November" latał siedem miesięcy i maszyna nie wykazywała większych wad technicznych. Dziennik pokładowy zawierał drobne zapisy, dotyczące obluźnianego fotela, stolika czy popielniczki, zacinających się pasów, małego uszkodzenia górnej półki bagażowej. Burden wynotował to wszystko. Wysłuchał wczoraj dłuższego raportu Maca na temat warunków panujących we wnętrzu kabiny pasażerskiej. Mac sądził, że sprawa wadliwych pasów może okazać się ważna przy sprawozdaniu lekarskim, a Amerykanom' może nie przyjść do głowy, ażeby przekazać Burdenowi odpowiednie dane.

Na trzydziestu kartkach białego papieru Burden naszkicował przebieg całego lotu od piątku wieczorem do soboty rano. Pionowymi liniami rozdzielił czas na półgodzinne odcinki, a ostatnie trzydzieści minut przed zderzeniem podzielił na jednonominutowe sekcje. Poziome linie wyznaczały członków załogi, ich czynności, a także ich komunikację z poszczególnymi lotniskami i kontrolerami lotów. Zostało jeszcze miejsce na zapisy wysokości, szybkości i kierunku lotu oraz pozycji samolotu na wypadek, gdyby "czarne skrzynki" monitorujące lot zostały odnalezione. Wreszcie u dołu każdej stronicy Burden pozostawił dwie puste rubryki z napisem: "Kobieta-in- truz" i "Możliwość porwania".

Cztery kartki papieru poświęcił Burden na podsumowanie biograficznych i zawodowych danych, dotyczących trzech członków załogi i ważniejsze informacje o sześciu stewardesach. Na razie tylko jedna z tych kartek była wypełniona i Burden odłożył ją na bok. Cały wieczór i połowę nocy spędził snując dawno zapomniane wspomnienia o ludziach i miejscach. Nie chciał jednak myśleć o ostatnich chwilach Duckhama. Być może, iż żona "Dixie'go" - jeżeli przyjedzie-będzie mogła pomóc w odtworzeniu jego stanu psychicznego.

Życiorys mechanika pokładowego był znacznie mniej skomplikowany i zdaniem Burdena, podejrzenie prosty. Przeglądając akta RAF-ii dotyczące Ravena, Burden stwierdził, że Raven był kawalerem bez bliższej rodziny i że przeniósł się przed trzema laty w wieku trzydziestu sześciu lat z wojska do lotnictwa cywilnego. W ciągu osiemnastu lat służby wojskowej awansował bardzo powoli. Jego kariera w RAF-ie była stosunkowo świeża. Burden odłożył teczkę mechanika na bok.

Drugim pilotem był Peter Nyren. Urodzony w 1946 roku; ojciec kanonik, Ash Nyren, matka Evelyn Mary z domu Fawcett, umarła w 1959 roku. Uczęszczał do szkoły podstawowej w Oxfordzie, a potem studiował w Radley. Wstąpił do szkoły lotniczej w Hamble w 1965 i skończył ją w 1968 roku z przeciętnymi i dobrymi stopniami. Zaczął pracę w linii Court w 1968 roku, latając na samolotach typu "111".

Przed ośmioma miesiącami został zaangażowany przez Greyhounda i wysłany do USA na kurs pilotażu maszyn typu "119" Pracę rozpoczął po dziesięciu tygodniach nauki.

Burden wypisał najważniejsze detale: wiek - 29, IJam- ble, na dzień 5 września godzin lotu 1 847, sześć lat na 111-kach. Na dnie teczki znalazł dwie luźne kartki. Jedną była fotokopia listu zaadresowanego do kapitana pilotów linii Greyhound, Duckhama, drugą kopia odpowiedzi. Burden rzucił na nie okiem, zauważył słowo "skarga" oraz "żałuję" i postanowił zapoznać się z nimi szczegółowo. >

List Petera Nyrena do Duckhama napisany był odręcznie starannym pismem i - jak przypuszczał Burden - przepisany z mocno pokreślonego brulionu.¹ Szanowny Panie Kapitanie,

zwracam się do Pana oficjalnie, jako do szefa pilotów, i chciałbym, żeby list ten i moje zażalenie znalazły się w oficjalnych aktach.

Dziwne - pomyślał Burden - że te listy pozostały w teczce. Żadna linia nie lubi publicznego prania brudnej bielizny, zwłaszcza nazajutrz po katastrofie.

Kiedy przystąpiłem do służby w Towarzystwie, dano mi do zrozumienia, że starszeństwo moje zostanie, zgodnie ze zwyczajami, określone na podstawie długości zatrudnienia w linii. Pan zaś powiedział mi, że będę wkrótce awansował na kapitana. Ostatnio jednak zaczął Pan rekrutować starszych pilotów latających na 119 na kapitanów, proponując im od początku trzeci, czwarty lub piąty stopień w siatce płacy. Wydaje mi się, że wykorzystuje Pał) naszą przyjaźń, żeby postawić wobec faktów dokonanych mnie i młodszych drugich pilotów, których punkt widzenia reprezentuję. Nie będzie chyba przesadą, jeżeli określe takie postępowanie jako nadużycie zaufania. Uważani za swój obowiązek przekazanie Panu przeważającego wśród oficerów poglądu na tę sprawę, gdyż wobec tego, że pański prestiż został naruszony, dalsze pełnienie przez Pana funkcji kapitana pilotów może poważnie zakłócić harmonijne stosunki wśród pracowników Towarzystwa. Przykro mi, że mimo gościnności i względów, jakie okazywał mi Pan w przeszłości, zmuszony jestem pisać do Pana w tym tonie. Proszę mimo to przyjąć moje serdeczne pozdrowienia dla pańskiej rodziny.

Serdeczne pozdrowienia na końcu takiego listu zabrzmiały ostrzej niż pogroźka. Pisana na maszynie odpowiedź Duckhama zawierała tylko potwierdzenie odbioru listu, nie było w niej ani wyrazów żalu, ani niechęci, ani pozdrowień. Obydwa listy nosiły daty z trzeciego tygodnia lipca. Czy oni widzieli się od tego czasu? W piątek wieczorem Nyren miał dyżur; Poleciał na "Tangu No- vember" zamiast chorego kolegi. Czy był to pierwszy wypadek od czasu kłótni, kiedy Nyren i Duckham znaleźli się ra^em w samolocie?

Znowu "Dixie" Duckham! Burden bez trudu wyobrażał go sobie w kłótni. Ale jego znajomość tego człowieka pochodziła sprzed trzydziestu lat.

Był zadowolony, kiedy zatelefonowano, że obiad jest gotowy. Usiadł przy stoliku i zaczął się mocować z talerzem spaghetti. Pomyślał, że Duckham na pewno wyszydziłby go za niezdatny sposób jedzenia.

6

Biuro prokuratora, nie uwzględniając ekspertyzy technicznej z miejsca wypadku, wystosowało tego popołudnia komunikat prasowy, w którym ponownie podało wersję porwania samolotu, i to bez stosowanych w takich przypadkach zastrzeżeń.

Młodszy magistrato zaprotestował wobec kolegi przeciwko ogłaszaniu bezpodstawnych i nieodpowiedzialnych wiadomości. Powiedziano mu, że komunikat prasowy był niefortunnym nieporozumieniem, ale że jest za późno na sprostowanie. Po przeczytaniu komunikatu Sharlie zatelefonował do Citta do redakcji.

- Wygląda na to, że jest po wszystkim.
- Dopiero się zaczyna - odpowiedział Citto. - Gdzie się szwendałeś?
- Szukałem mamy.
- A może jeździłeś motocyklem swojego kuzyna...
- Być może.

I Wybierz się nim na górę, pali się tam las. Mógłbyś zrobić dobre zdjęcia. Jak się ściemni, spotkamy się przy domku doktora.

- Jakiego doktora?
- Znajdź swoją uroczą kuzynkę i weź ją ze sobą. Ona będzie wiedziała, o jakiego doktora chodzi.

Sharlie skrzywił się.

Czuję, że go stracę - pomyślał Citto po odłożeniu słuchawki. - Sharlie nie jest tu szczęśliwy i na pewno jutro wróci do Rzymu.

Citto zdjął marynarkę i zszedł do archiwum w podziemiach redakcji. Całe popołudnie spędził na przeglądaniu starych numerów notatek i indeksów, szukając informacji o Tomacchii i Consolim.

Z Tomacchio nie było problemu. Trzydzieści lat pracy zrobiło z wiejskiego chłopaka właściciela niewielkiego przedsiębiorstwa. Pod koniec wojny miał kłopoty, ponieważ sprzedawał na czarnym rynku artykuły skradzione w szpitalu brytyjskim. Dostał rok więzienia, ale po siedmiu miesiącach wyszedł na wolność z amnestii. Udało mu się też ukryć część zarobionych pieniędzy. W 1950 roku miał już mały garaż, a w pięć lat później kilka ciężarówek. W 1959 roku reklamował własne przedsiębiorstwo transportowe. Kombinator na małą skalę, dość twardy, kiedy w grę wchodziły jego drobne interesy. Przed trzema laty sprzedał przedsiębiorstwu budowlanemu winni cę i kupił gorzelnię. Niewątpliwie w tym czasie pojawili się Consoli, p&re et fils.

Sylwetka adwokata Consoliego była znacznie trudniej- .sza do określenia.

Należał do kategorii ludzi, którzy do biura jadą samochodem z szoferem i policyjną eskortą dla ochrony przed ewentualnymi porywaczami. Od wielu pokoleń rodzina Consolich roila się od miejscowych adwokatów, poborców podatkowych i administratorów majątków nieobecnych zazwyczaj obszarników i magnatów. Obecna głowa rodu wkrótce po wojnie związała się z partią chrześcijańskiej demokracji. Przed dziesięciu laty partia załatwiła mu niewielki urząd w Rzymie, skąd Consoli powrócił do Katanii, by kierować wszystkimi - uprzejmie mówiąc- machlojkami partyjnymi. Prowadził nadal kancelarię adwokacką i był związany z dużymi przedsiębiorstwami na wschodnim wybrzeżu wyspy, od rafinerii w Augustie aż po autostradę i nowe lbnisko. Utrzymywał też niewątpliwie bliskie stosunki z politykami i członkami, administracji na wszystkich szczeblach. Miał dostęp do wydziałów planowania, nie mówiąc już o wpływie na rozdział funduszy publicznych, pochodzących bądź z Rzymu, bądź z Brukseli.

Ważnie przed rokiem, przy okazji jakiejś lokalnej imprezy partyjnej, dziennik sporządził jego "profil" "Człowiek skromny - pisał reporter - uczuciowo bardziej związany z wsią niż z miastem". Adwokat mieszkał na własnej farmie, położonej na południowym zboczu góry.

Citto sprawdził numer telefonu. 62-58991. Cyfry kierunkowe wskazywały na pokryte pomarańczowymi sadami okolice Paterno. Na chybił trafił nakręcił numer i długo czekał, zanim ktoś się odezwał. Casa Consoli 1 powiedział niepewnie kobiecy głos, 1 Chciałbym mówić z panem mecenasem, i Niestety nie ma go w domu. Wyjechał wczoraj. » Kobieta mówiła, jakby się tłumaczyła.

- Sprawa jest dość ważna. Czy pani przypuszcza, że zastanę go dziś wieczorem w domu?
- Niestety nie. Żałuję, ale wróci dopiero jutro.

- Czy mógłbym go jakoś złapać telefonicznie?
- Jeżeli zadzwoni, mogę mu przekazać wiadomość.

'Citto spróbował podstęp.

- Poproszono mnie, żebym się z nim jutro spotkał. - Jąkanie nadawało kłamstwu pozory prawdy.

Kobieta uwierzyła mu.

- Pan mówi o spotkaniu na lotnisku?
- Tak.
- Proszę chwileczkę poczekać.

Nastąpiła pauza.

- To jest lot numer AZ140. Niestety, nie mogę znaleźć godziny przylotu.

- Dziękuję, signora.

- Czy można wiedzieć, kto mówi? - zapytała kobieta, ale nie otrzymała już odpowiedzi.

Wchodząc na schody zastanawiała się nad tą całą serią dziwnych pytań. Nic nie powie mężowi, kiedy ten wróci do domu. Na pewno ją złaje. Przypomniała sobie, że kategorycznie zakazał jej wyjaśniania komukolwiek, że poleciał do Rzymu AZ140. Zdradziła numer jego lotu. Ciągłe jakieś intrygi - myślała - stale nie wolno mi czegoś mówić albo czegoś robić. Signora Consoli powróciła do swojego cichego, zaciemnionego pokoju. Służące miały wolne popołudnie, a do pójścia na mszę pozostały jeszcze dwie godziny.

W hotelowym pokoju Julii żaluzje były także spuszczone. Panował mrok. Przy jej łóżku stał dzban z mrożoną lemoniadą, o którą nie prosiła, ale żona właściciela przyniosła napój zaraz po przyjeździe Julii.

Taksówka zatrzymała się pod stromymi schodami prowadzącymi do pensjonatu.

Julia miała trudności z zapła-

ceniem taksówkarzowi, który zawile tłumaczył jej taryfę. W końcu podała mu portmonetkę i kazała samemu pobrać należność.

Przez całą podróż z Anglii Julia Duckham nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Dzieci pozostały z Pam, samochód zawiózł ją na lotnisko w Heathrow, w Rzymie stewardesa Alitalii już na nią czekała i przeprowadziła do samolotu odlatującego do Katanii, a tam pilot osobiście towarzyszył jej do taksówki. Zsalutował i czekał aż taksówka odjechała. To taka masonska solidarność - myślała Julia - wzajemna pomoc lotników i ich rodzin, kiedy któremu z nich coś złego się zdarzy.

Straciła poczucie rzeczywistości. W domu był teraz czas podwieczorku i Pam na pewno przywołuje dzieci z ogrodu. Rowery i wózki dziecięce trzeba odstawić do garażu, a potem zebrać maliny, jabłka i szpinak na kolację. Julia usiłowała myśleć o szczegółach, ale gubiła się w nich po chwili. Wiedziała, że zaraz znowu powróci świadomość koszmaru. Nie mogła się nawet zmusić do zatelefonowania do dzieci, tak jak obiecała.

"Devo vedere il corpo di mio marito, il pilota". Przygotowała sobie to zdanie z pomocą taksówkarza: "Muszę zobaczyć ciało mojego męża, pilota".

Szpitala, kostnice, posterunki policyjne - próbowała porozumieć się z nimi przez telefon. Co oni zrobili z Mike'em? Czy z niego w ogóle coś pozostało? Muszę zobaczyć jego ciało, bo inaczej nigdy nie będę mogła zaakceptować tej śmierci.

Na balkonie stał rząd doniczek pelargonii, z placu pod oknami dochodził gwar ludzkich głosów, a z podwórza zapachy potraw. Stale obiecywali sobie z Mike'em, że kiedy on przejdzie na emeryturę, pojedą do takiego właśnie pensjonatu. Hjoj, "Chodź, dziewczyno, to jest przygoda!" - słyszała te

słowa Mike'a, widziała jego zachęcający uśmiech, czuła pod łokciem jego opiekuńczą dłoń.

Przypomniła sobie pierwszy spędzony z nim wieczór. Jej siostra, stewardesa, została zatrzymana gdzieś w Niemczech przez mgłę. Mieszkały razem, niedaleko szpitala, w którym pracowała Julia. Mike przyszedł, żeby zabrać na kolację Pam, i prawie się ucieszył, kiedy dowiedział się, że jej nie ma.

“Chodź ze mną do miasta - powiedział do Julii. - Pójdziemy, gdzie nas fantazja poniesie”. Wstąpili do Bentleya na ostrygi i wędzonego łososia, do Rulesa na bazar, a potem przeszli na drugą stronę Strandu na budynek z syropem i kremem u Simpsona. Fantazja Mike'a była kosztowna. W każdym lokalu wypili butelkę wina, a potem, kiedy znaleźli się na moście Waterloo, Mike pocałował Julię po raz pierwszy i bardzo delikatnie. Mówił, że podrywa ją “po staroświecku”, a kiedy doszli do domu Julii, byli tak zalani, że nie mogli zdobyć się na nic więcej niż chichoty.

- Mój Boże 1 powiedział Mike nazajutrz rano - jaka ty jesteś inna niż twoja siostra. Pam to prawdziwa “cnotka”.

Pam była jego kochanką od sześciu miesięcy, ale fakt, że Mike był żonaty i miał córkę, nie dawał jej spokoju.

Rano Mike oświadczył się Julii, chociaż się nawet ze sobą nie przespalili.

B Proponuję ci udział w moim życiu. Masz mnie całego i bez reszty, z wyjątkiem ojcowskich uczuć i obowiązków wobec córki.

Tego samego dnia spotkał się z Pam i wszystko jej opowiedział, a potem rozwiódł się. Potrafił nawet przekonać do Julii swoją córkę.

I tak zaczęło się to wszystko przed dziewięć laty dzięki mgłę, która unieruchomiła trident na lotnisku Lohausen w Dusseldorfie. Po to, żeby zakończyć się tutaj, przez inny samolot, w innym kraju i z nie znanych na razie przyczyn.

Po raz pierwszy Julia zaczęła się zastanawiać nad powodem katastrofy. Przypomniła sobie, jaki zrozpaczony był Mike, kiedy niedawno zginął jeden z jego kolegów.

- Nie wierz im, dziewczyno. Zobaczysz, będą chcieli udowodnić, że zawinił pilot. Martwi piloci nie mogą się wytłumaczyć.

Julia siedziała zgarbiona na brzegu łóżka w ciemnym hotelowym pokoju. Było późno, o wiele za późno na kolację, jak głosiła kartka na drzwiach. Właściciel hotelu przyszedł jednakże po Julię i zaprowadził ją do pustej jadalni. Wskazał miejsce przy oknie, nalał jej wina i postawił przed nią tacę z wędliną i sałatkami. Piła i jadła mechanicznie, patrząc na oświetlony plac i wciąż słyszała głos Mike'a, oczami duszy widziała jego smukłą sylwetkę.

■ • . 7

Mac “zorganizował” swoich nieboszczyków. Ponumerowani i poznaczeni, zostali ułożeni w plastikowych workach na naprędcie skleconych półkach w wagonach-chłodniach, ustawionych w bocznicę kolejowej w pobliżu targowiska miasteczka po wschodniej stronie wulkanu. Cała ta operacja, została przeprowadzona przez Turiego przy pomocy miejscowych karabinierów. Tera2 lekarz wraz z Macem przebywali o półtora kilometra od bocznic, w podziemiach tego samego szpitala, którego chirurg - bez większych nadziei - usiłował ratować życie Tina G.

Na szczęście nikt jeszcze nie znał miejsca, w którym znajdowały się ofiary katastrofy. Nawet mieszkańcy miasteczka nie domyślali się zawartości furgonów, służących do przewożenia mięsa, które kursowały pomiędzy bocznymi drzwiami szpitala a bocznicą kolejową 1 i tłumnie przechadzali się po placu, jak każdej niedzieli.

Dentysta z RAF-u przyłączył się do Maca i Sanju. Przybyli też dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego z Londynu i przystąpiono do identyfikacji zwłok. W większości przypadków opierano się na medycznych albo dentystycznych danych, gdyż bezpośrednio rozpoznanie ofiar nie było możliwe. Rozkradziono większość portfeli i dokumentów, a nawet te zwłoki, które nie spaliły się doszczętnie, znajdowały się w takim stanie, że trudno by było pokazać je rodzinom. Mac wiedział już, że mężowie, żony i rodzice niechętnie potwierdzają tożsamość silnie uszkodzonych zwłok. Toteż lepiej było zrezygnować z ich udziału.

Zespół Maca postanowił zorganizować całą tę operację w dwóch rzutach. W pierwszym przeprowadzi się tylko identyfikację. Natomiast przewidziane w drugim etapie sekcje zwłok zarządzane zostaną wówczas, kiedy po pozytywnej identyfikacji rodzina albo władze otrzymają oficjalny akt zgonu. Ogłoszona dotychczas Usta ofiar opierała się wyłącznie na danych dostarczonych przez biura podróży, co nie wystarczało z prawnego punktu widzenia. Mac wiedział, że miną jeszcze dwa dni, a opinia publiczna zacznie domagać się pochowania zwłok lub wysłania ich do kraju. Wolałby mieć więcej czasu. Chciał mieć wyniki sekcji wszystkich zwłok, bo tylko brutalna statystyka, ? drastycznymi szczegółami, pozwoliłaby mu sporządzić bardzo ostre sprawozdanie. Na razie przeprowadzono sekcje trzech zwłok pobranych z trzech różnych części kabiny. Wyniki potwierdzały pierwsze wrażenie Macą - samo zderzenie nie mogło zabić takiej ilości osób.

Na ręce jednej z ofiar ze środkowej części kabiny pasażerskiej Mac znalazł zegarek, którego wskazówki stanęły na godzinie piątej pięćdziesiąt. Jeżeli zegarek dobrze chodził, oznaczało to, że ogień dosięgnął pasażerki i ostatecznie zatrzymał jej zegarek osiemnaście minut pp czasie, w którym prawdopodobnie nastąpiło zderzenie. Mac był pewien, że gdyby pasażerowie nie zostali unieruchomieni przez złamane fotele i odniesione rany, wielu z nich zdążyłoby się uratować.

Późnym popołudniem przywieziono listę osób pozostałych przy życiu oraz dwadzieścia trzy ciała z kostnic szpitalnych. Liczby zgadzały się. Brakowało w tym spisie tylko czterech ciał zabranych z kabiny pilotów przez władze policyjne z Katanii. Ale sekcje zwłok pilotów i mechanika były już ukończone i tylko czwarte ciało - zwłoki tajemniczej kobiety - stanowiło jeszcze zagadkę, ponieważ nie została ona zidentyfikowana, a jej lewego ramienia nie znaleziono.

W sali operacyjnej o dwa piętra wyżej Tino G. patrzył na czerwoną wskazówkę sekundnika wielkiego zegara. Poruszała się wolno i spazmatycznie, a rytm jej nie zgadzał się z pulsowaniem krwi w jego głowie. Zdawało mu się, że czas, w którym wskazówka obiegała tarczę, wystarczyłby na wysłuchanie całej długogrającej płyty. Białe kitle otaczających go ludzi upstrzyły plamy potu na plecach. Tino był pewien, iż nikt z nich nie wie, że on jest przytomny i że ma otwarte oczy. Nie chciał ich niepokoić, to nie miałoby sensu. Nic go nie bolało, tylko ta czerwona wskazówka poruszała się stanowczo zbyt wolno. Więc przywołał w pamięci twarz swojej dziewczyny, otoczoną długimi włosami. Jej szeroko rozstawione oczy uśmiechały się do niego, a kiedy spacerowali, ciężki płaszcz przygniatał jej ramiona.

- Gwizdnij tylko, a zaraz przybiegnę - powiedziała mu. Ale kto zapłaci za jej bilet? Znajdowała się w odległości pięciu tysięcy kilometrów od jego miejsca pobytu.

Tony nostalgicznej melodii odezwały się w jego skołatanej głowie... Fis, E, Dis, Cis, E, Dis, Cis, H.

Prosta, skoczna melodia z dominantą. Piosenka o podróży i wędrowaniu.

Lot-huk-pęd-deszcz...

Wczesny raimy deszcz...

Sharlie zawsze miał w kieszeni czyjaś legitymację prasową. Dzięki temu przepuszczono go przez posterunki ustawione na górskiej drodze. Zwęglone resztki leśnego poszycia strzelały jeszcze iskrami, pobudzane przez wiatr. Laura, siedząc na tylnym siedelku wyścigowego motocykla wypożyczonego od brata, przyciskała do piersi torbę z aparatami i błonami fotograficznymi.

Górska droga była już pusta i jedynie stosy śmieci na poboczach przypominały o długim korowodzie samochodów, który blokował ją za dnia. Tylko wyżej, na zakręcie serpentyny, stały jeszcze dwa wozy strażackie, a policjanci kręcili się w pobliżu grupy spalonych samochodów. Sharlie zaparkował motocykl i wspiął się wyżej, by sfotografować połyskujące w promieniach zachodzącego słońca metalowe szkielety i sterty popiołu pozostałe po spalonych drzewach i krzakach. Poprzez zniszczone podeszwy swoich butów czuł ciepło buchające z ziemi, a za nim unosił się kurz i dym. W zagłębieniu terenu, jakieś dwadzieścia metrów od drogi, znalazł coś, co przetrwało ogień - metalowe pojemniki, które chyba musiały wypaść z rozbitego samolotu. Sfotografował je starannie. Były podobne w kształcie do nadmuchanych tratw ratunkowych, jakie znajdują się zwykle na górnym pokładzie oceanicznych statków. Wyszły cało z pożaru, odbarwiły się tylko pod wpływem wysokiej temperatury. Kiedy Sharlie powrócił na szosę i wraz z Laurą podszedł do motocykla, nad ich głowami przeleciał helikopter. To Larry Raille i jego ludzie powracając do hotelu w Taorminie poprosili pilota, żeby pozwolił im się przyjrzeć wygasającemu pożarowi lasu. Z wysokości trzydziestu metrów nie mogli jednak zauważyć dwóch tajemniczych pojemników sfotografowanych przez Sharliego. Dopiero późnym wieczorem zabrała je policja.

Zapadał chłodny zmierzch i Sharlie z Laurą odjechali, żeby zatrzymać się w pierwszym napotkanym barze. Barman uważnie spojrzał na Sharliego.

- Pan jest dziennikarzem?
- Dlaczego?
- Tylko dziennikarz mógł się przedostać przez posterunki policyjne - odpowiedział wzruszając ramionami barman.
- Wiele ludzi straciło tu dzisiaj samochody.
- Dobrze im tak. Niech się nie gapią na cudze nieszczęście.

Sharlie zamówił kawę.

- Czy myśli pan, że ktoś z waszej wioski mógł usłyszeć huk spadającego samolotu?
- Może tam, na górze.
- Ale kto?

Jeden z mieszkańców wioski odezwał się zza gazety.

- Cantallaluna. Barman skinął głową.
- Tak, to możliwe.

Zza gazety wyłoniła się twarz.

- Cantallaluna. Schodził dzisiaj rano z góry z pełnym workiem. Widziałem go potem, jak jechał na motocyklu.
- A rozmawiał pan z nim?
- Nie zatrzymał się.

A czy ktoś z nim rozmawiał? - Sharlie zwrócił się do chłopów, którzy przysłuchiwali się jego rozmowie.

- Może go kto widział - odezwał się jakiś starzec - bo ja to nie.

Sharlie zapłacił za kawę i wrócił z Laurą do motocykla.

- Jak by tu można było znaleźć Cantallalunę? - zapytał Sharlie.

Laura wzruszyła ramionami.

- Trzeba go złapać wcześniej rano w lesie.

Cantallaluna - śpiewaj do księżycyca. Było to stare miejscowe nazwisko. Nosili je chłopcy, którzy trudnili się transportem ładunków przez podgórskie tereny. Jeździli po nocy i śpiewali w czasie jazdy. Nazwisko przetrwało, - ale jego obecny nosiciel nie kierował już ani konnymi wozami, ani nawet ciężarówkami. Zarabiał całkiem nieźle zbieraniem grzybów, które wysyłał samolotami do Turynu lub Mediolanu. Tam płacono za nie po dziesięć tysięcy lirów za kilogram. Jeżeli człowiek ten przebywał w sobotę rano w górnej strefie lasów, to nie jest wykluczone, że znalazł się blisko miejsca, w którym spadł samolot.

- Znajdziemy go któregoś rana - oświadczyła Laura.

Ktoś go znajdzie - pomyślał Sharlie - ale nie ja. Był bowiem wciąż jeszcze pewien, że następnego dnia znajdzie się już w Rzymie. Kiedy Turi i Mac powrócili do wioski, zapadał zmierzch. Młodzi ludzie szli z dziewczynami do kina, znajdującego się na końcu głównej ulicy, nawoływano dzieci, żeby szły spać, a zapach spaghetti i fasoli ciągnący • z, podwórzy przyjemnie łaskotał podniebienie Maca.

¹ Sanju pojechał z dziennym sprawozdaniem do Taor- miny. Małomówny Hindus był wprost stworzony do zasiadania przy stole konferencyjnym. Mac był zbyt wyczerpany na to, żeby wysłuchiwać nie kończących się dyskusji.

Nigdy zresztą nie lubił tych wieczornych zebrań, na

których omawiano rezultaty dnia. W tej chwili dręczyła go głównie sprawa zaginionego ramienia.

Przed drzwiami doktora stały tego wieczoru dwa samochody i motocykl; w jednym z samochodów siedział taksówkarz, w poczekalni znajdowała się jakaś kobieta, a na tarasie czekali Sharlie, Citto i Laura.

- Przekłęci dziennikarze - mruknął Mac - nie mam ochoty z nimi rozmawiać.

Ale Citto i Sharlie czekali na Turiego, który wymknął im się, przechodząc od razu do pokoju przyjąć.

Kobieta siedząca w gabinecie lekarskim nie była jednak pacjenta.

- Devo vedere il corpo di mio marito, il pilota.

Turi i Mac rozpoznali jej ładną bladą twarz, którą znali z fotografii w portfelu kapitana Duckhama. Żona piloty. - Z tego, co powiedziała, wynikało, że nie udało się jej jeszcze dotrzeć do zwłok męża.

- Myślę, że będzie lepiej, jeżeli go pani nie zobaczy- powiedział jej Turi szczerze.

- Widziałam już w życiu nieboszczyków.

- Wczoraj prowadziłem badania ciała żałogi - odezwał się Mac. - Ale dziś rano zabrała je policja. Mają, niestety, prawo dokonania własnych oględzin.

- Pan mówi o nich tak, jak gdyby byli zbrodniarzami. - Głos pani Duckham był pełen gniewu i zniecierpliwienia.

- Tak samo jest po każdym wypadku samochodowym 1 tłumaczył jej Mac.

- Powiedziano mi, że pan może mi pomóc. Pan może się dowiedzieć, gdzie on jest.

Turi rzeczywiście wiedział, gdzie policja umieszcza przedmioty swoich medycznych badań, i był skłonny jej pomóc.

- Można by go było znaleźć bez trudu. Ale nadal uważam, że nie powinna pani oglądać zwłok swojego męża.

- Nie przyjechałam tutaj, żeby się opalać. • - Jeżeli go znajdziemy - zasugerował Mac - może natkniemy się również na brakujące ramię porywaczki. Pojedziemy do miasta?

Turi powinien pojechać - myślał Mac. - Medico con- dotto nada naszej wyprawie znamię oficjalności. Sharlie niech też jedzie, jako fotograf. Natomiast Citto nie miał szczęścia.

- Potrzebne mi są zdjęcia, ale tylko dla osobistych celów - powiedział Mac. - Mamy dosyć kłopotów, po co nam jeszcze rozróbka w prasie.

Turi, Mac i Julia pojechali taksówką do centrum miasta, gdzie w umówionym miejscu spotkali się z Barzizza. Po krótkiej rozmowie z pilnującym wejścia policjantem weszli do budynku. Policjant zadowolili się przepustką, którą Turi otrzymał poprzedniego dnia od karabinierów na miejscu katastrofy, a Mac miał legitymację RAF-u. Po wejściu do gmachu nikt się nimi nie interesował.

Kiedy schodzili w dół po kamiennych schodach, Julię ogarnął nagle strach przed tym, co ją czeka. Weszli do sali wyłożonej białymi kaflami. Pod jedną ze ścian stała długa chłodnia z wielkimi szufladami. Zawierały one opakowane w płachty ciała ofiar katastrofy.

Mac ujął Julię pod rękę.

- Nie powinna pani tego oglądać. To naprawdę nie ma sensu - chciał jej uświadomić, że śmierć jest ohydna i żeby nie rujnowała sobie wspomnień.

"Kapitan M.E. Duckham" - głosiła kartka własnoręcznie wypisana przez Maca. Patrzył, jak Julia uchyla rogu płachty. Ukazały się dwie sztywne stopy. Jedna biała, druga sina i poszarpana, niby fragment zbezczeszczonego posągu.

- Proszę - wyszeptała - proszę mi go pokazać.

Mac odwinął płachtę. Tylko przerażenie i wstyd powstrzymały Julię od omdlenia. Ciało Mike'a było całe poranione, a skalpel lekarza pozaczył je ponadto długim nacięciem zaszytym niedbałym ścięciem. Twarz przypominała maskę, zamiast szczęki miał coś na kształt czerwonej miękkiej gąbki. Czaszka straciła dawny kształt, była płaska, groteskowo otoczona aureolą rudych włosów.

Mike. Niewiele z niego zostało. Brzuch, biodra, lędźwie, nogi. Miała dość. Odwróciła się o własnych siłach i usiadła. Dwaj lekarze powrócili do swojej pracy.

Sharlie przyglądał się Julii. Mogłem zrobić wstrząsa- jącą fotografię jej twarzy - myślał. - Włoszka krzyczałaby, szalała i płakała na cały głos. A ta pani siedzi jak skamieniała i jest tak opanowana; jak gdyby pozowała do portretu.

Tymczasem lekarze znaleźli szufladę z ciałem porywa- czki, która pozostawała wciąż nie zidentyfikowana. Urwane ramię leżało między nogami jak na urągowisko; nic nie wskazywało jednak na to, w którym miejscu kabiny zostało znalezione.

Patrząc na to ramię Turi przypomniał sobie moment, kiedy próbował znaleźć uwięzionego w szczątkach kabiny amerykańskiego chłopca. Bo przegub urwanego ramienia ozdobiony był cienkimi złotymi, srebrnymi i miedzianymi bransoletami. Turi przypomniał sobie, że gdy jakieś ramię opadło na niego w rozbitej kabinie, rozległ się brzęk metalowych bransoletek.

- Chyba wiem, gdzie było to ramię. Spadło na mnie, kiedy próbowałem dotrzeć do chłopca. Świetnie pamiętam dzwoniące tych obręczy. I Mac chwycił urwane ramię i potrząsnął bransoletkami. Turi wstrząsnął głową ze smutkiem.

- Było blisko punktu, w którym przygniotło chłopca.

- Tego Amerykanin? gitara?

Turi potwierdził. Mac spojrział na rysunek rozbitej maszyny. Wiedział, że Tino G. został znaleziony poniżej frontowego wejścia, wśród rumowiska foteli, tuż przy ścianie kuchenki, w odległości dwóch do trzech metrów od drzwi kabiny pilotów.

- Czy ramię leżało luzem, czy było przywalone gruzami?

-Przywalone - powiedział lekarz po chwili namysłu - poruszyłem coś i wtedy na mnie spadło.

- To rozwiązuje sprawę - mruknął Mac.

-Co to znaczy?

-Że nie było żadnego porywacza.

-Dlaczego?

- Ta kobieta musiała stracić ramię w momencie zderzenia, prawda? Więc kiedy samolot spadał, znajdowała się w kabinie pasażerskiej!

Mac przyłożył ramię do ciała. Nie było wątpliwości. Uszkodzenie mięśni i ścięgien i kolor skóry były identyczne.

-Przypuszczam, że zerwała się w panice ze swojego fotela. Kiedy samolot zderzył się z ziemią, rzuciło ją do przodu z szybkością równą szybkości samolotu. Prawdopodobnie sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Na pewno wyciągnęła rękę, żeby za coś złapać i wtedy ramię zostało urwane przez przegrodę kuchenną. Kobieta poniosła dalej, przebiła się przez drzwi kabiny i wpadła do pomieszczenia pilotów. Pozostałe obrażenia mają wyraźny charakter uderzenia frontального. Zmiażdżone żebra i mostek, złamane biodra, rozbite kolana. Kiedy uniosła drugie ramię, żeby ochronić twarz, wbiło się w szczękę i strzaskalo ją.

Mac obejrzał stan uzębienia kobiety. Część zębów była wyłamana przez ramię. Znalazł jednak dwie rzeczy, które mogły ułatwić identyfikację zwłok, kiedy nadejdą dane dentystyczne: złotą koronę na zębie trzonowym i mostek oparty o kieł, przesunięty wprawdzie w czasie uderzenia, ale cały. Była to amerykańska robota.

Mac zawołał Sharliego, żeby zrobił zdjęcie zwłok i fragmentów uzębienia.

Straszliwie zeszpecone ciało młodej kobiety z rozbitą szczęką, urwanym ramieniem leżącym między jej nogami i krzywo pozszywanym brzuchem leżało przed fotografem. Nikt nie potrafiłby jej poznać - arii rodzony ojciec, ani matka, ani kochanek.

- Bez statywu nie zrobię porządnego zdjęcia - szepnął do Maca, który zapalał błysk. – Nie mogę utrzymać aparatu. Nigdy w życiu nie było mi tak niedobrze.

Julia przyglądała się trzem cieniom rzuconym na ścianę sali przez błękitne światło flesza. Wyglądały jak postacie wampirów nachylających się nad zwłokami.

Anglik z satysfakcją zasunął szuflady, zaś Turi wziął Julię pod rękę i zaprowadził na górę, a potem długim korytarzem na ulicę i do taksówki.

Sharlie wyjął filmy z aparatu i wręczył je Macowi, ale ten potrząsnął głową.

- Musisz je wywołać i przynieść. Nie mam ciemni.

Podał chłopcu rękę i podziękował mu za pomoc.

Sharlie odprowadzał wzrokiem znikającą za zakrętem taksówkę. Widok martwych ciał podzielał na niego fatalnie. Poszedł w stronę światła, samochodów i spacerujących tłumów i poszukał baru na Via Etnea. Zażądał dużej whisky z lodem w nadziei, że przejdą mu od tego mdłości. Ale nie mógł nawet pić. Poszedł ciemnymi uliczkami do miejsca, w którym zaparkował motocykl.

Dopadli go na roku Via San Francisco.

Nie usłyszał doganiającego go samochodu i obejrzał się dopiero na trzask otwieranych drzwi. Widział przelotnie błysk obracającej się niebieskiej latarki, a potem silne ramię pociągnęło go w stronę wąskiego zaułka i przycisnęło twarzą do muru. Nikt ich nie zauważył, a przechodnie z głównej ulicy nie zwracali uwagi na błyski niebieskiego światła. Policja często bywała w tej dzielnicy. Sharlie wiedział, że jest ich dwóch, chociaż nie widział ich twarzy i nie powiedzieli jednego słowa. Obeszukali go, a kiedy zaprotestował, dostał cios kolanem w pachwinę. Potem złapali torbę z przyborami fotograficznymi, którą cisnął ukradkiem w załamanie muru. Słyszał, jak wyciągają aparaty i filmy, potem szept jednego z napastników do drugiego i

wreszcie trzask rozgniecionych czymś butem rolek na chodniku. Odwrócił głowę i zobaczył, że wrzucają błony do kratownicy kanalizacyjnej. W końcu jeden z nich odezwał się:

-r Kto był z tobą?

Sharlie milczał i znowu dostał kolanem w brzuch. Nie wiedział, jak długo uda mu się zachować milczenie.

Kto był z tobą?

- Proszono mnie o wykonanie zdjęć.
- Kto cię o to prosił?
- Jakież urzędowe osoby.
- Przestań się wygłupiać, szczeniaku. - Fakt, że Sharlie wije się z bólu sprawiał napastnikom przyjemność, g Taki cwaniak jak ty zawsze dobrze wie, dla kogo pracuje.

Pchnął chłopca i przycisnął go mocniej do muru. Z ust czuć mu było tytoniem i czosnkiem. Sharlie poczuł, że ktoś majduje mu przy spodniach i zamierzył się instynktownie. Policjant zrobił unik i powiedział do kolegi:

- Gówniarz atajoije.

Policjant uderzył Sharliego dwa razy pięścią w twarz i to z taką szybkością, że ten nie zdążył się uchylić. Poczul ból i cierpki smak krwi w ustach. Językiem wyczuł szczerbę w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą miał ząb.

- W jakim byli samochodzie? - policjant poklepał Sharliego po policzku w miejscu, gdzie złamał mu ząb. - Chcesz wypluć wszystkie, gówniarzu?

Sharlie płakał z bólu, ale nie chciał tego pokazać i mamrotał coś niewyraźnie.

- Jeżeli nie zaczniesz wyraźniej mówić, to urządzimy cię tak, że nas popamiętasz.
- Taksówka.

Policjant uderzył Sharliego w brzuch. -L Co za taksówka?

- ZTaorminy.
- Jakiej marki?
- Lancia.
- Jakiego koloru?
- Granatowego.

To było wszystko. Gruby puścił go, po czym obaj policjanci odjechali, a Sharlie zaczął zbierać po omacku swoje aparaty i szczątki filmowych rolek. Wypłuł do ręki kawałek zmiażdżonego zęba. Sam nie wiedział, czy trzęsie się ze strachu, czy ze złości. Zastanawiał się, jaki los spotka tamtych w taksówce.

Ale policjanci nie mieli szczęścia. Nie mogli wezwać na pomoc innych wozów, bo ich misja nie miała charakteru oficjalnego, a taksówka pojechała w głąb wyspy, żeby odwieźć Turiego do jego wioski. Policjanci tymczasem pędzili po autostradzie szukając lancii, a kiedy wreszcie znaleźli taksówkarza, mogli go tylko wypytać o to, jakich wiół dzisiaj pasażerów i dokąd.

Citto zobaczył Sharliego w redakcji i przeraził się. Twarz chłopca była opuchnięta i pokrwawiona, a jego głos zachrypiły i cichy jak głos u boksera po przegranej walce.

Opowiedział koledze o trupach w kostnicy i o napadzie policjantów. Wciąż trząsł się na całym ciele.

Citto kazał sobie dwukrotnie opowiedzieć obydwie wydarzenia, i to ze wszystkimi szczegółami.

- Co robiłeś potem?
- Przyszedłem prosto tutaj.
- Nie poszedłeś do domu, do matki?

- Z taką twarzą? Złapałaby strzelbę, poleciała na ulicę i zaczęła strzelać do policjantów.
- Czy ten angielski doktor dał ci swój adres?
Sharlie pokazał kartkę papieru z nazwiskiem i numerem telefonu hotelu Maca w Taorminie. Citto przepisał go do notatnika.
- Radzę ci wrócić do Nonny Lisy. Niech piękna kuzynka cię opatrzy.
- Mam przestraszyć całą rodzinę? - Sharlie próbował się uśmiechnąć. – Czy gazeta wydrukuje tę historię?
- Tylko pierwszą część, to znaczy scenę w kostnicy. W ten sposób upadnie wersja o porwaniu. Ale o policji nie napiszę.
- Oczywiście. Nikt tego nigdy, cholera, nie zrobi.
- Sharlie odwrócił się od drzwi.
- Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać.
Citto uśmiechnął się.
- Myślałem, że wracasz do Rzymu...
Sharlie obmacał palcami twarz.
- Po tym co się stało? Muszę mieć tych drani. Nie zrobiliby tego, gdyby ktoś czegoś nie ukrywał. Jeżeli będziesz potrzebował pomocy, to mi daj znać.
Citto poszedł za chłopcem na korytarz i pożegnał go na schodach. Potem spotkał się z redaktorem i opowiedział mu przygody Sharliego. Na szczęście zachowały się zdjęcia, przedstawiające tajemnicze pojemniki w górach, które Sharlie zrobił wcześniej.
- To skrzynki z zapisem przebiegu lotu - wyjaśnił
Citto. - Dla mnie jest jasne, że ktoś chciał je ukryć.
- Ale po co?
- Ze strachu przed tym, co z nich odczytają.
- Więc jak będziemy o tym wszystkim pisać?
- Chyba prawdę o nie istniejącej porywaczce i o znalezieniu skrzynek z zapisem.
- Jednym słowem, ujawniamy wszystko?
- Prawie wszystko. Chciałbym dalej zajmować się tą sprawą.
- A co cię wstrzymuje?
- Powinienem pojechać do Mesyny i do Rzymu. Może nawet dalej.
Redaktor zamachał rękami i roześmiał się.
- Weź sobie pieniądze na wydatki i jedź. W czasie twojej nieobecności nikt nie może mi kazać, żebym cię wycofał z tej sprawy.
Citto wyszedł z redakcji, ale pieniędzy na wydatki nie podjął. Nie chciał, żeby pozostał jakikolwiek ślad jego trasy ani jego zamiarów.
Zamierzał pojechać pociągiem do Mesyny, a gdyby tam wszystko poszło gładko, chciał polecieć popołudniowym lotem z Reggio Calabria do Rzymu. Spakował walizkę i obliczył, że może sobie pozwolić na pięć godzin snu.

10.

Julia Duckham czuła się znowu jak w potrzasku. Tajemnicza kobieta w kabinie pilotów okazała się mitem. Brodaty doktor powiedział Julii, że wykluczono już porwanie jako jedną z możliwych przyczyn katastrofy. Obawiała się, że teraz dochodzenie skończy się stwierdzeniem "błędu pilota", a Mike będzie pierwszym podejrzanym o ten błąd. Jeżeli takie ohydne kłamstwo miało być ostatnim akcentem jego życia, byłaby to straszna niesprawiedliwość.

Mac odgadywał jej myśli. On także obawiał się, że szanse uznania winy kapitana rosną. Chciałby móc coś poradzić tej ładnej kobiecie, najlepiej żeby wróciła do domu i przestała myśleć o przyczynach katastrofy i o dochodzeniu. Wiedział z akt

Duckhama, że w jego domu są małe dzieci. Nad niczyją śmiercią nie należy się zastanawiać, chyba że w grę wchodzi zagadnienia medyczne.

Patrzył przez okno taksówki. Jechali nadmorskim urwiskiem, utworzonym przez lawę. Na morzu, jak okiem sięgnąć, migotały światełka. Julia także przyglądała się ruchomym błyskom.

- To rybacy - wyjaśnił jej Mac - ich latarnie stanowią, przynętę. Gdy ryby wypływają na wierzch, rybacy zarzucają sieci.

Spojrzała na niego oczami tak pełnymi smutku i zagubienia, że Mac poczuł nagłą ochotę chwycenia jej ręki gestem pocieszenia.

W Taorminie zapłacił za taksówkę i zaprowadził Julię pod drzwi hotelu.

- Pani nam bardzo pomogła. Czy mógłbym się jakoś zrewanżować?

- To był dobry człowiek - powiedziała cicho. - To był naprawdę dobry człowiek.

Mac odprowadzał ją wzrokiem, gdy szła przez hall pensjonatu. Zagubiona, samotna postać. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać nad tym, jakim człowiekiem był właściwie "Dixie" Duckham.

To samo pytanie zadawał sobie Ralph Burden w swoim pensjonacie, położonym o kilkaset metrów dalej. Odbił już rozmowę z urzędnikiem Linii Greyhound, odpowiedzialnym za sprawy bezpieczeństwa, i wypytywał go

o dziwne listy, znalezione w teczce Petera Nyrena. Amerykanin nie zaprzeczał, że pozostawiono je tam umyślnie.

- W firmie wszyscy znali ten konflikt. Wcześniej czy później sprawa musiała wyjść na jaw. Uznaliśmy za słuszne, żeby pan zapoznał się z dowodami, a nie opierał się na plotkach i podejrzeniach.

- Bardzo słuszne podejście - potwierdził Burden. - Są firmy, które starałyby się taką sprawę ukryć.

| Przekona się pan, panie Burden, że nasze towarzystwo nie zrobi niczego, co mogłoby utrudnić ujawnienie prawdy.

Burden zajrzał do swoich notatek.

- Chcielibyśmy wiedzieć, czy od czasu wymiany tych listów Duckham i Nyren latali razem?

Amerykanin zaprzeczył ruchem głowy.

- Istniało ciche porozumienie, żeby trzymać ich z daleka od siebie do chwili, kiedy się pogodzą. W piątek znaleźli się w jednym samolocie tylko dlatego, że ktoś zachorował, a Nyren miał akurat dyżur.

- Czy pańskim zdaniem, zatarg był tak ostry, że mógł wpłynąć na ich współpracę?

- Jestem przekonany, że kapitan Duckham nie dopuściłby, żeby niechęć osobista wpłynęła na normalny przebieg lotu. Słuchając taśmy z nagraniem ich rozmów w czasie lotu, odnosi się wrażenie, że już wyrównali swoje porachunki. /

Burden znotou zajrzał do notatek.

- Na jakiej podstawie panowie mianowali Duckhama kapitanem pilotów?

- Doświadczenie. Doskonała opinia, szczególnie w dziedzinie bezpieczeństwa. A poza tym miał za sobą dwadzieścia lat na liniach europejskich, na które właśnie chcieliśmy rozszerzyć naszą sieć.

- Czy miał poważny udział w decyzjach dotyczących rekrutacji personelu?

- Tak.

- Czy mieliście z tym trudności?

- W zasadzie mieliśmy komplet personelu. Duckham chciał zatrudnić kilku starszych pilotów obeznanych z modelem "119". Nie bardzo mieścili się w dolnych grupach naszej siatki płac. Na tym tle powstał zatarg.

- Nyren twierdzi w swoim liście, że występuje w imieniu młodszych pilotów Towarzystwa.

- Nie sędę, żeby oni popierali jego ekstremizm.
- Więc kłótnia musiała mieć podkład osobisty?
- Nie wiem. To byli bardzo bliscy przyjaciele. - Amerykanin umilkł i uśmiechnął się.
- Pan chyba wie, że to był wielki dziwkarz.
- Nyren?
- Duckham.

"Dbrie" Duckham, uwodziciel i pijus, prowincjonalny ksiązę Walii z Little Snoring! Duch młodego myśliwskiego pilota ciągle straszył w tym hotelowym pokoju. Burden wstał.

- Dziękuję panu na dziś. Jeszcze chyba wrócimy do tych spraw.

Amerykanin skierował się do drzwi.

- Przyjechała pani Duckham. Spodziewam się, że będzie jej pan chciał zadać kilka pytań. Mieszka w pensjonacie "Albert".

Burden- zapisał adres. Amerykanin wciąż stał przy otwartych drzwiach.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której wolałbym nie mówić, ale obawiam się, że jakiś cwany dziennikarz i tak ją odkryje. Mozę to nie ma znaczenia, ale wszystko wskazuje na to, że Duckham kombinował coś z jedną ze stewardes tej załogi.

Burden przyglądał się uważnie Amerykaninowi i nagle poczuł, że go nie lubi.

- To być może tylko zwykła plotka, bez żadnych podstaw. Chodzi o tę dziewczynę, która przeżyła. Leży w szpitalu i nazywa się Stella Pritchard.

Amerykanin zamknął za sobą drzwi i Burden usłyszał skrzypienie jego gumowych podeszew, milknące w korytarzu.

11

Życie chłopca trzymało się na sekwencji akordów i liniach melodii. Gdyby ktoś powiedział to człowiekowi w masce i białym kitlu, ten zapewne by się nie zdziwił. Przemęczony chirurg gotów był uwierzyć we wszystko. Od dwóch dni pracował nad tym umęczonym ciałem i niemal życzył mu śmierci. Bo dopiero kiedy chłopiec umrze, będzie mógł umyć się i przespać.

Ale w poniedziałek nad ranem chirurg zmienił zdanie. Już w nocy przestał obawiać się, że monitor zamilknie i zaczął wsłuchiwać się w rytm pulsu. Długo trwała ta walka, tak długo, że zmęczony stary chirurg zaczął marzyć o tym, żeby stał się cud i śmierć odwróciła się od ciężko poranionego chłopaka. Patrz na srebrny kontur ptaka... Tino G. znalazł wreszcie w pamięci zagubione słowa melodii, która nie przestawała mu brzęczeć w głowie. Słuchaj rżenia setek koni, Patrz na srebrny kontur ptaka, Nad chmurami szybko goni, Na zachodzie wolno znika. Tam nie ma rannej ulewy, Tam blask słońca świeci co dzień, Nad moim domem zaśpiewa Za kilka godzin.

CZĘŚĆ TRZECIA 1

Powróciła burzliwa ppgoda, nieustający deszcz, zalewał drogi, a morze wymiotło ze statków rybackich. Turyści opuszczali letniska na wybrzeżu i powracali do swoich miast i miasteczek. W winnicach wstrzymano winobranie, a na stokach górskich, tam, gdzie pożar lasu zniszczył drzewostan, obsunęły się masy ziemi i luźnej lawy na szerokości stu metrów, zasypując drogi'.

Komisje badawcze wciąż pracowały, rozgrzebywały wrak "Tanga November" poszukując jakichkolwiek poszlak. Chowali się pod płachtami z namiotowego płótna, okrywali ciężkimi płaszczami deszczowymi. Lewa strona kadłuba i tylna część samolotu zasłonięte zostały plastikowymi powłokami, a na płaskim i oczyszczonym z krzaków pobliskim terenie zmontowano lewe skrzydło i również pokryto je płachtami. Mechanicy odnaleźli ślady przecieków płynu hamulcowego i benzyny w jednym ze skrzydeł, z uszkodzeń pochodzących sprzed zderzenia. Dziewięć metrów

powłoki skrzydła i lotka zaginęły. Grupa złożona z dwóch Włochów i dwóch przybyłych mechaników fabrycznych szykowała się do uciążliwego przetrząsania leśnej gęstwiny. Poszukiwania z lotu ptaka nie dały rezultatu, a zanim nie znaleziono brakujących części skrzydła, nie można było wykluczyć możliwości zderzenia w powietrzu lub zaczepienia o górę.

Raille rozłożył szczegółową mapę terenu i na podstawie śladów pozostawionych wśród uszkodzonych drzew na trasie katastrofy wykreślił linię lewoskrętnego kursu "Tanga November". Poszukiwacze mieli pójść po jej przedłużeniu, gdyż dawało to szansę znalezienia brakujących części skrzydła. Ale niezależnie od rezultatów ich misji było już jasne, że duża część zdolności manewrowania nieszczęsnego samolotu została utracona jeszcze na dobre przed zderzeniem z ziemią.

Na szczęście skrzynki z zapisem lotu zostały odnalezione i młody magistrato zorganizował odesłanie ich do Anglii celem odczytania i analizy. Z tajemniczych powodów skrzynki te znaleziono w niższej części góry i po opublikowaniu w gazecie fotografii Sharliego lokalne władze zmuszone były je przekazać. Gdyby nie te zdjęcia skrzynki prawdopodobnie zniknęłyby bez śladu. Nie ulegało wątpliwości, że w miejscowych władzach znajduje się ktoś, kto wyłazi ze skóry, żeby ukryć albo zamazać dowody.

Raille obserwował czwórkę ludzi, zaopatrzonych w plecaki i śpiwory, znikających w smugach ulewnego deszczu. Czekają ich trudne zadanie i wiele niewygód, wynikających najpierw z deszczu, a potem z upału. Łuk, którym mieli podążać, prowadził po wschodnim stoku wulkanu, przez suche krzaki i rozległe obszary lawy. Był to teren równie dziki i niegościnnie co krajobraz księżycowy.

We wnętrzu kadłuba pozostało już tylko pięciu członków grupy Raillea: jeden z Anglików i inżynierowie z Burbank i Seattle. Trzej członkowie grupy tkwili po pas w szczątkach ogona samolotu, usiłując wydobyć silniki.

Od czasu do czasu Raille słyszał, jak klną na deszcz, przy czym Amerykanie posuwali się do bluźnierstw, a Anglik tylko strofował ich spokojnym głosem za omijanie jakichś czynności określonych przepisami.

Raille i specjalista od oprzyrządowania pracowali w oświetlonej kabinie pilotów. W gumowych płaszczach wyglądali jak chirurdzy przeprowadzający sekcję splątanych przewodów i rozbitych przyrządów pokładowych.

Raille skierował swoją uwagę na silnik numer dwa. Po katastrofie w Nairobi, która zdarzyła się zaledwie przed sześcioma tygodniami, Urząd Bezpieczeństwa przesłał władzom federalnym zalecenie lotnictwa cywilnego, domagające się przeprowadzenia dalszych prób i usprawnień silnika numer dwa w modelu "119". Był to obowiązek producenta. Należało przypuszczać, że niedostateczne chłodzenie zewnętrzne podwieszono pod ogonem samolotu silnika wywołuje zakłócenia w jego funkcjonowaniu na skutek przegrzania i przecieku gazów.

Federalne władze wprawdzie przekazały te zalecenia, jednakże nie postawiły producentowi silników kategorycznych warunków i pozostawiły dalsze badania jego własnej inicjatywie. Typowy przykład stosunku Waszyngtonu do przedsiębiorstwa znajdującego się w trudnościach finansowych.

Od strony helikoptera zaparkowanego nieco wyżej na stoku rozległ się gwizd oznaczający przerwę obiadową. Była dwunasta trzydzieści W Waszyngtonie wschodziło teraz słońce. Za piętnaście godzin - myślał Raille - jego żona zacznie witać gości. Wydawała zawsze wspaniałe i bardzo kosztowne przyjęcia. Z błyszczącymi oczami i bezbłędnym makijażem olśni wszystkich znakomitymi manierami, przywiezionymi z Nowej Anglii. Nie zabraknie na pewno alkoholu.

Jeżeli miały nawet jeszcze powrócić słoneczne dni, to deszcz oznaczał koniec lata. Czas pomyśleć o poważnych sprawach.

Kiedy tego ranka młody magistrato przyszedł do biura, zastał na korytarzu tłum oczekujących na niego klientów. Porządek procesów został zmieniony i bez żadnego uprzedzenia wyznaczono trzy sprawy. Nikt nie wiedział dlaczego. Magistrato obliczył, że zajmą mu tydzień, a potem niewątpliwie na wokandzie znajdą się trzy następne. W ten sposób jego udział w śledztwie nad katastrofą lotniczą skończy się bez oczywistej interwencji czy zmywy.

Prokurator generalny okazał zdziwienie, kiedy młodszy kolega zaprotestował przeciwko temu stanowi rzeczy.

- Pański udział w tej sprawie miał charakter wyłącz- •nie doradczy. Chodziło o wyjaśnienie pewnych spraw technicznych.

- O ile pamiętam, nie wyjaśniłem żadnej technicznej sprawy.

- Dochodzenia ciągną się czasem przeszło rok. Nie możemy dopuścić do przewrócenia do góry nogami całego planu Wymiaru sprawiedliwości.

i Mój plan był starannie opracowany aż do dzisiaj.

- Adwokaci narzekali na opóźnienia.

Prokurator wskazał na leżący na biurku papiery.

- Niektórzy oskarżeni czekają w więzieniu już niemal od roku.

- Statystycznie rzecz biorąc, to szczęśliwcy.

Dwaj przedstawiciele prawa spojrzeli sobie w oczy z lekkim uśmiechem.

- Czy pan uważa, że ma pan do spełnienia jakąś rolę . w tym dochodzeniu? - zapytał prokurator.

- Sądzę, że jeden człowiek, nawet najbardziej do świadczony, nie może wiele zdziałać.

- W tej chwili niedużo się da zrobić. Musimy po prostu współpracować z ekspertami i czekać na wyniki ich pracy. • ;

Młodszy prawnik skinął głową.

- Ale musimy im też zapewnić swobodny dostęp do wszystkich dowodów. Ktoś spróbował ukryć skrzynki z zapisem lotu.

- Badamy tę sprawę. Jest bardzo prawdopodobne, że wypadły z samolotu w chwili zderzenia. Trudno ustalić "w którym miejscu.

Młody magistrato doskonale wyobrażał sobie te trudności. Próbował walczyć dalej. . - Czy odrzucamy oficjalnie hipotezę porwania?

- Odrzucanie jakichkolwiek hipotez nie należy do nas. Wszystkie możliwości pozostają otwarte.

- Czy wyłączamy możliwość błędnego funkcjonowania wieży lotniska albo przyrządów?

- Na miłość boską! - Prokurator po raz pierwszy zaniepokoił się na serio. - Czyja to sugestia?

- To jest po prostu jeden z kierunków dochodzenia.

- Tak, oczywiście - prokurator odszedł w głąb pokoju. - Może pan być spokojny.

Nasze badania będą bardzo precyzyjne. Jeżeli istnieje możliwość znalezienia jakie-;, goś błędu, znajdziemy go.

Młody magistrato powrócił do swojego pokoju. Był zadowolony, że przynajmniej wykazał zainteresowanie. Może będą teraz ostrożniejsi w żonglowaniu dowodami.

Zawiązał sznurkiem akta "Tanga November" i zaniósł je do pokoju starszego i wciąż naburmuszonego kolegi.

Po drugiej stronie miasta, na zebraniu rady miejskiej, przedstawiciel chrześcijańskich demokratów wygłaszał płomienne przemówienie na temat katastrofy lotniczej. Zaproponował zorganizowanie w Taorminie, Katanii i Syrakuzach trzech koncertów dobroczynnych na fundusz pomocy dla rodzin ofiar. Holenderska orkiestra, występująca w katańskiej operze, zgodziła się odłożyć odjazd i zagrać na tych koncertach, obiecał występ również japoński pianista, który grał Ravela i Poulenca w greckim teatrze w Taorminie.

Przedsiębiorcy i właściciele sklepów z miasteczka położonego blisko lotniska, po drugiej stronie wulkanu, na spotkaniu z władzami miejskimi zaofiarowali pomoc przy grzebaniu zabitych. Wysłali swojego przedstawiciela do prefekta w Katanii i do kierownika agencji podróży w Taorminie dla uzgodnienia miejsca zbiorowej mogiły. Mieszkańcy miasteczka nie chcieli się jednak zgodzić - ze stanowiskiem władz i ostro zareagowali przeciwko koncepcji wspólnego grobu twierdząc, że pomysł ten urąga ich poczuciu godności śmierci. Odpowiedziano im, że na miejscowym cmentarzu nie ma miejsca na inne rozwiązanie. Jednakże władze nie chciały zadzierać z ludnością. Więc dwaj właściciele terenów przylegających do cmentarza zostali zmuszeni przy pomocy gróźb i przekleństw do odstąpienia na ten cel części swoich gruntów. W rezultacie poświęcono rząd oliwek, jeden kasztan i pół tuzina drzew cytrynowych, przy pomocy ochotników przeniesiono wysoki kamienny mur i w ten sposób cmentarz zyskał ćwierć hektara gruntu. A władze miejskie musiały wydać więcej pieniędzy, niż planowały, na kilka kamiennych płyt, zwirowanie ścieżek i zasadzenie ozdobnych krzewów.

Poza Sycylią katastrofą lotniczą zajmowała pierwsze strony gazet tylko przez jeden dzień. Po odrzuceniu teorii porwania wypadek stracił walory sensacji, a krew i łzy szybko przeszły.

Zamiast odjeżdżających dziennikarzy i kamerzystów filmowych pojawili się przedstawiciele firm ubezpieczeniowych z Londynu i Nowego Jorku. Już w poniedziałek otrzymali zadanie jak najszybszego zlikwidowania odszkodowań za szkody i straty. W grę wchodziło kilka milionów dolarów za stratę samolotu i za życie pasażerów. Można było zaoszczędzić kilkaset tysięcy, zadając odpowiednim osobom odpowiednie pytania.

Pierwszym celem ich ataku był Mac. Czy mężowie zginęli wcześniej od żon? Czy nie ma dowodów na to, że niektórzy denaci mieli utajone choroby, które skróciłyby przypuszczalny okres ich życia? Czy są dowody na to, że śmierć części pasażerów nastąpiła po pewnym okresie cierpień?

Bardzo wiele takich pytań oczekiwało Maca i Sanju. Pięć dotyczyło państwa Janius, małżeństwa odbywającego podróż poślubną. Mac znał to nazwisko. Julius Janius był współtwórcą cudu gospodarczego lat sześćdziesiątych. Rozwinął jeden z kluczowych przemysłów swojego kraju. Mac nie pamiętał, o jaki przemysł chodziło.

Ale Sanju był starannym czytelnikiem gazet.

- Janius zaczął od wykładania aksamitem papuzich klatek. Potem fabrykował żywność dla psów i kotów. Następnie urządził dyskoteki i luksusowe boutique, a wreszcie zajął się handlem nieruchomościami. Cóż za przedsiębiorczość, co za marnotrawstwo energii!

Towarzystwa ubezpieczeniowe interesowały się tym, które z małżonków zmarło pierwsze: Janius czy jego świeżo poślubiona żona? Jeżeli ona umarła po mężu, chociażby w chwilę po nim, to pięć towarzystw ubezpieczeniowych będzie musiało wypłacić po pięćdziesiąt tysięcy funtów. Obojętne czy przeżyła go o cztery sekundy, czy o czterdzieści lat. Pani Janius, a raczej jej masa spadkowa, otrzyma ćwierć miliona funtów.

Ubezpieczeniowcy i agenci Interpolu pracowali w po

cie czoła, starając się dojść do tego, jak mogły powstać tak podejrzane polisy ubezpieczeniowe. Niektóre przedsiębiorstwa Janiusa miały trudności finansowe. W grę wchodziły tak duże sumy, że nie można było wykluczyć sabotażu samolotu.

3

Po raz pierwszy od wiosny Taorminę zakryły chmury. Ulewny deszcz zamienił strome uliczki w rwące potoki i wodospady, wymywał ziemię ze skrzynek na kwiaty, zalewał tarasy i dachy i odrywał jaszczurki od ścian i murów.

Ralph Burden przyglądał się ulewie przez otwarte na oścież okna hotelowego pokoju i wdychał świeże, wonne powietrze dochodzące z sąsiedniego ogrodu. Czekał na Julię Duckham. Myślał o tym, jaka też mogła być ta trzecia żona "Dixie'ego" i przygotowywał w duchu pytania, jakie będzie jej musiał zadać.

Burden zdawał sobie sprawę, że im więcej dowiadywał się o Duckhamie, tym bardziej komplikował się jego obraz. Przystudiował już statystyki i zdjęcia z personalnej teczki, nasłuchiwał się najrozmaitszych plotek z drugiej i trzeciej ręki, przywołał własne mgliste wspomnienia. Dowiedział się, że Duckham pracował dla Greyhounda od wczesnych lat pięćdziesiątych. Latał na dakotach, ambasadorach, viscountach, cometach, tridentach i wreszcie na 119-kach. Po dwudziestu dwóch latach pracy w cywilnym lotnictwie miał nieskazitelną opinię. Burden zastanawiał się nad znaczeniem tego faktu. Jeżeli latanie szło Duckhamowi zawsze tak łatwo, to tracił, być może, refleks, tak niezbędny w krytycznej sytuacji. Dla Ralpha Burdena każdy lot był zawsze wysiłkiem wymagającym szalonej koncentracji.

Z recepcji dano mu znać, że pani Duckham czeka. Kazał ją poprosić na górę.

Jakiś dzieciak, brodzący niefrasobliwie w potokach wody, wskazał Julii drogę do pensjonatu, w którym mieszkał Burden. Bezskutecznie usiłowała uchronić się przed deszczem; mimo parasolki jej cienka suknia miała tu i ówdzie ciemne plamy wilgoci, a pończochy i pantofle przemokły. Kiedy weszła do pokoju, Burden spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie zaniepokoił go jednakże stan jej garderoby, tylko fakt, że była aż tak młoda.

Miała tyle samo lat co dziewczęta, które Duckham podrywał przed trzydziestu laty. "To był wielki dziw- karz" - powiedział mu amerykański urzędnik od spraw bezpieczeństwa. W tamtych odległych czasach mówiło się, że "Dixie" przesypia się gdzie popadnie - pod żywoptem, na granicy lotniska, w wysokiej przydrożnej trawie czy pod ścianą wiejskiego baru. Burden wołał nie wierzyć w te plotki. Po raz pierwszy otrzymał całusa od dziewczyny w Dniu Zwycięstwa.

Teraz przeprosił panią Duckham za to, że sprowadził ją do siebie w takiej chwili, i usiadł za biurkiem. Julia musiała przysiąc na łóżku. Więc i za to ją przeprosił, a następnie zimnym i urzędowym tonem zaczął ją wypytywać o przebieg dnia poprzedzającego katastrofę: kiedy i co mąż jadł tego dnia, kiedy i jak długo spał, o której godzinie pojechał na lotnisko.

Julia musiała przeżyć raz jeszcze ostatnie chwile spędzone z mężem.

Pożegnalne okrzyki małej Klary, biały samochód znikający za zakrętem, gest ręki Mike'a. Kiedy dotknęła go po raz ostatni? Pocałował ją przy schodach. Kiedy ostatni raz słyszała jego głos? Jakie były jego ostatnie słowa? Przypomniała jej się nagle straszna, czerwona twarz w kostnicy.

- Ile wypił tego dnia? - padło pytanie.

Burden zauważył, że Julia sztywnieje.

- Nie musi pani odpowiedzieć na to pytanie. Badania laboratoryjne ustalą poziom alkoholu lub narkotyków w krwi.

Julia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Pan mówi tak, jak gdyby mój mąż był przestępcą czy też podejrzanym o przestępstwo. Czy uważa pan, że w czymś zawinił? Niech go pan oszczędza przynajmniej do chwili, kiedy jeszcze nie udowodniono mu winy!

Burden przestraszył się.

- Chciałem po prostu wiedzieć, czy on pił alkohol przed odlotem.

- Wypił jeden kieliszek wina. Jeden nieduży kieliszek zwykłego wina - dodała patrząc na butelkę whisky stojącą przy łóżku Burdena.

Deszcz za oknem uspokoił się tak nagle, jak gdyby ktoś zakręcił kran. Burden skierował wzrok w stronę otwartego okna. Daleko nad morzem, na horyzoncie, niebo, rozplątała wielka błyskawica. Powrócił do papierów na biurku.

- W sobotę szalała burza. Może nie tak silna jak dzisiaj, ale warunki atmosferyczne były bardzo niedobre.

Była to jak gdyby propozycja wyjaśnienia i załagodzenia winy pilota. Ale Julia nie dawała za wygraną.

- Dla niego nie była to żadna sprawa. Latał przez trzydzieści pięć lat. Przeszedł wojnę. Latał we wszystkich możliwych warunkach.

- Musiał mieć silne nerwy.

Julia nie odpowiadała. Próbowwała się uspokoić.

- Gdyby zebrano opinie pilotów z największych linii lotniczych o pani mężu, to okazałoby się na pewno, że miał on nieskazitelną opinię, że uważano go za jednego z najlepszych, chociażby ze względu na jego doświadczenie.

Julia wpatrywała się w swoje mokre pantofle.

- Rozstanie z poprzednią linią musiało go kosztować dużo zdrowia. Przecież pracował dla nich przez dwadzieścia lat?

- Byliśmy małżeństwem zaledwie osiem lat.

- Czy pani domyśla się, dlaczego rzucił dawną pracę?

- Zaproponowano mu lepsze warunki.

- Czy potrzebował tych pieniędzy?

- Nie znam się na pieniądzach.

- Greyhound płacił mu dwa razy więcej. Musiała pani

o tym wiedzieć.

Julia nie spuszczała teraz oczu z Burdena. A więc nie chodzi tylko o alkohol - myślała - jest jeszcze sprawa pieniędzy. Dwa rozwody. Troje dzieci.

- Wiem, że miał poważne zobowiązania.

- O co panu chodzi?

- Dwie były żony - wyjaśnił Burden i trzy rodziny na

1 utrzymaniu.

- Co to ma wspólnego z wypadkiem?

- Interesuje nas wszystko, co mogłoby wpłynąć, na samopoczucie pilota. Mógł być zatroskany albo w stanie depresji. Zdekoncentrowany.

Nastąpiło dłuższe milczenie, a potem Julia szepnęła:

- Byliśmy bardzo szczęśliwi. Był zadowolony ze sposobu, w jaki prowadziłam dom. Lubił potrawy, które mu przyrządzałam. Cieszył się wszystkim. Było nam dobrze ze sobą. Nie mam nic do ukrycia.

Płakała teraz z pochyloną głową.

Z niezrozumiałych powodów Burden poczuł, że wzbiera w nim wrogość w stosunku do tej kobiety.

- W takim razie musi pani wiedzieć, że miał romans. Sypiał z jedną ze stewardes, która też była na pokładzie.

Julia spojrzała na Burdena. Spuścił wzrok. Sam nie rozumiał, dlaczego wymknęło mu się to zdanie. Przecież to była zwykła plotka, podrzucona mu przez urzędnika linii

szukającej kozła ofiarnego. Ale nie mogę jej przecież przeprosić - pomyślał - wyszedłbym na głupca.

- Ta dziewczyna przeżyła katastrofę i leży w szpitalu w Katanii - dodał. - W gazetach była jej fotografia.

- Nie widziałam żadnych gazet - odpowiedziała spokojnie Julia.

Po co on mi to powiedział - myślała - przecież to nonsens? Po co to sobie wymyślił? Chce mnie sprowokować do mówienia? O czym? Czy chce, żebym rriu nakłamała o Mike'u? Byłam z nim szczęśliwa. Ale czy Mike był szczęśliwy? Co to za dziewczyna? Burden przełożył papiery na biurku.

- O ile pani wie, mąż pani nie miał większych zmartwień?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Był zdrowy? .- Tak.

Burden chciał jej zadać wiele pytań dotyczących jej pożycia małżeńskiego z Mike'em. Nagle zaczął zastanawiać się nad tym, gdzie Mike męgił się kochać ze swoją stewardesą? W toalecie samolotu? Zanim żona Burdena opuściła go, co miało miejsce przed ośmioma miesiącami, nie żył z nią od dziesięciu lat. Słyszał, że teraz szaleje z jakimś playboyem na Ibizy. Był przekonany, że przeciętna kobieta uważa seks za poświęcenie ze swojej strony.

Za oknem znowu widać odkręcono kran, bo ściana deszczu zasłoniła świat i zagłuszyła inne dźwięki. Patrzył w tę płynną zasłonę, a tymczasem Julia siedziała zgarbiona na skraju łóżka i milczała. Ile czasu mogło upłynąć od ostatniego pytania?

- Czy obowiązki kagitana pilotów linii przysparzały mężowi dodatkowych kłopotów?

- Nie mam pojęcia.

- Czy jego zachowanie zmieniło się od czasu objęcia nowej pracy?

S Oczywiście, miał więcej spraw na głowie.

Enter 4-1

P9Dn

Jakich spraw - myślała - czy tych ze stewardesą?

Anglik wciąż wertował swoje papiery.

- Przed laty mąż pani prowadził burzliwy tryb życia.

- Nie rozumiem pana.

Burden podniósł wzrok.

. - Czy pani wie, że mówiono na niego "Dixie"?

Skinęła głową.

- Czy zna pani jego przyjaciół z RAF-u?

- Znam "Dodo" Griffina.

Griffin przyłączył się do eskadry w 1944 roku, kilka miesięcy przed Burdenem.

Jeszcze jeden playboy. "Di- xie", "Dodo", "Rafcio", co za idiotyczne przezwiska. A może wszyscy lotnicy są stuknięci?

- Czy miał dobre stosunki z kolegami?

- Miał wielu przyjaciół.

- Czy spotykała ich pani?

- Owszem, chętnie ich zapraszał.

- Czy zna pani młodego pilota nazwiskiem Peter Nyren?

Julia skinęła głową.

- A zna go pani dobrze?

- Do niedawna przychodził do nas często. Stale latał zMike'em.

- Więc przyjaźnili się?

Zawahała się. To jest podchwytliwe pytanie - pomyślała. Nie zadawałby tego pytania, gdyby czegoś nie wiedział.

- Pokłócili się.

- Czy pani wie, o co im poszło?
- , - Chodziło o jakąś sprawę związaną z rekrutacją personelu.
- Czy to był poważny zatarg?
- Peter był mocno rozżalony. Przedtem bardzo się przyjaźnili.
- Po tej kłótni przestali latać ze sobą, prawda?
 - Do ostatniego piątku.
 - Czy pani myśli, że mogło to spowodować jakieś problemy?
 - Mike nie dopuściłby do tego. Na pewno pogodzili się, zanim weszli na pokład.

Powiedział mi, że zaprosi Petera na pierwsze śniadanie, zaraz po powrocie.

Julia przypominała sobie sobotni ranek: nakryty stół, butelka wina, rozesłane łóżko w pokoju o czarnych ścianach, dzieci hałasujące na górze. Poczowała ucisk w sercu i zrobiło jej się słabo.

- Czyż nie pokłócili się z powodów osobistych? - Burden nie był pewien, czy Julia słyszy pytanie. - Czy nie pokłócili się przypadkiem o dziewczynę?

- O dziewczynę?

- O stewardesę.

Julia w rozpacz zaprzeczyła ruchem głowy i wstała. Mokra suknia przylegała do jej ciała.

- Nie wiem nic o żadnej dziewczynie czy stewardesie. I nie chcę wiedzieć. Pan chce zwalić całą winę na niego. Prawda? I dlatego wymyśla pan jakieś historie. Nie chcę tego słuchać!

Wyszła z pokoju. Ten człowiek chciał ją oszukać.

Przecież Mike kochał ją mocno i bez reszty. Tyle razy mówił: "Nadałaś sens mojemu życiu".

Przygnębieni tuiysei czytający gazety w holu przyglądali się Julii, jak schodziła ze schodów i wychodziła na zalaną deszczem ulicę. Domyślali się, być może, powodów 1ej rozpacz.

Szum i chłód deszczu przywróciły Stelli przytomność. Ogarnięta bezbrzeżną depresją wsłuchiwała się w szum deszczu za szybami, a kiedy pielęgniarki przyniosły Jej aparat telefoniczny do łóżka, zmobilizowała się i zupełnie trzeźwo rozmawiała z ojcem i matką w dalekim Harrogate.

Rodzice starali się wytłumaczyć jej powody, dla których nie mogli przyjechać. Stella nie potrzebowała tych wyjaśnień i wcale nie spodziewała się ich przyjazdu. Narobiliaby tylko zamieszania. Pomyślałaby, że musi umrzeć, bo wiedziała, że ojciec zdobyłby się na taki wyczyn tylko w ostateczności.

To on właśnie rzeczowo i spokojnie opowiedział jej o tym, co się stało. Stella równie spokojnie wysłuchiwała opisu katastrofy i swojego cudownego ocalenia. Opowiedział jej też, że poza nią uratowała się jeszcze mała dziewczynka i że wszyscy członkowie załogi zginęli. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że Mike nie żyje.

1 Peter też. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, kto jeszcze leciał z nimi.

Wiedziała więc już, że nie był to wypadek samochodowy. Przypominała sobie, że puściła się w pogoń za dziewczynką w przejście pomiędzy rzędami siedzeń, że nastąpił nagły wstrząs i samolotem zaczęło rzucać. Powoli powracało wspomnienie całego tego dnia. Jazda zMike- em do Gatwick, para małżeńska w podróży poślubnej, narzekająca na dwugodzinne opóźnienie, młody, łagodnie uśmiechnięty Amerykanin z gitarą. Pamiętała, że kiedy zbierała kubki po kawie z kabiny pilotów, Peter i Mike nie rozmawiali ze sobą. Pomyślała wtedy, że to wina dziecinnego uporu Petera. A teraz ten dziecinny uparciuch nie żył.

Czy ten młody Amerykanin też zginął?

Kiedy skończyła rozmowę z rodzicami, do pokoju weszła nieśmiało i lęklonie mała dziewczynka, prowadzona za rękę przez jedną z pielęgniarek. Stella przypomniała sobie jej imię.

- Halo, Trixie!

Trixie przysiadła na łóżku. Twarz Stelli była dla niej wciąż jeszcze jedynym łącznikiem z przeszłością. Wszystkie inne twarze były obce, nie rozumiała też języka, w jakim mówiły jej coś o matce i dziadku, którzy znikli. Ona jedna pozostała przy życiu z całej dwunastoosobowej wycieczki z Brooklynu.

Stella wzięła Trbde za rękę, a ta położyła głowę na jej poduszce i powiedziała, że tak już zostanie.

Tino G. nie umarł. Stary chirurg mógł wrócić do domu.

Uznano, że chłopiec ma teraz szansę przeżycia. Wywieziono go na wózku z sali operacyjnej i przeniesiono z gumowych płacht na czyste, białe prześcieradła szpitalnego łóżka. W jego ciele tkwiło mnóstwo gumowych i plastikowych rurek i przewodów, które pozwalały rejestrować każdą funkcję jego organizmu. Specjalista, który wreszcie zjawiał się ze swojego jachtu, stwierdził poprawę i uznał, że nie ma tu nic do roboty.

Pielęgniarki, które czuwały nad chłopcem, ustawiły w pokoju kwiaty zamówione telegraficznie przez rodzinę w nowojorskiej kwiaciarni. Pokazano go dwóm dziennikarzom, czekającym cierpliwie w holu, a nawet pozwolono im go sfotografować.

4

Lot numer AZ 140 zakończył się nie bez trudności. Samolot wylądował w gęstym deszczu, ciągnąc za sobą Szerokie rozpryski wody. Nie tylko pilot, ale i dyżurny w wieży lotniska Catania-Fontanarossa mieli świeżo w pamięci niedawną katastrofę. Jednakże DC9 zatrzymał się na krótkim pasie startowym lotniska na kilka metrów przed jego końcem. Spocony, ale zadowolony pilot pokołował maszynę pod sam budynek dworca, żeby zaoszczędzić pasażerom chodzenia po deszczu.

.Na tarasie, pod parasolem reklamującym coca-colę, czekał Sharlie nakryty nieprzemakalnym płaszczem ku zyna i zaopatrzony w aparat marki Nikon z teleobiektywem. Otrzymał bardzo szczegółowe polecenia telefoniczne od Citta. Miał zrobić zbliżenia twarzy wszystkich pasażerów samolotu, ze szczególnym uwzględnieniem osób związanych z adwokatem Consoli. Sharlie znał wystarczająco dobrze Consolego, który był popularną osobistością lokalną. Sfotografował go, kiedy pojawił się na schodkach samolotu. Jednakże większość pasażerów rozbiegła się szybko, uciekając przed deszczem i dopiero w hali bagażowej Sharlie zauważył dwie osoby towarzyszące adwokatowi i młodzieńca, który przyjechał poma- rańczowo-zielonym samochodem. Zła pogoda utrudniała robienie zdjęć. Toteż aparat fotograficzny, mało rzucający się w oczy na tarasie, w hali dworca zwrócił uwagę kilku par oczu. Twarz fotografa, jego ubiór i jego motocykl zostały dobrze zapamiętane.

Lotem AZ 140 przybył również kanonik Ash Nyren. W Rzymie, gdzie była przesiadka, nie dopilnował bagażu, który - jak go zapewniano na lotnisku w Heathrow •» został wysłany bezpośrednio do Katanii. Nyren stanął przy kontuarze bagażowym, który nie wiadomo dlaczego znajdował się przed budynkiem i moknąc na deszczu patrzył, jak pasażerowie zdejmują z taśmy bagażowej swoje walizy i biegną t nimi do samochodów i autobusów. Jego staromodny kuferek jakoś nie chciał się pojawić. Wreszcie kanonik pozostał sam przy kontuarze.

Sharlie zwrócił uwagę na jego zapadnięte policzki, orli nos, kosmyki siwiejących blond włosów i mokrą białą koloratkę. Był niewątpliwie znakomitym tematem do portretu, toteż Sharlie skorzystał z nadarzającej się okazji. Po zrobieniu zdjęcia podszedł do kanonika i zapytał, czy mógłby mu w czymś pomóc.

Ash Nyren nie znał włoskiego, ale w czasie podróży po Europie potrafił się zawsze jakoś porozumieć z ludźmi, a to dzięki łacinie. Teraz też zaczął mówić powoli i wyraźnie po łacinie zmiękcżając samogłoski na włoski sposób.

- Moje walizki zaginęły.

Sharlie zrozumiał.

Niech pan poczeka. Spróbuję to jakoś załatwić.

Zgłosił reklamację w biurze Alitalii, a następnie zaprowadził Nyrena do autobusu jadącego do Taorminy i przyrzekł mu, że będzie się dowiadywał o bagaż i napisze do niego na poste restante w Taorminie. Kanonik nie zamówił sobie pokoju, nie znał więc jeszcze ani adresu, ani numeru telefonu.

Spełniwszy ten dobry uczynek Sharlie wsiadł na motocykl. Za pierwszym dobrym uczynkiem poszedł drugi. Sharlie zatrzymał się przed fabryką, w której pracowała jego matka. Zostawił jej wiadomość, że odwiedzi ją wieczorem, a potem powoli pojechał po zalanej drodze do miasta i resztę popołudnia spędził zamknięty w ciemni redakcyjnej.

Consoli zamknął się z synem w pokroju. Przez trzy godziny zadawał mu w kółko te same pytania i zamilkł dopiero wtedy, kiedy doszedł do wniosku, że otrzymał na nie wyczerpujące odpowiedzi.

Na krytej werandzie siedziała tymczasem signora Consoli i bezskutecznie próbowała podsłuchać rozmowę, którą zagłuszał szum deszczu. Bała się, że syn wmieszał się w jakąś nieczystą sprawę. Podczas śniadania milczał i wbrew swoim zwyczajom, pojechał po ojca na lotnisko. Był to zresztą nonsens, bo адвокат przyleciał w towarzystwie dwóch gości, a dino mogło pomieścić tylko jednego pasażera.

Żeby móc przejść obok gabinetu i zatrzymać się pod drzwiami, poszła do kuchni pod pozorem zamówienia mrożonej herbaty. Rozmowa toczyła się na temat budowy lotniska, która od dłuższego czasu dominowała nad

rr

Enter 4-J

PgDn

całym ich życiem. Powtarzano jej nieustannie, że ten szmat asfaltu i ta kupa betonu zapewniły dobrobyt całej rodzinie. Gdyby mogła jednak wybierać, poświęciłaby wszystko, żeby pozbyć się tej obsesyjnej sprawy majątkowej. Signora nie mogła narzekać na brak pieniędzy. Całe jej życie było usłane różami. Toteż nie rozumiała i nie doceniała znaczenia pieniędzy - prawda, o której mąż nie pozwalał jej zapominać.

Kazała przygotować herbatę i poszła do sypialni, skąd mogła obserwować męża i syna.

Flavio Consoli opowiedział ojcu dokładnie o wydarzeniach ubiegłego wieczoru. O ponurym obiedzie u prokuratora, o plotkach przy stole i o flircie z grubą pensjonarką.

- Co oni myślą o katastrofie? - zapytał ojciec.

- Obawiają się przede wszystkim skandalu - odpowiedział syn. Zapamiętał jedno zdanie: "Ta sprawa nie powinna zaszkodzić Sycylii".

Adwokat roześmiał się.

- W Rzymie za to mówią: "Włochy nie mogą ponieść strat".

Flavio zdobył się na odwagę i zapytał:

- Dobrze ci poszło w Rzymie?

- A'czy wiesz, po co pojechałem do Rzymu?

- Nie, ojcze.

- W takim razie nie musisz się interesować wynikami mojego pobytu w stolicy. Zachowuj się normalnie. Wszyscy musimy się zachowywać tak jak zawsze. Wszystko pozostaje bez zmiany. To jest najważniejsze. Przecież nie mamy nic do ukrycia!

- Tak jest, ojciec - odpowiedział Flavio po chwili wahania, czego ojciec jednak nie zauważył. Flavio myślał o Tomacchii i małym interesie, który z nim ubijał. Z początku miał zamiar powiedzieć o tym ojcu, ale teraz postanowił milczeć. Toteż potwierdził:

- Nie mamy nic do ukrycia.

Rozmowa nie przebiegła więc pomyślnie. Rada ojca była zła, a szansa wyjaśnienia mu wszystkiego stracona.

"Zachowuj się normalnie". Flavio miał początkowo zamiar nie korzystać w tym tygodniu z cysterny. Bał się dziennikarza, który kręcił się koło Etnolio. Ale ojciec był bardzo stanowczy, toteż mało inteligentny, za to posłuszny syn przyrzekł sobie, że będzie się zachowywał tak, jakby się nic nie stało.

Tego wieczoru, po niezwykle jak na panujące w rodzinie stosunki, spacerze z ojcem w rozmokłym gaju pomarańczowym, Flavio zatelefonował do Tomacchia i nakazał mu odbycie normalnej, cotygodniowej jazdy.

-Jeżeli tego nie zrobimy, możemy zwrócić na siebie uwagę.

-Bzdura - usłyszał w odpowiedzi. - Powinniśmy siedzieć cicho jak myszy pod miotłą.

-Ojciec stanowczo nakazał mi robić wszystko tak, jak zwykle. Nie wolno nam niczego zmieniać.

-Tak powiedział? - mruknął Capo po chwili milczenia. - Moim zdaniem to bez sensu.

Kretyn - pomyślał Flavio. Jak ta cała sprawa rozejdzie się po kościach, poszuka sobie innej cysterny. Zrobiłby to już dawno, gdyby Tomacchio nie miał takiej ślicznej córki.

5

W Rzymie nie tylko nie padało, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Trwało lato, a centrum miasta wciąż okupowali turyści. Za to korytarze i biura gmachów rządowych świeciły pustkami.

Citto znalazł jednak kilka miejsc, w których panowała ożywiona aktywność. Należały do nich dwa urzędy

w Kwirynale, przed którymi stał sznur rządowych samochodów, a na Piazzale del Grandę Archivio, za szybami biur, panowało istne pandemonium. Citto, który kręcił się po mieście od południa, napotykał wszędzie na odmowę, nie zawsze uprzejmą. Mimo to zdobył szereg informacji. Każdy miał prawo zapoznać się z prawną podstawą i administracyjną historią budowy lotniska Taormina-Peloritana. Trzeba było tylko usiąść i przebić się przez stos raportów i dokumentów. Citto przeszedł w ten sposób przebieg budowy od projektu aż po uroczyste otwarcie, a żmudne studia porównawcze pozwoliły mu dostrzec niejasności, które niewątpliwie były elementami zakamuflowanej intrygi.

Odkrył w ten sposób, że trzy lata wcześniej utworzono konsorcjum dla popierania samej koncepcji i później budowy lotniska. Nazwiska członków konsorcjum nie były mu obce. Na pewno zostali podstawieni dwaj osobnicy z Katanii i Palermo, za którymi kryło się zapewne niezbyt święte przymierze spółek budowlanych i banko-

wych. Część z nich miała dobrą reputację, o kilku innych Citto wiedział, że są związane z mafią albo przez nią finansowane. Nie dziwiło go to. Każde większe przedsięwzięcie na południe od Rzymu - czy miała to być autostrada, lotnisko czy ośrodek przemysłowy - musiało być powiązane w taki czy inny sposób z mafią.

Plany lotniska zostały zbadane i zatwierdzone w Rzymie przez rządową komisję. Dokumenty obrad naprowadziły Citta na pierwszy ślad. Była to komisja składająca się z dwunastu osób, ale na końcowym raporcie widniało tylko jednaście podpisów. Dwunaste nazwisko zostało starannie wykreślone ze wszystkich list obecności posiedzeń komisji. Nie ulegało wątpliwości, że dwunasty członek komisji istniał, gdyż jego śmierć lub choroba musiałyby zostać odnotowane w protokołach. Nasuwało się przypuszczenie, że oświadczenie owego członka zostało usunięte z raportu, a pewne luki i niejasności końcowego dokumentu zdawały się potwierdzać taki wniosek.

Cittó pokazał pierwszą stronicę protokołu komisji urzędnikowi z ministerialnego archiwum.

- Brakuje tu jednego nazwiska. Jest to chyba po prostu pomyłka. Czy mógłby pan sprawdzić w notatkach o kogo . chodzi i sprostować ten błąd? Byłbym panu bardzo wdzięczny. Wdzięczny za sto tysięcy lirów.

Młody urzędnik skinął głową.

- To chyba będzie możliwe. Spotkajmy się jutro w czasie obiadu. O wpół do trzeciej na parkingu przy placu Enrico Mattei.

Wieczorem Citto wynajął pokój w tanim hotelu niedaleko dworca, zamknął się w nim i popijając mlekiem świeże bułki przestudiował zebrane tego dnia notatki.

Tymczasem urzędnik ministerstwa, zasiadłszy z rodziną w nowym osiedlu mieszkaniowym za Monte Sacro do kolacji, zaczął się niepokoić. Może nie powinien się być wdać w tę historię z jękającym się małym Sycylińczykiem. Zatelefonował do kolegi i opowiedział mu o wszystkim, zaznaczając, że wyznaczył spotkanie na dzień następny. Po rozmowie uspokoił się i postanowił, że wywiąże się z obietnicy. Sto tysięcy nie opodatkowanych lirów umożliwi mu wyjazd z rodziną na Boże Narodzenie na południe.

Kolega urzędnika zadzwonił do innego kolegi, a ten do jeszcze jednego. Jedni pamiętali komisję, inni nie. Ale w końcu wiadomość o zainteresowaniu dziennikarza tą sprawą dotarła do sekretarza komisji.

"Polegam na panu" - powiedział kiedyś do niego Consoli. Teraz urzędnik ów zastanawiał się nad tym, do kogo się zwrócić o radę. Powinien był przewyciężyć strach i zadzwonić bezpośrednio do adwokata.

Zamiast tego zaczął radzić się innych kolegów.

Tego wieczoru Sharlie grał rolę dobrego syna i zabawiał matkę i jej sąsiadów opowiadaniem o swoich sukcesach. Matce kupił czekoladki i kwiaty, a uznawszy te dary za niewystarczające, poszedł na Via Etnea i za ostatnie pożyczone liry nabył dla niej jedwabny szalik. Jeżeli agencja nie zapłaci mu dobrze za zdjęcia "Tanga November", to nie zostanie mu nawet dosyć pieniędzy na bilet kolejowy do Rzymu. Może uda się sprzedać kilka zdjęć na boku. W domu zastał wiadomość, że jakiś dziennikarz chciał się z nim zobaczyć, zostawił nawet numer telefonu. Może będzie chciał jakieś zdjęcia?

A jeżeli nie? Wtedy trzeba się będzie zwrócić do Citta. Musiał chyba mieć wyrzuty sumienia z powodu utraty zęba przez Sharliego.

Kiedy sąsiedzi sobie poszli, matka i syn zostali sami przy kuchennym stole. Sharlie zapewnił gości, że wybił ząb, kiedy spadł z motocykla, ale matki nie można było oszukać.

- Znowu pracujesz dla tego wariata? - Miała na myśli Citta.

- Pracuję na własny rachunek.
- Ale on ci mówi, co masz robić?
- To dobry dziennikarz.
- Mam tylko ciebie na świecie - rozplakała się matka. - Nie chcę na resztę życia zostać sama.
- Powiedziałem ci, że spadłem z motocykla.
- Mieszkam w tej dzielnicy od trzydziestu lat. Myślisz, że nie potrafię rozpoznać śladów po bójce?

Sharlie uśmiechnął się do matki i dołał jej wina. Matka dorabiała zbieraniem winogron w czasie weekendu. Gospodarz dał jej za to kilka litrów wina.

- Już niedługo - powiedział - będziesz miała pieniądze i nie będziesz musiała chodzić do pracy.

Chwycił ją za rękę, jakby chciał zaprowadzić w krainę marzeń.

7

W pensjonacie "Albert" we wszystkich oknach płonęły świece. Deszcz ustał, ale pozostawił po sobie awarię elektryczności. Ulice i zaułki już wyschły, jiiiebo nad Taorminą rozjaśniło się, a nad morzem ukazał się księżyc, czysty i biały, jaki bywał w Ameryce w zimowe noce. Mac powoli wspinał się po schodkach prowadzących do drzwi hotelu.

"A może na lotnisku w sobotę nastąpiła awaria sieci elektrycznej" - powiedział Larry Raille przed kilkoma godzinami, kiedy siedzieli przy oświetlonym świecami stole. Ale okazało się, że Włosi już zbadali tę ewentualność i wykluczyli ją. Taorminą-Peloritana zasilana była w prąd z generatora przez czas burzy w nocy z piątku na sobotę. Cały personel lotniska potwierdził, że w ciągu tej nocy nie było ani chwili przerwy w dopływie prądu.

Przy kolacji w prywatnym pokoju "San Domenico" zebrali się członkowie wszystkich grup, żeby wymienić zdobyte informacje. Burden przewodniczył. Dyskusja przebiegała sprawnie i rzeczowo.

Brakowało tylko grupy, która wyruszyła w góry i spędzała tam noc.

Mac podziwiał umiejętność koncentrowania się na sprawach istotnych, którą jego kolega zdobył w ciągu piętnastu lat służby w brytyjskiej administracji. Podejrzewał jednak, że mimo to Burden przez większą część wieczoru błędził myślami zupełnie gdzie indziej. Dręczy go wspomnienie "Dixie" Duckhama -zgadywał.-Cóż to za szok znaleźć wśród ofiar katastrofy zwłoki starego przyjaciela!

Pensjonat "Albert" był dobrze przygotowany na wy-

Enter 4-1

W*

t

padek awarii prądu. W holu stały lampy gazowe. Mac spytał o Julię Duckham i poprosił portiera, żeby zaniósł jej na górę jego wizytówkę. Powiedziano mu, że pani Duckham spędziła niemal cały dzień w pokoju.'

Julia nie kazała długo czekać, zeszła razem z portierem. Nawet nie przyczesła włosów, nie nałożyła makijażu, miała na sobie pomiętą spódnice i bluzkę, a niespokojne oczy, nadawały jej jeszcze bardziej młodzieńczy wygląd. Emanujące z niej napięcie nerwowe odebrało Macowi głos. Spodziewa się po nim Bóg wie czego - może wiadomości, że mąż jej powrócił do życia? A tymczasem przed godziną potwierdzono oficjalnie jego zgon. Nadeszły bowiem od dentysty Duckhama dane o stanie jego uzębienia. Potwierdziły tożsamość zmarłego, co do której nikt i tak nie miał wątpliwości.

- Przesłano nam rezultaty analiz - odezwał się wreszcie Mac. Oczy Julii zgasły. Patrzyła na Maca, jak gdyby go nie widziały.

- Chciałem pani powiedzieć, że nie stwierdzono żadnych odchyień od normy. Pani mąż był bez zarzutu. Pod każdym względem.

Skinęła głową, ale Mac był pewien, że nie słyszy jego słów.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Dziękuję, że pofatygował się pan tutaj, żeby mi to powiedzieć.

Stali na środku holu, najfrzeciwnie siebie, jak żołnierze na posterunku. Sytuację uratował portier. Zaprowadził ich na bok, do małej białej alkowy, w której stał stolik i dwa fotele.

- Wszyscy chcą zwalić na niego winę - powiedziała Julia po chwili. - Zupełnie nie rozumiem, co się tu właściwie dzieje.

-Zadawali pani mnóstwo pytań, prawda?

- Pytali o to, czy pił, mówili o pieniądzach, o rozwodzie. Byli wyraźnie podejrzliwi

- Niestety, tak jest zawsze. Muszą stawiać te pytania. To wcale nie świadczy o złych intencjach.

- Ten człowiek mówił o sprawach, o których ni* mógł nic pewnego powiedzieć.

Ralph Burden - domyślił się Mac.

- Powiedział, że miłkno mąsował z jaką stewardesą - Spojrzała na Maca - Czy pan coś o tym wie?

- Skądże! Ja jestem tylko lekarzem

Ale Mac wiedział o tej sprawie. Burden zawiadomił go o niej w czasie kolacji. W kontekście możliwości napięć emocjonalnych w kabinie pilotów. Mówił też coś o tym, że Duckham i Nyren byli ze sobą skłóceniu oraz o tym, że chodziło tu o uratowaną stewardesę. « Powiedział mi nawet, co to za dziewczyna - ciągnęła dalej Julia - Nie mogę przestać o tym myśleć. Przez cały dzień zastanawiam się, czy to możliwe. I dlaczego. We wszystkich gazetach są jej fotografie. - Rozejrzała się po holu, jak gdyby spodziewała się znaleźć tam gazety. - Poznałam ją nawet niedawno. Na meczu krokietowym.

Stella Pritchard Mac oglądał jej kartę chorobową. Utaił w szpitalu w Katanii i była w niezłym stanie. Ogólny wstrząs i lekkie obrażenia głowy.

Julia przyglądała mu się, jak gdyby czekała na potwierdzenie, zaprzeczenie albo jakąś radę.

- Musi pan wiedzieć, że byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem. Nie mogę zrozumieć ..

- Na, to w takim razie nie ma żadnego znaczenia, czy on sobie po romansował czy nie... - powiedział Mac i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie jest to odpowiednia chwila na pouczanie Julii o różnicę pomiędzy miłością a seksem

- Dla innej to bardzo ważne. Może nie powinnam o tym myśleć, ale wciąż zastanawiam się nad tym, czy to

prawda, czy nie. - Jej wielkie niespokojne oczy błędnymi po pokoju.

- Może pocilibyśmy na spacer? - zaproponował Mac po chwili milczenia. - Przestało padać.

Uważał świeże powietrze i nierzeczywiście najlepsze lekarstwo na wszelkie fizyczne czy psychiczne problemy.

Julia wstała i mechanicznie poszła za nim. Miał taki głos, że nawet prośba brzmiała jak rozkaz.

Zeszli po stopniach na główny ulicę oświetloną słabymi oliwnymi kagankami. Centrum miasta było puste, wyjątek stanowiło kilka taksówek. Na ulicach panowała cisza, przerywana tylko dalekimi okrzykami dzieci i postukiwanym sandałów nielicznych turystów. W małym barku Mar zamówił dwa koniaki i opowiedział Julii o

awanturze, jaka ouała miejsce poprzedniego dnia pod miejską kostnicą Uśmiechnęła się nawet, kiedy sporo* diował głosy zdenerwowanych policjantów.

Potem zeszli stromą, wąską uliczką w dół Mijali ledwie widocznych przechodniów, sklepy i domy. słabo oświetlone migotliwymi płomykami. Mae wypytywał Ju- lię o dom, o rodzinę, dzieci.

Odpowiadała mu tak, jakby mówiła o cudzych sprawach. Opisała dom i ogród w Virginia Water, opowiedziała o Andrewie t Klarse, o tym, tt zajmuje się nimi teraz jej siostra, była stewardesa.

Znaleźli się w pewnym momencie na skraju wzgórza, wznoszącego się nad obwodową drogą opasującą miasto. Zobaczyli w świetle reflektorów samochodowych zagubionego, starego, przygarbionego człowieka Kosmyki siwiejących jasnych włosów okalały mu twarz. Wyglądał jak GraucKo Marz albo jak jetdziec. który zgubił konia. Byt to kanonik Ash Nyren, poszukujący od popołudnia noclegu.

- To ojciec Petera! - zawołała Julia.
- Petera?

- Petera Nyrena. Drugiego pilota.

- Pani go zna?

- To stary człowiek. Muszę mu pomóc. Ale kanonik zniknął, jak gdyby go ziemia pochłoneła.

- Zobacz go pani jutro. Przypuszczam, że zajmie się nim Greyhound.

- Pojechaliśmy któregoś dnia do wioski - opowiadała Julia - żeby zagrać w krokiet. Wszyscy grali, tylko ja nie. Mike, Peter i kanonik. Ona też tam była.

- Stella Pritchard?

- To był mecz na cel dobroczynny. Grali mężczyźni i kobiety z różnych zawodów. Pilot, lekarz, weterynarz. Był też pisarz i gwiazda filmowa. No i ona... ta stewardesa.

- Jest w szpitalu w Katanii. Może powinna pani ją odwiedzić?

- Dlaczego on to zrobił? - wyszeptała patrząc w dół na morze, w którym odbijał się księżyc. Usiłowała sobie wyobrazić, że stoi tu z Mike'om, że spędzają tutaj wakacje. Ale natarczywe pytanie nie przestało jej chodzić po głowie.

- Dlaczego on to zrobił?

- Nie znałem pani męża, może mi pani o nim opowie? Julia spojrzła na Maca. W słowach, które wypowiedział, nie było zagrożenia. Ten człowiek nie atakował jej. Otworzyła już usta, żeby zacząć mówić o mężu, ale nagle bezwiednie rozplakała się.

~ Innym razem - uspokajał ją Mac - innym razem opowie mi pani o nim.

- Przepraszam - szepnęła - pan jest taki dobry. Mac ujął ją pod ramię.

- Proszę się nie krępować. Niech pani płacze, i to głośno, jeżeli to pani przynosi ulgę.

Położyła mu głowę na ramieniu i łkała gwałtownie, długo, aż do wyczerpania. Mac odprowadził ją do pensjonatu. Dręczyło go poczu-

cie winy wobec tej młodej kobiety. Miał ochotę bronić jej, a przecież musiał ją zdradzić i powtórzyć wszystko, co mu powiedziała, Burdenowi.

Nagle zaświeciły latarnie i lampy, a z okien mieszkań i barów rozległa się muzyka z radia i grających szaf.

Kanonik Nyren obserwował powrót muzyki i światła. Zmęczyło go próżne wędrowanie od gospody do gospody. Siedział teraz na stoku, nad miastem. Był ciepły, łagodny wieczór. Już nie padało. W hotelach patrzono na niego podejrzliwie,

bo był bez bagażu. "Nie ma pokoiów" ~ powtarzano wszędzie nie zwracając uwagi na jego "ba- cauda perdita est".

Późnym wieczorem poszedł za grupą studentów amerykańskich, przełazł razem z nimi przez mur, rozłożył pod kaktusowym żywoplotem opodal ich śpiworów płaszcz deszczowy i zasnął. Nie czuł ani chłodu, ani głodu.

- Mecz krokiet? - Burden skrzywił się. - To dziwne.

Mac zastał Burdena już w piżamie.

- Jest oczywiście w stanie hysterii?

Mac zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie sędzę. Myślę, że jest jeszcze w szoku. Ale trzyma się całkiem dobrze

- Przypuszczam, że skarżyła się na moje pytania - . Burden był wyraźnie zirytowany tym, że Mac spacerował z Julią przez cały wieczór.

- Nie ma do pana pretensji. Po prostu broni swego męża. - Mac uśmiechnął się. - To ładna kobieta, co?

Na miłość boską, Mac, to nie jest chwila na takie uwagi!

Mat- pożegnał się i wyszedł z pokoju Burdena. Czy pani Duckham jest ładna? - zastanawiał się Burden. Przez cały dzień mimo woli myślał o jej motaę), przylegającej do ciała sukni. To fakt.

le po drugiej stronie Atlantyku w Waszyngtonie stanowczo należało do udanych. Trunków nie brakowało, stoły były suto zastawione, a goście plotkowali, żartowali i flirtowali ze sobą i z gospodynią.

Priscilla wiedziała jednak dobrze, kogo trzeba faworyzować. Potrzebny jej był ktoś bardzo wpływowy, człowiek, który mógł popierać decyzje i zmieniać zarządzenia. A ponieważ właśnie najstarszy wiekiem i rangą pułkownik wyraźnie jej nadskakiwał, poprosiła go, żeby pozostał po odejściu innych gości. Usiedli obok siebie na kanapie i paplali o konieczności porozumienia się pomiędzy ludźmi. Rozmowa zesłała na temat zdrowia i kwestię utrzymywania dobrej formy fizycznej. Priscilla mówiąc o palpacji serca przyłożyła rękę gościa do swojej piersi. Gest ten upoważnił go do pocałowania jej i do coraz śmielszych pieszczot.

Następnego ranka zadzwonił, żeby podziękować gospodyni za przyjęcie.

- Może pani być pewna - powiedział - że zajmiemy się sprawą pani męża. Mówiono mi, że jest wybitnym fachowcem. Umówimy się na wieczór, może będę mógł pani więcej powiedzieć na ten temat.

Ku zadowoleniu pułkownika uzyskanie awansu dla Raille'a okazało się niespodziewanie łatwe: Od dwóch dni pewni urzędnicy zastanawiali się nad sposobem odsunięcia go od śledztwa nad katastrofą "Tanga No- vember". Postanowiono zaproponować mu dobre stanowisko w NASA, czyli w Narodowym Urzędzie Badania Przestrzeni Kosmicznej.

We wtorek wczesnym rankiem Sharlie pożegnał się z matką i pojechał do wioski rybackiej po Laurę. Deszcz już nie padał, niebo przejaśniało się, dzień zapowiadał się pogodny, w sam raz dla Cantallaluny. Jechali motocyklem pod górę, mijając szybko i z hałasem uśpione jeszcze wioski. Zatrzymali się dopiero na głównej górskiej drodze i czekali w milczeniu. Po kwadransie usłyszeli turkot innego motocykla i zobaczyli zbliżające się do nich światło reflektora. Laura pomachała ręką. Cantallaluna, niezbyt zadowolony ze spotkania, zatrzymał motor. Sharlie zaczął mu zadawać pytania.

- Nie mam czasu - zachnął się Cantallaluna - jeżeli chcecie porozmawiać, to jedźcie za mną.

Po chwili znaleźli się w tak podłym terenie, że Sharlie zląkł się o motocykl kuzyna. Podążyli więc za Oantallalu- ną piechotą, patrząc z przerażeniem, jak jego motocykl podskakuje na wybojach i z jakim trudem pnie się w górę.

Kiedy go wreszcie dogonili, zastali go zgiętego wpół i biegającego z miejsca na miejsce w poszukiwaniu grzybów. W jednej ręce trzymał torbę, a drugą obcinał grzyby tuż przy ziemi. Gdy zobaczył Laurę, podał jej torbę, by mieć obydwie ręce wolne. Sytuacja była groteskowa: mały, gruby Cantallaluna krzątający się jak w ukropie i śpiewający uiwki z arii operowych, za nim ostrożnie przedzierająca się przez krzaki Laura, wreszcie Sharlie, który obskakiwał Cantallalunę ze wszystkich stron i śp sypywał go pytaniami.

Od czasu do czasu Cantallaluna przestawał śpiewać, prostował się i mówił:

- W sobotę rano? Gdzie to ja byłem? Aha, po drugiej stronie pagórka.

Tego dnia nie śpieszył się z towarem do samolotu, więc poszedł znacznie głębiej w las niż zazwyczaj. W soboty i niedziele zbierał grzyby dla miejscowych restauracji. Wyruszył wpół do czwartej rano, a do zbierania wziął się chyba w godzinę później.

Przerwał opowiadanie, bo całkowicie pochłonęło go grzybobranie. Grzyby rosły tu nie pojedynczo, ale całymi tuzinami.

- Tak jest zawsze po deszczu - tłumaczył Laurze - wyłażą całymi rodzinami.

W sobotę rano, owszem, słyszał samolot.

- Z początku myślałem, że to trzęsienie ziemi, potem że to może wybuch wulkanu. Nie był to właściwie hałas. Prędzej gigantyczny wstrząs powietrza. Muszę przyznać, że się przestraszyłem.

Cantallaluna przerwał, bo znęciła go duża grupa grzybów.

- Nie wiedziałem, co to jest, aż spojrzałem w górę. Nawet wtedy nie byłem pewny. Może to orzeł? Zasłonił niebo i zniknął. Dopiero potem zorientowałem się, że to ryk motorów odrzutowych. Ale nie mogę powiedzieć, że słyszałem huk zderzenia z ziemią. Jak daleko to było stąd? Jakie trzy kilometry.

Było coraz jaśniej. Sharlie zaczął robić zdjęcia. Ostatecznie Cantallaluna był ostatnim człowiekiem, który widział "Tango November" w powietrzu. Na pewno znajdzie się gazeta albo tygodnik, który zechce opublikować jego fotografię. "Śpiewaj do księżycy" z pewnością zasługuje na specjalny artykuł, chociażby jako przedstawiciel góralskiego folkloru.

Cantallaluna zaczął przeklinać. Narzekał, że mu przeszkadzają.

- Samolot startuje o siódmej. Muszę stąd uciekać o szóstej.

Sharlie spojrział na zegarek, a potem na niebo. -, Która była godzina?

x- Kiedy zobaczyłem samolot? Piąta trzydzieści pięć bez pół minuty.

Od Citta Sharlie wiedział, że zegary lotniska zatrzymały się na godzinie piętej czterdzieści. Nie zgadzało się to z czasem, jaki podał mu Cantallaluna.

- Skąd znasz tak dokładnie godzinę?

- Ze względu na godziny startu samolotu zawsze noszę przy sobie zegarek - mruknął Cantallaluna i pochylił się, żeby zlikwidować kolejną rodzinę grzybów.

- Przecież w sobotę nie śpieszyłeś się na samolot?

- Ale przyzwyczailem się do zegarka. Ciągłe sprawdzam godzinę. Ale zegarek noszę na rękę tylko dla kontroli. Prawdziwy czas mam tutaj! - stuknął się palcem za uchem.

Sharlie, dysząc ciężko, usiłował dotrzymać kroku Cantallalunie i nie ześliznąć się ze stromego urwiska.

- Którego zegarka używałeś w sobotę?

Cantallaluna zniknął na chwilę wśród krzaków i po chwili wynurzył się z gęstwiny z pełnym workiem grzybów.

• - Zawsze sprawdzam czas na zegarku, możesz być spokojny.

Szare tło lasu zabłysło barwami w promieniach porannego słońca. Cantallaluna zawiązał worek.

- Chcecie trochę grzybów na obiad?
 - Daj spokój. Zostaniemy i zbierzemy, ile zechcemy.
 - A czy odróżniasz dobre grzyby od trujących?
 - Jeżeli się nawet pomylimy, to liczę na babcię. Ona je będzie gotować.
 - Jak się babcia miewa? m zainteresował się na odchodnym Cantallaluna. - Nonna Lisa to dobra kobieta. Powiedz jej, że wstąpię do niej któregoś dnia i będzie mi mogła przyrzadzić serago.
- Jego głos dochodził ich coraz słabiej, bo Cantallaluna

biegł do motocykla, żeby-zdążyć na poranny samolot. - ^H Powiedz jej - zawołał jeszcze - żeby przysłała do mnie ^P i zagrzała się przy moim kominku, kiedy znudzi jej się morze!

Doszedł ich warkot zapuszczanego silnika motocyklowego. Laura roześmiała się.

- Po śmierci dziadka Cantallaluna zaczął nadszkarliwać babci. Ale on nie znosi morza, a Nonna Lisa nie o- puści swojego domu!-

Kiedy rano czterej członkowie grupy poszukującej części samolotu obudzili się, zdawało im się, że słyszą jakieś głosy i śmiechy.

Ale kiedy wykaraskali się ze śpiworów i namiotów, stwierdzili, że chyba się omylili. W rzeczywistości słyszeli Sharliego i Laurę, którzy znajdowali się w odległości około trzystu metrów w bok i pięćdziesięciu w górę od nich.

Zapalili kuchenkę gazową i zabrali się do przygotowania kawy. Wczoraj o zmierzchu zakończyli poszukiwania, po czym rozłożyli się biwakiem, ściągnęli z siebie przemoczone ubranie i zasnęli. Teraz chcieli przede wszystkim wysuszyć odzież i buty. Ich praca posuwała się niezmiernie wolno. Rozpiętość skrzydeł samolotu typu „119” wynosiła trzydzieści sześć metrów, musieli więc po każdej stronie linii swojego marszu przeszukiwać teren na co najmniej siedemdziesiąt metrów w głąb. Poprzedniego dnia udało im się mimo deszczu przeczesać półtora kilometra lasu, ale dzisiejszy odcinek terenu zapowiadał się dużo trudniej. Drogę zagradzała im gęstwina ciernistych krzaków, a cały las wymoszczony był zwalami skamieniałej lawy.

Postanowili nie związać namiotów. Rozłożyli mokre ciuchy na słońcu. Wrócą tutaj na obiad i dopiero przed popołudniowym marszem zwiną obóz.

Kiedy Ash Nyren obudził się, słońce stało już wysoko na horyzoncie i przypiekało mu skórę. Był brudny, wymięty i zmęczony. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Wczoraj, kiedy jechał autobusem z lotniska, zapytano go, czy chce zobaczyć ciało syna. Uznał tę propozycję za makabryczną i tak też odpowiedział.

Co będzie dalej? Peter zostanie pochowany, a kanonik powróci do domu. Wysyłając go tutaj zmarnowano mnóstwo pieniędzy.

W 1920 roku pojechał z ojcem do Francji. W piękny letni wieczór znaleźli na wojskowym cmentarzu grób brata Asha, a ojciec po raz pierwszy i ostatni w dorosłym życiu rozplakał się. W1946 roku Ash Nyren udał się sam na poszukiwanie grobu starszego syna. Ale nie znalazł go na żadnym cmentarzu. Jego syn po prostu przepadł bez wieści i nikt nie wiedział, w jaki sposób zginął. Tak jak Peter - po prostu spadł z nieba na ziemię.

Amerykańscy studenci wciąż jeszcze spali w swoich śpiworach. Ash Nyren wstał i ruszył górskim zboczem ku dolinie. Miasto leżało przed nim. Widać było tylko koty przeszukujące śmietniki na podwórzach. Koty są niezwykle - pomyślał kanonik - nawet w śmieciach grzebią w elegancki sposób.

Nie był jednak pewien, czy sposób, w jaki spędził noc, był elegancki. Czy nie powinien był bardziej nalegać i ostrzej żądać przyzwoitego noclegu?

Po godzinnym poszukiwaniu znalazł w środku budzącego się już miasta publiczną toaletę. Znajdowała się na głównym placu pod kamiennymi schodami. Wyszedł z niej po dwudziestu minutach, nie ogolony wprawdzie, ale umyty i odświeżony. Zaszedł na poste restante, ale nie było jeszcze żadnej wiadomości o zaginionym bagażu. Na

ulicy podszedł do niego policjant Kiedy Ash Nyren potwierdził swoją tożsamość, policjant zaprowadził go do przyzwoicie wyglądającego hotelu. Ale nadzieje kanonika zostały zawiedzione Został tam tylko przyprowadzony po to, żeby odpowiedzieć na kilka pytań.

– Jesteśmy z Ministerstwa Przemysłu i Handlu z wydziału badania wypadków - oznajmił kanonikowi jakiś Anglik, stojący w drzwiach hotelowego pokoju.

Dziwne miejsce na prowadzenie dochodzenia – pomyślał Ash Nyren. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy zaczęto go pytać o mecz krokietowy, rozegrany na początku tego lata

- Mam szczęście, a może nieszczęście kierować drużyną krokietowi) naszej wioski -powiedział popijając kawę i zjadając rogaliki, - To był towarzyski mecz na cel dobroczynny. Może niezupełnie, bo chodziło o odbudowę wieży kościelnej. Rozumiem, że są ważniejsze cele niż wieża kościelna. To był pomysł Klubu Kobiet. Mecz odbywał się pod hasłem: "Jaki mam zawód?" Każdy członek drużyny występował jako przedstawiciel innego zawodu. Był lekarz, rolnik, adwokat. Rozumie pan? Duckham występował jako pilot.

- A panna Pritchard?

- O ile pamiętam jako stewardesa.

- Ozy pamięta pan datę tego meczu? Burden dbał o dokładność Informacji.

- To był początek czerwca. Ostatni tydzień kwitnienia rododendronów. Są chlubą ogródka kościelnego i plebanii.

- Czy pan Duckham przyjechał z rodziną?

- Tak, z żoną i dziećmi.

- Czy zamieszkali u pana?

- Zjedli kolację na plebanii, a potem pojechali do domu. Nie miałem dla nich dość miejsca na nocleg.

Kanonik wyglądał na chorego, a siwy zarost na nie

ogolone) twarzy przydawał mu lat. Ubranie miał pogniecione, koszulę nieświeżą.

Burden zastanawiał się. gdzie stary spędził ostatnią noc.

- Jakie wrażenie zrobił na panu Duckham?

- Bardzo przyjemne. Wydawał się sympatyczny. Pamiętam, że przywiózł ze sobą tuzin butelek wina. Bardzo byłem mu wdzięczny, bo od czasu wojny miałem pustą piwnicę.

- Czy dobrze grał w krokieta?

- Tak, uzyskał dobry rezultat, nie pamiętam, ile punktów. ale grał w pięknym stylu. Peter mówił, że ostatnio pan Duckham grywał tylko z dziećmi, więc tym bardziej zasługiwał na gratulacje.

- A panna Pritchard?

- Cóż, była bardzo elegancka. Pamiętam, że miała na sobie krótką, białą spódnicę.

- Przyjechała, bo była zaprzyjaźniona z Peterem?

- Tak mi się wydaje. Nie miałem wrażenia, że dobrze zna Duckhama. Była wobec niego raczej nieśmiała.

- Czy też była u pana na kolacji?

- Tak. I ona chyba została na noc. Wieczorem zostawiłem ją i syna w saloniku i spotkałem ich dopiero rano przy śniadaniu.

- Czy pan ma inne dzieci?

- Starszy syn zginął na wojnie. Peter urodził się już po jego śmierci. Toteż miał starego ojca.

- A pańska żona?

- Zmarła przed dziesięciu laty. - Zanim Burden zdążył mu zadać następne pytanie, Nyren dodał: - Wydaje mi się, że Peter widział w Duckhamie zastępczego ojca, ojca we właściwym wieku. Bardzo na nim polegał, rozumie pan?

- Czy pan rozmawiał z Duckhamem po meczu?

- Nie.

- Czy zapraszał pana do siebie?

Owszem, kiedyś zaprosił mnie na sobotę, ale właśnie wtedy wynikła kłótnia pomiędzy Duckhamem i moim synem, więc wykręciłem się.

- Nie chciał go pan widzieć?

- Zrobiłem chyba głupstwo. Powinienem być pośredniczyć w załatwieniu ich sporu, a raczej zaszkoziłem ich stosunkom. To było głupie. Głupota. Trudno jest darować sobie własne błędy. - W głosie starego człowieka zabrzmiała gorycz.

- Dowiedział się pan o kłótni od syna?

- Nie bezpośrednio. Nie rozmawiamy... nie rozmawialiśmy otwarcie o takich sprawach. Ale był ostatnio przygnębiony.- Niedawno przyjechał do domu na weekend, popił trochę w barze i zaczął rozmawiać o tej sprawie z kilkoma osobami. Poszedłem z nimi w związku z krokietem. Ot tak sobie, żeby wypić kufel piwa w sobotnie popołudnie. Jestem przewodniczącym miejscowego klubu.

- Czy Peter był tą sprawą przygnębiony?

- Tak. Ale i zły.

- Czy łatwo tracił równowagę?

Ash Nyren podniósł oczy na swojego rozmówcę i przyjrzał mu się po raz pierwszy uważnie: surowy wyraz twarzy, cienkie wargi, czujne oczy. Te oczy miały wydać wyrok na jego syna.

- Czy pański syn był kiedykolwiek tak przejęty jakąś inną sprawą? - zaczął znowu Burden.

- Tak, wtedy, kiedy linia, w której poprzednio pracował, zbankrutowała i stracił posesję.

- Czy był wtedy bardzo zdenerwowany?

Nyren nie odpowiedział od razu. Zaczął się mieć na baczności.

- Każdy denerwuje się, kiedy traci pracę. Czy Peter łatwo tracił nerwy? Był człowiekiem zamkniętym w sobie.

Tak było jeszcze w szkole i jego wychowawca napisał to nawet w opinii o nim.

- Czy odwiedzał go pan w Londynie?

- Nie. Miał bardzo małe mieszkanie. Tylko dwa pokoiki.

- Czy panna Pritchard była jego przyjaciółką?

Nyren znowu się zawahał. Nie chciał powiedzieć ani nie, ani tak.

- Nie byli zaręczeni.

Burden powstał zza biurka.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc w tak trudnej chwili.

Nyren także podniósł się z krzesła i Burden raz jeszcze zwrócił uwagę na jego niechlujny wygląd.

- Mam nadzieję, że ktoś się panem zajął?

- Mój bagaż zaginął. Jakiś młody człowiek na lotnisku obiecał, że mi to załatwi, ale nie mam jeszcze żadnej wiadomości.
- Powinien pan zawiadomić o tym linię Greyhound.
- Nie lubię robić kłopotu.

Burden otworzył drzwi i w progu zapytał Nyrena jeszcze raz:

- Czy sądzi pan, że zatarg pomiędzy pana synem a Duckhamem mógł wpłynąć na atmosferę w kabinie? Że byli z tego powodu rozkojarzeni?

Pytanie zaskoczyło Nyrena i wytrąciło go z równowagi. Myślał o tym przez cały czas, ale przecież nie mógł mieć pewności.

- Sądzę, że obydwaj byli zbyt doświadczeni, żeby dopuścić do tego - odpowiedział.

Zaś w duchu mówił sobie, że może Duckham był rzeczywiście bardziej zrównoważony, ale Peter potrafił gryźć się takimi sprawami, a kiedy był zdenerwowany, mógł popełnić błąd. Nyren wiedział o tym z obserwacji syna przy grze w krokieta albo w szachy, za kierownicą albo przy fortepianie. Przypomniał sobie, że kiedyś Peter zaczął walić pięściami w klawisze, bo zdarzyło mu się uderzyć kilka razy pod rząd w fałszywą nutę.

Stella Pritchard otworzyła oczy. W poobiedniej ciszy przyszła do niej, jak zawsze, mała Trucie.

- Jedna pani czeka, żeby się z tobą zobaczyć – powiedziała dziewczynka. - Siedzi od rana. Czy chcesz ją zobaczyć?

Trixie była niespokojna. Bała się utraty swoich wyłącznych praw do Stelli.

Stellą uśmiechnęła się i chwyciła dłoń dziecka. Kiedy weszła pielęgniarka, żeby powiedzieć jej o wizycie Julii Duckham, Stella już znowu spała. - Niech śpi - szepnęła Julia - posiedzę przy niej. Pielęgniarka odeszła pozostawiając Julię i Trucie w półmroku. - Halo - szepnęła Julia do dziewczynki, ale ta przyłożyła palec do ust. W pokoju słyhać było tylko głęboki oddech chorej. Panowała tu atmosfera przedśmionka śmierci. Stella była zupełnie niepodobna do fotografii z pierwszych stron dzienników. Głowę miała częściowo ogoloną, a spod bandażu wysuwały się kosmyki sklejonnych włosów. Skóra na jej twarzy zwiotczała. Oddychała nieregularnie. W pewnym momencie wstrzymała oddech na tak długo, że Julia myślała, iż nastąpił koniec. Ale po kilku sekundach pierś chorej uniosła się znowu. Julia i Trixie odetchnęły razem z nią.

Julia zdjęła płaszcz, przysunęła fotel do łóżka i przygotowała się do długiego czekania. Przez szparę w okiennicach widziała skrawek zacienionego podwórza, a po sjeście odezwały się znowu odgłosy miejskiego życia: warkot samochodów i motocykli, gwizdek kierującego ruchem policjanta, muzyka w pobliskim barze, wrzaski i śmiechy młodych ludzi.

- Odliczaj pięćdziesiąt sekund. Zaczynaj. Opuszczamy podwozie. Sprawdzamy listę czynności lądowania.

- Przełączniki przerywacza.

Włączone.

- Sygnał niepalenia.

- Włączony.

Głosy trzech ludzi recytowały sprawnie litanie punktującą kolejne etapy procedury lądowania. Były to głosy kapitana Duckhama, drugiego pilota Nyrena i mechanika pokładowego Ravena.

Trzej inżynierowie - dwaj Anglicy i Włoch - słuchali taśmy magnetycznej wsuniętej do specjalnego magnetofonu. Znajdowali się w dźwiękoszczelnym laboratorium Instytutu Lotnictwa Królewskiego w Farnborough. Z trzydziestominutowej taśmy

odczytywali ostatnie pięć minut. Zrobili to już niezliczoną ilość razy, ale nie mogli dojść do żadnych wniosków.

- Przechodzimy na system lądowania na przyrządy. Wysokość cztery tysiące stóp.
- To Nyren informował wieżę lotniska Taormina-Peloritana.

- Roger "Tango November". Zawołaj mnie za zewnętrznym markerem. - Nyren w kabinie pilotów potwierdza działania przyrządów ślepego lądowania.-Wchodzę w ścieżkę lokalajzera.

Z taśmy odzywa się cichy, ironiczny głos.

- Cud numer dwa!
- Zamknij się, George - to głos Duckhama.

Cztery sekundy pauzy, a potem sygnał brzęczyka.

- Zewnętrzny marker.

Po długiej pauzie znowu odzywa, się Nyren:

- Wysokość dwieście stóp.
- Cholera! Chwila milczenia. - U mnie też się zga-

dza myśle że nawet w porządku

- Sprawdzam ścieżkę schodzenia.

I znowu tamten cichy, niski głos, tym razem prawie że niedosłyszalnie:

- O, kurczę! Założyłbym się, że zmienili kąt schodzenia i zapomnieli nam powiedzieć.

- OK. Proszę o ciszę.

Nyren do wieży:

- "Tango, November" nad zewnętrznym markerem.

- Roger "Tango November" - zezwalam na lądowanie.

Pauza. Potem głos Duckhama:

- Pilot automatyczny wyłączony. Klapy!

-' Wypuszczone i zamocowane.

- Nasza lista kontrolna wyczerpana. Miejmy nadzieję, że na dole odebrali ją w całości. - To był dowcip mechanika.

- Proszę o ciszę. Peter, pilnuj kontaktu wzrokowego. Ja obserwuję przyrządy. George, podaj mi namiar wysokości nad środkowym markerem.

- Rozkaz. -1 znowu śmiech, r- Teraz zobaczymy, jaka jest naprawdę widoczność!

Po chwili znowu brzęczyk:

- Moim zdaniem jesteśmy na wysokości pięćdziesięciu stóp.

- To cholernie nisko.

I w tej samej niemal chwili głos Nyrena:

- Widzę światła podejścia. Pół na prawo. Dwadzieścia na prawo.

Chwila ciszy. A potem nakładające się na siebie głosy.

| Szlag!

- Psiakrew! Przepraszam, kapitanie - to był Peter Nyren.

- Przelecieliśmy!

- Klapy dwa pięć!

- Mocno w górę. Wciągnąć podwozie!

Pauza.

- Wznosimy się jak krowa. Daj pełną moc, George. Musimy wrócić na trasę. Peter, włącz Oscara.

- Roger.
- Szybkość OK. Klapy jeden cztery.
- Peter, co z goniometrem?
- Włączony. Słyszę Oscar Echo.

Pauza.

- Cholera!

Niespokojny, urywany głos Nyrena przebija się przez zgrzyty i zakłócenia na taśmie:

- Tracimy szybkość i wysokość.

Taśma rejestruje dygotanie maszyny. Warunki atnios- feryczne czy awaria silników?

- Trzymaj kierunek, Peter - odzywa się spokojny głos Duckhama. *

Ostry dźwięk ostrzegawczego dzwonka podrywa nawet trzech mechaników słuchających taśmy.

- Silnik numer dwa.

Dzwonek milknie, jakby przez kogoś wyłączony.

. - Znowu fałszywy alarm. Na pewno.

- Możliwe. - Duckham wciąż nie traci spokoju i wydaje po chwili decyzję: - Procedura pożarowa silnika numer dwa.

- Na miłość boską! To wariactwo!

Czyj to głos?

- George. Procedura pożarowa - znowu rozkazuje Duckham.

- Przełączam całą moc na silnik numer trzy. - To głos mechanika.

- Zamknąć przepustnicę numer dwa.

Przerwa. Potem Duckham ostro i głośno:

| Peter!

Mechanik:

• 3

8 Wyłączam dźwignię startową.

Nyren:

- Wyciągam dźwignię gaśnicy.

Pauza.

Okrzyk mechanika pokładowego:

- Jesteśmy na akumulatorze! Generator numer trzy ;> wyłączył się samoczynnie. Przeciążony.

Duckham:

- Zmniejsz przeciążenie i wracaj na generator.

Pauza trwająca około dwóch sekund. Potem nagły

krzyk Duckhama:

- Niech to jasny szlag!

Przekleństwo Duckhama zamienia się w jęk. Tu taśma f się kończy. Następuje cisza. Trzej inżynierowie patrzą po sobie. Taśma jest obliczona na trzydzieści minut. Potem ściera poprzednie dźwięki i nagrywa nowe. Na "Tangu November" wyłączono j taśmę, zanim nastąpiło zderzenie. Wstępne badania ujawniły takie samo zjawisko w magnetofonie "czarnej skrzynki". Ostatnie cztery, pięć czy sześć minut życia samolotu okryte jest milczeniem.

Włoch zapisał kilka słów, żeby sprawdzić je w słowniku. "Zamknij się", "krowa", "szlag", "cholera", "kurczę", "cud". Sądzi, że może kiedy dowie się, co znaczą, będzie bliższy rozwiązania zagadki.

12

Sharlie przybył za wcześnie na spotkanie z nieznanym dziennikarzem. - Za kwadrans pierwsza - powiedział obcy głos w słu-

chawce – pod słońcem na Piazza del Duomo.

Sharlie zszedł na plac pod arkady i przechodził go w cieniu autobusu. Tamten człowiek już na niego czekał i gestami ręki przekazywał jakieś informacje kierowcy samochodu zaparkowanego pod katedrą. Człowiek miał ciężką szczękę, grube wargi i zupełnie nie wyglądał na dziennikarza.

Nie od razu spostrzegł Sharliego. Kiedy go jednak zauważył, skinął głową i obrócił się do niego nonszalanckim ruchem. Było w tych ruchach i w tej twarzy coś zastanawiającego. Sharlie zwolnił kroku i zorientował się w sytuacji. Przecież nie napada się chyba na ludzi w biały dzień na środku Piazza del Duomo. Nawet w Katanii! A poza tym był to przecież dziennikarz, chociaż... kto go wie?

Świeciło słońce, plac roił się od ludzi, a z restauracji dochodziły miłe zapachy jadła. Istna sielanka. Sharlie był już tylko w odległości pięciu kroków od "dziennikarza", kiedy zauważył bojówkę: trzech faceci[^] wyskoczyli z auta stojącego pod katedrą i biegli przez plac. Chcieli mu wyraźnie przeciąć drogę. Chłopiec jeszcze nie zapomniał o stracie zęba. Nie miał ochoty na nowe bicie, ale nie było czasu na chłodne rozważania.

Błyskawicznie okrążył faceta z grubymi wargami i puścił się przez plac. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że wszyscy czterej biegną za nim. Wpadł na rybny targ po kamiennych stopniach, poślizgnął się na nich i przewrócił stoisko ze skorupiakami. Ostrygi, małże i ślimaki poleciały' razem z nim na chodnik. Podniósł się i biegł dalej, a za nim pędzili czterej napastnicy i ciągnął się wściekły ryk właściciela stoiska. Dwaj handlarze ryb próbowali zatrzymać chłopca i wszyscy trzej wpadli na wózek z rybami. Tym razem wielka ośmiornica, koszyk żywych pstrągów i ogromny płat tuńczyka znalazły się wraz z Sharliem na bruku. Sharlie wstał błyskawicznie, porwał wielki tasak z kontuaru i pobiegł między rozstę- pujących się w strachu ludzi. Przebiegł przez torkolejo- wy i wpadł do dzielnicy portowej. Tutaj już wiedział dobrze, jak się bawić w chowanego.

Był posiniaczony, śmierdział rybami, ale śmiał się sam do siebie z przygody. Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów. Żałował tylko, że nie ma numeru telefonu Citta w Rzymie. Ten to dopiero cieszyłby się z tego wózka z rybami. Założyłbym się - myślał - że to byli prawdziwi dziennikarze! Na pewno straciłem czterech klientów na zdjęcie. Ten ze spuchniętymi wargami chyba myśli, że zwariowałem! Citto wyszedł z metra i ruszył w stronę Piazzalle Enrico Mattei, gdzie umówił się na ostatnie spotkanie przed wyjazdem z Rzymu. Mogło się zdawać, że cały świat śpi w to upalne popołudnie i że Citto jest jedyną żyjącą istotą wśród wielkich gmachów, na pustych bulwarach i placach.

Później Citto nie mógł sobie darować tej nieostrożności. Szperał w dokumentach, zadawał ludziom pytania, i to zupełnie bez osłonek, już od półtora dnia. Cel tego' wszystkiego musiał być oczywisty dla każdego. Citto nie zdawał sobie sprawy, że już od samego rana był pod ścisłą obserwacją. Skończył swoje badania i zdawało mu się, że powiązał wszystkie nici i intrygi. Z dokumentów, które znalazł w dwóch ministerstwach, wynikało jasno, że wszystkie koncesje na pomocnicze usługi dla lotniska zostały oddane trzem towarzystwom prywatnym: paliwo

- firmie Servizi TP, żywność - firmie Pantellana, obsługa
- firmie Air Mechanico. Wystarczyło kilka rozmów telefonicznych z Mesyną i Palermo, żeby dowiedzieć się, że sekretarzem Servizi TP jest młody Flavio Consoli, Pantellana okazało się panieńskim nazwiskiem matki Flavia, a naczelnym dyrektorem Air Mechanico był pater fami-

liae we własnej osobie, a więc adwokat Consoli. Nazwiska pozostałych członków zarządu zgadzały się również z nazwiskami uczestników konsorcjum, tego samego, które wystąpiło z inicjatywą zbudowania lotniska.

Prawnie wszystko było w najlepszym porządku, chyba że niechlujstwo albo nieczyste machinacje przyczyniły się w jakimś stopniu- do katastrofy "Tanga November". Mimo to strach przed odpowiedzialnością karną wywołał w Rzymie panikę.

Citto dotarł do końca bulwaru. Pomiędzy placem a połyskującym zielonymi szybami dwudziestopiętrowym wysokościowcem firmy Mattei ciągnął się duży parking. Obok znajdowało się jezioro i niewielki ogród. Citto rozejrzał się. Nie było nikogo. Ulice i ogród były puste.

Urządник ministerstwa czekał na Citta na ławce stojącej pod jodłą w głębi parkingu. Wymiana pieniędzy i informacji odbyła się w milczeniu. Sto tysięcy lirów wręczył Citto urzędnikowi w zamian za jedno nazwisko. Bez adresu.

- Preuss. Mieszka w Wenecji i wyklada tam na uniwersytecie. W dokumentach nie znalazłem jego adresu. Znajdzie go pan w książce telefonicznej Wenecji - zapewnił urzędnik Citta.

Citto zapisał sobie nazwisko, a urzędnik przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął za rogiem. Citto ruszył w stronę stacji metra. Wszystko poszło łatwo - pomyślał z satysfakcją.

Silnik samochodu musiał pracować na luzie, bo Citto usłyszał go w ostatniej chwili, dopiero kiedy kierowca włączył bieg. Ale nawet wtedy nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa i tylko zdziwił się, bo mu się zdawało, że parking jest pusty. Stare BMW jechało prosto na niego z odległości dziesięciu metrów. Przez przednią szybę widać było dwie przerażone, a może po prostu rozwścieczone twarze. Musieli to być dwaj młodzi chłopcy. Nikt nigdy nie uczył Citta, jak uciec przed mordercami w samochodzie, ale instynkt podyktował mu bezbłędne rady. Popędził wprost na maskę samochodu jak ban- derillo na byka i dopiero w ostatniej chwili odskoczył w bok, kiedy kierowca nie mógł już skręcić. Citto wstał z ziemi powolnym ruchem. Był całkowicie osłupiały. Co za chuligańska zabawa - pomyślał - o mały włos mnie nie zabili. Ogarnął go strach na myśl o tych groźnych twarzach, o tym, że znalazł się sam jeden w obcym, pustym mieście. Usłyszał, że samochód zakręca i wziął nogi za pas. Pasma niskich krzewów dzieliły parking na długie alejki. Citto usiłował przeskoczyć przez żywopłot, ale wpadł po kolana pomiędzy cierniste gałęzie. Tymczasem samochód dotarł do końca jednej z alejek i zawrócił. Alejka odgradzona była od szerokiego trawnika okalającego sadzawkę grubym łańcuchem, który tego dnia nie . był opuszczony, żeby umożliwić ogrodnikowi przeprowadzenie wózka z narzędziami. Citto wbiegł na trawę. O kilka metrów za nim sunął goniący go samochód. Citto puścił się zygzakami, ślizgając się po lekko wilgotnej trawie. Dla utrzymania równowagi wymachiwał wypchaną teczką. Nie miał kondycji, szybko tracił oddech, ostatnimi czasy stanowczo roztył się za bardzo. Był już bliski poddania się nieuchronnemu losowi, kiedy zobaczył tuż przed sobą taflę sadzawki. Stoczył się po niezbyt stromym brzegu prosto do wody. Samochód wpadł w poślizg, zarzuciło nim i o mały włos nie wpadł na drzewo. Zawrócił gwałtownie, zostawiając po sobie głębokie bruzdy i przebiwszy się przez kolczaste krzaki odjechał na pełnym gazie.

Citto wylazł z wody, otrząsnął się, przetaił okulary i rozejrzał się dokoła. Plac był zupełnie pusty, tylko dwoje młodych ludzi stało w odległości trzystu metrów po drugiej stronie stacji metra. Przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Warkot samochodu znikł w oddali. To nie był żart – pomyślał Citto - ci ludzie czekali tu na mnie po to, żeby mnie zabić. Musieli więc wiedzieć, że przyjdzie właśnie w fo miejsce. Czyżby urzędnik z ministerstwa zdradził go? Czy wobec tego człowiek o nazwisku Preuss nie istnieje? Citto wrócił na przystanek metra.

Pozostawiał za sobą mokre ślady, które jednakże szybko wysychały na rozpalonym asfalcie.

O półtora kilometra od placu, niedaleko kościoła San Paulo, dwaj niedoszli zabójcy w popłochu porzucili BMW, a wraz z nim wszelką nadzieję na przyrzeczoną zapłatę. Kilka godzin temu jakiś obcy człowiek-zapropo- nował im dwieście tysięcy lirów za tę robotę. Powiedział, żeby nie próbowali się domyślać, o co i o kogo chodzi, tylko zrobili swoje.

- Stukniecie go dobrze samochodem i po krzyku - powiedział.

Peron metra był równie pusty jak otaczający go plac, toteż Citto stanął po słonecznej stronie, zdjął marynarkę i wycisnął wodę ze spodni. Kiedy wysiadał z pociągu, ubranie miał już suche, chociaż wymięte, ale wyglądał po prostu jak turysta, który wraca z plaży w Ostii do miasta. Nawet w centrum ruch był niewielki. Grupka niemieckich turystów szukała przystanku autobusowego. W budce z gazetami i pocztówkami drzemała sprzedawczyni, konie dorożkarskie spały z narzuconymi na łby workami z owsem.

Citto mieszkał w obskurnym hoteliku o kilkaset metrów od dworca kolejowego. Zapłacił rachunek, zapakował piżamę i przybory do golenia, a potem wyszedł tylnym wyjściem na niewielki zaułek. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że powinien był uregulować ra-

xchunek tuż przed odjazdem, żeby utrudnić właścicielowi przekazanie wiadomości o odjeździe ofiary.

- Pan wyjeżdża na dobre? - zapytał go właściciel.

- Jadę do domu - odpowiedział Citto. Kiedy szedł w kierunku dworca, był pewien, że jest śledzony.

O czwartej godzinie odchodził bezpośredni pociąg do Wenecji, Citto miał więc tylko dziesięć minut na sprawdzenie w weneckiej książce telefonicznej adresu i numeru telefonu Preussa. Połączył się przez interurbano, modląc się, żeby zastać go w domu. Kiedy wreszcie ktoś podniósł słuchawkę po tamtej stronie, Citto nie miał już czasu ani energii na przeprowadzenie planowanej rozmowy. Chciał się tylko upewnić, że ten człowiek istnieje i że zechce z nim rozmawiać. Wykrztusił z siebie kilka krótkich zdań.

- Panie inżynierze, jestem dziennikarzem. Wiem, że pan opiniował celowość budowy lotniska Taormina-Peloritana. Przyпускаjąc, że pańskie argumenty zostały zignorowane. Przyjeżdżam dziś o północy pociągiem z Rzymu. Jeżeli pan chce ze mną mówić, będę czekał w barze na dworcu.

Po chwili ciszy w słuchawce odezwał się nieco rozbawiony głos o śpiewnym weneckim dialekcie.

- Pan szybko pracuje. Myślałem, że minie co najmniej tydzień, zanim ktoś wpadnie na ślad tej sprawy. Jaką gazetę pan reprezentuje? - zapytał, a kiedy Citto odpowiedział mu, stwierdził: p W porządku. Przyjdę do baru. Jak pana poznam?

Citto opisał swój wygląd. Jestem gruby, noszę okrągłe, stalowe okulary i mam na sobie jasnoszare ubranie. Bardzo wymięte.

- A ja będę w czerwonym swetrze i zamówię grappę. Pieniądze się wyczerpały, rozmowa urwała się. A więc

ten młody urzędnik nie kłamał. Citto zastanawiał się, czy taihten będzie miał z tego powodu przykrości.

Do odjazdu pociągu zostały cztery minuty, a Citto nie miał jeszcze biletu. Postanowił go nie wykupywać, żeby nie ułatwiać szpiclom roboty. 1 ~zechadzał się wolnym krokiem po peronie, a kiedy jego pociąg zajechał na sąsiedni peron, puścił się biegiem i wskoczył w ostatniej chwili do wagonu. Rozejrzał się, ale nie zauważył, czy ma naśladowcę.

Citto doszedł jednak szybko do wniosku, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Szpicle mogli dogonić pociąg samochodem, jadąc autostradą do Bolonii. Mogli też zatelefonować do Florencji i podać komuś jego rysopis. Jeżeli rzeczywiście będą go chcieli znaleźć, to na pewno nie uda mu się przed nimi ukryć.

Raz jeszcze przebiegł myślami nieprawdopodobne wydarzenia ostatnich dwóch godzin. Pewne rzeczy mógł sobie uroić, ale przecież nie ten usiłujący go przejechać samochód. Jedna napaść mogła być dziełem przypadku albo aktu szaleńca. Ale było ich kilka. Ktoś niewątpliwie zamierzał go zgładzić.

Citto przypomniał sobie dwie młode przestraszone twarze za kierownicą i zastanawiał się, jaką sumę obiecano tym chłopcom w zamian za jego życie.

Pociąg składał się z dwóch sekcji - jedna szła do Monachium, druga do Wenecji. Citto usiadł w niemieckiej sekcji, w przedziale pełnym bawarskich zakonnic wracających z pielgrzymki do Wiecznego Miasta. Monotonny szczebiot kobiet uspił go niemal natychmiast. Obudził się tylko dwa razy - raz we Florencji, gdzie napił się lemoniady, drugi raz w Bolonii, gdzie przesiadł się do weneckiej sekcji pociągu.

Dworzec w Bolonii był ciemny. Wiał zimny wiatr, odczuwało się inność klimatu i bliskość gór. Citto kupił sobie z* wózka bufetowego porcję gorących lasagnie i butelkę wina. Jadł na stojąco, w korytarzu, otoczony grupą zmęczonych dzieci powracających z kolonii. Dopiero

w Ferrarze, kiedy dzieci wysiadły, Citto znalazł pusty przedział. Usiadł przy oknie i wpatrując się w migotliwe światła rozsianskich w dolinie Padu wiosek, zastanawiał się, czy potrafiłby żyć na północy i pracować z tymi ludźmi, których nie rozumiał. Jego brat przeniósł się od dawna do Niemiec, ale był realistą, który nie znał takich pojęć jak alienacja. Citto zawsze był marzycielem. Jeszcze zanim skończył dziesięć lat, spędzał więcej czasu w górach z kozami i owcami niż w szkole. Miejscowy ksiądz wpłynął na jego matkę, żeby kazała mu poświęcać więcej czasu na książki i naukę. Co powiedziałby ksiądz, gdyby się dowiedział, że całe to wykształcenie przyczyniło się niemal do śmierci pod kołami samochodu w samym centrum stolicy?

Citto uśmiechnął się do siebie na myśl o księdzu. Fundusze kościelne były też zainwestowane w budowę lotniska. Wśród członków konsorcjum znajdował się człowiek, który manipulował kościelnymi funduszami równie dyskretnie i anonimowo, co pieniędzmi mafii. Citto nie wiedział, czy o tych sprawach myśleć z ironią, czy też z modlitwą na ustach.

Facet w czerwonym swetrze czekał już w barze dworcowym. Przed nim na stoliku stała butelka grappy i dwie szklanki. Przywitał Citta ironicznym skrzywieniem ust.

Napili się i wyszli. Przeszli przez plac, przez garbaty mostek i weszli w płataninę wąskich uliczek i zaułków. Citto z ciekawością i zachwytem rozglądał się po tym dziwnym mieście.

- To pańska pierwsza wizyta w Wenecji - uśmiechnął się Preuss. - Niech pan ją wykorzysta. Pańskie wnuki nie będą już miały tej okazji. Socjalizm przychodzi za późno.

Po chwili dodał:

- Szybko znalazł pan moje nazwisko.
- Miałem pomoc.
- Czy już wiadomo, jakie były przyczyny katastrofy?

Citto skrzywił się.

- Ja mam koncepcję.
- Czy to wina lotniska?
- Samolot próbował na nim lądować.

- Niech pan mówi otwarcie. Nie występowałem w tej sprawie jako adwokat. Próbowałem po prostu poddać racjonalnej analizie to przedsięwzięcie. A pan dobrze wie, jak wysoko ceni się racjonalizm i obiektywizm w naszym biednym kraju?
 - Pańskie nazwisko zostało usunięte z raportu.
 - Nie tylko moje nazwisko. Usunięto znacznie ważniejsze rzeczy.
 - Pan był przeciwny budowie lotniska w tym miejscu?
 - Pan je zna i orientuje się pan w przyczynach katastrofy. Proszę z tego wyciągnąć wnioski.
 - Taormina-Peloritana nie leży bliżej gór niż lotnisko w Katanii.
 - Co pan chce przez to udowodnić? Fontanarossa jest waszym lokalnym lotniskiem. Ale to nie znaczy, że jest ono dobrze położone i bezpieczne. Citto wskazał szerokim gestem w kierunku niewidocznych Alp.
 - W Szwajcarii i Austrii znajdują się lotniska położone w samym sercu gór.
 - Ale nie wulkanów, drogi chłopcze. Wulkany mają specjalne cechy. Wy, Sycylijczycy, kojarzycie je sobie tylko z niebezpieczeństwem wybuchu i trzęsieniem ziemi. Ale dla samolotów ważne są przede wszystkim związane z nimi zaburzenia atmosferyczne.
 - Czy pan wspomina o tym w raporcie?
 - Wysunąłem dwa ogólne argumenty przeciwko budowie lotniska w tym miejscu. Poważnie skrytykowałem również przedstawione mi plany. Czy interesują pana szczegóły?
 - Przecież dlatego tu jestem. Od dwóch dni nie zajmuję się niczym innym. Człowiek w czerwonym swetrze chwycił Citta za rękę.
 - Przepraszam pana. Arogancja jest rzeczą niewybaczalną. Jestem niepoprawny. Przechodzili kolejnym garbatym mostkiem nad czarną wodą kanału. Panowała cisza, przerywana tylko pluskiem wody omywającej mury kanałów.
 - Budowa nowego lotniska miałaby sens tylko wówczas, gdyby miało zastąpić Fontanarossę i być znacznie lepsze od niej. Musiałoby być usytuowane na południe od Katanii, dalej od wulkanu.
 - Jednym słowem, napisał pan w raporcie, że to lotnisko nie powinno być budowane?
 - Nie było po temu ani ekonomicznego, ani praktycznego uzasadnienia. Zostało usytuowane w najgorszym z możliwych miejsc.
 - Więc co pan sądzi? Dlaczego je zbudowano?
 - Chyba pan się domyśla. Wiele osób zarobiło na tej budowie grube pieniądze. Wykupiono ziemię, położono pasy startowe, wzniesiono budynki, rozbudowano drogi i rozwinięto yarsztaty pomocnicze. Finansowano też budowę lotniska z zewnątrz.
 - Dlaczego inni członkowie komisji nie podzielili pańskiego poglądu? Preuss wzruszył ramionami.
 - Różne były powody, jedne prawdziwe, inne nie. Wśród członków komisji znajdowało się tylko pięciu ekspertów technicznych. Pozostali - to politycy.
 - Czy uważa pan, że komisja była przekupiona?
 - Tego nie wiem.
 - Pańska opinia wzbudziła zaniepokojenie, mimo że nikt pana nie popierał.
 - Raport był jawny, moje wnioski mogły wzbudzić opinię publiczną. Bo była przecież opozycja w stosunku do tego projektu, zwłaszcza wśród miejscowej ludności.
 - Czy ma pan na myśli zwolenników ochrony środowiska naturalnego w Taorminie?
- | Między innymi. Ale to wszystko beznadziejne! - uśmiechnął się smutno Preuss.

Zatrzymali się na moście. Nad kanałem, na ciemnym niebie, wisiał księżyc. Cały świat wydawał się biało- czarny. Z daleka dochodziło bicie zegara. Citto spojrzał na rękę. Miał nadzieję, że zegar śpieszy się o pięć minut.

- Kiedy pana odsunęto... czy nie złożył pan żadnego publicznego oświadczenia?
- Nie jestem aż takim śmiałkiem.
- Czy grożono panu?
- Nie było mowy o użyciu siły fizycznej.
- A szantażowali pana?
- Chyba tak.

- Nie chcę znać szczegółów. Ale jeżeli stanie pan przed angielsko-amerykańską komisją śledczą, to tam zadadzą panu takie pytanie.

Znowu ten przelotny, smutny uśmiech. Szli w milczeniu, stracili z oczu wodę, księżyc i nawet niebo zniknęły z wąskiej uliczki pomiędzy dwoma pałacami.

- Czy może mi pan podać kilka punktów zawartych w pańskim opracowaniu?
- Domagałem się przede wszystkim pierwszorzędnego ekwipunku. Lotnisko jest tak usytuowane, że musi być wyposażone we wszystkie dostępne nowoczesne przyrządy wizualne i radarowe, takie jak system podejścia na przyrządach, optyczny wskaźnik lądowania i precyzyjny radar do podejścia. Nie są to instrumenty strasznie kosztowne, a w każdym razie mniej niż reklama i propaganda na rzecz lotniska. Ale był to mało efektywny składnik budżetu.

- Oni mają system lądowania na przyrządy.

- Z latarnią radiokompasu. To bardzo nieprecyzyjny

przyrząd. - Preuss odwrócił się gwałtownie do Citta: - Czy tej nocy była burza? Citto skinął głową.

- Radiokompas w czasie burzy zachowuje się jak liść jesienny niesiony wiatrem.

Znowu odezwało się bicie zegara z wieży i Citto spojrzał na zegarek. Jego pociąg odchodził za pół godziny.

Preuss wziął go pod rękę, jak gdyby chciał zatrzymać gościa.

- Niech pan zostanie. Jutro pokażę panu nasze piękne i skazane na zagładę miasto.

Miał znowu na ustach ten ironiczny uśmiech, świadczący o wewnętrznej rozterce.

- Pan powinien złożyć zeznania przed komisją śledczą. Niech pan ze mną jedzie.

- Teraz? Skądże! Nie mogę wyjeżdżać tak nagle.

- Jestem pewien, że komisja zwróci panu koszty.

- Nie chodzi o koszty, drogi chłopcze. Muszę się przygotować psychicznie.

- Ale przyjedzie pan?

- Jeszcze nie wiem. Jutro. Może pojutrze. Śledztwo potrwa jeszcze jakiś czas.

Preuss zaprowadził Citta krótszą drogą na dworzec.

- Pański pociąg odjeżdża z Mestre. Musimy znaleźć taksówkę.

- Miał mi pan jeszcze opowiedzieć pewne szczegóły.

- Znowu to lotnisko! Jest tam niedaleko fabryka przy drodze, z gęsto ustawionymi latarniami, prawda?

> - Znam ją.

- W pewnych okolicznościach te latarnie mogą być wzięte za światła pasa startowego.

- W jakich okolicznościach?

- Kiedy samolot wychodzi z niskiego pułapu chmur i pilot widzi teren w ostatniej chwili, tuż przed lądowaniem. Zwłaszcza kiedy jest mokro i światła lamp odbijają

się w asfalcie. Wystarczy ułamek sekundy, żeby powziąć fałszywą decyzję, a bardzo często pilot ma tylko ułamek sekundy do namysłu.

- Pan chyba sam był pilotem?
- Bardzo dawno temu. Latałem na małych samolocikach, zaopatrzonych w karabiny maszynowe. Od tego czasu brakło mi odwagi do latania.

Obeszli skwer, przekroczyli ostatni most i doszli do wielkiego gmachu parkingu przy stacji autobusowej. Stało tam kilka taksówek.

- Niedużo widział pan w Wenecji?
- Myślę, że powinien pan jechać ze mną - powtórzył Citto. Sam nie wiedział, czy chciał w ten sposób tylko zgasić ten krzywy uśmiech na twarzy inżyniera, czy też miał przecucie nieszczęścia. Później zastanawiał się nie tylko nad tą sprawą.

- Zobaczmy się za kilka dni. Wtedy załatwili się ze mną łatwo. Teraz będę mógł może coś zdziałać. Powinienem być wtedy wywołać awanturę.

Uścisnęli sobie ręce. Preuss poklepał Citta po ramieniu.

- Kiedy nie jest się samemu, łatwiej nabrać odwagi.

Uśmiechnął się po raz ostatni. Był to jednak raczej grymas niż uśmiech:

Płomień buchający ze starej rafinerii odbijał się w wodach laguny i towarzyszył taksówce przez cały wiadukt. Na stacji w Mestre czekał już pociąg, a na wagonach widniały tablice, głoszące, że właśnie wracały z Wiednia, Triestu i Tarvisio. Za resztę pieniędzy Citto zafundował sobie kuszetkę. Miał nadzieję, że sen pozwoli mu zapomnieć o zagrożeniu, które wyczuwał coraz namacalniej, w miarę upływu dnia. Urodziliśmy się wieśniakami i wieśniakami powinniśmy byli zostać - powiedziałby jego brat ze Stuttgartu.

- Nazywam się Julia Duckham. Stella spojrzała na wylaniającą się z ciemności twarz, nie mogła jednak dojrzeć wyrazu oczu kobiety ani ocenić tonu jej głosu. Wiedziała już przynajmniej, kto to jest.

Od dwunastu godzin Julia siedziała przy łóżku Stelli. Zasypiała, od czasu do czasu budziła się z ulgą, bo trapiły ją straszne sny. Nie występował w nich Mike; były po prostu przepojone uczuciem rozpaczki. Ten stan pół snu, pół jawy przerażał ją. Trixie usnęła z głową na poduszce Stelli i Julia przeniosła dziecko na kanapę. Po pewnym czasie zjawiała się pielęgniarka z kolacją na tacy i powiedziała Julii, że w sąsiednim pokoju jest do jej dyspozycji wolne łóżko. Była widać zadowolona, że znalazła się do pomocy osoba mówiąca po angielsku.

Stella obudziła się wczesnym rankiem. Dość gwałtownie otworzyła szeroko oczy, jakby chciała się czemuś dobrze przyjrzeć.

- Jak się pani czuje?
- Stella patrzyła przed siebie w milczeniu.

- Czy zapalić światło?

Nieznaczny ruch obandażowanej głowy mógł równie dobrze znaczyć "tak" jak i "nie". Julia postanowiła nie zapalać światła.

- Na'imię mi Julia. Nie było żadnej reakcji.
- Pani jest Stella, prawda? Poznałyśmy się na meczu krowi.

Stella nie wiedziała, eona to odpowiedzieć. Pomyślała, że głos Julii jest raczej przychylny.

- Pani jedna uratowała się z całej załogi. Pozwolono mi pomóc przy opiece nad panią.

- Dlaczego? - zapytała Stella. - Dlaczego chce się pani mną opiekować?

i To jest jedyna rzecz, jaką mogę zrobić. Nic więcej mi nie pozostało poza czekaniem na pogrzeb. W mieście jest wielu takich ludzi.

_ Gdzie Trixie?

- Śpi.

_ Co z nią? ■

| Ma złamane ramię i lekki wstrząs mózgu.

| Kto jest przy niej?

- Cała jej rodzina zginęła.

Stella zamknęła oczy.

- He jest ofiar?

- Przeżyło tylko sześć osób.

- To nie była jego wina.

Stella nie otwierała oczu.

- Skąd pani wie?

i Pani też wie! On by tego nie mógł zrobić.

Julia chwyciła dłoń Stelli. Dlaczego nie wymieniały jego imienia? Julię dręczyła niepewność. Czy Stella rzeczywiście była kochanką jej męża? Musi się dowiedzieć prawdy. Musi wiedzieć dokładnie, kiedy i jak to się stało, i gdzie, i ile razy, i czy Stella była wyjątkiem, czy jedną z wielu! Czy właśnie dlatego siedzi teraz przy łóżku tej kobiety? Czy po to, żeby wydrzeć z niej tajemnicę?

- Czy pani wie, jak to się stało? - Julia miała na myśli katastrofę.

Stella potrząsnęła głową.

I Zapanował chaos i zamieszanie. Pamiętam, że czułam się zagrożona. Potem nagle zobaczyliśmy wschód słońca i myślałam, że nie ma już niebezpieczeństwa.

- Czy samolot miał awarię techniczną?

- Chyba tak, ale nie wiem na pewno.

- Będą panią o to pytali.

- Kto?

i Osoby przeprowadzające śledztwo. Chcą zwalić na niego odpowiedzialność.

tylko na pieniądzech i dlatego zmienił pracę. Że pokłócił

się z Peterem Nyrenem. – Julia zebrała się na odwagę i dodała: - Że miał z panią romans.

Stella przechyliła głowę. Usiłowała spojrzeć w oczy Julii. Ale ona mówiła dalej i nie wypuszczała ręki Stelli ze swojej.

- Wyciągną wszystko, co potrafią, żeby go obciążyć. Cieszę się, że pani uważa, że jest niewinny, cieszę się, że pani tak mówi.

Stella zamknęła oczy. Starła się zebrać myśli. Trudno jej było podążyć za tym, co mówiła Julia.

- Pani jest dla nich najważniejszym świadkiem. Jest pani jedynym pozostałym przy życiu członkiem załogi. Muszą uważnie wysłuchać tego, co im pani powie, bo tylko pani może wiedzieć, co się działo w samolocie.

- Chce mi się pić - szepnęła Stella.

- Przepraszam - Julia zerwała się z krzesła. - Za dużo mówię.

Zapaliła lampę przy łóżku i odwróciła ją do ściany, żeby przytłumić światło. Stella zobaczyła ją wtedy po raz pierwszy - jej wielkie przestraszone oczy, twarz napiętą i szerniałą. Zastanawiała się, jak długo Julia siedzi przy jej łóżku.

- Która godzina? gj Pierwsza rano.

- Poniedziałek?

- Środa.

fj Środa? A kiedy był wypadek?

- W sobotę rano.

fj Leżę tu od tego czasu?

Stella pamiętała, że rozmawiała przez telefon z ojcem i myślała, że było to w niedzielę.

- Od kiedy pani tu siedzi?
- Od wczoraj po południu. Nie ma już wody do picia. - Julia nacisnęła dzwonek. Kiedy zjawiły się dwie pielęgniarki, Julia odsunęła się ku drzwiom. Pielęgniarki przebrały chorą, zmieniły jej bandaże i Julia zobaczyła, jak poranione i poparzone było ciało dziewczyny.

- Odchodzi pani? - zapytała Stella.

- Jeżeli pani chce, to zostanę.

Ruch obandażowanej głowy mógł znaczyć równie dobrze "tak" jak i "nie".

W głowie Tina G. umilkły tony starych melodii. Ich miejsce zajął ból. Gdyby ktoś mógł mu wytłumaczyć, że w jego wypadku ból oznacza powrót do życia, może i ucieszyłby się. Nie pamiętał o niczym. Zapomniał o Co-' rinnie, o samolocie, o czerwonym wschodzie słońca. Nie wiedział, że śmierć to zbliżała się do niego, to oddalała. Teraz czuł tylko ból w całym ciele i próbował go zróżnicować. A więc ból w jamie brzusznej, ból przy oddycha- niu, bolesne parcie na pęcherz i dotkliwe uczucie głodu i pragnienia. Żadna z tych rzeczy z osobna nie była jednak tak silna, żeby skłonić lekarzy do podawania mu środków znieczulających, zresztą pielęgniarki wołały, aby pacjent był w pełni przytomny i mógł im sygnalizować swoje potrzeby.

Późnym wieczorem Tino G. obudził się i zobaczył przy łóżku starego, przygarbionego i opartego na lasce człowieka, który patrzył na niego spode łba. Dopiero kiedy człowiek ten odezwał się, Tino G. poznał w nim lekarza, który dotrzymywał mu towarzystwa w rozbitym samolocie w czasie długiego czekania na pomoc.

- Nie przeszkadzam ci? Nie przywołuję przykrych wspomnień?

Tino G. potrząsnął głową.

- Powiedziano mi, że wracasz do zdrowia - uśmiechnął się stary. - Podobno masz jeszcze silne bóle?

Tino skinął głową.

- Cieszę się, że już jesteś w lepszym stanie.

- Pan uratował mi życie.

- Gdzie tam! Sam się uratowałeś, bo postanowiłeś żyć. Wola przeżycia to sprawa najważniejsza.

Tino G. znowu potrząsnął głową.

- Byłem pewien, że umieram, wiedziałem, że umieram, oczekiwałem śmierci. Turi rozejrzył się po pokoju chłopca. Zobaczył kwiaty, depesze i wycinki z gazet.

- Co za bzdura - powiedział do niego chłopiec. - Tydzień temu nikt ^a świecie o mnie nie słyszał, a dziś otrzymałem propozycje kontraktu od dwóch wytwórni płytowych. Czy zgadłby pan, że jedna z nich chce, żebym napisał dla niej piosenkę o samolocie? O latającym i spadającym samolocie!

- Czytałem w gazecie, że jesteś z Sycylii?

- Moja matka urodziła się tu i koniecznie chciała, żebym zobaczył jej kraj. No i jestem tutaj, ale moja noga nie dotknęła jeszcze ziemi. - Chłopak umilkł na chwilę. Był zmęczony. - Ale jeszcze tu wrócę i będę chodził po całej wyspie.

- Przyrzeknij, że mnie odwiedzisz.

- Na pewno.

- Mam bardzo ładny domek, winnicę, gaj cytrynowy i taras, gdzie dobrze się siedzi wieczorem przy szklance wina.

Chłopiec uśmiechnął się. Poczł, że zasypia i zapada się w ciemność.

Błogosławiony sen. Zapytał jeszcze doktora, czy ma dzieci, ale jego oczy zamknęły się, zanim stary lekarz zdążył odpowiedzieć na to pytanie. Turi długo przyglądał się śpiącemu chłopcu. Miałem syna - myślał - przez trzy dni miałem syna...

Tego wieczoru w Taorminie członkowie grup śledczych wysłuchali nagrania taśm, które odesłano z Anglii. Potwierdzały one, że "Tango November" miał trudności z nawiązaniem kontaktu wzrokowego przy podchodzeniu do lądowania, że próba lądowania nie powiodła się, oraz że w pierwszej minucie po nieudanym podejściu załoga odczuła silne zaburzenia atmosferyczne, a z silnika numer dwa odezwał się sygnał alarmu pożarowego.

To musiało być podczas wznoszenia się gaj myślał Raille - tak jak zawsze przy alarmach tego silnika w modelu "119". Nie było przekonującego dowodu na to, że był to alarm fałszywy. Silnik uległ zbyt gruntownemu zniszczeniu przy wypadku, tak że nie można było uzyskać niezbitych dowodów.

Przez pół nocy Raille i specjalista z Kalifornii siedzieli w pokoju hotelowym i studiowali naturalnej wielkości plan przyrządów pokładowych, starając się ustalić kolejność wydarzeń, które nastąpiły przy wyłączeniu silnika. I dlaczego magnetofon zapisujący przebieg lotu zatrzymał się właśnie w tym momencie? Z nagrania wynikało, że generator numer trzy został przeładowany w chwili, kiedy wyłączono silnik numer dwa. Przerzucono się na akumulator, a mechanik zgodnie z książką instrukcyjną powinien był zmniejszyć obciążenie prądu przez kolejne wyłączenie oświetlenia bufetów, jednego z aparatów radiowych, częściowo oświetlenia i ogrzewania kabiny pasażerskiej, radaru meteorologicznego i pomp wspomagających. Raille spojrzał na tablicę rozdzielczą. Mechanik śpieszył się - pomyślał. Wyłącznik prądu zasilającego bufety znajdował się w górnym rogu tablicy i był łatwy do znalezienia. Wybranie wyłącznika jednego z aparatów radiowych było trudniejsze, bo trzeba go było poszukać wzrokiem. Należało przypuszczać, że mechanik skierował oczy i lewą rękę w stronę tego wyłącznika, a prawą ręką chciał na oślep wyłączyć bufety. W górnym lewym rogu tablicy znajdowały się tuż obok siebie dwa wyłączniki: bufetów i akumulatora. W pośpiechu mechanik mógł się pomylić i wyłączyć akumulator zamiast bufetów. W tym wypadku samolot, pozbawiony generatora i akumulatora, leciał na ślepo z nieoświetlonymi przyrządami pokładowymi, a magnetofon oczywiście zatrzymał się. Raille powtórzył dla eksperymentu ruchy i błąd mechanika. Specjalista z Kalifornii potrząsnął głową. - To wykluczone. Wyłączniki różnią się od siebie kształtem i kolorem.

Kiedy się na nie patrzy - myślał Raille - to wyłącznik akumulatora jest kanciasty i czerwony, a ten od bufetów okrągły i czarny. Ale w pośpiechu i na oślep można się omylić. Jest to mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Można tu zastosować prawo sformułowane przez Murphy'ego, że jeżeli istnieje możliwość pomyłki, to wcześniej czy później ktoś ją popełni.

Kto miał idiotyczny pomysł umieszczenia tak blisko siebie tych dwóch wyłączników?

- Uważam, że najprawdopodobniejsza jest awaria akumulatora - oświadczył fachowiec z Kalifornii. - Pamięta pan, że był już przeładowany? Stwierdza to notatka mechanika na zakrwawionym bloczku! Od przeładowania mógł zupełnie wysiąść.

Sam akumulator, jak należało przypuszczać, został całkowicie zniszczony w czasie zderzenia, nie było więc bezspornego dowodu.

Ale jeżeli to mechanik popełnił błąd? Może był przekonany, że akumulator wysiadł, a z nieoświetlonej tablicy nic nie wynikało? Jeżeli tak było, to co stało się dalej? Zapalili zapewne latarkę i mechanik włączył generator. I w zamieszaniu zapomniał włączyć magnetofon.

Jak długo mógł trwać ten lot na oślep? Minutę? Kilka minut? To wystarczyło, żeby zmylić kierunek lotu.

Wczesnym rankiem jeden z ekspertów poszukujących szczątków skrzydła "Tanga November", wyszedł z namiotu i rozejrzał się za osłoniętym od wiatru miejscem dla załatwienia naturalnej potrzeby. Kiedy znalazł teren, na którym nie było mrówek, i przytrzymując ręką gałęzie kucnął, stwierdził, że wyrwa w krzakach, którą sobie upodobał, powstała z pewnością na skutek przetoczenia się jakiegoś wielkiego i ciężkiego przedmiotu.

Po załatwieniu się mechanik zbadał teren i znalazł do połowy zaryty w ziemię kawał aluminiowej blachy. Była to część lewego skrzydła "Tanga November".

W godzinę później jego grupa znalazła miejsce pierwotnego zetknięcia się samolotu z ziemią. Znajdowało się na spiętrzeniu lawy, wprost nad ich obozowiskiem. Można było teraz bez trudu obliczyć kąt zderzenia samolotu z ziemią. Z obliczeń tych wywnioskowano, że samolot wznosił się i wykonywał desperacki manewr, żeby w ostatniej chwili przelecieć nad spiętrzeniem lawy.

Nieszczęsnemu samolotowi zabrakło dla uratowania się mniej więcej trzech metrów. Formacja lawy, która była ostateczną przyczyną tragedii "Tanga November", powstała trzysta do czterystu lat temu.

Poszczególne fragmenty łamigłówki powoli składały się w jednolity obraz. Przesłuchano kilku przewodników górskich. Stwierdzili, że w sobotę rano w górach panowały kiepskie warunki atmosferyczne. Było zimno i mokro. Potem zaczął padać śnieg, który zamienił się w mżawkę. W końcu spadł nawet grad.

Owszem, słyszeli samolot. Leciał bardzo nisko i zbliżył się do góry. Chyba dwa razy. Za pierwszym razem od północy. Potem od wschodu. Wtedy huk silników docho-
xdził jak gdyby od strony doliny. Ale warunki atmosferyczne były tak podłe, że nie mogą zaufać swoim wrażeniom.

Burza? Podczas gdy słyszeli warkot samolotu szalała wzdłuż całej północnej i zachodniej strony góry. Tymczasem na wschodzie niebo było jasne. Widzieli nawet wschód słońca wynurzającego się z morza.

Po dolnych stokach góry snuły się obłoki, spomiędzy których wynurzały się wysepki zieleni i skał. Sam szczyt wulkanu - jakieś dwieście do trzystu metrów - był całkowicie wolny od chmur.

Słońce zaś wschodziło czerwone, niesamowite, budzące niepokój.

15

Lotnisko Taormina-Peloritana drzemało w upale dnia, obojętne na zainteresowanie, jakie rozbudziło w całym kraju. Było jeszcze zamknięte dla lotów pasażerskich, ale spodziewano się, że wkrótce zostaną one przywrócone. Część personelu zajmowała się utrzymaniem czystości w budynkach, a dyżurni z wieży obserwacyjnej nadzorowali loty wojskowe. Administra- cjalotniska współpracując z liniami lotniczymi, kierowała odwołane loty na sąsiednie lotniska w Fontanaros- sie i Keggio Calabria.

Na aleję oleandrów, ciągnącą się na tyłach aeroklubu, zajęchała cysterna z przyczepą. Osoby siedzące na tarasie klubowego baru nie zwróciły uwagi na warkot jej silnika.

Za to ryk wyścigowego ducati zabrzmiał w tej sennej ciszy jak kanonada tuzina karabinów maszynowych.

Jeden z bywalców baru rozpoznał motocykl i siedzącego na nim chłopca. W rozmowie telefonicznej przekazał wiadomość właścicielowi pomarańczowego gaju, znajdującego się w odległości czterdziestu kilometrów na południe.

Sharlie nie zdawał sobie sprawy z hałasu, który robiła jego maszyna. Od wczesnego ranka jechał za cysterną Tomacchiego. Przejeżdżali przez wioski leżące

w dolinie pod północnym stokiem wulkanu, a potem przez wzgórze peloritańskie. W pewnym momencie zgubił cysternę, bo musiał zatrzymać się i nabrać benzyny. Domyślał się jednak, w jakim kierunku pojechała. Teraz wyłączył motor i przejechał na wolnym kole pusty parking lotniska, udając zupełną obojętność na otoczenie. Ale ukryty za okularami kasku ochronnego bacznie rozglądał się po terenie. Dostrzegł cysternę ustawioną na tyłach budynku aeroklubu. Postanowił podjechać możliwie najbliżej, żeby zorientować się w sytuacji. Wiedział od Citta, że pozycja trzech długich czarnych szlauchów rozwiniętych od cysterny w stronę zbiorników, może być istotnym dowodem w sprawie katastrofy. Zszedł z motoru i starając się, żeby nie zauważył go kierowca, wykonał blisko tuzin zdjęć. Nie znał systemu działania różnych zaworów i połączeń cysterny, więc fotografował wszystko, co było możliwe, ale kiedy powrócił do motocykla był przekonany, że zebrał dobry materiał dla Citta.

Dosiadł swojej hałaśliwej bestii i odjechał tak cicho, jak tylko mógł. Kiedy zbliżył się do skrzyżowania, skręcił w boczną drogę i zatrzymał się. Czekał na cysternę.

Tego dnia Flavio Consoli stanowczo nie miał szczęścia do telefonu. Jego matka bez końca szczebiotała z jedną ze swoich dziesięciu siostr, a kiedy wreszcie zadzwoniono do niego z lotniska Taormina-Peloritana, okazało się, że Capo Tomacchio właśnie wyjechał cysterną.

Flavio wysłuchał niepokojącej wiadomości, że ten sam fotograf, który robił zdjęcia przy przyjeździe adwokata

Consolego na lotnisku Fontanarossa przed dwoma dniami, fotografuje teraz czynności cysterny benzynowej na Taormina-Peloritana.

Flavio nie miał dostatecznego doświadczenia ani wystarczającej ilości zimnej krwi, żeby poradzić sobie z sytuacją. W sobotę rano zareagował właściwie, zwracając się do Tomacchia po radę i pomoc. Ale teraz zagrożony był już bezpośrednio Capo i nie było sposobu, żeby się z nim porozumieć. Człowiek, który telefonował, był jednym z dostawców lotniska i Flavio wiedział wystarczająco dużo o jego szachrajstwach, żeby orientować się, że można polegać na jego dyskrecji.

- Czy znasz wioski wzdłuż drogi na górę?
- Te wyludnione?
- Tak. Chodzi mi o trzecią za wirażem. Cysterna zatrzyma się tam dla wykonania pewnego zadania. Dogoń ją samochodem.
- Co mam powiedzieć kierowcy?
- Powiedz mu, że śledzi go chłopiec na motocyklu.
- To wszystko?
- Niech zachowuje się normalnie, jak gdyby nic się nie stało. I powiedz mu jeszcze, że jestem w drodze i sam zajmę się chłopcem. Przekupię go po prostu.

W dwie minuty później dino ruszyło szybko drogą ciągnącą się między pomarańczowymi drzewami, a Flavio dziękował Bogu, że ojciec wyjechał z rana do miasta.

Opuszczona wioska leżała ukryta w fałdzie terenu, niedaleko przełęczy. Plac, brzydki nowoczesny kościół z pordzewiałą żelazną fasadą, rzędy pustych domów z wybitymi drzwiami i oknami, zaniedbane ulice, schody porośnięte trawą - obraz całkowitego zaniedbania. Nigdzie ani śladu człowieka, psa, kury czy owcy. Rezultat bezsensownej próby przesiedlenia chłopów na pustynne

zचे jeden przykład spekulacji terenem, zagrabienia państwowej subwencji.

Kiedy cysterna skręciła z głównej drogi, Sharlie zrozumiał, że przyjdzie mu fotografować, i uśmiechnął się do samego siebie. Wprowadził motor w wysoką trawę i ustawił statyw. Zrobił szybko trzy zdjęcia trasy przejazdu cysterny od strony głównej drogi, żeby zlokalizować sytuację, potem wymienił na pół tylko wykorzystaną rolkę filmu, żeby w krytycznym momencie nie zostać bez klitek. Citto i tak płacił za hlony. Nie wykorzystaną do końca rolkę wsunął do bocznej kieszeni skórzanej kurtki.

Słyszał, jak cysterna zatrzymuje się przy barierze zagrządzającej boczną drogę, potem doszły go dźwięki otwierania kłódki i opuszczania łańcucha, wreszcie samochód ruszył w górę po stoku. Sharlie poszedł za nim na skos, przełaząc z ręcznie przez rzędy kolczastych zarośli. Był już na drugim krańcu wsi, kiedy cysterna zajeżdżała tyłem pod ścianę kościoła. Zobaczył, jak kierowca rozwija długi szlauch ku bocznemu wejściu budynku, ale chciał znaleźć się bliżej. Poszedł wzdłuż cementowego ścieku na główną ulicę, mijając kolorowe wizerunki Madonny z dziećmi, pozostawione w drzwiach domów przez bogobojnych wandalów. Trzasnęła okiennica, cienka czarna żmija prześliznęła się błyskawicznie pomiędzy jego nogami. Koło drzwi kościelnych unosiła się tajemnicza mgiełka. To benzyna sączyła się ze szlauchu i parowała w słońcu. Zastanawiał się, jakie rozmiary K ma zbiornik, ustawiony zapewne wewnątrz kościoła.

Warkot silnika cysterny pompującej paliwo nie pozwolił Sharliemu usłyszeć zajeżdżającego na plac samochodu. Nie zaalarmował go też fakt, że nie widać było kierowcy cysterny; przypuszczał, że jest w kościele.

Tymczasem Capo Tomacchio skrył się, kiedy usłyszał szum samochodu. Poznał od razu błękitne audi i dosta w-

cę z lotniska, a już od rana spodziewał się komplikacji. Uważał, że Consoli powinien być na razie zrezygnować ze swoich machinacji. Chciwy łajdak.

- czy widziałeś tu motocykl? - spytał, kiedy usłyszał już od przybysza całą historię.

- Tam, niżej przy drodze, w trawie.

Tomacchio spojrzał na cysternę pompującą pod ścianą kościoła. Chłopak musi być w pobliżu, pewnie ukrył się pomiędzy domami ze swoim aparatem. Tomacchio otworzył drzwiczki samochodu.

- Zawieź mnie tam. A potem wracaj na lotnisko.

Trzeba przytrzymać tu tego drania - myślał Capo. - Unieruchomić go, ale nie tutaj, przy drzwiach kościoła. Zatrzymać do czasu przybycia Flavia. Trzeba to zrobić, ale trochę później. Audi zawiozło go w pobliże ukrytego motocykla, a kiedy odjechało, Tomacchio chwycił garść żwiru i spróbował otworzyć zbiornik na benzynę. Był jednak zamknięty na kluczyk. Tomacchio przykucnął, wykręcił korek miski olejowej i wsypał żwir do gorącego oleju. Dodał jeszcze dwie garście dla lepszej miary. W trzy minuty później był znowu przy cysternie, zatrzymał pompę i zwinął szlauch.

Sharlie zrobił tymczasem dobre dwa tuziny zdjęć. Miał już fotografie procesu pompowania benzyny ze zbiornika na lotnisku, potem przejazdu górską drogą do opuszczonej wioski i wlewania paliwa do zbiornika w kościele. Był to prawdopodobnie cały przebieg machinacji z benzyną. Teraz patrzył, jak cysterna cofa się po popękanych płytach placu i zjeżdża do głównej drogi. Cała operacja zajęła kierowcy czterdzieści minut. Około południa Capo znajdzie się w Milazzo, Zje obiad i wróci z pełnym ładunkiem benzyny do domu na kolację. Sharlie uznał, że

rejestrowanie dalszej drogi cysterny nie ma sensu, szczególnie, że bał się, by go nie zauważono w czasie jazdy przez przełęcz. Postanowił czym prędzej wrócić ze swoimi zdjęciami do midsta. Nie była to szczęśliwa decyzja, bo gdyby podążał za ciężarówką, przez następne kilka godzin jechałby wolno.

Sharlie powracał przez przełęcz i opuszczone miasteczko z lekkim tylko uczuciem, że z jego motorem jest coś nie w porządku. Silnik nie miał zrywu. Na skraju miasteczka wyminął podążające w przeciwnym kierunku pomarańczowo-zielone dino i zastanawiał się przez chwilę, czy to ten sam wóz, który był wczoraj na lotnisku po Consolego. Gdyby miał lusterko przy motocyklu, zobaczyłby, że dino zawróciło i jechało za nim w odległości około stu metrów.

Zatrzymam go gdzieś po drodze i obiecywałem sobie Flavio - i albo go przekupię, albo zastraszę.

Sharlie był szczęśliwy. Dobrze wykonał swoje zadanie, a teraz sunął szybko szeroką, prostą i pustą drogą. Przeszedł na niższy bieg, żeby przyspieszyć obroty silnika. Nie dostrzegł, że zapaliło się ostrzegawcze światło ciśnienia oleju i dopiero, kiedy maszyna osiągnęła sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego. Ale nic już nie dało się zrobić. Sięgnął lewą dłonią do sprzęgła o ułamek sekundy za późno. Silnik zatarł się i tylne koło zostało zablokowane. Chłopiec stracił panowanie nad motocyklem, który zarzucił bokiem do kierunku jazdy i runął na asfalt. Sharlie czuł, że ciężar maszyny miażdży mu nogi. Z bólu zacisnął oczy i z przestraszonym pomysłem, że na pewno zniszczył motocykl.

Flavio patrzył z przerażeniem na wypadek, jakiemu uległ motor. Obserwował przebieg wydarzeń jakby w zwolnionym tempie: gwałtowna smuga kurzu, motocykl zaczyna się obracać, tylne koło ryje czarny ślad na asfalcie, potem upadek i maszyna wraz z kierowcą koziołkuje z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę.

Nadjeżdżająca z przeciwnej strony ciężarówka zjechała z drogi, żeby uniknąć zderzenia, a dino zahamowało i stanęło. Motocykl przeleciał w obłoku kurzu nad ogrodzeniem i wpadł do pomarańczowego sadu, a Sharlie uderzając głową o kamienny krawężnik, przeleciał ponad pożółkłą trawą pobocza i zatrzymał się pomiędzy dwoma dębami.

Kierowca ciężarówki podbiegł do chłopca i przyklęknął nad nim. Flavio podjechał, zatrzymał się i wysiadł z dina.

- Musi go pan zabrać - zawołał kierowca ciężarówki - trzeba go natychmiast zawieźć do szpitala.

Flavio nie miał wyboru. We Włoszech, gdzie jest niewiele ambulansów, istnieje surowo przestrzegane prawo, nakazujące udzielanie pomocy ofiarom wypadków. Zanieśli więc chłopca i położyli go na niskim i niewygodnym pasażerskim siedzeniu. Flavio zauważył leżącą na skraju drogi rozbity torbę z aparatami fotograficznymi.

- Zabiorę ją - powiedział. - Może są tam jego dokumenty.

- On chyba stracił panowanie nad motorem, prawda? - zapytał kierowca. - Nikt inny nie był w to zamieszany.

- Może opona nawaliła - odpowiedział Flavio. - Zawiadomię w mieście policję. Będą chcieli sami zabrać maszynę.

- Niech pan zapisze sobie moje nazwisko - zaproponował kierowca ciężarówki. - Nie chcę, żeby posądzali kogoś o przyczynienie się do wypadku.

Flavio zawrócił do miasta. Musiało tam być jakieś ambulatorium. Zapalił światła, wywiesił przez okno białą chustkę do nosa i nacisnął klakson, dając tym samym znać, że spełnia rolę karetki pogotowia.

Spojrzał na chłopca skulonego na siedzeniu. Spod pękniętego hełmu wyływała krew. Twarz rannego była blada, niemal sina. Flavio położył na kolanach chłopca torbę z uszkodzonym aparatem i rolkami filmu. Potem

otworzył aparat, wyjął film i schował go do kieszeni. Torbę rzucił na podłogę pod nogi chłopaka.

Wkrótce podjechał wóz policyjny i po zorientowaniu się w sytuacji policjanci eskortowali Flavia z wyciem syren do pogotowia. Po przybyciu na miejsce położono chłopca na nosze. Teraz można było już tylko czekać. Po dziesięciu minutach udało się znaleźć lekarza, a tymczasem oddech chłopaka stawał się coraz płytszy, a puls słabszy. Serce Sharliego zatrzymało się w dwie minuty po przybyciu lekarza, a kiedy przecięto i zdjęto mu hełm, okazało się, że ma zmiażdżoną czaszkę.

Była środa, godzina jedenasta trzydzieści rano. Stella Pritchard, Trixie, emerytowany major i jego żona, handlowiec z Twickenham i internista z Durham powoli powracali do zdrowia. Tino G. i sklepikarz z Nothumberland żyli jeszcze.

W Rzymie Citto czekał na autobus, który miał go zawieźć na lotnisko Fiumicino. Samolot do Katanii odlatywał w porze obiadowej. W Wenecji inżynier Preuss kartkował raport, który przed trzema laty, na osobistą interwencję ministra, został usunięty z akt sprawy. W Taorminie Larry Raille dostał depezę, która w sześćdziesięciu wyrazach proponowała mu wysokie stanowisko w NASA. Grupa ekspertów znajdowała się w powrotnej drodze do cywilizacji, a we wraku "Tanga November" mechanicy wciąż szukali strukturalnych czy mechanicznych błędów, które by mogły wyjaśnić przyczyny katastrofy.

Kiedy matka Sharliego wróciła na obiad z fabryki, w której pracowała cały dzień siedząc na brudnym stołku, zawiadomiono ją o śmierci syna. Krzyk matczynej rozpacz niósł się poprzez port, zagłuszając wycie syren okrętowych, hałas pracujących kranów i jęki wagonów ślizgających się po zardzewiałych szynach.

CZĘŚĆ CZWARTA 1

– Pani rozpoczęła pracę dla linii Greyhound w marcu bieżącego roku, prawda? Stella Pritchard uniosła głowę i skinęła na znak zgody, a Burden zrobił odpowiednią notatkę w swoich papierach. Po raz pierwszy prowadził śledztwo poza hotelowym pokojem i był trochę speszony. Po ciszy Taorminy miejski hałas przyprawiał go o ból głowy.

- Czy mogę spytać, kiedy miało miejsce pani pierwsze spotkanie z Peterem Nyrenem?

- Wydaje mi się, że było to w maju.

- Lataliście razem?

- Tak.

- Nie chciałbym wtrącać się do pani prywatnego życia. Jeżeli woli pani nie odpowiadać na moje pytania...

T Przecież to już nie ma żadnego znaczenia. Wszyscy nie żyją.

- Pani stosunki z Nyrenem... Stella przerwała mu znowu.

- Wychodziłam z nim wieczorami. Nie było nic więcej między nami. Był bardzo nieśmiały.

- Czy inni pracownicy linii, pani lub jego przyjaciele, mogli uważać, że pani była jego dziewczyną?

- Mogli myśleć, że śpimy ze sobą.

Burden wlepił wzrok w swój notatnik. Czuł się zażenowany. Starał się sformułować następne pytanie. Ale leżąca w łóżku dziewczyna, wpatrzona w wentylator na suficie, odpowiedziała na nie bez indagacji.

- Czasami trzymał mnie za rękę i całował na dobranoc. Poza tym nigdy mnie nie dotknął.

Burden wciąż myślał. Przesłuchanie zdawało się wymykać mu z rąk. Nie mógł nawet obserwować twarzy dziewczyny. Leżała płasko na wysokim łóżku, podczas kiedy on siedział z boku na niewygodnym, niskim fotelu.

Dziewczyna odezwała się znowu:

- Jeżeli pan zastanawia się, jak określić moje uczucia dla niego, to proszę napisać, że go lubiłam. Nie sprzeciwiałabym się, gdyby mnie zaczął pieścić albo uwodzić.

Burden odkaszlnął.

- Czy pani kiedykolwiek była w jego domu na wsi?

- Zaprosił mnie kiedyś na weekend. W jego wiosce odbywał się mecz krokieta na cel dobroczynny. Zorganizował go chyba jego ojciec. Jest miejscowym pastorem.

- Czy w tę samą sobotę znalazł się tam również kapitan Duckham ze swoją rodziną?

- Tak.

- Pani знаła Duckhama. Był przecież kapitanem pilotów linii?

- Z widzenia. Nigdy nie lataliśmy razem.

- A więc spotkała go pani po raz pierwszy na tym meczu?

-Tak.

- Czy pani brała udział w meczu?

- Grałam w krokieta jeszcze w szkole.

- Czy poznała pani tam jego żonę?

- Powiedziałyśmy sobie "halo".

- A jego dzieci?

- Chyba tak. Tam było sporo dzieci. Ale nie jestem pewna. Byłam trochę przejęta spotkaniem Duckhama.

- Czy dlatego, że był pani szefem?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale zaprzyjaźniliście się w czasie gry?

- Przy końcu graliśmy razem. To nie był zbyt poważny mecz. Rozmawialiśmy w czasie przerw. Trochę ze mnie kpił. Ale ten cały krokiet to był jeden wielki żart. Wszyscy się śmiali z graczy.

- Czy Peter*Nyren brał udział w grze?

- Tak, grał w barwach wioski.

- Nie gniewał się z powodu kpin?

- Skądże! Wszyscy śmiali się i bili brawo. Uznaliśmy to za wielki sukces.

- Została pani przez cały weekend?

- Zostałam do niedzieli. Właściwie nie byłam zaproszona, to znaczy ojciec Nyrena o tym nie wiedział. Zdziwił się, kiedy zobaczył mnie rano przy śniadaniu.

- A stosunki między panią i Nyrenem nie zmieniły się?

- Nie pocałowaliśmy się nawet na dobjanoc.

- Czy to znaczy, że się pokłóciliście?

- Nie. Znaczy to tyle, co już powiedziałam: nie pożegnaliśmy się na dobjanoc.

Jeżeli chce pan wiedzieć dlaczego, to dlatego, że spodziewałam się, iż przyjdzie do mojego pokoju.

Jeszcze jeden wariat - pomyślał Burden.

- W niedzielę po południu zawiózł mnie do domu. Nie mógłby u mnie nocować, bo mieszkałam z innymi dziewczynami. Był bardzo nieśmiały w tych sprawach.

-Więc zajmuje pani wspólne mieszkanie?

- Domek.

Burden zajrzał do notatek.

- W Redhill?

- Wszystkie latałyśmy wtedy z lotniska w Gatwick.
- Wszystkie stewardesy? Stella skinęła głową.

_ Wszystkie z Greyhoundu?

£ Jedna dziewczyna pracuje w British Caledonian.

_ O ile pamiętam, Nyren mieszkał w Londynie?

- Miał pokój gdzieś blisko Finchley Road.

Burden znowu zajrzał do notatek.

- Przy ulicy Frognal.

- Latał wtedy z lotniska w Luton. Zanim przeniósł się do Greyhoundu.

- Czy mogę panią zapytać, jakie uczucia żywiła pani wobec Nyrena?

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć. Przecież nawet nie spaliśmy ze sobą.

Ta odpowiedź znowu zaskoczyła Burdena. Przewrócił kartkę notatnika i powiedział cichym głosem:

- Powtórzono mi plotkę, która dotyczyła pani i kapitana Duckhama...

Znowu przerwał mu cichy i beznamiętny głos dziewczyny;

- Przespaliśmy się kilka razy.

Burden nie mógł przez chwilę znaleźć słów.

- Czy mogę zapytać, kiedy to było?

- Zaczęło się w czerwcu.

- A potem?

- Spotykaliśmy się raz na tydzień, czasem raz na dwa tygodnie. Zależnie od okoliczności.

- Czy wtedy, kiedy lataliście w tych samych rejsach?

- Tylko za pierwszym razem. Ale nie robiliśmy tego w samolocie, jeżeli panu o to chodzi.

Wiedziała, co myśli. Nie musiała nawet na niego patrzeć. Gdyby mogła go teraz zobaczyć, stwierdziłaby, że gwałtownie poczerwieniał. Ileż to razy wyobrażał sobie sęeny miłosne w toalecie samolotu! Ładne stewardesy w objęciach pilotów.

- To było w czasie przerwy w locie, w Casablance. Byliśmy tam od poniedziałku rano do piątku wieczorem.

-Rozumiem, że to już po tym meczu krokietowym?

-W dwa tygodnie później.

- Czy pani sądzi, że Duckham to specjalnie zorganizował?

- Nie, to niemożliwe. Lot do Casablanki jest dla wszystkich bardzo atrakcyjny i odbywa się na zasadzie ścisłej rotacji. Są tylko dwa loty w tygodniu - w poniedziałki i piątki.

-He razy leciała pani z Duckhamem od tego czasu?

-Dwa albo trzy razy.

-A z Nyrenem?

-Chyba też.

- Czy była pani kiedykolwiek w Casablance z Nyrenem?

| Nie.

-Przypuszczam, że Duckham bywał u pani w domu?

- °Nie, nigdy. Było tam zbyt wiele dziewczyn z Greyho- unda.

Burdenowi znowu zabrakło pytań. Nie był w ogóle pewien, czy zadane dotychczas pytania wiązały się ściśle ze śledztwem. I znowu dziewczyna zdawała się odczytywać jego myśli.

Robiliśmy to w samochodzie. Jak, w jaki sposób? - miał ochotę zapytać Burden, ale nie starczyło mu odwagi.

-Czy pani go kochała?

-Lubiłam się z nim kochać, jeżeli o to panu chodzi.

-Przypuszczam, że wolałaby pani trwalszy związek?

-Nie rozumiem.

- Czy nie rozmawialiście nigdy o możliwości rozwodu?

- Mój Boże, nigdy! - Stella zamknęła oczy. Ten człowiek zaczynał ją męczyć. -

Co za pomysł! Był zbyt zakochany w swojej żonie i nie mogło być mowy o tym, żeby ją opuścił, głowa Stelli przekręciła się, jak gdyby szukała kogoś w pokoju. - Ona tu jest.

_ pani Duckham?

- Opiekuje się mną.

Burden rozejrzył się również, jakgdyby spodziewał się znaleźć Julię za firanką.

- Mają bardzo mało personelu, a ona była zawodową pielęgniarką.

Niezwykłe! - pomyślał Burden. - Nigdy nie można przewidzieć postępowania kobiet.

Jak ludzie mogą tak żyć? Spojrzył na plik notatek, próbując odnaleźć w nich zagubiony wątek myślenia* "Dixie" Duckham, pięćdziesięcioletni mężczyzna, kochający się w samochodzie z dwudziestoletnią dziewczyną. To więcej niż wariactwo. To zboczenie.

- Czy Peter Nyren wiedział, co jest między panią i Duckhamem?

- Tak.;

- Czy pani mu o tym mówiła?

- Tak.

U Czy był zgorzony?

- Nie wiem. Chyba tak. To straszny dzieciak.

- Czy sprzeczyliście się na ten temat?

|| Nie.

- Ale on pokłócił się z Duckhamem?

- Mieli już przedtem jakiś zatarg. Z innego powodu.

- W jaki sposób Nyren dowiedział się o was?

- Po przylocie z Casablanki któryś z członków załogi puścił plotkę.

Stella znowu przekręciła głowę i wyszeptała zmęczonym głosem:

- Czy pan jeszcze nie skończył?

~ Muszę panią zapytać o piątkową noc, o lot i o katastrofę.

- Nie teraz - wyszeptała.

- Przyjdę innym razem.

Kiedy Burden wstał, popatrzyli na siebie pierwszy raz od rozpoczęcia rozmowy. Był zażenowany jej przebiegiem i próbował się wytłumaczyć.

- Bardzo mi przykro, że stawiam tak osobiste pytania, ale wynikły z faktu, że pani, Duckham i Nyren znaleźliście się razem w czasie tego lotu.

- Osobiste uczucia nie mogły na nic wpłynąć. . ||

- Nie twierdzę, że tak było.

- Na pokładzie samolotu Duckham i Nyren byli tylko fachowcami wykonującymi swoją pracę.

Burden skinął głową.

- Był najlepszym ze wszystkich pilotów.

- Duckham?

- Tak. - Stella znowu zamknęła oczy. - Od razu można poznać dobrego pilota.

Nigdy nie podnosi głosu, jest spokojny w czasie startu i lądowania, a jeżeli pojawiają się jakieś kłopoty, nie traci nerwów.

Burden patrzył przez chwilę na jej zamknięte oczy, a potem zaczął cofać się do drzwi.

Na korytarzu czekała kobieta. Julia Duckham wyglądała dziś znacznie schludniej niż przed trzema dniami, kiedy rozmawiał z nią Burden. Robiła wrażenie spokojnej, była umalowana, włosy miała zebrane w gładki węzeł.

- Próbowałam podsłuchiwać, ale mówiliście za cicho. - Stała pęzed Burdenem zagradzając mu drogę. - Czy mogę zapytać, co panu powiedziała?

- Wszystkie informacje zbierane w trakcie dochodzenia są poufne do czasu sporządzenia oficjalnego sprawozdania.

Był moim mężem. Pan nie ma prawa ukrywać czego- kolwiek przede mną.

- Jeżeli chce się pani dowiedzieć, co się stało, musi pani z nią sama porozmawiać.

- Więc było coś? To chce mi pan powiedzieć?

_ Niczego pani nie powiedziałem.

- Nie może pan tak postępować! - krzyknęła. Zmusiła go do cofnięcia się w załamanie muru przy windzie. - przed kilkoma dniami powiedział mi pan aż za wiele rzeczy, nie wiedząc, nawet, czy są prawdziwe! A teraz, kiedy już ma pan pewność, nie chce pan ze mną rozmawiać!

Burden przestraszył się. Zmiękły mu kolana. Ta kobieta miała oczywiście rację, bo przecież poczęstował ją .plotkami z drugiej czy trzeciej ręki.

- Zdaje się, że pani mąż utrzymywał bliskie stosunki z panną Pritchard.

Opanowanie Julii nagle przyszło, a na jej spokojnej dotychczas twarzy wy kwitły dwa silne rumieńce. Ta konsternacja przyniosła Burdenowi niekontrolowaną, ale i nieproszoną przyjemność. Spróbował ją jednak przewyciężyć i osłabić to, co powiedział:

p Były to mało znaczące i dość przelotne stosunki. Po prostu uleganie własnej słabości - dodał pośpiesznie.

Nadjechała winda. Burden wszedł do niej pośpiesznie, pozostawiając Julię wpatrzoną w zamykające się drzwi.

Osiem lat. Osiem lat bez prawdziwej kłótni i bez łez. Osiem lat pełnego szczęścia bez trosk, poza chorobami dzieci i chwilami zdenerwowania z powodu spóźnienia samolotu. Fałszywy raj.

Julia weszła do pokoju Stelli, która oczekiwała jej z oczyma utkwionymi w drzwi.

- Musiałam mu powiedzieć.

- Wiem.

- Muszę pani wszystko wyznać.

Julia skinęła głową.

- To nie była poważna sprawa. Ale on tak umiał kochać! - -

- Na miłość boską! Pani mnie to mówi!

- Bo to nie było na serio. Jak zapalenie papierosa albo wypicie drinka. To nie miało żadnego znaczenia.

Julia przysiadła na łóżku.

- Po pierwszym razie powiedział, żebym pamiętała, że przesypia się często z ładnymi dziewczynami. To było ostrzeżenie.

W pokoju zapanowało długie milczenie.

- Powiedział mi: "Któregoś dnia moje życie stanie się otwartą kartą, na której można będzie odczytać, kim byłem naprawdę".

2

Sharlie nie żył. Był już tylko liczbą w statystyce wypadków drogowych. Rozbite, nagie ciało, kupka ubrania z dowodem osobistym, prawo jazdy, jeden banknot tysiąclirowy, scyzoryk i zniszczona torba plastikowa, zawierająca potłuczony aparat fotograficzny i obiektywy - t,o wszystko, co po nim pozostało. W kieszeni skórzanej

wiatrówki personel szpitala znalazł nie zniszczoną rolkę filmu, którą włożono razem z innymi rzeczami do dużego worka polietylenowego, by je oddać rodzinie.

Po południu matka zidentyfikowała ciało chłopca. Policja przywiozła ją do szpitala z odległej o sześćdziesiąt kilometrów wioski. Oprócz zdawkowych słów ubolewania, które usłyszała od kierowcy i pielęgniarki w szpitalu, jedyną pociechą była troska członków rodziny. Wraz z nią przybyła Nonna Lisa, Laura i jej brat, Piętro. Siedzieli obok siebie w szpitalnej poczekalni. Dwie płaczące, obejmujące się stare kobiety na drewnianej ławce i wpatrzone w podłogę rodzeństwo. Laura wspominała w duchu szczęśliwego, roześmianego Sharliego z wczorajszego wyskoku w góry. Zbierał grzyby z Cantallaluną i zapomniał o swoich rzymskich kłopotach. Piętro myślał o motocyklu.

Późnym popołudniem zjawiał się w poczekalni Citto. Rozejrzał się niepewnym wzrokiem, jakby nie wierząc jeszcze w otrzymaną wiadomość. Reśdaktor gazety czekał na niego na lotnisku. Nawet na tym etapie śledztwa żaden z nich nie wierzył, że śmierć Sharliego była przypadkowa.

Będzie się dręczył odpowiedzialnością za tę śmierć - myślała Laura patrząc na Citta. - Będzie sobie mówić: to ja go posłałem za tą cysterną, ja ponoszę winę za tę tragedię.

Patrzyła, jak siada przy matce i bierze ją za rękę, jak próbuje ją pocieszać. Mówił ó Sharliem, że był tó dobry chłopak, uczciwy, pracowity, dzielny. Un bravo ragazzo.

Chciałby móc powiedzieć, że był męski. Matka powinna się dowiedzieć, że jej syn poznał gniew i odwagę, zanim zginął. Ale nie chciał, żeby matczyne oczy spojrzały na niego oskarżycielsko. Znowu ty, ty zawsze wrabia- łeś go w jakieś kłopoty, a teraz sprowadziłeś na niego śmierć!

Pielęgniarka przyniosła plastikowy worek z ubraniem i rzeczami Sharliego oraz listę, którą trzeba było sprawdzić i podpisać. Ale matka Sharliego nie chciała oglądać niczego i Citto zabrał się do sprawdzania worka. Dobrze się stało, bo jakiś bezmyślny dureń ze szpitala czy kostnicy wpakował do worka również potrzaskany i pokrwawiony hełm ochronny. Citto poprosił pielęgniarkę, żeby oddzielnie zapakowała podarte dzinsy, wiatrówkę i hełm. Należało zaoszczędzić matce tego widoku i Citto postanowił zabrać te rzeczy razem z rolką filmu. Myślał już o badaniu laboratoryjnym tych przedmiotów.

Jako dziennikarz i przyjaciel zmarłego poszedł do miejscowego posterunku policji ruchu i postawił kilka pytań. Wysłuchano go uprzejmie i zanotowano, że podejrzewa człowieka w zielono-pomarańczowym dino o spowodowanie wypadku. Potem Citto zapytał o motocykl.

- Zbadany. Znalaziono przyczynę awarii. Zablokowanie silnika przy nadmiernej szybkości. Żadnych śladów zderzenia.
- Czy mogę sfotografować mótocykl?
 - Został zabrany do garażu. Czekamy na instrukcje rodziny albo towarzystwa ubezpieczeniowego.
- Jaki to garaż?
- "Autoboom".

Był to skład domu na wybrzeżu w Giardini. Citto wrócił do szpitala, zabrał ze sobą Pietra i prowadząc szybko i zajadłe samochód, pojechał przez zasnutą już zmięszchem doliny w kierunku Taorminy.

Mieszkańcy Giardini lubili, kiedy miejscowość ich nazywano „Lido Taorminy”. Leży ona bowiem na wąskim przesmyku pomiędzy morzem a skałą, na której znajduje się

Taormina. W rzeczywistości jest to tylko stacja kolejowa z kilkoma pensjonatami i garścią małych wyspecjalizowanych warsztatów samochodowych, zajmujących się blacharką, mechaniką, elektryką i wulkanizacją opon.

Na podwórku blacharza, tuż przy drodze do Naxos, Citto i Piętro znaleźli zasłonięty brezentem motocykl. W świetle lampy elektrycznej kilku ludzi zajmowało się wymontowywaniem silnika z ramy. Kto kazał im rozbierać motocykl? -■ Po prostu wyjmujemy silnik, to wszystko.

- Z czyjego polecenia?

- Nie potrzebuję żadnego polecenia. Robię, co do mnie należy.

Ale Piętro miał przy sobie papiery motocykla i kiedy Citto zagroził, że sprowadzi zza rogu ulicy karabinierów, mechanicy odłożyli narzędzia i zniknęli. Wandale czy sabotażyści?

Motocykl był silnie pocięty, a od strony, która ślizgała się po asfalcie, jakby stopiony. Przednie koło było scen-

trowane, cała maszyna pokryta ziemią i kępkami suchej trawy.

Citto pozostawił Pietra przy zniszczonym motorze, a sani pojechał do hotelu, gdzie znajdowała się główna kwatera ekspertów badających katastrofę. W tym mieście j myślał « dziś jest co najmniej tuzin specjalistów, którzy mogliby zbadać wrak motocykla.

Jednakże Turi, który był jedynym łącznikiem pomiędzy Citem a grupą śledczą, nie powrócił jeszcze z pracy. Powiedziano Cittowi, że "lekarz będzie dopiero za dwie godziny, czyli o dziewiątej.

Citto snuł się więc. po wąskich, stromych uliczkach, rozmyślając o losie Sharliego. Ileż to razy waleśali się tu razem w oczekiwaniu na pojawienie się jakiejś znakomitości, która zatrzymała się w San Domenico. Sharlie zachowywał się jak myśliwy, ścisnął kamerę i wystawiał ją naprzód jak rewolwer czy nóż. Jakąż przyjemnością było obserwowanie go przy pracy, patrzenie jak robił błyskawicznie zdjęcia w biegu, w locie, jak bezbłędnie nastawiał migawkę i ostrość.

Co mogło się stać tego ranka? Sharlie na pewno zrobił zdjęcia, bo wypadek' miał w drodze powrotnej. W kieszeni Citta znajdowała się rolka filmowa. Czy były na niej zdjęcia? Citto przeszukał czarny worek szpitalny i torbę z aparatami, otworzył uszkodzony aparat. Chłopak musiał mieć przy sobie co najmniej pół tuzina rolek, ale wszystkie zniknęły. Może potoczyły się w bok w czasie wypadku?

W jednej z bocznych uliczek miasteczka Citto znalazł zakład fotograficzny. Jego właściciel, człowiek o nieokreślonej narodowości, zamykał już studio, ale za wygórowaną cenę zgodził się wywołać jeszcze film. Przypuszczał, że pośpiech Citta wypływa z mało szlachetnych pobudek. Dziennikarz czekał w wyłożonym czerwonym pluszem studiu, przyglądał się zdjęciom zdobiącym ściany - przedstawiały one starszych panów o germańskich rysach z pięknie zbudowanymi, półnagimi chłopcami nad morzem lub między kolumnami greckiego amfiteatru. Stary fotograf zawiedzie się, jeżeli liczy, że podkradnie kilka odbitek o treści pornograficznej z rolki kodaka Sharliego.

Capo Tomacchio był zmęczony, brudny, głodny i spragniony. Wprowadził cysternę z przyczepą na podwórze, zaparkował ją, zamknął i wszedł po żelaznych schodkach na taras nad budynkiem starej gorzelnii. Rozładunek może poczekać do jutra. Czarny cień skoczył na niego z głośnym ujadaniem, a wściekłe zielone oczy połyskiwały w wielkim łbie uwiązanego na końcu łańcucha psiska. Capo zaklął, potem uspokoił owczarka pieszczotliwymi słowami. Co za pies! Nie ma dobrego węchu! Nie poznaje człowiek^, dopóki nie usłyszy jego głosu. Tomacchio spojrzał przez taras na dom; w kuchni i salonie paliły się światła. Oznaczało to, że żona jest w

kuchni, a córka w salonie, z gramofonem, telewizją albo przyjacielem. Zapewne z młodym Renzo. Był to chłopak agresywny i rozpolitykowany, ale dobry mechanik. Renzo usłyszał szczekanie psa, domyślił się powrotu szefa i postanowił się oddalić. Wymienili w kuchennym przejściu zdawkowe pozdrowienia. Capo krzyknął jeszcze za nim z tarasu: - Cysterna gdzieś tam przecieka! Renzo powinien naprawić ją z samego rana, co pozwoli Capo pozostać przez dodatkowe dwadzieścia minut w łóżku.

Stary parszywiec - pomyślał Renzo gdy przemierzał podwórko. Zdjął latarkę z roweru i przykucnął przy cysternie. Lepiej znaleźć przeciek, dopóki cysterna jest gorąca, a olej ledwie się sączy. Jutro będzie znacznie trudniej, bo całe podwórko na pewno będzie w plamach oleju. Znalazł przeciek w dyfrecjale i podłożył suchą tacę pod oś. Rano będzie mógł stwierdzić, ile oliwy wyciekło z uszkodzonego miejsca.

Kiedy powrócił do swojego roweru, usłyszał warkot silnika dina, wjeżdżającego pod górę od drugiej strony wioski. To pewnie Consoli. W tych stronach nie było drugiego nicponia, który prowadziłby sześciocyndrową bestię z takim warkotem z rury wydechowej, z takim wyciem klaksonu, z takim piskiem opon. Renzo zatrzymał się i nasłuchiwał. Czyżby Consoli przyjechał, żeby zabrać gdzieś Giuseppinę? Czy dlatego powiedziała mu przed chwilą, żeby sobie poszedł? Renzo ukrył się ze swoim, rowerem w biurze gorzelni koło bramy. Dinc^ podjechało i stanęło na chodniku przed domem. Parszywy bydlak - pomyślał Renzo - jeżeli ją zabierz^, zamorduję go!

Słuchał jak Flavio naciska dzwonek przy bramie i wyobrażał sobie wyraz jego twarzy. Usłyszał, że chłopak mówi do domofonu:

- Muszę się z tobą zobaczyć! Czekam na dole!

Na kogo? Zamek przy furtce zaturkotał. Renzo poczuł zapach wody kolońskiej, kiedy Flavio przechodził koło niego przez podwórze. Nie pójdzie na górę - pomyślał - bo boi się psa. Flavio był jedyną ludzką istotą, którą owczarek zawsze rozpoznawał. Flavio kopnął go kiedyś w głowę, a owczarki są jak słonie, nigdy nie zapominają i czekają na okazję do zemsty.

Ale na tarasie wcale nie ukazała się Giuseppina, lecz Tomacchio.

Renzo pomyślał w pierwszej chwili, że powinien odejść, ale uznał, że wyglądałoby dziwnie, gdyby wyłonił się nagle z ciemności. Toteż czekał, zastanawiając się przeciwko komu ci dwaj spiskują. Zamarł, usłyszawszy pierwsze wypowiedziane po cichu słowa Flavia:

- On nie żyje.

- Kto nie żyje?

- Ten chłopiec na motocyklu.

- No to co? Miał wypadek.

- Czy miałeś z tym coś wspólnego?

- Jak to się stało?

- Jechałem tuż za nim. , - To pech.

- Może. Miałeś z tym coś wspólnego?

- Przecież mnie tam nie było.

- Ale ja tam byłem, idioto. I w przypadku, gdyby gliny coś wywęszyły, muszę wiedzieć co i jak.

- Przestań mnie naciągać!

Zapanowała cisza, w czasie której dwaj mężczyźni odeszli od domu i zbliżyli się do Renza. Tomacchio odezwał się pierwszy:

- Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak to było.

- Zablokowało mu tylne koło. Musiał jechać sto osiemdziesiątką.

Znowu zapanowała cisza, Renzo pocił się z napięcia i strachu. Podsluchiwanie takich tajemnic mogło się skończyć wyrokiem śmierci. O kim oni, na miłość boską, mówili?

- Wsypałem mu żwir do kartera. Silnik się zatarł. Ig Rany Boskie!

Ig Musisz o tym powiedzieć ojcu. On może zatkać gęby glinom.

- Powiedzieć mu? Oszalałeś! On mnie zabije. Rozszar- pie mnie na kawałki!

- To jest jego robota! A ty ją dla niego wykonujesz? Nie może mieć pretensji, że ci krzywo poszło!

Znowu milczenie. Potem znowu Tomacchio: -» Jeżeli się boisz, to ja do niego pójde.

- On nie wie o tej całej sprawie. - Ton głosu Flavia wskazywał, że było to poważne wyznanie.

Cisza, która nastąpiła, trwała dłuższą chwilą. Renzo nie mógł się zorientować, co robili.

Tomacchio mówił złym głosem. Renzo znał ten ton.

- Jeżeli się to na mnie skrupi,) to wciągnę i ciebie. Dostanie ci się tak, że się nie pzbierasz. Czy ty myślisz, że poszedłbym na ten gfoszowy interes, gdybym przypuszczał, że twój ojciec nie macza w nim palców? Robiłem to dla niego. Wobec ciebie nie mam żadnych zobowiązań.

Słychać było jakieś szuranie nóg, a potem niepewny głos Flavia:

- Dokąd idziesz?

- Idę po płaszcz.

Sylwetka Capo ukazała się na schodach taffasu.

- Po co?

- Opróżnimy ten przeklęty zbiornik.

- Teraz? Po nocy?

- I ty poprowadzisz.

Po dwóch minutach Capo zjawił się znowu na schodach niosąc płaszcz i myśliwską strzelbę.

- Po co ci strzelba?—spytał Flavio niepewnym głosem.

- Siadaj za kierownicą!

Obydwaj mężczyźni przeszli tuż obok Renza i wyszli na ulicę. Powiało najpierw wodą kolońską Flavia, a następnie potem starego.

Kiedy wycie dina ucichło, Renzo przeprowadził swój rower przez furtkę i pojechał do domu. Jesteś teraz w to wmieszany - mówił do siebie - rozmawiałeś z tym dziennikarzem, oni jechali dzisiaj za cysterną. Przypomniał sobie niskiego, jękającego się tłuściocha i miał nadzieję, że to nie on był ofiarą. Przez całą resztę wieczoru zastanawiał się, czy nie powinien opowiedzieć komuś tego, co słyszał. Ale chłopska ostrożność przeważała. Komunista, to fakt, ale to była Sycylia, gdzie trzeba wiedzieć, kiedy zamknąć oczy i uszy.

Tej nocy w Taorminie odbywał się koncert, i dźwięki orkiestry i fortepianu płynęły z nadmorskiego amfiteatru. Holenderska orkiestra, niemiecki dyrygent i japoński pianista nie mogli się ze sobą porozumieć, nie byli bezpośrednio związani z tragedią, ale zebrali się i przy świetle księżycy w otwartym teatrze, zbudowanym trzy stulecia przed narodzeniem Chrystusa, grali koncert fortepianowy. Z takich uczuć i różnorodności - myślał Ash Nyren - zbudowane jest Królestwo Człowiecze.

Stary kanonik siedział w górnej części amfiteatru, zgarbiony, z łokciami na kolanach i słuchał tej pięknej muzyki. Wczoraj ogolił się wreszcie i włożył wypożyczzone, zbyt obszerne ubranie. Odnaleziono go po rozmowie z amerykańskimi studentami. Umieszczono w pokoiku na poddaszu, gdzie panował od rana do wieczora nieznośny upał i skąd rozciągał się widok na obrośnięte zeschniętymi kaktusami wzgórze.

Koncert Mozarta numer 491 w katalogu Koechla. Kanonik wolał Brahmsa, a nawet drugą część trzeciej symfonii Beethovena, od której rozpoczął się koncert. Publiczności na pewno najbardziej spodoba się koncert Rachmaninowa, który miał być następnym punktem programu. Amfiteatr zapełniały zamożne rodziny północno-wschodniej Sycylii. Elegancko ubrani ludzie zakupili drogie bilety i przybyli w wielkich samochodach, żeby wykazać się współczuciem dla ofiar rozbitego samolotu, którego szczątki leżały fia ciemnym stoku wulkanu, górującego piękną i niezwykłą sylwetką nad czterema koynckimi stolicami.

Kanonik Ash Nyren postanowił wybaczyć Mozartowi koncert oznaczony numerem 491 przez pana Koechla. Finał był melancholijny, bez śladu wesołości. Stary kanonik wyczuł w nim cień rozpacz.

Arbitralny charakter śmierci określa siłę Boga —: myślał. - Człowiek przeciw Bogu.

Citto odnalazł angielskiego lekarza dopiero, kiedy członkowie komisji śledczej rozeszli się po wieczornym spotkaniu. Stali w małych grupkach, rozrzuconych po małym wewnętrznym dziedzińcu San Domenico. Dźwięki koncertu nie dochodziły tu^aj, słycać było jedynie szum fontanny i lekkie skrzypienie podszew kelnerów roznoszących drinki.

Mac był w wojowniczym nastroju. Przez cały dzień zajmował się układaniem szczątków pięciu zwęglonych zwłok, starając się je zidentyfikować. Nie mógł z tym dojść do ładu i prosił o opóźnienie pogrzebu i terminu odesłania ciał. Ale bezskutecznie. Powiedziano mu, że pogrzeb odbędzie w sobotę, co pozostawiało mu tylko dwa dni do zakończenia pracy przy zbieraniu dowodów.

Na wieczornym posiedzeniu oświadczył, że gdyby fotele, pasy i urządzenia kabiny były o piętnaście procent mocniejsze, to liczba ofiar byłaby nieporównanie mniejsza.

– Uważam za niezwykle ważne zebranie dokładnych dowodów dla udowodnienia mojej tezy, bo wywoła to nacisk opinii publicznej w Europie i Ameryce dla zrewidowania przepisów bezpieczeństwa lotów.

Oświadczenie Jo stało się przysłowiowym kijem w mrowisku. Jak ci ludzie nienawidzą wyrażenia „opinia publiczna”! Ralph Burden rzucił mu sponad filiżanki kawy lodowate spojrzenie. Poparł Maca jedynie Larry Raille, wykazując całkowite zrozumienie jego argumentów. Stali teraz zatopieni w rozmowie, którą przerwało im przybycie Citta.

Mały, jękający się, operujący kiepską angielszczyzną Włoch, nie był dobrym adwokatem w swojej własnej sprawie. Ale przedstawiał fakty i nawet miał pewne dowody. Poproszono Burdena o wysłuchanie go i Citto opowiedział wszystko od początku. Mówił o zatrzymanych zegarach i cysternie, znajdującej się na lotnisku " w chwili katastrofy, a potem opowiedział o dochodzeniach, jakie przeprowadził zarówno na wyspie, jak i w Rzymie. Powiedział im też o odosobnionej opinii inżyniera Preussa w sprawie usytuowania lotniska. A wreszcie o wydarzeniach dzisiejszego dnia, zakończonych tragiczną śmiercią młodego fotografa. Materiał dowodowy stanowiły odbitki z na wpół wyświetlonej rolki filmu, znalezionej w kieszeni Sharliego. Były to ostre zdjęcia, pokazujące położenie szlauchów, rur i zaworów, a ostatnie trzy fotografie identyfikowały opuszczone miasteczko na stoku wulkanu. Nawet bez zaginionych rolek były to wystarczające dowody niewątpliwie przestępczych machinacji.

- Dlaczego. szło im właśnie o to paliwo? - zapytał Raille.

- Bo jest opłacone przez wojsko - odpowiedział Citto. - Stanowi część zapłaty za ewentualne korzystanie z lotniska przez siły NATO w razie nagłej potrzeby. Włoskie Ministerstwo Wojny pokrywa rachunki za urządzenie alarmowe.

- Czy pan rzeczywiście sądzi, że fotograf został zamordowany? - przerwał mu Mac. Zapamiętał Sharliego. Był to ten sam chłopiec, który robił zdjęcia w miejskiej kostnicy. Miał już wtedy wyrzuty sumienia za to, że pobiła go później policja. A teraz chłopak nie żył i Mac był tą śmiercią wstrząśnięty równie jak Citto, który przecież skłonił młodego fotografa do udziału w śledztwie.

Wszyscy zresztą byli już teraz zaniepokojeni. - Może powinniśmy obejrzeć ten motocykl - zasugerował Citto. - Wiem, gdzie jest.

Siedzieli na podwórku blacharza "Autoboomu" i przyglądali się przez czterdzieści minut Burdenowi, który przy świetle latarki elektrycznej majstrował przy motorze. Ralph Burden był niespokojny. Obawiał się, że zapalczywy Mac doprowadzi do zatargu z miejscowymi władzami. Cały ten splot ciemnych i oszukańczych machinacji przekraczał uświęcony rytyną tok tego rodzaju śledztwa. Nawet Larry Raille żywił podobne obawy, ale jednocześnie cieszyło go, że sprawa przybiera niecodzienny obrót. Wysłał już telegram, odrzucając bardzo uprzejmie propozycję przeniesienia go i awansu, i w związku z tym odbył też burzliwą rozmowę telefoniczną z żoną. Na razie wołał więc trzymać się z dala od telefonu.

Burden, pochylony nad motorem, rekonstruował kolejne etapy wypadku. Najpierw musiało nastąpić całkowite zablokowanie tylnego koła. Tylna opona była zżarta aż do osnowy, łańcuch bezpośredniego biegu został unieruchomiony, a skrzynka biegów pocięta i zablokowana.

Kiedy wreszcie rozebrał obudowę ustawionych w kształcie litery V cylindrów, stwierdził, że tłok - jest wtopiony w cylinder, co musiało spowodować zatarcie. Odkręcił pompę olejową i filtry. Były zatkane przez żwir i małe kamyczki. W ten sposób zablokowany został dopływ oliwy do silnika.

Burden oświadczył stanowczo, że motocykl wraz ze wszystkimi częściami powinien zostać przekazany policji.

- Uważam za wskazane - dodał urzędowym tonem - odroczenie dzisiejszego posiedzenia. Wynikły nowe komplikacje.

- Do jutra jeszcze dużo może się wydarzyć - zauważył Citto. - W tym kraju dowody rzeczowe mają zwyczaj znikania.

Mac spojrzał na dziennikarza.

- Oficjalnie możemy się odroczyć. Nieoficjalnie możemy się rozejrzeć, tyle że w charakterze prywatnym.

Mac zdenerwował się. Jeżeli chłopiec został naprawdę

g

] zamordowany, to trzeba zobaczyć, co fotografował w tej dziwniejszej górskiej wiosce.

- Co o tym sądzisz, Ralph? Burden potrząsnął głową.

- Zostanę przy- motocyklu i porozmawiam z policją. Myślę, że do nich należy następne pociągnięcie.

Mac spojrzał na Amerykanina, y - Pójdiesz ze mną, Larry?

Raille czyścił ręce szmatami nasyconymi benzyną. Pomyślał o swoim samotnym pokoju hotelowym i o telefonach z Ameryki. - Czemu nie? W tej chwili jesteśmy tylko turystami. |

3

Przejechali dziewięć kilometrów i z pewnym niepokojem obserwowali jadące za nimi i samochody. Flavio patrzył pilnie w boczne lustro, a Capo Tomacchio, siedzący na tylnym siedzeniu, obserwował drogę przez tylne okno. - Zgaś światła, zanim skręcisz. Stary odezwał się po raz pierwszy od chwili, kiedy ruszyli. Flavio wiedział, że Capo jest wściekły. Szło od niego tą wściekłością równie silnie, co

zapachem potu i oliwy na szoferskim kombinezonie. Gdybym nie nazywał się Consoli - myślał - to ten bandyta wyrzuciłby mnie na złamanie karku do przydrożnego rowu. Flavio zgasił reflektory przed zakrętem w boczną drogę, prowadzącą do opuszczonej wioski, a potem zaciągnął ręczny hamulec i stanął przy barierze. Capo wygramolił się z wozu i otworzył szlaban. W trawie grały świerszcze, a z daleka sfychać było warkot silnika jakiegoś samochodu zakręcającego na wirażu.

Dino pokonało wzgórze i stanęło na placu przy kościele.

_ Co będzie z benzyną, jak otworzymy kurki? -zapytał pQ cichu Flavio, jakby się bał obudzić duchy dawnych mieszkańców wioski.

_ Wy płynie i wsiąknie w pęknięcia asfaltu. Jutro nie będzie po niej śladu.

Zawiasy drzwi od zakrystii były zardzewiałe. Capo otworzył je kopniakiem.

- Zaczekaj tu i nasłuchuj.

Tomacchio zniknął we wnętrzu zakrystii razem ze swoją latarką. Flavio czekał w zupełnych ciemnościach. Wszystko to przypominało mu zabawy z czasów dzieciństwa. Ale wolałby lepsze towarzystwo niż Capo Tomacchio. Kiedy cała ta awantura przeminie, na pewno będą | nim jeszcze kłopoty. Może powinienem uciec z jego córką - rozmyślał Flavio. - Ale ma dziewczyna jędrne piersi! No i forse też niechęć! Dostrzegł światła samochodu zakręcającego na ostrym wirażu. Na pewno jakiś komiwojażer wraca z Mediolanu. Ale tonacja silnika nagle zmieniła się, co wskazywałoby na to, że wóz zwolnił na bocznej drodze, prowadzącej do wioski. Chyba zatrzymał się na chwilę, potem cofnął się, a po chwili Flavio zobaczył jego światła.

Zastukał do drzwi, żeby ostrzec Tomacchia.

- Jakiś samochód tu jedzie!

- Cholera! - Capo wyskoczył z kościoła, zanim Flavio i skończył zdanie.

- Znalazłeś zawór?

- Cholera! Kran jest zardzewiały! Otworzyłem go tylko do połowy. Ledwie siusia. Jak dziecko. Będzie to. trwało całą noc.

Flavio zobaczył, że stary sięgnął do samochodu po strzelbę.

- Chyba jej nie użyjesz?

I Zjeżdżaj z drogi, synu, siadaj za kierownicą i bądź gotów do jazdy.
m

- Nie wolno nam strzelać! - krzyknął Flavio, ale [H^^® Tomacchio już zniknął w ciemnościach. Flavio poczuł dreszcz niepokoju.

Polną drogę, prowadzącą do wioski, zagradzał szlaban. Citto zatrzymał samochód i wszyscy trzej ruszyli w górę na piechotę. W świetle latarek zobaczyli świeże ślady opon na żwirze.

Nie mieli złych przeczuć. Księżyc stał nisko na jasnym horyzoncie, kładł smugę światła na morzu. Po poniedziałkowej burzy pozostał słodki wilgotny zapach, grały świerszcze. Jakże mogło im przyjść do głowy, że świetliki ich latarek znajdowały się na muszce karabinowego celownika!

Tomacchio był pewien, że w grę wchodzi jeden człowiek. Jeden trup to mały problem, ale trzy? Zobaczył, że samochód, którym przyjechali, jest czerwony i wiedział już, że nie są to policjanci. Nacisnął spust i noc eksplodowała. Świadomie czy odruchowo trzy latarki zostały zgaszone.

Citto skoczył do rowu i przycupnął w błocie. Strzał padł na pewno z nasypu, znajdującego się nad nim. Poczował wilgoć na policzkach i pomyślał, że pewnie stłukły mu się okulary i skaleczyły go. Zobaczył, jak jego dwaj towarzysze leżą po drugiej stronie drogi. Czyżby nie żyli?

Ale w tej samej chwili doszły jego uszu soczyste przekleństwa Amerykanina. A co z angielskim lekarzem?. Może jest ranny?

- Jak tam z tobą? - rozległ się głos Raillego z drugiej strony drogi.

- Czy doktor jest ranny? Amerykanin lekko potrącił Anglika.

t \ - Co z tobą, Mac?

- Rozdarłem sobie portki!

Cisza, która nastąpiła, trwała zaledwie kilka sekund, 238 ale leżącym na ziemi mężczyznom wydawało się, że upłynęły wieki.

- Nie zamierzam tu zostać na noc - odezwał się wreszcie Mac.

- No to co robimy? - zapytał Amerykanin.

Trzeba brać nogi za pas - pomyślał Citto - z bronią palną nie ma żartów.

- Kto ma ochotę zostać żywą torpedą?

Zwariowany Anglik podniósł się i oświetlił latarką

ciągnący się ponad ich głowami nasyp. Natychmiast rozległ się huk strzału. Tym razem Citto zobaczył płomień wydobywający się z lufy. Ocenił, że strzelający znajduje się o jakieś dziesięć metrów od nich. Mac znowu przywarł do ziemi. Słychać było łamanie strzelby przed ponownym ładowaniem.

- Teraz - szepnął Mac. - Teraz musimy go sprowokować do dwóch strzałów i ruszyć do ataku.

Idiota - pomyślał Raille. - Za dużo patrzy na telewizję. Na broń palną jest tylko jeden sposób. Trzeba uciekać, i to jak najdalej.

- Myślę - powiedział spokojnie - że ktoś po prostu nie życzy sobie naszych odwiedzin w tej wiosce. Jeżeli zawrócimy i odjedziemy, nie będzie nas gonił.

- Co? Mamy się dać zastraszyć tej pukaninie?

Raille-zawołał donośnym głosem:

- Hej tam, wracamy do samochodu!

Dał znak Cittowi, a ten powtórzył jego słowa po włosku. Jąkał się przy tym strasznie, ale to tylko nadało jego słowom większej stanowczości.

Capo Tomacchio poznał ten głos i to jąkanie. To ten gruby dziennikarz - pomyślał - który nagabywał mnie w niedzielę. Jest na pewno w towarzystwie zagranicznych dziennikarzy.

Po chwili zobaczył cienie poruszające się na drodze. Wyglądało na to, że panowie dziennikarze pełzną na

czworakach. Na pewno zawiadomią policję. Ile czasu może upłynąć, zanim zjawią się policjanci? Chyba z pół godziny, a wtedy to przeklęte paliwo będzie się jeszcze sączyło. Najlepiej wywołać pożar. Podłożyć zapalnik i wysadzić zbiornik w powietrze. Ale najpierw trzeba unieruchomić ich samochód, a na to potrzebny jest czas.

Ruszył śmiało wzdłuż wału, bo przecież wiedział, że nie mają przy sobie broni. Mimo tuszy poruszał się szybko, znacznie szybciej niż Citto i Larry Raille, wciąż pełznący na czworakach. Znalazł samochód dziennikarza, stojący tuż przy szlabanie. Drzwiczki były otwarte, ale w stacyjce nie tkwiły kluczyki. Capo nie miał czasu na rozłączenie przewodów. Skorzystał z tego, że koła były krzywo ustawione. Zwolnił ręczny hamulec i popchnął samochód lekko w kierunku przydrożnego rowu. Stracą całą noc na wyciągnięcie go - pomyślał z satysfakcją.

Wrócił do Mavia, który wciąż stał na pustym placu. Za chwilę mieli zabrać się do skonstruowania zapalnika z opóźnionym zapłonem, który nie wysadziłby ich w powietrze razem z ukrytym w kościele zbiornikiem.

Mac nie wycofał się z Citem i Lanym Raillem. Dostrzegł człowieka, który przed chwilą db nich strzelał, a teraz powracał do wioski. Ruszył za nim skrajem drogi, w

cieniu "nasypu. Był teraz ostrożniejszy niż poprzednio, gdyż nie znał planu wioski i nie wiedział, z iloma przeciwnikami i jaką bronią ma do czynienia.

Kiedy wszedł na plac, Flavio i Tomacchio znajdowali się za kościołem, a więc poza zasięgiem jego widzenia. Opuszczona wioska wyglądała niesamowicie w świetle zachodzącego księżyca. Chwasty, którymi zarośnięty był plac, rzucały długie cienie, a okna o wybitych szybach wyglądały jak oczodoły trupich czaszek. Anglik dwukrotnie wparł się plecami w oświetloną blaskiem księżyca fasadę kościoła. Za każdym razem dlatego, że widział poruszające się sylwetki dwojga ludzi. Dopiero kiedy

zbliżył się do załamania muru, poczuł mocny, duszący zapach benzyny. B

Wrócił do głównych drzwi kościoła. Nie były zaryglowane, więc otworzył je szeroko i ostrożnie, ale mimo to każde skrzygnięcie spaczonego drzewa, każdy zgrzyt porzecznych zawiasów rozlegał się po wiosce jak wystrzał armatni.

We wnętrzu nie było ani ołtarza, ani ławek, żadnych świec, żadnego zapachu kadzidła, które świadczyłyby o obecności Boga i aniołów. Światło księżyca wpadało przez trzy okna, oświetlając sufitowe malowidło, które podziwiała już tylko ptaki i nietoperze. Czarne drzwi prowadziły do zakrystii. Zapach benzyny, był teraz tak silny, że zapalenie papierosa wysadziłoby zapewne dach w powietrze. Mac zapalił latarkę i poszedł główną nawą po nierównej, zapadniętej posadzce. Usłyszał ciche bulgotanie płynu i kierując się słuchem odnalazł w kącie budynku dwa duże zbiorniki, zawierające na oko po pięćdziesiąt tysięcy litrów.

Tymczasem Tomacchio ukończył już konstrukcję swojego żalnika. Był to wałek zrobiony ze zmoczonej benzyną trawy. Przeciągnął go od drzwi zakrystii do drzwiczek dina. Ale tej nocy jedna niespodzianka goniła drugą. Ani Capo, ani Flavio nie mieli przy sobie zapalek czy też żalniczek z tej prostej przyczyny, że żaden z nich nie palił. Toteż Tomacchio zwinął gazetę, zmoczył ją benzyną, otworzył maskę samochodu i odkręcił jeden z przewodów prowadzących do świec. Flavio zapalił silnik i po kilku chwilach gazeta zapłonęła od iskry.

Mac usłyszał dźwięk zapuszczanego silnika, ale nic nie widział. Dopiero po chwili znalazł kratę wentylacyjną, przez którą mógł zobaczyć, co się działo na zewnątrz. Dostrzegł wówczas na placu ciekłą smugę dymu i ognia, pełznącą w stronę kościoła niczym wąż. Samochód znajdował się poza jego polem widzenia, widział tylko ten

przybliżający się płomień. Stał jak skamieniały patrząc na ognistego węża, odległego już tylko o pięć metrów od kościoła. Płomień nabierał rozpędu, ilekroć napotykał kałużę benzyny. Za nim, na placu, paliły się suche chwasty. Przypominało to pożar lasu sprzed kilku dni. Po kilku sekundach mózg Maca zaczął znowu sprawnie funkcjonować, więc odwrócił się i pobiegł ze wszystkich sił do drzwi. Nie zdążył - myślał - stałem jak idiota, a teraz jest za późno. Pośliznął się na pękniętej płycie, wpadł do rozlanej benzyny, zgubił latarkę i stracił poczucie kierunku. Podbiegł do muru i biegł wzdłuż niego, ale kiedy wreszcie dopadł drzwi, okazało się, że są zamknięte. Wchodząc zamknął je ostrożnie za sobą, a teraz nie mógł znaleźć klamki. Rzucił się na drzwi całym ciałem i wypadł na kamienne stopnie. Noc była cicha, księżyc świecił dalej, po tej stronie kościoła nic się nie działo. Z daleka dochodził huk motoru pędzącego ku dolinie sportowego samochodu.

Wybuch przerwał ciszę, kiedy Mac biegł środkiem placu. Nastąpiły dwie eksplozje. Pierwsza w momencie, kiedy płomień dotarł do rozdanej na podłodze benzyny. Mac rzucił się płasko na ziemię. -Zwrócił głowę w stronę kościoła dokładnie wtedy, kiedy wybuchł zbiornik. Wysoko nad jego głową przeleciało okratowanie okna, a wewnątrz kościoła rozbrzmiało jasnym światłem. Eksplozja musiała wysadzić mur, płomień ogarnął całe wnętrze budynku i sięgnął dachu.

Tymczasem Citto i Raille próbowali wyciągnąć z rowu giulii... Nagle usłyszeli wycie sześciu cylindrów dina i eksplozję w podziemiu kościoła. Ferrari przeleciało, zanim zdążyli zareagować, a jego wielkie reflektory prześliznęły się po podniesionym szlabanie i karoserii uwięzionej w rowie giulii. Mimo popękanych okularów Citto rozpoznał kształty sportowego wozu. Nie musiał nawet widzieć tłustej czerwonej twarzy kierowcy, żeby

go zidentyfikować. Nie udało mu się jednak rozpoznać drugiego pasażera ferrari.

Amerikanin rzucił się pędem w stronę wioski wykrzykując imię Maca.

Nikt na wzgórzach Peloritany nie zauważył wybuchu ani płomieni. Dopiero w czwartek o drugiej nad ranem trzech ludzi doszli przez przełęcz i nową drogę do najbliższego telefonu, którym był automat publiczny na lotnisku Taormina-Peloritana.

W cztery godziny później policja spisała ich zeznania i dokonała inspekcji spalonego kościoła. Decyzja zaareztowania młodego Flavia Consolego i jego nieznanego towarzysza zapadła dopiero, kiedy Mac osobiście zatelefonował do mieszkania magistrato. Ale zanim to się stało, nastąpiło jeszcze wiele wydarzeń.

4

Tuż po północy Flavio wysadził Tomacchia przed bramą jego podwórza. Był w dobrym nastroju. Podniecił go wybuch i widok pożaru i Tomacchio miał trudności, zanim zdołał go przekonać, że tamci ludzie byli prawdopodobnie dziennikarzami i z pewnością zauważyli i rozpoznali jego samochód.

- Trzeba ci pomóc - oświadczył Capo. - Musisz mieć kogoś, kto będzie myślał za ciebie.

Capo Tomacchio nie miał najmniejszego zamiaru pozostawić biegu spraw przypadkowi lub wątpliwej inicjatywie Flavia. Kiedy Flavio odjechał, zatelefonował natychmiast do mieszkania Consolego. Zadzwoił z warsztatu, żeby nie niepokoić żony i córki.

- Jeżeli coś się mi stanie - powiedział staremu adwokatowi - to obiecuję, że wciągnę was w tę sprawę, pana, pańskiego syna i wszystkich członków tego parszywego konsorcjum.

i -w wm>m

Grożenie osobie tak poważnej i wpływowej jak Consoli nie było rzeczą rozsądną.

- Spotkajmy się za godzinę w moim biurze - powiedział spokojnie i cicho adwokat.

Consoli siedział w gabinecie czekając na syna i zastanawiał się nad dalszą strategią, Flavio, jadąc długą aleją pomiędzy drzewami pomarańczowymi, zobaczył w oknach pokoju ojca światło i zrozumiał, że czeka go awantura, ale w dalszym ciągu nie dawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Adwokat wiedział już o wszystkim od Tomacchia. Postanowił dać synowi nauczkę. Na początek stłukł go na kwaśne jabłko.

¹ - Wystawiłeś nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo i to dla kilku tysięcy lirów tygodniowo...

Najbardziej bolało starego, że chodziło o tak nędzne pieniądze.

- Szaleństwo! - wrzeszczał. - To mniej niż napiwek! W końcu wepchnął Flavia w głęboki fotel i powiedział mu, co ma robić. Przeprowadził już przedtem kilka rozmów telefonicznych. Rozmawiał z żoną dalekiego krewnego w Reggio Calabria, z jej bratem w Neapolu, który zajmował się sprzedażą luksusowych samochodów, z jeszcze innym dalekim krewnym, zajmującym posadę nauczyciela w wiejskiej szkole w szwajcarskim Ticino, a wreszcie z dwoma bojówkarzami, których wyrwał ze snu i którym wyznaczył spotkanie.

Pani Consoli leżała już w łóżku w sypialni na piętrze i przysłuchiwała się pobrzękiwaniu aparatu telefonicznego, stojącego na nocnym stoliku. Nie odważyłaby się podsłuchiwać, ale dochodzące z dołu krzyki męża świadczyły o tym, że dzieje się

coś niedobrego i że chodzi o syna. Po pewnym czasie Flavio przybiegł na górę i zaczął trzaskać szufladami i drzwiami szafy w swoim pokoju.

Kiedy zebrała się wreszcie na odwagę, było już prawie za późno. Flavio schodził na podwórze niosąc dwie walizki. Matka przytuliła go do siebie z rozpaczą. Flavio, jedyny sens jej życia, opuszcza dom! Ale adwokat odepchnął żonę na bok; tej nocy liczyły się minuty, a nawet sekundy.

Nieszczęsna spędziła resztę nocy i cały następny dzień na kolanach. Błagała Boga o cud.

Wkrótce po północy Capo Tomacchio pojechał do adwokata. Nie cieszył się na to spotkanie. Spodziewał się przykrych słów i wielu zarzutów, ale zdawał sobie sprawę, że zna sporą ilość sekretów konsorcjum, a tym samym jest bezpieczny. Nie przyszłomu nawet do głowy, że może w ogóle nie dojść do spotkania i że chodzi po prostu o odseparowanie go od żony i dzieci. Domyślił się tego dopiero, kiedy wrócił z pustego biura Consolego do samochodu i stwierdził, że ktoś przeciął mu wszystkie cztery opony.

Okolo pierwszej nad ranem żonę Tomacchia obudził dźwięk dzwonka u frontowych drzwi. Była przekonana, że mąż pomylił klucze, a gruby głos w domofonie wydał jej się znajomy.

- To ja.

Nacisnęła guzik zwalniający zamek furtki. Zaniepokoiła się dopiero, kiedy usłyszała wściekle ujadanie psa. Dlaczego mąż nie zawołał na niego, żeby go uspokoić? Pies zamilkł nagle, a potem jęknął.

Drzwi na taras nie były zamykane na klucz, więc pobiegła, żeby je zaryglować. W kuchni zastała dwóch mężczyzn. Krzyk matki zbudził Giuseppinę. Pobiegła do telefonu, ale druty były przecięte. W łazience, tyłem do drzwi, stał trzeci osobnik i broczył krwią na podłogę. Widocznie pies dobrał mu się do żywego ciała.

Giuseppina nie poznała żadnego z tych ludzi. Kazali jej się ubrać i zapakować walizkę. Zagrozili, że jeżeli nie będzie posłuszna, to załatwią matkę. Zrobiła więc, co jej kazali, a nawet połknęła pigułki, jakie wcisnęli jej do ręki. Powiedzieli, że są to nieszkodliwe środki nasenne. Porwanie dla okupu - pomyślała ze zgrozą.

- Co stanie się z moją matką? - zapytała, kiedy wyprowadzali ją z domu.

- Dostanie te same pigułki - odpowiedzieli. - Zostaniemy przy niej, aż zaśnie, i wszystko będzie w porządku.

Trzeci mężczyzna wysłiznął się niepostrzeżenie z domu. Ani matka, ani córka nie rozpoznały go. Dopiero kiedy sprowadzono ją na podwórko i zobaczyła oczekujące dino, Giuseppina zorientowała się, co się dzieje. Stał tam Flavio, zdyszany i spocony, z zakrwawionymi spodniami. Zrozumiała, że została porwana w sposób uświęcony tradycją, ale jeszcze nie wiedziała dlaczego. Ulżyło jej jednak, gdy zobaczyła znajomą twarz.

- Nie zrobię ci nic złego – zapewnił ją Flavio.

Były to ostatnie słowa, jakie do niej dotarły, zanim zasnęła. Kiedy dojeżdżali do Mesyny, gdzie miała okazję wezwać pomocy, była już pogrążona w głębokim śnie. Dino wjechało na prom, odchodzący o godzinie pierwszej czterdzieści, na pięć minut przed odjazdem i nie zostało przez nikogo zatrzymane. O wpół do trzeciej jechali już autostradą del Sole w kierunku północnym z szybkością dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. CV piątej po południu, w opuszczonym zaułku jednego z przedmieść Neapolu, przesiedli się do innego samochodu. Czekał tam na nich brat żony kuzyna siostrzeńca Flavia. Przy jego pomocy przeniesiono uśpioną dziewczynę z dino do Porsche-carrera, wymieniono dokumenty wozów, Flavio zasiadł za kierownicą i ruszyli dalej na północ. Wkrótce po szóstej minęli Rzym. Porsche-

carrera wyciągał szybkość dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę. Flavio zwołał tylko dwa razy z powodu robót drogowych i zagęszczenia ruchu w tunelach Apeninów. Florencję minęli

o siódmej trzydzięci, Bolonię kwadrans po ósmej, a Mediolan trochę po dziewiątej.

Policja rozpoczęła poszukiwania młodego Consolego o siódmej rano, nie wiedząc, że szuka również porwanej dziewczyny. W godzinę po odjeździe promu przyszła wiadomość, że znajdowało się na nim zielono-pomarań- czowe ferrari. Kiedy młody magistrato pojawił się w biurze i przejął sprawę, cała policja półwyspu miała już opis poszukiwanego dina. Nazwisko Flavia i numer jego paszportu przekazano wszystkim lotniskom aż do Pizy. Nie przypuszczano, żeby Flavio mógł w Ciągu jednego dnia dalej zajechać.

Zmęczony niemal do nieprzytomności młody Consoli przejechał granicę szwajcarską autostradą pod Chiaso o dziesiątej rano. Od chwili zmiany samochodów pod Neapolem, czyli od pięciu godzin, przejechał osiemset dwadzieścia kilometrów. Zatrzymał się tylko jeden raz dla nabrania benzyny. Siedząca obok niego dziewczyna wciąż spała.

5

Przez cały czwartek narastała fala oburzenia i grozy. Morderstwo, porwanie, jakiś kant z benzyną. "Tango November" powrócił na pierwsze stronicie gazet, a operatorzy telewizji i reporterzy pojawiali się znowu na wąskich, malowniczych uliczkach Taorminy. Grupa prowadząca śledztwo z ramienia trzech rządów, próbowała jeszcze tego samego ranka przywrócić atmosferę spokoju i bezstronności, organizując naprędce konferencję prasową. Ale usiłowania te były próżne, gdyż dziennikarze interesowali się jedynie Macem i Raille'ęm, bohaterami wydarzeń ostatniej nocy. Mówiono teraz, że "Tango Noyember" stracił kierunek

m po awarii wszystkich świateł i urządzeń ślepego lądowania na lotnisku, która nastąpiła na skutek przerwy w dostawie prądu i wobec braku paliwa w awaryjnych generatorach lotniska.

Ale eksperci wiedzieli, że nawet jeżeli te wnioski były słuszne, to stanowiły tylko część łamigłówki. Nie wyjaśniały tego, co działo się z samolotem po drugiej stronie wulkanu. Nie tłumaczyły defektu generatora maszyny i jednego silnika. Nie usprawiedliwiały urwania się zapisu przebiegu lotu. Nie brały też pod uwagę możliwości pomyłki albo fałszywych obliczeń jednego z pilotów. A to wydawało się obecnie Burdenowi istotnym elementem katastrofy. k 2

Wyciągnięto już z zarośli brakujące szczątki skrzydła, a przewodnicy górscy potwierdzili fakt, że słyszeli samolot, jak leciał dobrze poniżej poziomu krateru. Pokrywałoby się to z czerwonym wschodem słońca, o którym majaczył Tino G. Można było założyć, że "Tango Novem- ber" krążyło dokoła góry w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wydostało się z burzy, zanim piloci stracili kontrolę nad nim, i rozbiło o spiętrzenie lawy. Dlaczego Duckham leciał dokoła wulkanu na tak niebezpiecznie małej wysokości i dlaczego kiedy wyszedł z chmur nie skręcił na wschód w stronę morza?

- A niech to cholera - mruknął Raille do Maca po konferencji prasowej. - Woląłem już wersję o porywaczu W kokpicie!

Na podstawie fotografii, które pozostały po Sharliem, młody magistrato skojarzył Tomacchia i jego cysternę z systematyczną kradzieżą benzyny z lotniska Taormina-Peloritana, a potem bez trudu powiązał porwanie Giu- seppiny ze zniknięciem Flavia Consolego.

Tymczasem Capo Tomacchio nie przyznawał się do niczego. Udawał zdumionego i nie poinformowanego

o niczym. Popijając kawę na tarasie powtarzał tylko:

- Ten młody człowiek był zakochany do szaleństwa. Mimo to młody magistrato nie dawał za wygraną.

| – Consoli starał się gorączkowo uniknąć aresztowania, a jednak pan przypuszcza, że znalazł czas na zorganizowanie skomplikowanego porwania? Musiał mieć jakieś bardzo ważne pobudki, aby porwać pańską córkę!

- Kierowała nim miłość albo pożądanie - powtarzał Tomacchio w kółko. - To jest bardzo arogancki młody człowiek.

- Czy łączy pana z nim finansowe sprawy?

- Z nim nie. Tylko z Servizi TP. Jest to kontrakt na obsługę generatorów i zbiorników nowego lotniska.

- Jedna z pańskich cystern znajdowała się wczoraj na lotnisku.

- Tak, sam ją prowadziłem.

- Fotografie stwierdzają, że wypompywał pan paliwo ze zbiorników zasilających awaryjne generatory.

Capo skinął głową.

- Trzeba było sprawdzić funkcjonowanie generatora. Wiedziałem, że lotnisko jest zamknięte. To była idealna sytuacja dla przeprowadzenia naprawy.

- O ile wiem, paliwo do urządzeń awaryjnych opłacane jest przez władze wojskowe.

- Nic o tym nie wiem.

- To może tłumaczyć, dlaczego ktoś mógł wypompywać regularnie co tydzień pewną ilość benzyny.

- Nic o tym nie wiem. Mówiłem już, że sprawdzałem tylko funkcjonowanie generatorów.

- Na czym polegało ich złe funkcjonowanie?

- Chodziło o przepływ paliwa. Trzeba było opróżnić zbiornik.

- Nie został on opróżniony do końca...

- Wystarczyło obniżyć poziom paliwa poniżej przewodu łączącego zbiorniki! - wyjaśniał cierpliwie Capo. -

Są tam dwa niezależne obwody elektryczne, dwa generatory i dwa zbiorniki. Jeden obwód zasila mniej istotne urządzenia elektryczne, takie jak oświetlenie wewnętrzne i ogrzewanie, drugi obsługuje przyrządy nawigacyjne, zegary i oświetlenie pasów startowych. Obydwa zbiorniki połączone są w ten sposób, że jeżeli poziom, paliwa obniża się, to pierwszeństwo ma generator awaryjny.

- Ale wydaje mi się, że w ostatnią sobotę właśnie on przestał funkcjonować.

- Zgadza się. Dlatego właśnie badałem jego sprawność.

Młody magistrato uśmiechnął się mimo woli. Jakże często w czasie jego krótkiego urzędowania na tej wyspie przesłuchania odbywały się w ten sam elegancki, zawily, iście bizantyjski sposób. Miał wystarczającą ilość dowodów i okoliczności obciążających dla zatrzymania Toma- cchia w czasie dochodzenia, a nawet do zbudowania aktu oskarżenia przeciwko niemu. Woleł jednak zostawić go na wolności kilka dni, żeby poobserwować dalsze posunięcia starego wygi. Przecież na pewno będzie się starał znaleźć córkę.

Pani Tomacchio obudziła się z ciężkiego snu w dobrym stanie, ale natychmiast załała się łzami. Złożyła policji mętne raczej zeznania.

Mechanicy i kierowcy wrócili do pracy, a około połud- nia Capo wezwał do siebie Renza.

- Czy wiesz, co się stało?

Renzo skinął głową.

- Podoba ci się Giuseppina?

Renzo milczał. Stary wyciągnął z kieszeni kopertę.

- Masz pieniądze. Wydadz tyle, ile potrzebujesz, ale znajdź ją. Idź śladem tego szczeniaka. Przeprowadź mi do domu córkę, a już ja ci się odwdzięczę.

Renzo nie odpowiedział, ale pieniądze wziął. Z baru zatelefonował do Citta do redakcji. Powrócił do domu,

zapakował walizkę i opuścił wioskę popołudniowym autobusem.

Tymczasem Mac zszedł do niewielkiego pomieszczenia w podziemiu szpitala. Powitał go Sanju wraz z Turim nowiną, która miała wszystkie cechy "czarnej komedii". Okazało się mianowicie, że zginęła ciężarówka-chłodnia wraz z towarzyszącymi jej karabinierami. A kiedy Mac pojechał lekarzem, na znajdujący się za dworcem rynek, spotkał tam karabinierów i kierowcę ciężarówki, którzy siedzieli przy pustej bocznicy kolejowej. Cztery wagony- chłodnie, zawierające zamrożone ciała ofiar katastrofy, zostały nocą przez pomyłkę przyczepione do pociągu z owocami i zaplątały się beznadziejnie w olbrzymią sieć włoskich kolei państwowych.

Turi odciągnął Maca od policjantów i urzędników kolejowych, bo bał się, że Anglik rzuci się na nich z pięściami. Odprowadził go w głąb placu i zaczął wypytywać właścicieli straganów o to, jakie ładunki zabrała kolej poprzedniego dnia. Ludzie ci dobrze znali lekarza i byli gotowi pomóc mu w sprawach, o których milczeliby wobec innych osób. We wschodniej części wyspy handel owocami i jarzynami był zmonopolizowany i ściśle powiązany z mafią. Ale dzięki Turiemu udało się stwierdzić, że wagony ze zwłokami musiały odjechać wieczorem do Szwajcarii i Niemiec.

Mac przyglądał się lekarzowi. Zbierał starannie informacje i od niechcenia przyglądał się skrzynkom z winogronami i koszykom pełnym pomidorów. Otrzymał taką ilość owoców w prezencie, że wystarczyłoby na zaopatrzenie całego sklepu. Rynek był przepiękny, kolorowy, cały w stosach czerwonego i żółtego pieprzu, melonów i arbuźów we wszystkich rozmiarach i kolorach. Z koszyków przelewały się zielone kabaczki, ostatnie brzoskwinie jesieni i wczesne jabłka. A nad tym wszystkim unosił się ciężki masyw wulkanu. Etna wyrastała nad wioską stromą ścianą, a dym z krateru płynął w stronę wioski jak czarne, złowrogie memento. Mac bywał już bliżej wulkanu i jego krateru, ale nigdy jeszcze nie odczuwał tak silnie jego grozy.

To memento przeznaczone było dla niego. To on ponosił odpowiedzialność za zaginięcie stu osiemdziesięciu zwłok i niezmiernie ważnych dowodów rzeczowych. W atmosferze intrygi otaczającej całą tę sprawę odruchowo podejrzewał istnienie jakichś ciemnych machinacji.

6

Burden przyjechał do szpitala w Katanii w samo południe. Nie zdziwił się, kiedy spotkał Julię Duckham wychodzącą z windy. Poszli razem do pokoju Stelli Pritchard.

Tak jak i wczoraj Stella leżała płasko na wznak i wpała w sufit. Na skraju łóżka siedziała dziewczynka, w której Burden rozpoznał znaną mu z fotografii i artykułów dziennikarzy Trixie.

Julia zamknęła drzwi i stanęła przed nimi jak strażnik. Widać dzisiejsze przesłuchanie miało się odbyć wobec świadków. Burden, który nie mógł zapomnieć wczorajszych przykrości, wołał się temu nie sprzeciwić. Zagłębił się w swoich papierach i notatkach.

- Chciałbym porozmawiać o wydarzeniach ostatniego piątku, po kolei, tak jak je pani pamięta.

Stella skinęła głową na znak zgody. Widziała stojącą przy drzwiach i przyglądającą jej się-Julię. Nie rozmawiały jeszcze od wczoraj. Żadna nie wiedziała, czy znajdują się w stanie rozejmu, pokoju czy neutralności. Burden odchrząknął i zapytał:

- O ile wiem, pani miała kilka wolnych dni przed tym ostatnim lotem?
- Środę i czwartek. Pojechałam do Harrogate, do rodziców.
- Wróciła pani w piątek?
- Tak, po obiedzie. Wsiadłam do Yorkshirskiego Pull- mana. W mieszkaniu znalazłam się o trzeciej i od razu położyłam się do łóżka.
- Pani dyżur zaczynał się o dziesiątej trzydzięci wieczorem. Czy pojechała pani z Redhill do Gatwick pociągiem?

Stella milczała przez chwilę. Potem spojrzała na Julię.

- Kapitan Duckham przyrzekł, że mnie podwiezie.

Burden zaczął szperać w papierach. Nie mógł sobie przypomnieć, czy miał zanotowaną dokładną godzinę odjazdu Duckhama z domu. Stella odpowiedziała, zanim zdążył sformułować pytanie.

- Spotkaliśmy się o ósmej. Zamierzaliśmy zatrzymać się po drodze.

Nie powiedziała dlaczego ani po co.

Julia wciąż stała nieruchomo, oparta o drzwi. Przypomniała sobie słowa Mike'a w piątek przy obiedzie:

- Odjadę dziś wcześniej, kochanie. Mam jeszcze trochę spraw biurowych do załatwienia.

- I czy zatrzymaliście się po drodze? - Burden znowu musiał odchrząknąć. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Spotkaliśmy się jak zwykle przy stacji kolejowej i pojechaliśmy taką wąską boczną wiejską drogą w kierunku Nutfield. %

Prawdopodobnie wygodny, duży wóz-myślał Burden. - Opuszczane oparcia...

Istnieje przepis zakazujący konsumpcji alkoholu na osiem godzin przed startem, ale nie ma zakazu seksU: Mac na pewno by powiedział, że trochę seksu zwiększa koncentrację i dobrze wpływa na samopoczucie, a tym samym na wyniki pracy.

- Siedzieliśmy w samochodzie i rozmawialiśmy - ciągnęła dalej Stella. - Niezbyt długo. - Pamiętała, że Mike wyglądał na bardzo zmęczonego, ale nie chciała tego powiedzieć swojemu rozmówcy. - Nie mieliśmy na nic więcej ochoty.

Julia wspominała w duchu, jak Mike zawołał do niej po obiedzie ze swojego czarnego pokoju: - Chodź i pomóż mi usnąć!

Kochali się, a Klara bawiła się w sąsiednim pokoju. Był to ich ostatni raz, ale skąd mogła o tym wiedzieć i teraz nie była w stanie sobie przypomnieć żadnych szczegółów, : Czy ta dziewczyna mówi prawdę, czy rzeczywiście tego wieczoru nic między nimi nie było?

- A potem pojechaliście do Gatwick? - zapytał Burden.

- Tak.
- Musieliście przyjechać przed czasem?
- Nie.
- A więc rozmawialiście długo w samochodzie?

- Nie pamiętam. Słuchaliśmy radia. Powtórzyłam mu rozmowę z jedną dziewczyną. Mówiła o swoim chłopcu. Często mówiłam mu o takich sprawach. On to lubił. Stella przypomniała sobie słowa Mike'a:

- Nie chce mi się dzisiaj lecieć. Czuję się zmęczony' i stary.

Ale nie zamierzała zwierzać się swojemu inkwizytora- \$ wi. "A może złamiemy przepisy i napijemy się?" - zaproponował Mike, kiedy zatrzymali się przed barem w

Smallfield. Ale kiedy weszli do środka, uśmiechnął się i zamówił dwa toniki z lodem. Bez dżinu, bez wódki.

- Czy pani pamięta, która była godzina, kiedy przybyliście na lotnisko?

- Chyba dziesiąta.

- Przyjechaliście razem?

- Mike zazwyczaj wysadzał mnie w tunelu przed dworcem lotniska. Parkował samochód. No i przychodziliśmy osobno.

- Tak też było w piątek?

- Tak.

Stella przypomniała sobie przepelniony pokój załogi. W tym samym czasie prócz ich samolotu odlatywały dwa inne. W pokoju znajdowały się dwie załogi przylatujące, trzy odlatujące. Właśnie wtedy zobaczyła Petera.

Burden jakby zgadywał jej myśli.

- Kiedy dowiedziała się pani, że Peter Nyren poleci z wami?

- Kiedy podpisywałam listę.

- Kiedy widziała go pani ostatni raz?

- Mniej więcej przed dwoma tygodniami.

- Poszliście gdzieś?

- Byliśmy od dawna umówieni na koncert.

- W Londynie?

- Tak, w Albert Hallu. Peter często tam chodził.

- Czy był to udany wieczór?

Pytanie było niewątpliwie podstępne.

- Koncert był bardzo dobry, a potem zjedliśmy świetną kolację.

A potem? - chciał zapytać Burden.

Biedny, zagubiony Peter - myślała Stella. "Co powiedziała byś, gdybym zaprosił cię teraz do siebie? - zapytał. "Sama nie wiem - odpowiedziała. - A zapraszasz mnie?" A kiedy Peter wzruszył nerwowo ramionami, poprosiła, żeby ją odwiózł na dworzec Victoria, skąd miała pociąg do domu.

Burden rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Czy w piątek w sali załogi rozmawialiście ze sobą?

- Przywitaliśmy się.

- Nic więcej?

- Było tam strasznie dużo ludzi.

Stella zapamiętała twarz Petera, kiedy zobaczył, że w kilka minut po jej przyjściu zjawił się również Duckham. Spochmurniał i zaczął intensywnie czytać jakiś tygodnik. W ostatnich czasach bywał często ponury.

- Czy Duckham rozmawiał tego dnia z Nyrenem?

- Podeszedł do niego i przywitał się.

- Czy w tym momencie pani stała obok Nyrena?

- Nie, ale przyglądałam się mu. Wiedziałam, że są skłóceni i zastanawiałam się, czy nie powiedzą sobie kilku przykrych słów z okazji pierwszego wspólnego lotu.

11 co?

- I nic. Peter zareagował normalnie.

- A Duckham?

- Powiedział coś na temat opóźnienia lotu i możliwości zmiany załogi. Wie pan, jak to jest. Jeżeli lot bardzo się opóźnia, to zwalnia się załogę i wyznacza inną.

- Przypuszczam, że pani bardzo tego chciała?

- Kilka osób mówiło, że może posłać nas wcześniej do domu. Mike powiedział, że ostatni termin to druga pięćdziesiąt.

- Kiedy to powiedział?

- Kiedy witał się z kolegami.
- Czy powiedział pani coś jeszcze?
- Nie. Tyle tylko, że podobno mamy kilku nerwowych pasażerów i że trzeba się będzie nimi zająć.

Burden zajrzał ponownie do notatek. Samolot Duckhama odleciał na pięć czy dziesięć minut przed ostatecznym terminem. Gdyby wiedział, jak kiepską będzie miał pogodę, to może przeciągnąłby przygotowania do lotu i doczekał się zmiany załogi. Nie miał jednakże informacji o warunkach atmosferycznych na Sycylii. Ralph Burden próbował wyobrazić sobie, że jest na miejscu Mike'a, że marzy o tym, by start opóźnił się jak najbardziej, żeby móc wrócić do domu i położyć się do łóżka. Deż to razy miał podobne marzenia na lotnisku Norfolk, kiedy z południowego zachodu nadciągały chmury i utrudniały wieczorny odlot, Uniósł wzrok i zobaczył, że Julia obserwuje go i czeka na następne pytanie. Czy Duckham przespał się owego piątkowego wieczoru ze Stellą Pritchard? A jeżeli tak, to czy miało to wpływ na późniejszy przebieg wydarzeń? Chyba tak, bo był na pewno bardziej zmęczony i jak zwykle, odczuwał depresję, poczucie winy, niesmak. Ale może "Dixie" Duckham nie miał takich reakcji? Burden sformułował następne pytanie:

- Czy czekając na odlot załoga trzymała się razem?
- Przez dobry kwadrans nie wiedzieliśmy, co się dzieje i dlaczego odlatujemy z opóźnieniem. Potem zostaliśmy o tym oficjalnie zawiadomieni i Mike poszedł do swojego biura.
- A reszta załogi pozostała w poczekalni?
- Tak. George od razu zaczął opowiadać swoje kawały.
- George?
- George Raven. Nasz mechanik pokładowy.
- Czy pani go dobrze znała?
- Chyba nikt go dobrze nie znał. Nie był z nikim z nas ściśle zaprzyjaźniony. W każdym razie nic o tym nie wiedziałam.

Burden poszukał odpowiedniej notatki.

- Raven mieszkał w Brighton, prawda?
- Nie wiem.

Stella wiedziała, że tak jest. Nie zamierzała o tym piówić Burdenowi. \

- Ten człowiek miał dziwne zamięłowania.
- Nic o tym nie wiem.

Burden odczytał z notatek:

- Podwodne polowania, skoki ze spadochronem, szybowanie na lotni.
- I jeszcze jazda na motocyklu-dodała Stella. Pamię-

tała, jak George przychodził czasami na lotnisko w specjalnym, nieprzemakalnym kombinezonie.

Teczka personalna George'a Ravena, którą Mac przekazał Burdenowi, zawierała uwagę wypisaną na marginesie: "Osobnik z fówny ważony. Niepewność reakcji przy silnym stresie". Raven był jedynym członkiem załogi, którego Burden nie mógł sobie dokładnie wyobrazić. Zwrócił się znowu do Stelli:

- Czy pani określiłaby go jako człowieka niepopularnego?
- Nie wiem. On sam uważał się na pewno za bardzo lubianego. Zresztą byli ludzie, którzy go lubili, ale w niedużych dawkach.
- Nie wie pani, co sądził o nim Duckham? Julia zauważyła, że Stella się uśmiecha.

- Powiedział mi kiedyś, że jego obecność w kokpicie i słuchanie jego wiecznych anegdotek to chińska tortura.

Burden przyjrzał się wyjętej z teczki fotografii Ravena. Czerstwa twarz o gładkiej cerze, z rzędnącymi włosami. Zwykła angielska twarz, jakie widuje się w gazecie, wizerunek człowieka, który otrzymał krzyż za ratowanie gijących albo zamordował małe dziecko.

Burden wydobyl zestawienie wydarzeń i czynności w samolocie.

- Czy może mi pani powiedzieć, kiedy po raz pierwszy spotkała pani pasażerów?

- Posłano mnie do hali odjazdowej po półtorej godzinie. Trzeba było trochę ich uspokoić.

- Byli tacy, którzy sprawiali kłopoty?

- Nie. Byli po prostu zmęczeni oczekiwaniem, a niektórzy wypili za dużo.

- Nie widziała pani więc innych członków załogi, zanim nie znaleźliście się w samolocie?

- Nie.

- A w samolocie kieuy się pani z nimi zobaczyła?

- Kapitan Duckham wkrótce po starcie wszedł do kabiny pasażerskiej, żeby porozmawiać z jednym z pasażerów.

- Czy była tam jakaś awantura?

- O nie! Po prostu ważna osobistość w podróży poślubnej. Tacy się zawsze zdarzają w lotach czarterowych i dają innym do zrozumienia, że nie są zwyczajnymi pasażerami.

- Rozumiem, że istniał podział kabiny samolotu pod względem obsługi?

- Tak. Ja miałam pod swoją opieką przedni bufet. Obsługiwałam przeważnie Amerykanów znajdujących się w tej części kabiny. Wszyscy byli naprawdę bardzo zmęczeni. - Stella namyślała się prz^z chwilę. - Pamiętam chłopca z gitarą. Leciał z Nowego Jorku. Poprosiłam go, żeby nam coś zaśpiewał i trochę rozweselił towarzystwo.

- Tino G. - powiedział Burden. - Kto?

- Tak się nazywa. Przeżył katastrofę.

Julia znowu zobaczyła przelotny uśmiech na ustach Stelli.

- Siedział na samym przodzie. Burden skinął głową.

- Tak. Miał dużo szczęścia.

- Czy będzie żył?

- Lekarze twierdzą, że tak.

Znowu ten uśmiech. Gdyby można ją było sobie wyobrazić bez bandaży i ze świeżo umyтыми włosami, byłaby teraz piękna.

→ Skoro pani była w przedniej części kabiny, to musiała pani mieć kontakt z pilotami?

- Było nas czworo w przedniej części.

- Czy pani w ogóle wchodziła do kokpitu pilotów?

- Raz, pod sam koniec, żeby zabrać kubki od kawy.

- Czy słyszała pani, jak mówili, że nie będą lądować w Taorminie?

- Nie.

- Czy może pani sobie przypomnieć, o czym rozmawiano w kokpicie?

- Nie było żadnej rozmowy. Odczytywano listę czynności lądowania.

- Czy miała pani wrażenie, że dzieje się coś niedobrego?

Stella przypomniała sobie wyraz przygnębienia na twarzy Petera. Ale to nie mogło mieć znaczenia dla Burdena.

- Wszystko wyglądało normalnie.

- Więc zabrała pani kubki i wyszła?
- Tak.
- A co było potem?
- Sprzątnęłam bufet i zamocowałam wszystko, po czym poszłam do kabiny[^]żeby sprawdzić, czy pasażerowie dobrze zapięli pasy.
- Czy były jakieś trudności?
- Z czym? Gdzie?
- Gdziekolwiek.
- Miałam kłopoty z zamknięciem drzwiczek od szafki w kuchence. Musiałam ją przywiązać sznurkiem.
- I co? Przywiązała je pani?
- Jedna ze stewardes usiadła i oparła się o nie plecami. Nie chciałam, żeby jej coś spadło na głowę.
- Czy w przednim bufecie były miejsca dla dwóch /| stewardes?
- Tak. I dwa siedzenia przy przednim wejściu, 260 w piątek wieczorem nie były używane.
- Dlaczego?
- Takie są nasze instrukcje. Jeżeli w kabinie pasażerskiej są wolne miejsca, to nie używamy składanych siedzeń. Ir
- Z jakiego powodu?
- Nikt nie lubi na nich siedzieć. Są niebezpieczne.
- A więc usiadła pani w kabinie pasażerskiej?
- Tak, kiedy już wszystko sprawdziłam.
- Gdzie było pani miejsce?
- W środku frontowej sekcji, tyłem w stosunku do kierunku lotu. To jest miejsce, gdzie ustawia się przegrodę, żeby urządzić pierwszą klasę.

Burden spojrzał na plan samolotu 119.

- Rząd szósty.
 - Trzymamy to miejsce wolne, jeżeli tylko nie ma kompletu. W ten sposób stewardesa może usiąść przy awaryjnym wyjściu.
 - Takie są przepisy?
 - No tak. Awaryjne wyjścia okienne są trudne do otwierania i często się zacinają.
 - Czy czwarta stewardesa także była z panią?
 - Tak, usiadła po drugiej stronie przejścia.
 - I obie na fotelach zwróconych tyłem do kierunku lotu?
 - Tak jak zawsze.
 - Czy dlatego, że te miejsca są najbezpieczniejsze?
 - Tak.
- Burden przyjrzał się ponownie planowi samolotu typu "119^M linii Qrcyhound. Po obydwu stronach każdego z dwóch wyjść zapasowych stały naprzeciwko siebie dwa fotele. Jak wszystkie pozostałe były one przymocowane do podłogi łatwo usuwalnymi śrubami. We czwartek i piątek "Tango November" przewoziło w Niemczech żołnierzy, a umowy z władzami wojskowymi przewidywały ustawienie wszystkich foteli tyłem w stosunku do kierunku lotu i przy minimalnym rozstawieniu o Sziesięć centymetrów większym niż w czasie lotów cywilnych. Toteż fotele musiały być podczas postoju w Gatwick i przed feralnym lotem ponownie przestawione; Burden przypomniał sobie, jak zmiażdżone były wszystkie fotele po katastrofie i zastanawiał się, do jakiego stopnia to szybkie manipulowanie śrubami przyczyniło się do straszliwych obrażeń pasażerów. Ale powrócił do swojej systematycznej indagacji.

- Proszę sobie przypomnieć, w jakim stadium schodzenia do lądowania zapięła pani pasy ochronne?
 - Nie mam pojęcia.
 - Co pani pamięta od tego momentu?
 - Wszystkie wypadki nałożyły się na siebie. Zaczęło się chyba od zmiany tonu silników i poderwania się maszyny w górę. f
 - Czy miała pani wrażenie, że zakręcacie? .Stella milczała, natężając pamięć. Nie wiem. Ale chyba raczej nie.
 - Czy patrzyła pani przez okno? p Widać było tylko chmury.
 - Co dalej?
 - Właśnie wtedy zobaczyłam w przejściu kabiny Trixie. Dziewczynka uniosła po raz pierwszy głowę. Burden spojrzał na nią z uśmiechem.
 - Wstałaś z fotela, prawda Trbrie? Dziewczynka milczała. Chwyciła Stellę za rękę. || Odpięła pas. Miała ochotę pobiegać sobie. Prawda Trbrie? Dziewczynka skinęła głową.
 - Wtedy i ja odpięłam mój pas i wstałam, żeby posadzić ją z powrotem na jej fotel. Musiałam gonić za nią prawie przez całą długość przejścia.
 - Czy biegłyście do tyłu, czy do przodu?
 - Do tyłu. Raz prawie ją dogoniłam, ale wymknęła mi się. Zaczęłam się na ciebie trochę gniewać, prawda Trixie? Dziewczynka znowu skinęła głową.
 - Mniej więcej wtedy zgasły światła.
 - W kabinie pasażerskiej?
 - Tak.
 - Czy wszystkie?
 - Wszystkie, prócz światła awaryjnego z baterii.
 - Jak długo to trwało?
- Trudno mi powiedzieć. Ale chyba długo, bo zaczęłam się niepokoić. Rzuciło nami bardzo silnie. Poza tym nie spotkałam się z tak długą awarią światła.
- Ale czy zapaliły się jeszcze raz?
- ;;Jf Nie. Palily się tylko światła awaryjne.
- Gdzie pani była, kiedy zrobiło się ciemno?
- : Mniej więcej w połowie samolotu.
- - A Trixie?
 - Przestraszyła się ciemności i przestała uciekać, więc złapałam ją. Prowadziłam ją do jej fotela, kiedy zaczęło bardzo silnie rzucać samolotem. Wtedy wszyscy pasażerowie zaczęli się bać.
 - Co pani wtedy zrobiła?
 - Stałam tuż przy toalecie, na samym środku kabiny. Przysiadłam na podłodze i pociągnęłam za sobą Trbrie. Wparłam się nogami i plecami o ściany kabiny i tak zostałyśmy. Więcej już nic nie pamiętam.
- Zapanowało długie milczenie, po czym odezwała się po raz pierwszy dziewczynka:
- Potem pokazało się słońce.
- Stella przypomniała sobie, \
- O tak! Czerwone słońce. - Jidia znowu zobaczyła na jej twarzy cień uśmiechu. - Jakby wypełniło całe wnętrze samolotu. Zapewne wyszliśmy z chmur, w samolocie było ciemno, więc kiedy słońce wdarło się przez okna, wydało się nam bardzo jaskrawe. Tak! Tak! Pasażerowie zaczęli bić brawo, tacy byli rozradowani. Myśleli, że już teraz wszystko będzie dobrze. Witali to wschodzące słońce. Wzięłam się do wstawania,

ale nagle samolot gwałtownie zaczął spadać w dół. Po kilku sekundach poderwał się, a potem znowu poszedł długim powolnym przechylem w dół.

- Przyszła mama - odezwała się dziewczynka.

- Jej matka? - zapytał Burden.

- Tak. Wstała z fotela, bo chciała zabrać Trixie.

"Kobieta-porywacz", która straciła ramię. Maria-

Grazia Ragonese, 55 Ulica, 11 219 Nowy Jork - pomyślał Burden.

i Ludzie zaczęli krzyżeć - Stella przymknęła oczy - przypuszczam, że zobaczyli przez okienka Etnę.

Zapanowało długie milczenie.

- I to jest wszystko, co pani pamięta?

- Tak.

Burden wstał, wziął teczkę, pozbierał papiery.

- Kadłub samolotu pękł dokładnie w miejscu, w którym siedziałyście. Miałyście wielkie szczęście.

Stella zwróciła ku niemu zapłakaną twarz.

- Co za niesprawiedliwość! A ci wszyscy ludzie! Na pewno wiedzieli, co ich czeka. Trzymali się za ręce. Co za niesprawiedliwość kazać- ludziom umierać w taki sposób!

7

W południowym dzienniku telewizji ukazał się reportaż, przedstawiający szturm dziennikarzy i fotografów na bramę prowadzącą do pomarańczowego sadu willi Consolich. Kilku śmiałków przelazło przez kamienny mur i nie zważając na ujadanie psów, podeszło do domu. Ale był zamknięty na cztery spusty i prawdopodobnie opuszczony.

Natomiast Citto spędził bardziej pożytecznie półtorej godziny w archiwum swojej gazety. Przejrzał dział ślubów, narodzin, plotek towarzyskich, a następnie prze-studiował kilka książek telefonicznych. Szukał krewnych Flavia od strony matki. Była to solidna, zamożna rodzina sklepikarzy, rodem z Kalabrii, która rozgałęziła się na północ w stronę Neapolu już na początku stulecia.

Poprosił o pomoc jedną z sekretarek, dziewczynę o niewinnym i słodkim głosie. Pani Consoli знаła już jego głos, który, jak Citto wiedział, nie był trudny do rozpoznania. Kazał dziewczynie powiedzieć do słuchawki: "Muszę koniecznie mówić z panią Consoli. Mam wiadomości od jej syna i chciałam je przekazać".

Citto dał dziewczynie listę trzydziestu pięciu krewnych państwa Consoli. Dopiero siedemnasty telefon uwieńczony był sukcesem. Zawołano signgrę Consoli i po chwili W słuchawce odezwał się jej pełen niepokoju głos. Citto warował przy drugim aparacie. Dał znać dziewczynie ruchem ręki, że jest dobrze. Ta, dusząc śmiech, wyrecytowała drugą połowę wyuczonego tekstu:

-Mój brat będzie u pani o piątej, signora. Czy zastanie panią w domu?

-Ależ tak, oczywiście!

-Proszę tylko nikomu nic nie mówić. To bardzo ważne. Pani syn jest w dużym niebezpieczeństwie.

-O, mój Boże!

Na tym jęku rozpaczy rozmowa się skończyła.

-To nieładnie - śmiała się sekretarka. - Jak nążna tak postępować!

Citto podziękował jej i poszedł na Circumvallazione, żeby poszukać swojego samochodu. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich pięciu dni nie zauważyć że jadą za nim dwa policyjne wozy.

W pół godziny później, na przystanku autobusowym w Acireale, spotkał się z Renzem. W czasie sjeisty to rojne miasteczko ziało pustką. Dwaj młodzi ludzie zasiedli przy kamiennym stoliku na wyludnionym placu. Citto zamiast obiadu zamówił sobie słynne i rzeczywiście wspaniałe lody Costarelliego, a Renzo nerwowo popijał kawę i koniak i opowiadał, co mu zlecił Tomacchio.

- Ile ci za to dał?
- Dwieście tysięcy.
- Dużo nie zwojujesz, jeżeli masz dawać łapówki.
- Nie mam zamiaru nikogo przekupywać - oświadczył Renzo. – Jeżeli nie otrzymam informacji, znajdę inne sposoby, żeby zmusić ludzi do mówienia.
- Nie możesz walczyć z gangsterami ich własną bronią. Oni cię zabiją.
- Nie mam nawet rewolweru.
- Więc chcesz się z nimi bić na gołe pięści? I jeszcze będziesz żądał, żeby stosowali się do przepisów ringu!

Renzo roześmiał się.

§| A ty? Jak dałeś sobie stłuc okulary?

Citto dotknął pociętego policzka.

- To, przyjacielu, są ślady po śrucie ze strzelby Capo.

Renzo wciąż się uśmiechał.

- A mówiłem ci, że nietęgi z niego strzelec.
- Czyli wiedziałeś, że to był on?
- Być może.
- A jednak bierzesz od niego pieniądze za znalezienie córki?
- Mam swoje powody.

Citto wstał.

- W takim razie czas zacząć zarabiać na te pieniądze.
- Zdawało mi się, że umówiłeś się na piątą?
- Czy chcesz, żebym jej dał czas na przygotowanie zasadzki?

Citto zapłacił rachunek. Ruszyli pod górę małą uliczką, obudowaną osiemnastowiecznymi pałacami. Było to miasto pałaców zamieszkałych przez zubożałych arystokratów. Żyli z dzierżawienia chłopom swoich ziem i nie umieli pogodzić się ze zmierzchem feudalnej gospodarki.

Kuzynowie żony adwokata mieszkali w jednym z większych pałaców pod samym szczytem wzgórza. Wielki podwórzec zamknięty był bramą tak szeroką, że można by było przejechać przez nią dwoma czołgami. Część mieszkalna mieściła się na pierwszym piętrze. Na szerokich schodach czekała na nich służąca. Do mikrofonu przy bramie Citto powiedział tylko jedno słowo: "policja".

- Nie ma nikogo w domu - powiedziała służąca.
- Wiem, że pani Consoli jest. Powiedz jej, że pół godziny temu mówiła przez telefon z dziewczyną, która zapowiedziała, że przyjdziemy tu z wiadomościami od jej isyna.

- A więc nie jesteście z policji?
- Nie, skarbie.

Zaproszono ich do wielkiego eleganckiego salonu. Wytarte dywany, stare gobeliny, popękane freski i sztywne meble, jednym słowem muzeum, a nie mieszkanie. Ani Citto, ani Renzo nie mieli odwagi usiąść. Stali więc na środku pokoju, przyglądając się gołym aniołkom na suficie.

Oczy pani Consoli wyglądały, jak gdyby wyszła z ciemnego pokoju. Na pewno modliła się w kaplicy ~ pomyślał Renzo. - Cały ten dom pachniał święconą wodą.

- Pańska siostra powiedziała, że będzie pan za półtorej godziny. - Pani Consoli patrzyła to na jednego, to na drugiego z nich, nie wiedząc, do którego powinna mówić.

- Im wcześniej porozmawiamy, tym lepiej - zaczął Renzo. - Tym wcześniej odnajdziemy pani syna.

Niepokój i lęk przeniósł się z oczu starszej pani na całą twarz.

t

- Co się z nim stało?

- Został porwany.

Zakryła ręką usta i opadła na fotel.

- Nie rozumiem. Myślałam, że to on kogoś porwał. Renzo skinął głową.

- Tak, on zabrał dziewczynę, ale potem ktoś inny i porwał jego.

Sekretarka byłaby zgorszona tym drugim kłamstwem, i ale odniosło ono skutek.

- Czy mój mąż o tym wie? < Teraz nadeszła kolej Citta.

- Pani na pewno wie, że mąż ma teraz zbyt wiele kłopotów, żeby zajmować się sprawami syna - powie- i dział, jękając się jak"zwykle.

- Nie wiem, kim panowie są. - Signora przypomniała] sobie głos z telefonu.

- Dziewczyna została porwana razem z pani synem. Nas interesuje tylko ona.

- A co będzie z moim synem?

- Jeżeli znajdziemy ją, to uwolnimy jednocześnie pani syna. Ale nam chodzi głównie o nią.

- Ale to przecież on porwał dziewczynę.

- Nas obchodzi życie tej dziewczyny, a nie jej dziewictwo.

Signora pokiwała głową.

- Nie rozumiem, czego wy ode mnie chcecie.

- Myślimy, że pani może wiedzieć, dokąd Flavio z nią pojechał.

- Ależ skąd! Nikt mi nigdy nic nie mówi.

- Czy dzisiaj prócz mojej siostry nikt do pani nie telefonował? - zapytał Citto.

- Nie wiem. Nic nie wiem. - Była wyraźnie zdezorientowana. - Wyjechaliśmy bardzo wcześnie. Mąż wysłał mnie tutaj. Sam pojechał na lotnisko.

- Pani syn odjechał wieczorem samochodem?

Przytaknęła.

- Marki "Dino"?

- Tak.

- To samochód, który rzuca się w oczy. Na pewno przesiadł się potem na inny.

- Poco?

- No, w dino policja znalazłaby go natychmiast. Musiał zdobyć inny wóz.

Pani Consoli wyraźnie coś zaświtało.

- Domyślam się, gdzie mógł znaleźć inny wóz. Mam kuzyna w Reggio Calabria. Jego żona ma kuzyna w Neapolu, który handluje sportowymi samochodami. To właśnie od niego kupiliśmy dino z dużą zniżką. Jeżeli Flavio potrzebował innego samochodu, to na pewno tam pojechał.

- Jak się nazywa ten człowiek?

- Nie pamiętam jego nazwiska, ale firma nazywa się Highway. Taka była nalepka na samochodzie.

Citto poprosił ją, żeby napisała słowo "Highway" na kawałku papieru.

Żona adwokata zaczęła zastanawiać się nad dalszymi możliwościami i usiłowała przypomnieć sobie innych członków kalabryjskiej gałęzi swojej rodziny. W Szwajcarii mieszkał jeden z kuzynów. Uczył czegoś w jakiejś szkole.

- Gdybym go musiała gdzieś wysłać - powiedziała - to chyba tam.

W kilka minut później Citto i Renzo wyszli z pałacu z listą imion i nazwisk, ale bez dokładnych adresów.

- Nieźle jak na początek oświadczył Citto. - Jeżeli szczęście dopisze, powinno nam to wystarczyć.

Pani Consoli przyglądała się im z okna na pierwszym piętrze i myślała, że chyba popełniła błąd. Jeżeli są przyjaciółmi dziewczyny, to są jednocześnie wrogami Flavia. Ale cóż miała zrobić, skoro jej syn znajdował się w niebezpieczeństwie? Może go przynajmniej odnajdą. Ten jąkała miał rację. Ojciec nic nie robi, żeby pomóc chłopcu. Poprzedniej nocy, kiedy dino odjeżdżało, telefonował do Rzymu.

- Wysłałem go -" usłyszała jego głos. - Pojedzie do kraju, z którego nie grozi mu ekstradycja i będzie mógł wziąć wszystko na siebie. Zrobi się duży szum w prasie i nikt nie będzie szukał innych winowajców.

Odeszła od okna, powróciła do zaciemnionego pokoju i znowu oddała się modlitwie.

Miasto budziło się do życia. Gasły latarnie, ulice ożyły, zaczęły się rozchodzić zapachy kawy i cygar, a na placu pojawiły się grupki ludzi. Citto i Renzo schodzili krętymi uliczkami do miejsca, w którym stał ich samochód. Renzo milczał, a Citto wciąż powtarzał, zacinając się jak zepsuta płyta gramofonowa:

- Wiesz., Nie musisz ze mną jechać ...
- Ty chyba masz pietra - odpowiedział wreszcie Renzo.

Citto zamilkł. Myślał o Sharliem i.o pękniętym zakrwawionym hełmie.

Citto poprowadził samochód z powrotem do miasta. Samolot linii ATI odlatywał do Neapolu o wpół do siódmej i młodzi ludzie zajechali na lotnisko Fontanaros- sa o pół godziny wcześniej. Kupili bilet i tak pierwsze dwadzieścia tysięcy lirów z pieniędzy Tomacchia zostało wydane.

Citto kupił gazety. Wieczorne wydanie miejscowe i rzymskie popołudniówki. Jeden z tytułów brzmiał: "Nasza hańba narodowa", a na fotografii widniała znana już sylwetka na wpół spalonego szkieletu "Tanga No- vember".

- Boję się, że zrobię .w portki - mruknął Renzo, kiedy Citto odprowadzał go do samolotu. - To będzie mój pierwszy lot w życiu.

Od wtorkowego wieczoru, kiedy to Citto zjawił się w Wenecji na Calle del Paradiso w mieszkaniu Preussa, inżynier znajdował się pod obserwacją. Gdyby ktoś mu o tym powiedział, roześmiałyby się niewątpliwie. Ale w głębi duszy nurtował go strach. Był autorem kontrowersyjnego i usuniętego z akt projektu sprawozdania rozdziału. Jego podpis wymazano, ale mimo to - jak powiedział ten sycylijski dziennikarz - można było znaleźć jego nazwisko w innych dokumentach. Gdybym był na ich miejscu - kimkolwiek "oni" są - próbowałbym siebie usunąć, podobnie jak wszystkie kopie mojej ekspertyzy. Taormina-Peloritana było dużą instytucją o ogromnym budżecie. Niewątpliwie poszły tam duże łapówki, i to dla ludzi na najwyższych szczeblach. Kiedy chodzi o takich dygnitarzy, życie jednego mało znanego naukowca, na dodatek kawalera, nie ma większej wartości.

Takie myśli chodziły mu po głowie od wizyty Citta, gasząc zapał do poświęcenia się dla ogółu i bohaterstwa. Ale kiedy w czwartek usłyszał dziennik radiowy, nabrał animuszu. Skandal był teraz publiczny. Nikt go już nie odważy się ruszyć. Uderzenie w niego byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Poszedł więc niemal radosnym krokiem do biura pod- Vózy i kupił bilet kolejowy na południe. A kiedy Citto do niego wieczorem zatelefonował, Preuss powiedział mu z dumą:

- W porządku, chłopcze. Za chwilę wyjeździem.

Citto był zmęczony, głodny, brudny i nie ogolony. Przebywał poza domem od czterech dni. Miał na sobie brudną koszulę, ubranie sztywne od potu i zabłocone po wczorajszych przygodach. Przemykał się przez gąszcz samochodów i zastanawiał się jak zwykle, jak to się dzieje, że tylu ludzi stać na te wielkie kosztowne wozy. Był zbyt pochłonięty własnymi myślami, żeby zwrócić uwagę na dwa niebiesko-czerwone radiowozy, które jechały za nim na zmianę.

W redakcji zastał wiadomość od Laury, że pogrzeb Sharliego odbędzie się w sobotę i że rodzina prosi go

o przybycie. Citto zastanawiał się, czy matka chłopca czytała w ostatnich kilku dniach gazety i czy coś wyczytała pomiędzy wierszami. Ogłoszenie wyników wstępnego śledztwa w sprawie motocyklowego wypadku zostało odroczone i Citto był prawie pewien, że nigdy nie zostanie ogłoszone. Zatkanie pompy olejowej to tylko połowa prawdy. Policja sugerowała już, że zostało ono wywołane wielomiesięcznym nagromadzeniem brudu, a może po prostu niedbalstwem młodych kierowców.

Czy należało wzbudzić wątpliwości w umyśle matki Sharliego? Po co ma do końca życia podejrzewać, że ktoś zabił jej syna? Citto pamiętał dobrze smutne twarze ludzi, których najbliżsi zginęli w katastrofie "Tanga November".

Citto uniósł ręce do nieba błagalnym gestem.

"Nie ma Boga" - powiedziała matka Citta do księdza, kiedy ciało jej męża zostało znalezione na wzgórzu, a całe stado owiec zniknęło. Citto miał wtedy dziewięć lat, a jego ojciec trzydzieści pięć. Lekarze orzekli, że umarł na atak serca, ale Citto wiedział, że przyczyną śmierci ojca były bieda, niepokój i strach przed przyszłością.

Znalazł się wreszcie w pobliżu domu, zaparkował wóz

1 dalej poszedł piechotą. Mieszkał na tak wąskiej uliczce, że postawienie samochodu było wykluczone. W chwili, kiedy zniknął za rogiem, dwa radiowozy stanęły po obu stronach jego giulii.

Kiedy otworzył drzwi od ulicy, z podziemia wyłoniła się dozorczyńni, niosąc ze sobą zapachy przypalonej oliwy. Podała mu paczkę rachunków i gazet.

- Pańska sprzątaczką była już dwa razy i nie mogła się dostać do mieszkania - narzekała. -Przyjdzie jutro. Mam nadzieję, że pan będzie w domu.

Sprzątaczką Citta przychodziła do niego dwa razy w tygodniu, z rana, zanim wychodził do pracy. Czy mógł teraz wiedzieć, o której wyjdzie jutro z domu? Zdjął zapasowy klucz z kółka i podał go dozorczyńni.

- Zastanawialiśmy się, czym pan się trudni - powiedziała patrząc na jego pomięte i brudne ubranie, ślady zadrapań na twarzy i pęknięte okulary.

- Ciężką pracą - odparł, wyraził nadzieję, że będzie miała dobrą noc i odszedł wiedząc, że nie zaspokoił jej ciekawości. Przeczyta wszystko w jutrzejszej gazecie - pomyślał - w artykule podpisanym moim nazwiskiem. Będzie ją obnosić przez cały dzień, pokazywać znajomym i chwalić się, że jestem jednym z jej lokatorów..

Wchodząc na górę wdychał najrozmaitsze smakowite kuchenne zapachy, ale nie pobudziło to jego apetytu. Nie cieszył się na myśl o pustym mieszkaniu i bał się, że nie zdoła odpędzić złych myśli. Trudno było pogodzić się z tym, że Sharlie nie żyje już od trzydziestu godzin.

Zatrzymał się przed swoim mieszkaniem. Zawsze stosował pewien prosty i skuteczny zabieg ostrożności: wsuwał mały prostokącik tektury w górną szparę drzwi. Był włożony w taki sposób, że przy otwieraniu drzwi musiał zaczepić, o framugę i przekręcić się. Teraz był przekręcony. Ktoś musiał wejść do mieszkania Citta pod jego nieobecność. A może zapomniał wsunąć kartonik w drzwi? Nie, na pewno nie. Ktoś tu był i szperał w jego papierach. A może ten człowiek jeszcze nie wyszedł i obserwował Citta przez wziernik w drzwiach?

Citto długo gapił się na swoje drzwi, wreszcie odwrócił się i zszedł powoli na dół. Zatrzymał się na chwilę w sieni, zanim otworzył drzwi na ulicę. Dozorczyni wróciła już do gotowania obiadu. Z góry nie dochodził żaden dźwięk. Tchórz! - szepnął Citto do samego siebie. Nawet własny

samochód nagle zaczął mu się wydawać niebezpieczny. Stara giulia zaparkowana była niezgodnie z przepisami, ale nie ruszył jej, przeszedł na drugą stronę ulicy, a następnie skierował się do centrum miasta. Ta parszywa strzelanina ostatniej nocy tak mnie zdenerwowała - pomyślał. Albo widok pokrwawionego i połamanego hełmu Sharliego.

Podjechał taksówką do biura i powiedział redaktorowi, że zepsuł mu się samochód. Nie chciał, żeby ludzie uznali go za takiego wariata, za jakiego sam siebie uważał. Poprosił o klucze od jednego z samochodów, redakcyjnych i mszył do Taorminy, żeby zobaczyć się z Macem i Larrym Railem.

Ostatniej nocy, kiedy wracali piechotą z opuszczonej wioski, nazwali siebie "trzema muszkietierami". Dwaj Anglosaą gadali przez pół drogi i spekulowali na temat katastrofy "Tanga November", a przez drugie pół śpiewali sprośne piosenki i klęli na samochody, które nie chciały się zatrzymać mimo że dziko machali rękami. Nie mam pretensji do tych samochodów - myślał Citto - sam nie zatrzymałbym się za nic na pustej drodze w środku nocy, by zabrać trzech podejrzanie wyglądających mężczyzn. Kilka razy myślał, że uśnie w chodzie, potem znowu snuły mu się przed oczami strachy z dzieciennych lat - stary pastuch, który chodził za nim w górach i straszył, profesor z uniwersyteckich czasów podobny do Preussa. Czasami majaczyła mu przed oczami twarz Sharliego. Widział go takiego, jakim pamiętał z czasów, kiedy Sharlie wałęsał się w łachmanach po dzielnicy portowej. Był wtedy zawsze uśmiechniętym, pełnym życia spryciarzem. Sharlie, jego uczeń, a często jedyny przyjaciel. Biedny Sharlie, biedna jego matka, biedna Nonna Lisa. Biedny cały ten świat, pełen umarłych albo umierających. Po namyśle Citto zrezygnował z jazdy do Taorminy.

O czym będzie rozmawiał z Anglikiem i Amerykaninem? Skręcił wąską obramowaną murami drogą do rybackiej wioski i wjechał na zatłoczony plac przy porcie - pełen skuterów i furgonetek. Był tam ten sam sprzedawca materaców ze swoim ryczącym głośnikiem i taką samą ilością towaru co tego dnia, kiedy Sharlie fundował dzieciom lody, a dorosłym whisky w barze. To były moje pieniądze - wspomniał Citto i ostatnie trzydzieści lirów, które Sharlie wydał w życiu ...

Na tarasie Nonny Lisy paliło się światło. Stara na pewno siedzi tam z Laurą i bratem Laury. Citto ich nie widział, ale nie miał odwagi im się pokazać. Skręcił na boczna drogę i wyjechał z wioski. Zatrzymał się raz po drodze, żeby w portowym barze kupić butelkę wina. Przejechał potem około kilometra wiejską drogą, zaparkował wóz na poboczu, zamknął drzwiczki od środka, przelazł na tylne siedzenie i ułożył się na noc. Butelkę położył w zasięgu dłoni.

8

Na skutek informacji podanej na pewien zastrzeżony numer telefonu w Neapolu dwaj mężczyźni czekali na lotnisku Campodichino na samolot ATI, przylatujący wieczorem z Katanii do Neapolu. Mieli dość pobieżny rysopis Renza, a ponieważ pasowało do niego dwóch pasażerów samolotu, więc podzielili się, żeby obstarwić obydwu tych ludzi. Jeden z obserwatorów pojechał samochodem, drugi motocyklem.

Renzo, po raz pierwszy w życiu zdobył się na luksus jazdy taksówką. Adres firmy "Highway" znalazł w książce telefonicznej i chciał zdążyć tam jeszcze przed zamknięciem. Taksówka wlokła się przez zatłoczone miasto i w pewnym momencie Renzo zdał sobie sprawę,

że ciągnie się za nią nieustanny warkot motocykla. Zastanawiał się, dlaczego ten motor ich nie wyprzedza, tak jak wszystkie inne. Po dłuższym nasłuchiowaniu zrozumiał, że motocykl dlatego tak uparcie trzyma się za taksówką, że jego kierowca ich śledzi. Kiedy w tunelu utworzył się gęsty korek samochodów, Renzo zapłacił taksówkarzowi, wysiadł, wrócił do wjazdu do tunelu i zniknął w ciemnościach. Jego prześladowca gorączkowo usiłował wyprowadzić swoją maszynę z zatłoczonego tunelu. Renzo zatrzymał inną taksówkę, a kiedy dojechali do celu, zapłacił taksówkarzowi z góry i kazał mu czekać na najbliższym rogu.

Firma "Highway", luksusowy salon luksusowych samochodów, była jeszcze otwarta. W jaskrawych światłach kolorowych lamp połyskiwały ferrari, porche i jaguary. Ich koła tonęły w grubych dywanach. Kierownik spojrzał na Renza przez szybę oddzielającą jego biuro od salonu. Gówniarz - zdecydował, głównie ze względu na krój ubrania chłopaka. Tacy zwykle zjawiają się wieczorem w drodze z pracy do domu i przyglądają się tęsknym wzrokiem obiektom swoich beznadziejnych¹ marzeń. Można ich tolerować, jeżeli są przynajmniej czysti, a nawet czasem pozwolić usiąść w fotelu kierowcy. Tyle że w końcu trzeba ich zawsze wypraszać za drzwi. Nie warto tracić dla nich ani czasu ani ilustrowanych katalogów.

. - Czym mogę panu służyć?

Renzo rozejrzał się. Bezosobowy głos .wychodził z którejś ściany. Renzo zaczął huśtać jeden z samochodów, jak gdyby chciał wypróbować solidność jego zawieszenia i uderzył mocno ręką w dach. Był to nowy jaguar XJS. Otworzył drzwiczki i usiadł w środku.

Będzie awantura - pomyślał kierownik - to jakiś włóczęga, który za dużo wypił. Chociaż nigdy nie można być niczego pewnym. Kiedyś wyrzucił ze sklepu obdartusa w dżinsach, który poszedł trzydzieści metrów dalej, do konkurencji, i wydał tam dziesięć milionów lirów na mercedesa.

| - Chciałbym się zorientować w pańskich cenach.

Ten idiota zostawił klucze w stacyjce - pomyślał Renzo. Wysiadł i stanął na dywanie.

- Interesuje mnie używane dino - powiedział do ściany. - Ma pan coś takiego? i Nie prowadzę samochodów poniżej siedmiu milionów, drogi panie.

Renzo doszedł do wniosku, że głos płynie zza lustro, znajdującego się za jego plecami. Obrócił się w kierunku widocznych tam drzwi i zawołał:

i Myślęo używanych dino w jaskrawych kolorach. Na przykład zielono-pomarańczowym.

Kierownik firmy miał na biurku trzy guziki alarmowe. Jeden, który zamykał drzwi od ulicy, drugi zamykający przejście do salonu, a trzeci alarmujący najbliższy posterunek policji. Zamknął drzwi wejściowe od ulicy, ale na razie nie naciskał alarmowego dzwonka. Akurat ostatniej nocy przyjął zielono-pomarańczowe dino w zamian za starego porsche. Była to poufna transakcja, oparta na powiązaniach rodzinnych. Powiedziano mu, żeby ukrył ten. samochód na kilka tygodni. Nie wiedział, o co idzie, ale w każdym razie nie chciał mieć kłopotów z policją.

Młody człowiek spróbował otworzyć drzwi wiodące z salonu do biura, ale były zamknięte. Poszedł w kierunku samochodów.

- Jeżeli pan przyjdzie jutro rano, to pracownik opiekujący się używanymi samochodami zajmie się panem.

Renzo, spokojnie i cicho, powiedział do lustra:

I Używane dino, zielono-pomarańczowe z rejestracją Katanii. Jestem pewien, że jest u pana.

- Proszę pana, proszę wyjść. Zamykamy . Może wrócić pan jutro rano.

Kierownik siedział z ręką na słuchawce, zastanawiając się nad tym, do kogo, u licha, telefonować po pomoc. ' Jaguar tymczasem ruszył naprzód, pełznąć powoli, w stronę jednostronnego lustra, wartości pół miliona lirów. Kierownik zamknął oczy. Ale zamiast trzasku szkła i zgrzytu stali usłyszał znowu głos młodzieńca.

5 Co pan zrobił? Pożyczył mu pan nowy wóz?

Robi się przysługę rodzinie - myślał kierownik - i ma się z tego tylko kłopoty. Jaguar zaczął się cofać.

- Zaczynij gadać, bo robi się późno!

Zapadło milczenie. Do diabła – pomyślał kierownik. - Przecież nie popełniłem żadnego przestępstwa. Właściwie nie ma powodu, żebym nie powiedział temu facetowi wszystkiego, co wiem. Tylko'że jak rodzina się dowie...

W salonie warknął znowu silnik. Przednie koła jaguara były już na posadzce, tylne kręciły się jeszcze po dywanie, a cały wóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i ustawił frontem do lustrzanej ściany i drzwi.

- Radzę ci, żebyś zaczął gadać, bo rozwalę cały salon.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Chcę wiedzieć, jaki mu dałeś wóz. Jakie papiery? Numer rejestracyjny?

Wszystko, rozumiesz!

Jaguar posunął się znowu w stronę lustra i drzwi. Szklana tafła pękła z trzaskiem, a wóz uderzył w biurko, które przycisnęło kielkownika wraz z fotelem do przeciwległej ściany.

Po raz pierwszy mężczyźni znaleźli się naprzeciwko siebie, twarzą w twarz. Cały pokój został zasypany szkłem, a maska jaguara była pocięta. Renzo nie ruszał się zza kierownicy.

- Kto tu był? Gadaj!

Kierownik był tak osłupiały, że nie mógł z siebie wydobyć głosu. Renzo nacisnął na akcelerator i zwolnił hamulec. Nacierał powoli na biurko i przyciskał kierownika coraz mocniej do ściany. Fotel zaczął trzeszczeć.

w

_ On tu był?

Kierownik potrząsnął głową. Był blady, głos mu się łamał.

- Spotkaliśmy się za miastem.

- Kto zorganizował tę sprawę?

_ Telefonował jego ojciec.

- Czy była z nimi dziewczyna?

Kierownik skinął głową.

- Czy mówiła coś?

- Spała. Pomagałem mu ją przenieść.

- Dokąd?

- Do innego samochodu.

- A ona nie obudziła się?

- Nie.

Chodzi więc o dziewczynę - pomyślał - dlatego ta cała chryja. To na pewno porwanie!

- Jaki mu dałeś samochód?

- Porsche carrera.

- Jakiego koloru?

- Białego.

- Numer rejestracyjny?

- Nie wiem. Musiałbym popatrzeć.

- To popatrz.

Renzo cofnął samochód. Kierownik przewrócił się razem z fotelem na podłogę, podniósł się i podszedł do szafki z aktami. Pierwszy raz od zjawienia się młodzieńca poruszył nogami. Poczuł, że spodnie i koszulę ma mokre od potu, a kolana obtłuczone brzegiem biurka.

- Co jeszcze mówił jego ojciec, kiedy zatelefonował do ciebie?
- Kazał napełnić zbiornik benzyną i załatwić papiery na wyjazd za granicę. Ubezpieczenie i wszystkie formalności.

- Na jaki kraj?
- Na Szwajcarię.

Kierownik znalazł numer rejestracyjny w aktach i odczytał go na głos.

- Do jakiego miasta pojechali?
- Tego nie wiem. - Kierownik poczuł, że zalewa go nowa fala strachu i wcisnął się w kąt koło szafy. - Naprawdę nie wiem.
- Czy masz krewnych w Szwajcarii?

Po chwili zastanowienia kierownik odpowiedział:

- Tak. Jest to nauczyciel w małej wiosce. W Ticino - podał nazwę wioski.
- Dokładny adres?
- Nie znam adresu. Przysięgam na Boga, że nie znam.

Renzo wysiadł z jaguara.

- Gdybyś był mądrzejszy, nie musiałbym ci rozbijać ' ściany.

Ściana - pomyślał kierownik - to nic w porównaniu z wartością jaguara. Dwadzieścia milionów lirów! Cały przód pogięty!

Za rogiem czekała na Renza taksówka. W czterdzieści minut później był już na lotnisku i pytał o nocny lot do Mediolanu.

9

O dziesiątej wieczorem Preuss wyszedł z domu. Niósł niewielką walizkę. Miał na sobie eleganckie, ciemne, ale lekkie ubranie. Myślał o tym, że będzie niebawem występował publicznie, i to nie tylko wobec dziennikarzy i fotografów, ale także przed kamerami telewizji. Jako człowiek przesądny pogłaskał przed wyjściem drzwi mieszkania dwoma palcami, jak to zwykle' czynił, kiedy wybierał się podczas weekendu na wspinaczkę w góry.

Szedł na dworzec wąskimi, pustymi uliczkami, przecinającymi jeszcze węższe i ciemniejsze kanały. Beztroska wesołość, którą cieszył się po południu, minęła, ustępując miejsca uczuciu ostrożności. Przez chwilę zdawało mu się nawet, że ktoś go śledzi. Słyszał za sobą króla na chodniku, widział cienie na murach, a na skrzyżowaniach ulic i kanałów dostrzegał tajemnicze postacie. Ale po chwili poweselał. Przyglądał się bacznie przechodniom, wydawali się jednak zupełnie normalni, nie widać było karłów ze sztyletami w ręku ani skulonych olbrzymów w deszczowych płaszczach. Niektóre twarze wydały mu się nawet znajome. Toteż kiedy wyszedł wreszcie z plątaniny uliczek na brzeg szerokiego kanału przed dworcem, zaczął się wstydić swojego tchórzostwa.

Pociąg spóźniał się. Peron był wypełniony gromadą studentów, którzy nie zmieścili się w wagonach, czekających na podłączenie do pociągu z Triestu. Preuss przygotował się wewnętrznie na niewygodną noc. Wszystkie łóżka i kuszetki były od dawna wykupione.

Zdarzył się jednak szczęśliwy traf, który mógł przedłużyć mu życie. Kiedy pociąg nadjechał, z wagonu sypialnego wysiadł znajomy Preussa z uniwersytetu, historyk sztuki, który powracał po miesięcznym pobycie naukowym w Moskwie.

Wymienili pozdrowienia i Preuss powiedział mu, że jedzie na południe.

- Przesiadę się w Rzymie, ale nie wiem, czy nadrobimy czas. Pociąg jest bardzo opóźniony.

- Opóźniony? - zawołał historyk sztuki. - Mieliśmy być w Wenecji półtora dnia temu. Staliśmy osiemnaście godzin w Cop! Czy pan ma zarezerwowane miejsce, inżynierze?

- Niestety, nie.

- Poradzę coś panu. Zaprzyjaźniłem się w drodze z rosyjskim przewodnikiem wagonu, jedziemy razem od czterech dni. Na pewno zgodzi się, żeby pan zajął moje miejsce. Będzie pan miał dla siebie cały przedział aż do samego Rzymu.

Po krótkiej rozmowie z przewodnikiem Preuss został ulokowany w komfortowym przedziale.

Po godzinie jazdy spędzonej na lekturze Preuss wyszedł na korytarz. Rosyjski konduktor spał już w swoim przedziale, wagon wydawał się pusty, a w długim korytarzu, wyłożonym miękkim dywanem, nie słychać było nawet hałasu pociągu.

Pachniało mieszaniną dymu i kwaszonej kapusty. Preuss zastanawiał się, kto też śpi za zamkniętymi drzwiami przedziałów. Szpieczy? Dyplomaci? Najprawdopodobniej sprzedawcy traktorów.

Wszedł do toalety znajdującej się na końcu wagonu. Nawet tam huk pędzącego pociągu zagłuszony był przez silny wentylator wydmuchujący gorące powietrze, obliczony prawdopodobnie na ostrą, rosyjską zimę. To zabawne - myślał Preuss - myję ręce rosyjskim mydłem i wycieram rosyjskim ręcznikiem i to w podróży z Wenecji do Rzymu.

W pewnej chwili usłyszał wyraźniej huk pociągu, tak jakby ktoś otworzył na chwilę okno albo drzwi. Wszedł na korytarz.

Zanim zdążył zobaczyć dwóch ludzi, poczuł silne uderzenie w brzuch. Wciągnięto go do sąsiedniego wagonu, wykręcono mu ręce w tył i przeszukiwano kieszenie. Preuss skręcał się z bólu. Widział, że drzwi wagonu są otwarte. Uderzał go w twarz silny podmuch wiatru, ogłuszał go hałas. Zastanawiał się, dlaczego nawet nie próbuje się bronić. Chyba dlatego - próbował dedukować - że liczę na to, iż nie są szaleńcami i nie zrobią mi nic złego. Cito rozpoznałby ten lekko kpiący uśmiech.

Kiedy Preuss spróbował się wyprostować, dostał silnego kopniaka w 'plecy. Wyleciał głową naprzód przez otwarte drzwi. Przez głowę przebiegły mu jeszcze tylko dwie myśli; żal, że nie wysłał kopii swojego raportu do

O Shift

tego dziennikarza z Sycylii, i nadzieja, że jego ciało przeleci przez wiadukt, wpadnie do Padu i spłynie do morza, które nieustannie podmywa i niszczy jego ukochane miasto.

Ale runął na ziemię z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jego ciało zostało natychmiast zmiażdżone i wpadło jak worek w zarośla odpływowego rowu, ciągnącego się wzdłuż toru kolejowego.

10

Zamordowanie Preussa było bardzo źle zaplanowane, dokonane w niewłaściwym czasie i okazało się strategicznym błędem. Ta śmierć nie mogła uchodzić za "wypadek". Nie wierzono, że człowiek może wypaść z okna pociągu bez niczyjego udziału.

Adwokat Consoli był realistą. Do tej chwili zatuszowanie sprawy było jeszcze możliwe. Ale ktoś widać stracił nerwy - jakiś członek konsorcjum czy silnie zaangażowany urzędnik albo polityk. Teraz nie można się było już łudzić, że skandal po prostu rozejdzie się po kościach, jak wiele innych, w plątaniu włoskiego życia politycznego. „Tango November” był zagranicznym samolotem, w którym zginęli cudzoziemcy. Śledztwem interesowali się anglosascy dziennikarze, prowadziły je anglosaskie komisje i anglosaskie towarzystwa ubezpieczeniowe. Należało liczyć się z zagraniczną opinią. Wśród osób współwinnych wielu z pewnością zasłonił się

immunitetem, wynikającym z urzędu lub odpowiednich znajomości, ale nikt nie zechce się narazić, osłaniając prowincjonalnego adwokata z Katanii. Może jednak ktoś pomoże wysłać za granicę dobrowolnego kozła ofiarnego.

Flavio i Giuseppina spali na różnych piętrach starego domu wiejskiego, który odnajdł im daleki kuzyn Flavia, nauczyciel z małej szwajcarskiej wioski. Flavio leżał w saloniku. Był zły na dziewczynę, ale miał nadzieję, że czas zagra na jego korzyść. Giuseppina udawała aż do wieczora, że środek nasenny wciąż działa, a kiedy Flavio zjawił się w jej pokoju, żeby zdyskontować trudy dokonanego porwania, spojrzała na jego nagie ciało zaspanymi oczami i mruknęła: - Mój Boże, co za chuchro!

Ta obelga ostudziła do tego stopnia zapalę Flavia, że wykorzystując jej senność, wycofał się. Był upokorzony i zły i nalał sobie szklanek whisky z barku kuzyna. Giuseppina zorientowała się, że wiejski dom otoczony jest drzewami i stoi tuż nad rozległą doliną. Jeszcze za dnia zobaczyła na dole sporą wioskę, dalej pasmo wysokich gór, a niżej tarasy Winnic. Pomyślała sobie, że jest zapewne w północnych Włoszech. Ale była- zupełnie bezradna, gdyż zabrano jej odzież, a drzwi pokoju zamknięto na klucz. Nie było więc mowy o ucieczce; gdyby spróbowała krzyknąć, i tak nikt by jej nie usłyszał. O dalekim kuzynie nawet nie wiedziała. ■ Przez większą część nocy Giuseppina leżała i zastanawiała się nad swoimi uczuciami do Flavia i jego tłustej twarzy. Był nudny, głupi i prostacki. To prawda, że bogaty, ale ona też nie biedna i wcale nie podobała jej się perspektywa spędzenia reszty życia w jego towarzystwie, nawet gdyby miała sobie brać kochanków. Jej doświadczenia w tej dziedzinie były żadne. Raz w czasie libacji na pikniku wujek usiłował ją zgwałcić, wiejskie chłopaki obcałowowały i obmacywały ją od czasu do czasu, a nauczyciel próbował pozbawić dziewictwa. Ale tylko twardym i spracowanym rękoma Renza pozwalała obejmować się bez sprzeciwu. Kim jednak był Renzo? Zwykłym uczciwym mechanikiem, który nie brał łapówek ani nie żądał premii za pracę. Tylko dlatego ojciec go zatrudnił. Poznała go jeszcze w szkole, a kiedy wracali autobusem z Acireals do wioski, trzymali się zawsze za ręce, jak para sztubaków. Renzo opuścił szkołę o rok wcześniej niż inni i nikt nie wiedział dlaczego. Podobno pokłócił się z jednym z nauczycieli, a jego poglądy polityczne nie były dobrze widziane.

Giuseppina usłyszała stukot pędzącego w dolinie pociągu. Pociągi ciągnęły dzień i nocą, a anonsujący je dzwonek na przejeździe kolejowym i stacji brzmiał zupełnie jak dzwonki w czasie mszy. Zasnęła, ukojona tymi dźwiękami, i kiedy w oknie zaczęły rysować się sylwetki gór, Giuseppina spała. Nie udało jej się powziąć żadnej decyzji.

W tym samym mniej więcej czasie Renzo - chłopak o twardych i spracowanych dłoniach - wysiadał właśnie z rannego pociągu, którym przybył z Bellinzony do wioski odległej o półtora kilometra od domu, w którym spała dziewczyna. Zostawił walizki w przechowalni i ruszył piechotą. Starannie oglądał ulice i podwórka budzącej się wioski w poszukiwaniu porsche carrera z neapolitańskimi numerami.

Jeszcze jedna osoba zbliżała się do tej samej wioski z południa i z szybkością przekraczającą chwilami tysiąc dwieście kilometrów na godzinę. Adwokat Consoli siedział na tylnym siedzeniu prototypu odrzutowca MRCA jako "obserwator" próbnego lotu. Po niecałej godzinie od startu z lotniska Ciampino samolot wylądował w odległości czterdziestu kilometrów od szwajcarskiej granicy. Na lotnisku czekał na niego mercedes z kierowcą iochromiarzem. Około szóstej rano samochód wraz z trzema pasażerami przekroczył granicę pod Ponte Tresa.

Tylko dym buchający z kominów domów różnił budzącą się do życia wioskę szwajcarską od rodzinnej wioski Renza na południu Włoch. Chłopi zmierzali na pola i położone na wzgórzach pastwiska traktorami lub wozami. Urzędnicy w ciemnych

ubraniach jechali do miasta, a kiedy słońce wyjrzało zza gór, zapach świeżego chleba zaczął mile łechtać nozdrza.

Renzo nie znalazł białego porsche, toteż kiedy otworzono stację benzynową na skraju wioski, zapytał jej właściciela, czy nie widział takiego wozu poprzedniego dnia.

- Myśli pan, że ja mam czas na przyglądanie się samochodom - roześmiał się właściciel stacji. - Pracuję tu sam jeden. Benzyna, obsługa, reperacje - nie patrzę na marki przejeżdżających samochodów.

Bardziej rozmowny okazał się wiejski lekarz, który właśnie wymiatał liście ze ścieżek swojego ogródka. Renzo powiedział mu, że szuka przyjaciela, którego pogryzł pies i który mógł się do niego zwrócić o pomoc.

- Owszem - powiedział lekarz. - Zrobiłem zastrzyk turyście, który potem nocował na jednej z farm po tamtej stronie doliny.

Na stokach przeciwległych wzgórz widniało z pół tuzina farm. Wiodła tam droga przechodząca przez tory kolejowe i kilka pól. Renzo wybrał jednakże dłuższą trasę, wiodącą pod górę przez dobre półtora kilometra. Przecinała ona tory dość wysoko ponad wioską, w miejscu niewidocznym ani od strony samej wioski, ani żadnej z farm. Następnie przeszedł przez modrzewiowy las i wtedy zobaczył nagle na dole biały samochód, ukryty za budynkami gospodarczymi jednej z mniejszych farm.

Gdyby wiedział, jak mało pozostało mu czasu, na pewno postarałby się iść szybciej. Kiedy bowiem wreszcie wyszedł z lasu na puste podwórko posiadłości, kierowca mercedesa wiozącego adwokata mijał właśnie po łożoną w odległości półtora kilometra stację benzynową.

Na stole, w czystej i pustej kuchni wiejskiego domu, stała butelka mleka i dwie napoczęte paczki biszkoptów. Renzo znalazł młodego Consolego śpiącego pod kocem na podłodze. Ogień na kominku dawno wygasł, a pokój śmierdzał zimnymi cygarami i spirytusem. Obok leżały puste butelki i zwitki bandaży. Renzo uśmiechnął się. Stary Tomacchio miał rację - wilczur dostał swoją porcję mięsa.

Na podłodze stały dwie walizki, a na krześle leżały różne części kobiecej garderoby, zapewne należące do Giuseppiny. Ale samej dziewczyny nie było. Renzo wspiął się po trzeszczących, drewnianych schodach i stanął przed zamkniętymi drzwiami z kluczem sterczącym w zamku. Kiedy je otworzył, zobaczył śpiącą pod kołdrą dziewczynę z rozrzuconymi na poduszce włosami.

Renzo nachylił się nad nią, by ją obudzić pocałunkiem i w tej samej chwili zobaczył przez niskie okno duży samochód pędzący drogą w dolinie w kierunku farmy. Wyglądał zbyt czysto i okazał się jak na miejscowy pojazd. Renzo zostawił uśpioną dziewczynę w łóżku, pobiegł w dół, wypadł z domu i przebiegł zabudowania gospodarskie w poszukiwaniu broni. Mercedes był zaledwie czterdzieści metrów pod nimi, kiedy Renzo wbiegł z powrotem do domu, wrzasnął na Flavia i trącił go widłami. Młody Console, wyrwany z głębokiego snu, oszołomiony jeszcze wypitą whisky i skutkami zastrzyku, nie sprzeciwiał się. Popychany widłami poszedł na górę do pokoju Giuseppiny. Renzo zabarykadował drzwi.

- Zejdźcie na dół, kochankowie! - zawołał z dołu adwokat. - Czas jechać dalej!

Console nie spodziewał się już żadnych trudności. Ochroniarz - przyjaciel przyjaciela - został zabrany tylko na wypadek, gdyby dziewczyna stawiała większy opór. Ale wkrótce zorientował się, że Flavio jest więcej niż zdecydowanego na wszystko i uzbrojonego w widły młodzieńca. Przez chwilę miał ochotę pozostawić swego nierozgarniętego syna jego losowi, ale wiedział przecie, że ma on jeszcze jedną rolę do spełnienia. Czas nagiął, trzeba było podjąć w banku zurychskim pieniądze, wsiąść do samolotu, polecieć do Lizbony. Flavio powinien "zniknąć" pozostawiając za sobą wyraźny ślad. Biedak jeszcze o tym nie wiedział, ale do jego licznych przestępstw miało się także dołączyć zdefraudowanie

funduszków będących własnością lotniska. Sam Consoli przygotował dla siebie rolę zrozpaczonego i wzburzonego ojca.

Poprzez zamknięte drzwi zaczęto prowadzić negocjacje. Adwokat mówił, że nie ma przy sobie dużo pieniędzy, że może ofiarować tylko dziesięć tysięcy franków szwajcarskich. Trzeba będzie niestety zostawić dziewczynę myślał - i znaleźć jakiś sposób na uspokojenie Capo Tomacchia.

Renzo także nie był przygotowany na taką sytuację. - Zamierzał zawieźć Flavia do granicy i oddać go w ręce włoskiej policji. Tak się umówił z Citem. Ale nie mógł przecież wywieźć chłopca, gdyż Consoli czatował pod drzwiami. Toteż zgodził się wziąć pieniądze, nie dla siebie, ale dla dziewczyny, jako rekompensatę za porwaniem i poniesioną zniewagę.

Pieniądze zostały wsunięte do pokoju przez szparę pod drzwiami. Renzo pozwolił Flawiowi ześliznąć się po przymocowanej do framugi okna kołdrze na podwórze. Giuseppina wrzeszczała, bo po zabraniu kołdry została całkiem naga na łóżku. Ale Flavio zniknął zarówno z pokoju, jak z jej życia. Był wściekły z powodu porażki poniesionej poprzedniego wieczoru.

Kiedy znajdował się w połowie drogi na podwórze, kołdra przerwała się, chłopak runął na ziemię i powtórnie uszkodził sobie nogę. Trzeba było go zanieść do samocnodu ojca. Za kierownicą porsche zasiadł ochroniarz i już w kilka minut później Renzo zobaczył przez okno, jak obydwa wozy suną po szosie w kierunku przełęczy St. Gotthard i Zurychu.

Renzo został w pokoju z nagą i nie opierającą mu się wcale dziewczyną. Widły okazały się niepotrzebne do doprowadzenia do końca scenariusza porwania. Kiedy po pewnym czasie schodzili na dół na śniadanie, dziewczyna była już nieodwołalnie "zniewolona".

Po południu Renzo poszedł do wioski i zatelefonował do Capo Tomacchia, żeby go zawiadomić, że dziewczyna jest uratowana.

Świetnie, chłopcze! - zawołał Capo. - Ale nie wydawaj pieniędzy na żadne tam jazdy samolotem. Wracajcie do domu pociągiem.

- Może zjawimy się na Boże Narodzenie - odpowiedział Renzo. - Na razie zostajemy tutaj i bierzemy ślub.

Potem odwiesił słuchawkę. Nie miał ochoty na słuchanie ryków rozjuszonego ojca. Zakupił żywność na obiad, a potem poszedł na skraj wioski pogadać z właścicielem garażu. Kiedy powrócił do Giuseppiny, wiedział już, że znalazł sobie nie tylko żonę, ale i nową pracę.

Wybuch wściekłości Tomacchia był jego ostatnią swobodną wypowiedzią na wiele lat. Jeszcze tego samego dnia aresztowano go na żądanie prokuratora:

11

Sprzątaczką Citta wyszła tego ranka ze swojego mieszkania w starym porcie. Poszła do dozorczyńni opiekującej się dwoma blokami mieszkalnymi i wzięła od niej klucz od mieszkania Citta. Była godzina siódma rano.

W dwie minuty później nastąpił wybuch, który zniszczył całe drugie piętro. Sprzątaczką uratowała się cudem. Zasłoniła ją dębowa drzwi. Wnętrze mieszkania zostało całkowicie zniszczone przez wybuch i przez pożar, jaki po nim nastąpił.

Dozorczyńni zeznała policji, że poprzedniego wieczoru Citta był w domu. Opisała jego zachowanie jako "dziwne" i "tajemnicze".

• W pół godziny, później policja ruchu przystąpiła do usunięcia starej, sfatygowanej giulii, zaparkowanej nieprzepisowo na bocznej ulicy o kilkaset metrów od mieszkania Citta.

Przy pomocy fabrycznych kluczy otworzono drzwi, po czym zapalono motor. W chwili, kiedy koła zaczęły się obracać, nastąpił zapłon ładunku wybuchowego. Kierowca policyjny, znajdujący się wewnątrz wozu, został zabity, a pięciu gapiów stojących w pobliżu zabrano do szpitala z poważnymi obrażeniami.

Citto spał skulony na tylnym siedzeniu redakcyjnego" samochodu w cichym wiejskim zaułku. Obudziło go głośne stukanie w szyby, a kiedy wysiadł z wozu, został otoczony przez grupę policjantów, którzy przyjechali w dwóch dżipach.

Citto był brudny i nie ogolony, szło od niego silnym zapachem wina. Chwiał się lekko na nogach. Policja potraktowała go jak niebezpiecznego fanatyka. Ogłoszono, że znaleziono go w "podejrzanych okolicznościach"« i zatrzymano w śledztwie. W trakcie zeznań uznano, że cierpi na manię prześladowczą i jeszcze tego samego dnia ogłoszono, że zostanie zatrzymany w areszcie pod zarzutem podłożenia ładunków wybuchowych we własnym mieszkaniu i w samochodzie.

Tego feralnego dnia zdarzył się jeszcze jeden Incydent na szwajcarskiej granicy, w Chiassp, gdzie straż celna znalazła błędnie skierowane wagony-chłodnie. Zamiast warzyw i owoców znaleziono w plastikowych workach poranione i zwęglone ludzkie ciała. Przez kilka godzin policja sądziła, że chodzi o potworną zbrodnię. Ponieważ jednak wagony znajdowały się w obszarze wolnocłowym stacji, władze włoskie, po przykrych negocjacjach na bardzo wysokim szczeblu w Bernie i Rzymie, odebrały swoje makabryczne wagony.

Przez całą noc wojskcr zajmowało się układaniem ciał w trumnach i pięć włoskich samolotów wojskowych typu G 222 przewiozło je z powrotem do Taorminy-Peloritany. Było to dokładnie w tydzień potem, jak ludzie ci- jeszcze żywi - mieli wylądować na tym lotnisku.

12

W południe procesja żałobna opuściła lotnisko, przemierzyła dolinę i wjechała na wzgórze ku cmentarzowi. Wojskowe ciężarówki wiozące' trumny udrapowane były w czerń, a wieśniacy pracujący w okolicznych sadach i winnicach prostowali się na ich widok i'obnażali głowy. Dzwoniły kościelne dzwony, grała orkiestra wioskowa. Kobiety stały na chodnikach płacząc, a nawet chłopcy i dziewczęta zatrzymywali się na swoich motorowerach i w milczeniu przyglądali się ponuremu orszakowi.

Wzdłuż świeżo wyżyrowanych ścieżek, na skraju cmentarza, ustawili się krewni ofiar katastrofy i w milczeniu wysłuchali krótkich modłów płynących przez mikrofony. Odprawiali je duchowni katoliccy i anglikańscy. Linia Greyhound zwróciła się z prośbą do kanonika Asha Nyrena o przeprowadzenie anglikańskiej ceremonii, ale odmówił, zadziwiając Amerykanów krótkimi oświadczeniem:

- Ja już nie mam nic wspólnego z Bogiem;

Teraz stał samotnie nad otwartą mogiłą syna. Tragiczna, przygnębiona postać. Dopiero dzisiaj doszła do jego świadomości pełnia tragedii, jaką przeżyli inni ludzie^ związani z katastrofą. Widział ich przed pogrzebeni! kiedy czekali na autobus pod miejską bramą Taorminy/ Przeraził go ogrom tej zbiorowej rozpacz. Kóśł w nim niepohamowany gniew. Był przyzwyczajony do śmierci^ Zdarzała się przecież wśród jego owieczek od czasu do czasu. Pamiętał śmierć matki i siostry. Pamiętał żonę/ czytającą tragiczną depeşeę w tamten spokojny, wrześS niowy poranek przed trzydziestu laty. •

Patrzył teraz na kobietę, otaczającą męża ramieniem i próbującą go pocieszyć. Nie zwracając uwagi na otoczek nie, całowała kołnierz jego marynarki, bładziła palcami po jego twarzy, tuliła twarz do jego rąk. Zaprowadziła go do autobusu, gdzie jak gdyby oprzytomniał i pomó^ jej wejść-zia stopnie. Byli tuż przed Nyrenem. Nie znaleźli dwóch sąsiadujących ze sobą zniejsc, więc ściskali się za ręce poprzez dwa

rzędy siedzeń. Przez całą drogę na cmentarz. A potem, kiedy kobieta zgubiła męża w tłuznie, ten stał bez ruchu i wpatrywał się w ziemię.

Nie mogę wam pomóc - myślał Nyren. - Nie mogę pomóc nikomu. Nie mam nic do powiedzenia. Nie ma żadnej odpowiedzi na wasze pytania. Można tylko grozić pięścią ziębem...

Miejsca na cmentarzu wyznaczone były w porządku alfabetycznym. Nikt nie znał kanonika. Zobaczył z daleka Julię Duckham, otoczoną grupką ludzi. Przez chwilę dręczyła go myśl, że jego syn został tak potraktowany po tylu latach służby. Stał więc, ten staży, zagubiony człowiek ziad grobem ostatniego z rodu Nyrenów, rodu, który przez trzysta lat dostarczał Anglii księży i żołnierzy; Teraz pozostał już tylko ostatni rozdział tej sagi - jego własna śmierć.

"Chociaż robaki stoczą me ciało
Zobaczę jeszcze Boga mego".'

Nyren postanowił nagle, że nie życzy sobie, żeby te słowa zostały wypowiedziane nad jego trumną.

Kiedy trumny z ofiarami katastrofy wyładowano z ciężarówek, nastąpiła chwila zamieszania. Żołnierze, lotnicy i marynarze transportujący zwłoki pomylili groby, rodziny zaczęły je przenosić, a fotografowie rzucili się naprzód robić zdjęcia tych okropnych scen.

Julia patrzyła na to wszystko w odrętwieniu. Obok niej stały jej dzieci, pasierbica i siostra. Potem, nie wiadomo dlaczego, przyłączyli się do nich jacyś obcy ludzie - dawni koledzy Mike'a, którzy przylecieli z Londynu, brodaty lekarz, który uściśnął jej rękę, a nawet ten urzędnik śledczy, który zadawał jej tak nieprzyjemne pytania. Mac powiedział jej, że Burden latał razem z Mike'em na moskitach w czasie wojny. Dlaczego sam jej

O tym nie powiedział? Nie życzyła sobie jego obecności nad grobem Mike'a. Może zjawił się, żeby obejrzeć sobie jej siostrę i dzieci, może uważał, że to mu jest potrzebne do śledztwa?

Ale uczucia Burdena były szczere. Chciał oddać ostatnią posługę towarzysowi broni. Kiedy odmawiano modły, stanął na baczność.

"Człowiek zrodzony z niewiasty, dni krótkich jest
pełen niepokoju..."

Pobłogosławione trumny opuszczano grupami po dziesięć do grobów. Ash Nyren odmówił po cichu modlitwę i odszedł. Toteż kiedy czterej włoscy lotnicy spuszczaali do grobu trumnę ze zwłokami Petera, przy grobie nie było nikogo.

Mac także opuścił cmentarz. Był zły, że "jego" zwłoki, jego dowody, wymknęły mu się z rąk. Wtedy zobaczył

kanonika idącego dziwnym krokiem po cmentarnej ścieżce. Lewa ręka wysuwała się naprzód wraz z lewą nogą, prawa z prawą - takim krokiem chodził jeszcze ; tylko Graucho Mara.

Tego samego dnia po drugiej stronie miasta chowano Sherliego Barzizzę. W drodze z miejskiego kościoła na cmentarz towarzyszyły mu matka, babka, ciotka, wuj i dwie kuzynki.

Prośba Citta, dotycząca wzięcia udziału w pogrzebie została odrzucona przez dyrektora więzienia, ponieważ Citto nie był bliskim członkiem rodziny. Spędził za to całe popołudnie na przesłuchaniu, w czasie którego zadawano mu tak absurdalne i nieistotne pytania, że chwilami miał ochotę roześmiać się. Przyglądał się przez grube okulary swoim oskarżycielom i bąkał, jękając się, odpowiedzi. Nie budził jednak ani litości, ani wiary w swoją niewinność. Na szczęście dla siebie nie wiedział jeszcze o śmierci inżyniera Preussa. Łatwo mu było znosić niewygodę pobytu w zatłoczonej celi. Przygotowało go do tego dwadzieścia pokoleń ludzi żyjących w nędzy i

ciasnocie, nękanymi chorobami, suszą i klęską trzęsienia ziemi. Poczucie, że był nieświadomym sprawcą śmierci dwóch ludzi, na pewno wpędziłoby go w rozpacz.

Przyszła jesień, Wenecję zaczęły smagać rześiste, poganiane wiatrami deszcze. W poniedziałek, po dokładnej sekcji, ciało Preussa przewiezione zostało pomalowaną na złoto motorówką na cmentarną wyspę San Michelo. Jego grób otaczał krąg parasoli - tłumnie przybyli jego koledzy i uczniowie z uniwersytetu, którzy uznali tę śmierć za dziwny i tragiczny wypadek.

Jedna z gazet sugerowała, że inżynier wypadł z pociągu po wypiciu sporej ilości alkoholu, ale sekcja zwłok wykazała, że poziom alkoholu we krwi był minimalny.

A potem stała się rzecz jeszcze dziwniejsza: odkryto napisany na maszynie list, podpisany przez inżyniera, który mówił o samobójstwie. W liście Preuss stwierdził, że jest szantażowany z powodu homoseksualizmu i że dlatego odbiera sobie życie.- Jednakże policja wenecka stwierdziła, że ktoś włamał się do jego mieszkania, a piśmiennicze "wyznanie" zniszczono, nie podając go do wiadomości publicznej. I tak, jak po śmierci Sharliego, odłożono decyzję sądu w sprawie przyczyn zgonu.

13

Przez dwa dni Ash Nyren wspinał się po zboczach wulkanu. Spał na ziemi, żywił się winogronami i pił wodę z wiejskich studni. Trzeciego dnia dotarł do skraju lasu i znalazł ślad pozostawiony przez dzipa, prowadzący zygzakiem ku kraterowi. Przez cały dzień szedł po górę i tylko od czasu do czasu mijaly go grupy turystów w łażkach. Słońce piekło nieznośnie. Etna była wielką atrakcją dla cudzoziemców. Później kilku turystów przypominało sobie, że widziało jakąś dziwną postać, ale nikogo nie zastanowił widok niechlujnego Anglika wspinającego się po wulkanie.

Nyren doszedł na szczyt w połowie nocy. Pod koniec wspinaczki orientował się na ogniste wytryski wrzącej lawy. Bał się, że zasłabnie, bólu i zmęczenia. Gdyby zdjął buty, zobaczyłby, że stopy są odparzone i pokrwawione. Ale dotarł na szczyt. Był spokojny i zdeterminowany, obawiał się tylko, że w ostatniej chwili przeważy lęk i instynkt rabowania życia.

Przez pół godziny siedział zasłonięty od wiatru pod skałą. Spod nóg buchał żar, śmierdziało siarką i słychać było głucho pomruki, wydobywające się z przepastnego

ni krateru. Nyren przyglądał się wybuchom gazu i kamieniom wyrzucanym w regularnych odstępach czasu z tego tajemniczego otworu. Eksplozja trwała około trzech sekund, a po każdej zostawała na chwilę jasna, fosforyzująca poświata. Była jego przewodniczką w drodze ku zgubie.

Był sam w tej ciemności, smaganej podmuchami wiatru. Tak mu się przynajmniej zdawało. Nie dostrzegł pewnej małej grupy niemieckich turystów, którzy z przewodnikiem obchodzili dokoła krater, fotografowali go, a potem rozłożyli się, żeby poczekać na wschód słońca. Zobaczyli Asha Nyrena, widzieli jego sylwetkę na tle ciemnej góry. Pojawił się jak gdyby znikąd. Jego postać miała im pozostać w pamięci do końca życia. Przez chwilę Nyren stał nieruchomo, stał i patrzył, a potem zaczął grozić pięścią niebu. Wreszcie niezdarnie pobiegł naprzód, machając rękami niczym żywy wiatrak, Przez pewien czas nie posuwał się naprzód, bo buchające spod ziemi powietrze odrzucało go w tył. Potem jego sylwetka zaczęła maleć i oddalała się coraz szybciej w kierunku krateru. Wreszcie rzucił się w płomień głową naprzód, a kiedy z otworu buchnęło wyziewem gazu i drobnymi kamieniami, wyciągnął gwałtownie ręce ponad głowę i zniknął.

Gdy weszło słońce, znaleziono pod skałą marynarkę Nyrena i jego koloratkę. W kieszeni marynarki znajdowała się kartka z jednym tajemniczym zdaniem: "Król Artur nie umarł, ale leczy swoje rany na zboczach Etny".

Minęły cztery miesiące. Z "Tanga No- vember" pozostał jedynie potrzaskany szkielet kadłuba, przykryty wysoką zaspą śniegu. Szczątki skrzydeł i silniki wpakowano do skrzyń i zabrano helikopterami, a przyrządy i instrumenty pokładowe spakowano do plastikowych pojemników i odesłano do laboratoriów.

Latarnie na drzewach cytrynowych oświetlały postacie dwóch mężczyzn, oczyszczających szybkimi ruchami zakrzywionych łopat kanały, którymi spływały wody nieustannie padającego deszczu. Doktor Turi wziął sobie do pomocy starego ogrodnika. Mieli tylko godzinę czasu na dokończenie irygacji trzydziestu drzewek cytrusowych.

Mac chętnie by im pomógł, ale wiedział, że zakłóciłoby to tylko rytm ich pracy, udoskonalony w ciągu lat nieustannej praktyki. Podeszedł więc między drzewa, żeby im nie przeszkadzać. Mimo że było zimno, sad pachniał cytrusami. Mac miał jednak wrażenie, że niebawem nastąpią przymrozki. Poszedł więc pod górę po kamiennych stopniach i zobaczył nagle ponad wierzchołkami drzew biały, oświetlony księżycem szczyt wulkanu, odcinający się od czarnego nieba. Przypomniała mu się stara amerykańska piosenka o dymiącej górze. Mimo odległości Mac widział słaby zarys grzebienia lawy, na którym "Tango November" utracił lewe skrzydło, a za nim ciemną smugę lasu, tuż obok miejsca, w którym samolot rozbił się ziemię.

"Lądowanie zostało uniemożliwione z chwilą, kiedy przerwa w dopływie prądu na lotnisku spowodowała unieruchomienie wszystkich przyrządów naziemnych wygaszenie świateł oświetlających pas do lądowania..."

Komisja śledcza, złożona z przedstawicieli trzech krajów, zebrała się ponownie w Taorminie, by przedyskutować projekt sprawozdania przedstawionego przez rząd włoski. Przyjechali Mac, Burden oraz Larry Raille, który przywiózł żonę. Ta oświadczyła z entuzjazmem, że jest to ich drugi miesiąc miodowy.

W pracy komisji nie można było jednak wyczuć żadnych elementów entuzjazmu. Projekt sprawozdania był pełen zastrzeżeń i wątpliwości: "W minutę po przelecie nad lotniskiem załoga była zmuszona wyłączyć silnik numer dwa, bo zapalił się sygnał pożarowy. Jedyny pozostały generator został przeładowany, nastąpiła awaria akumulatora i prawdopodobnie spowodowała zaburzenia czynności wszystkich zasadniczych przyrządów pokładowych. Nie można ustalić, jak długo trwała awaria, ale należy przypuszczać, że połączenie tych wszystkich czynników uniemożliwiło pilotom utrzymanie kursu..."

Takie były główne założenia dokumentu, który zawierał poza tym wiele stron szczegółowo rozważających wszystkie usterki techniczne. Odsłaniały one jednak tylko połowę prawdy. Nie odtwarzają ogólnego scenariusza katastrofy - myślał Mac - nie biorą pod uwagę czynnika ludzkiego, psychologicznego, którego nie można odczytać z przyrządów ani przeświecić czy sfotografować promieniami ultrafioletowymi.

Nawet sprawa dokładnego czasu, w jakim wydarzyła się katastrofa, nie została wyjaśniona. Jeden z dziennikarzy twierdził, że widział zegary lotniska zatrzymane na godzinie piątej czterdzieści. Ale zegarki członków załogi stanęły na godzinie piątej trzydzieści siedem, zaś zbieracz grzybów, znajdujący się wówczas na zboczu góry, słyszał nad głową szum samolotu o godzinie piątej trzydzieści pięć. Wnioski: awaria przyrządów sygnałowych i świateł lotniska nastąpiła po katastrofie i nie była jej powodem.

Sprawa znalazła się także w cieniu melodramatu korupcji i intryg, gdy świat, a nawet Włochy, wołały jednak doszukać się we wszystkim tradycyjnych przestępców.

Capo Tomacchio znajdował się w więzieniu. Flavio Consoli zbiegł do Ameryki Południowej. Uznano ich za jedynek winnych i dokoła nich budowano scenariusz sprawy. Wszystko wskazywało na to, że katastrofa "Tanga November" nie przyczyni się do wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

"Defekt części silnika numer dwa został prawie na pewno wywołany przez nagłość awarii oświetlenia i przyrządów sygnałowych lotniska. Zmusiły one załogę w ostatniej chwili do nagłego poderwania samolotu, a to z kolei wywołało przeciążenie urządzeń napędowych, które w innych warunkach działałyby sprawnie..."

Raport nie wspominał o sygnale pożarowym omawianego silnika numer dwa. Nie było w nim słowa o zespołach elektrycznych, chociaż wnioski o zaopatrzenie wszystkich samolotów pasażerskich w niezależne, napędzane prądem powietrznym generatory sam się nasuwał. Nie poruszano potrzeby zastosowania azotowego systemu paliwowego, który zapobiegłby wybuchowi ognia. Nie potępiono niedokładności automatycznego goniometru, pozbawionego radiolatami wielokierunkowej, zawodzącego przy złej pogodzie. Zabrakło też wzmianki o braku awaryjnych aparatów tlenowych w kabinie. Solidniejsze siedzenia i kaptury przeciwdymne mogłyby uratować życie stu pięćdziesięciu osób.

Samoloty typu "119" wciąż kursowały bez tych ulepszeń. Przyrządy lotniska Taormina-Peloritana nie zostały udoskonalone, a przepisów bezpieczeństwa, ustalonych ongiś przez władze lotnicze USA i Wielkiej Brytanii nie poddano rewizji.

Paradoksem było, że sprawozdanie wewnętrzne, opracowane przez linię Greyhound, zrzucało winę na własną załogę. Wybielono natomiast administrację, przepisy bezpieczeństwa, konstrukcję samolotu i jego konserwację.

Prowadzenie wielkiego odrzutowca - myślał Mac - w dziewięćdziesięciu, a nawet w dziewięćdziesięciu procentach wypadków powinno być bezpieczniejsze i łatwiejsze niż kierowanie londyńskim autobusem. Pilot może się wykazać właściwie tylko wtedy, kiedy instrumenty pokładowe nie dają mu ścisłych wskazówek, kiedy zaburzenia atmosferyczne strącają samolot z kursu, kiedy zawodzi silnik, kiedy trzeba lądować po nocy albo w gęstych chmurach na prymitywnym lotnisku otoczonym górami, kiedy jest przemęczony, a jego załoga przestraszona i dezorientowana.

"... »Tango November«, zezwalam na lądowanie..."

Wysłuchali tej taśmy rano, na początku konferencji. Te głosy ludzi, zbliżających się do momentu ostatecznej tragedii, usunęły w cień teoretyczne rozważania śledztwa. Nic dziwnego, że ostatnim słowem Duckhama, zapisanym na taśmie, było przekleństwo.

Mac stanął w ciemnościach. Dwie latarnie, zaczęły oddalać się, a woda wciąż pluskała. Mac przelazł przez mur i zeszedł nierówną ścieżką przez koryto wyschniętego strumienia. Na zboczu przeciwległego wzgórza rysowały się kontury wioski, wyznaczone ulicznymi latarniami. Nieco bliżej widać było światło żarzących się węgli z turystycznej kuchenki Turiego, ustawionej na tarasie. Zapach kiełbasy i pieczonych kasztanów łechtał mu nozdrza. Doszedł go głos grubego dziennikarza i wstydlawy chichot siedzącej przy nim ładnej dziewczyny.

Julia Duckham rozmawiała prawdopodobnie wewnątrz domu z żoną Turiego. Już od września, z niezrozumiałych dla Maca powodów, uczyła się języka włoskiego. Chyba dlatego, że tu, we Włoszech, pochowany był jej mąż. Może uważała to za swój obowiązek.

Mniej więcej w miesiąc po powrocie do Anglii Mac odwiedził Julię. Oszukiwał siebie, że jest to wizyta grzecznościowa, chociaż nie miał zwyczaju robienia takich gestów. Wrócił do niej po tygodniu, tym razem, żeby

rozpalić ognisko i puszczać sztuczne ognie, co przyrzekł dzieciom w czasie pierwszej wizyty. Potem stał się regularnym gościem w domu Julii. Mimo to nie było między nimi cienia poufałości. Mac był zupełnie przekonany, że nigdy nie zdobędzie się na flirt z Julią. Nie byłoby to możliwe w domu Mike'a, wobec jego dzieci i wśród pamiątek po nim. Gdyby miało między nimi coś nastąpić, to decyzja należała do Julii. Tym razem po prostu przyjechała z nim do Włoch, żeby odwiedzić grób męża.

Groby. Mac przeskoczył przez wielkie głazy na dnie wyschniętego strumienia, a potem wdrapał się na brzeg. Spojrzał na górę, zobaczył błysk eksplozji z krateru i pomyślał sobie o niechlujnym księdzu, który chodził krokiem Graucha Marxa.

Citto usłyszał skrzypnięcie zardzewiałej furtki, dochodzące z głębi ogrodu i na ścieżce wysadzonej figowymi drzewami ukazała się wysoka postać angielskiego lekarza. Mac zmienił się od września. Był bardziej skryty, bardziej zamyślony. Wszyscy się zmienili - pomyślał Citto. - Stary Turi wspominał o emeryturze. Smutna i milcząca Nonna Lisa siedziała całymi godzinami i wpatrywała się w morze, a Laura przez cały dzień wertowała książki.

Sam Citto też się zmienił. Każdy by się zmienił po pięciu tygodniach włoskiego więzienia. Z przerażeniem myślał o ludziach, którzy spędzają tam połowę życia. Jego gazeta zaangażowała dla niego dobrych adwokatów, starając się jednak unikać wszelkiego rozgłosu. "Toteż sprawa nie wydostała się na zewnątrz, ale była koszmarem dla Citta. Tylko dzięki Laurze nie zwariował. Odwiedzała go co tydzień i obdarzała prohiennym uśmiechem.

Czułość młodego magistrato oszczędziła dziennikarzowi wielu uderzeń wynikających ze staroświeckiej i niekonsekwentnej włoskiej maszyny wymiaru sprawiedli-

wości. Pomogła mu także, nieudana wprawdzie, próba zamachu bombowego na lokal Partii Komunistycznej w Brescii. Magistro dowiódł, że typ zapalnika użytego w Brescii był taki sam, jakiego użyto do wysadzenia w powietrze mieszkania i samochodu Citta. W rezultacie wszystkie trzy eksplozje zostały przypisane jednej ze, skrajnie prawicowych organizacji, która niewątpliwie otrzymała zlecenie od jakichś osób w stolicy, żeby rozprawić się z Citto.

Dziennikarz został więc zwolniony i śledztwo w jego sprawie umorzone. Jednakże odczuł wkrótce, że jego pozycja w redakcji zmieniła się, tak jak gdyby pobyt w więzieniu, mimo że był omyłką, zepsuł mu opinię. A może on sam się zmienił? Może opuścił go zapal do walki o sprawiedliwość? Na pewno stracił pewność siebie. Na początek uważał udział w wyjaśnieniu katastrofy "Tanga November" za posłannictwo, ale teraz patrzył na to. inaczej i zdawało mu się, że popełnił wiele błędów. Preuss powiedział mu o mylących światłach dokoła fabryki niedaleko lotniska. Citto przekazał tę wiadomość komisji śledczej, ale nie można było sprawdzić jej wiarygodności, ponieważ od września tylko jeden raz spadł deszcz i nie powtórzyła się sytuacja, w której drogi były mokre, a światła odbijały się w asfalcie. Byłoby straszne

- myślał Citto - gdyby się okazało, że Flavio Consoli i Capo Tomacchio są mimo wszystko zupełnie niewinni. Citto był pewien, że nikt nie zna prawdy, ale miał absolutną pewność, że winowajcy uszli na razie sprawiedliwości.

Stał w ogródku nad rusztem, piekł kiełbaski i patrzył na Laurę. Gdyby chciała z nim wyjechać, postarałby się o pracę gdzieś poza Sycylią, poszukałby szczęścia na północy, tak jak zamierzał to zrobić Sharlie.

- Nadszedł Mac, a potem przyłączyły się do nich obie otulone szalami kobiety. Początkowo zamierzali zjeść

kolację w jadalni, ale. jakoś nikt-nie miał ochoty zejść z tarasu, z którego rozciągał się widok na Etnę jasno oświetloną księżycem w pełni. Potem powrócili Turi i jego stary pomocnik. Turi odłożył narzędzia, zdjął ciężkie buty, umył się pod pompą i wszedł na taras z dwoma dzbanami wina nalanego z beczki w piwnicy.

Jedli więc i pili, a Turi przyniósł jeszcze dwa dzbany winą. Potem rozrzucili jarzące się głównie na kamienny taras i przy pomocy uschłych gałęzi z drzew cytrynowych rozpalili wielki ogień. Odgradzeni od świata murem ciemności rozmawiali o wielu sprawach: o winorośli, cytrynach i zbiorach, o dzieciach, o Renzie i Giuseppinie, którzy po ślubie zamieszkali w Szwajcarii, o pięciu tysiącach dolarów, które zapłacono rodzinie Sharliego za zdjęcia "Tanga November". W końcu rozmowa musiała zejść na śmierć i umieranie. Turi widział śmierć wiele razy, Julia wciąż jeszcze próbowała się przyzwyczaić do śmierci Mike'a, Citto przeżył śmierć rodziców, Sharliego i Preussa, a żona Turiego wspominała stratę jedyne dziecko.

Mac nie włączył się do tej rozmowy. Śmierć była częścią jego zawodu. Nie mógł zdobyć się na to, żeby jak Turi troszczyć się tylko *o żywych. Patrzył ponad ogniskiem na zarysy wulkanu, czekał na błysk ognia z krateru, na wybuch i gejzer światła. Następowало to dokładnie w czterdziestosekundowych odstępach, miarowo, nieuchronnie, jak bicie wielkiego serca.

"Król Artur nie umarł, ale leczy swoje rany na zboczach Etny..."

Nazajutrz po obiedzie komisja śledcza rozwiązała się, a wszystkie wnioski przekazane zostały władzom włoskim, celem umieszczenia w raportach ministerialnych. Raporty te miały być ogłoszone po dwóch, trzech albo czterech latach, kiedy już nikt nie będzie pamiętał o katastrofie i wygasną prawne podstawy do wszelkich roszczeń.

Włosi podziękowali swoim angielskim i amerykańskim kolegom, a Priscilla Raille, która brała udział w bankiecie pożegnalnym jako jedyna kobieta, wzniosła toast za owocny przebieg obrad i za zdrowie swojego męża. Wszyscy wnieśli kieliszki, życząc mu powodzenia w jego przyszłych pracach. Miał niebawem zająć się rozwiązywaniem technicznych problemów związanych z prowadzeniem kosmicznego laboratorium, które będzie krążyć na wysokości osiemdziesięciu kilometrów nad powierzchnią globu.

Zdrowie wszystkich samolotów typu "119" - powiedział sobie w duchu Raille i wychylił kieliszek. - Miejmy nadzieję, że ta cholerna maszyna w przyszłości przestanie mieć pecha. Niewiele osób zauważyło, że Federacja Aeronautyczna wydała zalecenie przeprowadzenia pewnych subtelnych zmian w silniku numer dwa i w jego alarmie pożarowym. Ale zalecenie to nie było bezwarunkowym rozkazem. W sprawie usytuowania wyłączników akumulatora i kuchenki, których bliskość na tablicy przyrządów nadal groziła niebezpieczeństwem, nie zrobiono nic. Następcą Raillego uśmiechał się do niego poprzez stół. Był to jeden z członków zarządu, człowiek rozsądny, który prawdopodobnie nie będzie zadawał trudnych pytań. Był poza Burdenem jedyną osobą przy stole, która nie zdawała sobie sprawy z bezprzedmiotowości całego śledztwa. Ale Burden miał niejasne i przykre uczucie, że nawet gdyby doszło do starannej analizy katastrofy, to Duckham nie byłby zwolniony od odpowiedzialności za wypadek. Mimo że na wielu stronicach raportu rozwodniono by się nad okolicznościami łagodzącymi, katastrofa "Tanga November" została na pewno zaliczona do kategorii wywołanych przez "błąd pilota".

Po południu w drodze na lotnisko członkowie komisji kazali taksówce zboczyć z drogi i zająć mały cmentarz, położony na zboczu górskim tuż nad wioską.

Chylące się już ku wieczorowi chłodne słońce oświetlało marmurowe nagrobki i kapliczki, białe jak płatki kwiatów migdałowych z pobliskich ogródków. Larry Raille, jego żona, Ralph Burden i Mac Pherson stanęli przy miedzianej tablicy,

upamiętniającej w językach włoskim i angielskim tragedię "Tango November". Idąc żwirowaną ścieżką w stronę grobu męża Julia Duckham słyszała ostry głos jakiejś Amerykanki, która czytała:

"Pamięci stu osiemdziesięciu siedmiu pasażerów i członków załogi z pokładu golf foxtrot » Tango Novem- ber«, którzy zginęli na zboczu tego wulkanu". -

Pieniądze zebrane dzięki ofiarności holenderskiej orkiestry, japońskiego pianisty, muzyki Beethovena, Mozarta i Rachmaninowa służyły na opłacenie krzewów i kwiatów małego cmentarzyka; dwa tysiące otrzymała Trixie, a piętnaście tysięcy wpłacono na numerowany rachunek bankowy w Lugano na pokrycie "wydatków administracyjnych" poniesionych przez pewnego ifttej- scowego polityka.

Julia złożyła kwiaty na grobie Mike'a, pokrytym płytą z jego imieniem i nazwiskiem. Miała ochotę włoskim zwyczajem kazać wkomponować w kamień odbitą na porcelanie fotografię Mike'a.

Narastający gwizd potężnych silników odrzutowca wypełnił cichą dolinę, a czarny cień samolotu przepłynął po zboczach wzgórza. Dwieście ton połyskującego srebra i trzysta ludzkich istnień płynęło w przestworzach. Wkrótce potem srebrzysty ptak miękko wylądował na krańcu pasma numer dwadzieścia dziewięć lotniska Taormina-Peloritana. Był dzień, słońce stało wysoko, nie było problemu. Pilot mógł dziś lądować choćby stojąc na głowie.

EPILOG

"Tango November"—zezwalam na lądowanie!

Duckham instynktownie wyczuł pierwsze objawy silnych zaburzeń atmosferycznych. Znajdowali się niewątpliwie na skraju burzy, która, jak wynikało z radaru, koncentrowała się na lewym zboczu Etny. Lewym, jeżeli patrzeć od strony lotniska. Trzeba było chwycić za stery i szybko rozpocząć lądowanie. ~ - Odłączam automatycznego pilota!

Przy wyłączeniu automatu samolotem szarpnęło w górę. Duckham musiał podciągnąć wolant, żeby wyrównać lot. W miarę jak adrenalina dopływała mu do krwi, przestawał odczuwać zmęczenie. Jego dłonie zwilgotniały, poczuł przyśpieszony rytm serca, a mózg zaczął szybko analizować wszystkie możliwości, z jakimi należało się liczyć - wątpliwa widoczność przy ziemi, burza, no i sam masyw wulkanu.

- Pełne wychylenie klap!

- Klapy wypuszczone i zaryglowane!

- U nas lista czynności schodzenia wykonana - powiedział George. - Miejmy nadzieję, że na dole też zrobili swoje.

- Jeszcze raz proszę o ciszę. - Duckham nie⁴ chciał rozpraszać uwagi załogi. - Peter, znajdź kontakt wzrokowy, ja zostaję przy instrumentach. George, sprawdź wysokość na środkowym markerze!

- Roger! - roześmiał się mechanik. - Zaraz zobaczymy, jaka jest naprawdę widoczność na pasie.

Żółte światelko i sygnał brzęczyka zasygnalizowały środkowy marker. George Raven przyjął trzeci dźwięk brzęczyka jako sygnał.

- Jesteśmy na wysokości pięćdziesięciu stóp. Cholernie nisko!

Peter Nyren zobaczył światła lotniska.

- Mam kontakt wzrokowy. Pół na prawo. Dwadzieścia na prawo.

Duckham po raz pierwszy oderwał wzrok od przyrządów i z ulgą popatrzył na dwa rzędy pomarańczowych świateł, widniejących o około dwudziestu stopni w prawo.

- Mam kontakt wzrokowy. Pół na prawo. Dwadzieścia na prawo.

Duckham po raz pierwszy oderwał wzrok od przyrządów i z ulgą popatrzył na dwa rzędy pomarańczowych świateł, widniejących o około dwudziestu stopni w prawo.

Skręcił nieco stery i poszukał wzrokiem przedłużenia pomarańczowych świateł. I nagle stracił pewność siebie.

Peter i on w tym samym momencie zobaczyli wynurzające się z mgły mury fabryki. I zaraz potem jej podwórze z czterema prostymi latarniami, których odbłask wzięli za odbijanie się świateł lotniska na mokrym asfalcie.

- Cholera!

- Jasny gwint! - ryknął Peter. - Przepraszam, kapitanie.

Prawdziwe światła lotniska ukazały im się; o dziesięć stopni w lewo. Ale nie mogli się już na nie kierować. Przeklęte lotnisko! Było nawet gorsze niż Bazylea, gdzie uliczne światła gmatwały cały układ świateł startowych.

- Przelot!

Reakcja wszystkich członków załogi była równoczesna. Duckham odciągnął wstecz wolant, George Raven dodał gazu, a Peter wciągnął klapy.

"Przepraszam, kapitanie" już powiedział Peter przed chwilą. Było to jego pierwsze normalne odezwanie się od czasu spotkania w sali załogi - pomyślał Duckham. I Trzeba było sytuacji podbramkowej, żeby otrząsnął się, z tej swojej zadumy.

- Klapy dwa pięć.

- Wznosimy się. Wciągnąć podwozie.

Peter wciągnął koła'.

Duckham czuł, że maszyna wznosi się z trudem do góry. Znowu wstrząsnęły nią powietrzne wiry. Wciąż j myślał o szalejącej w pobliżu burzy i o wulkanie.

- Podnosi się jak krowa. George, dodaj gazu. Musimy j się bardziej oddalić od ziemi. George, włącz obydwa odbiorniki na Oscar Echo.

- Roger.

Kierowali się teraz na zewnętrzny marker po drugiej stronie lotniska, gdzie działał radionamiernik Oscar 1 Echo. Podążając za sygnałem powinni zakręcić na północ i po dwóch minutach lotu znaleźć się z dala od szczytów A wzgórz.

Peter wyrównywał poziom klap.

- Szybkość OK. Klapy do jeden cztery. Duckham potwierdził.

- Peter, co z tym sygnałem?

- Oscar Echo nastrojony.

Maszyna wpadła nagle w tak głęboką dziurę powietrz-^ną; że Duckham wparł się całym ciężarem ciała w pasy ochronne.

- Cholera! - wrzasnął George, którego pasy nie trzymały dość mocno przy tych silnych wstrząsach, zwłaszcza kiedy wychylał się do przodu.

- Tracimy szybkość i wysokość! - zawołał Peter, pilnie obserwujący przyrządy.

Rzucało nimi teraz tak silnie, że różne przedmioty zaczęły się turlać po podłodze.

Bądź ostrożny - powtarzał sobie w duchu Duckham. Wpatrywał się teraz tylko w jeden przyrząd, w sztuczny horyzont, który mówił mu wszystko o zachowaniu się samolotu. Wiedział, że w podobnych sytuacjach inne przyrządy często zawodzą.

Nagle zabrzmiała syrena alarmowa.

Tylko nie teraz! - pomyślał Duckham - o Boże, tylko nie teraz!

Raven wyciągnął dłoń i wyłączył alarm.

- Ogień w silniku numer dwa-jego głos nie był już tak pełen rutyny i spokoju jak zazwyczaj.

- Pewnie znowu fałszywy alarm. - Peter spojrzał badawczo na Duckhama.

- Prawdopodobnie - wzruszył ramionami Duckham. - Wykonać procedurę pożarową dla silnika numer dwa!

- E tam, przecież to lipa!

Duckham zignorował Petera i powtórzył rozkaz.

- George, procedura pożarowa!

George Raven rozpoczął wykonywanie procedury pożarowej, wyłączając prąd z objętego alarmem silnika numer dwa i jego generatora.

- Pełna moc do numeru trzeciego. Zamknąć przepust- • nicę numer dwa!

Lecimy na jednym generatorze - pomyślał George - i to z powodu fałszywego alarmu!

Nastąpiła długa cisza, a potem nagły, ostry okrzyk Duckhama: I

- Peter!

- Tak? O, przepraszam - odezwał się Peter niepewnym głosem. Trzymał obie ręce na oparciu fotela, bo bał się, że spadnie na ziemię.

- Zamknąć przepustnicę numer dwa.

George wyłączył gaz.

- Zebrałem gaz.

■ Peter sięgnął po dźwignię gaśnicy.

- Włączam gaśnicę.

Silnik numer dwa stracił obroty. Na tablicy przyrządów zapaliło się ostrzegawcze światełko. Ostatni generator przeładował się i wyłączył z obwodu.

- Jesteśmy na akumulatorze - zawołał George. - Numer trzy wyłączył się samoczynnie z powodu przeładowania!

-Zmniejsz obciążenie i wracaj na generator! - Duckham przypomniał sobie, że mechanik wyraził wątpliwość co do stanu akumulatora.

Trzeba wyłączyć prąd z bufetów i jednego radioapara- | tu - pomyślał George i jednocześnie sięgnął do dwóch i wyłączników. Kiedy je przekręcił, zgasło światło.

- Jezus Maria! - wrzasnął Duckham i odwrócił się. Poza słabym blaskiem małej lampki na suficie, kokpit był pogrążony w mroku.

- Na pewno akumulator nawalił. Niech to diabli! Nic nie widzę!

George Raven natężył wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje na tablicy przyrządów. Nie widział nic. Oświetlenie kokpitu, światełka ostrzegawcze, wskaźniki - wszystko zgasło.

- Zapal ręczną latarkę! - Duckham patrzył równo przed siebie. Dostał zawrotu od zbyt nagłego skrętu głowy i przez chwilę był zupełnie ślepy. Potem zobaczył sześć przyrządów, ale zdawało mu się, że nie działają.

- Na litość boską, George, daj jakieś światło na sztuczny horyzont! Nic nie widzę, cholera!

Duckham przestał czuć ruchy samolotu. Wciąż kręciło mu się lekko w głowie, miał mdłości. Rzucano nimi teraz jak jeźdźcem na rozszalałym koniu. Próbował utrzymać samolot w linii prostej i poderwać go w górę, ale miał wrażenie, że skręcają w prawo. Ale może mu się tylko zdawało?

- Podaj kurs, Peter! Już nic nie wiem. Czy my skręcamy w prawo?

-Zdaje mi się, że lecimy prosto.

-Wznosimy się?

-Chyba tak.

- Daj światło na wysokościomierz i szybkościomierz.

George Raven ześliznął się z fotela i opuścił na czworaki. Szukał latarki. Miał dwie w torbie, ale torba przewróciła się od wstrząsów i latarki wyleciały. Próbował zrozumieć, co się dzieje. Był pewien, że nie popełnił żadnego błędu. To na pewno wina akumulatora. Przez cały lot nie ładował jak należy. Te parszywe baterie niklowo-kad- mowe łatwo się przegrzewają, a ppterem zapalają. A co z alarmem w silniku numer dwa? Przecież nie dokończyli procedury przeciwpożarowej! Może

ogon samolotu już gię pali, a oni o tym nie wiedzą? Jak ma się silniki z tyłu, to powinno się mieć wewnętrzny telewizor, żeby wiedzieć, co się z nimi dzieje.

Peter tymczasem znalazł zapasową lampę na baterie i trzymając ją jak latarkę, oświetlił działające jeszcze przyrządy.

- Wygląda na to, że się wznosimy.

Duckham próbował prowadzić "na wyczucie", i według sztucznego horyzontu. Działał już tylko wskaźnik ciśnienia, szybkościomierz, wskaźnik wznoszenia się, wysokościomierz i zawieszony na suficie tradycyjny kompas. Ale samolot wznosił się i opadał gwałtownie niczym młot pneumatyczny. Duckham miał coraz silniejsze mdłości, coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

- George, dawaj więcej światła na przyrządy! Oświetl wysokość i szybkość!

- Strzałki latają w górę i w dół jak jojó. Wydaje się, że idziemy do góry przez sześć tysięcy pięćset stóp. I chyba jest czterysta pięćdziesiąt na godzinę.

- Co jest do cholery z tym światłem?

- Przeładowanie. Potem nawalił akumulator. Postaram się wrócić na generator.

- Na razie świeć latarką.

George wrócił na fotel, nachylił się i wyciągnął rękę z latarką ku przyrządom nawigacyjnym.

- Peter! Kierunek?

Peter zwrócił światło latarki na kompas.

- Nic nie widać. Kompas za bardzo się kołysze.

- Chyba lecimy mniej więcej prosto.

- Chyba tak.

- Musimy być poza. Oscar Echem. Trzymajmy się prosto i lećmy w górę. Do diabła z tym lotniskiem! Jak tylko wróci prąd i radio bacznie działać, zażądam pozwolenia na lądowanie na Malcie.

- Roger.

- George, zobacz no, czy jest prąd.

Głos Duckhama brzmiał spokojnie i rzeczowo, ale on - sam wcale nie czuł się dobrze. Burza rzucała nimi jak fontanna pingpongową piłką. Nie wiedział, w jakim lecą kierunku, i to od dobrych kilka minut. Duckham miał wrażenie, że prawe skrzydło jest obniżone, ale powstrzymywał się od ruszenia sterem. Wiedział, że jest zdezorientowany i że - nawet biorąc pod uwagę niedokładność wskazań radionamiernika w warunkach burzowych - ich pozycja w stosunku do Oscara Echa nie jest pewna. Nie wiadomo więc zupełnie, gdzie się znajdują. Każdej chwili groziło im, że wypadną z chmur i wbiją się w zbocze Etny. Duckham kurczowo wbił wzrok w przyrządy, które jeszcze działały. Wiedział, że jeżeli zacznie przez szybę wypatrywać wulkanu, to ryzyko katastrofy wzrośnie. Wiedział, że może się z nim stać to, co z niejednym kierowcą samochodowym, który w czasie mgły bezwiednie przyspiesza, w nadziei, że zobaczy przed sobą czerwone światła hamulcowe innego wozu.

George oświetlił tablicę przyrządów. Chciał zmniejszyć obciążenie prądu i spróbować uruchomić generator numer trzy. Przekręcił więc wyłączniki kontrolujące światła kabiny pasażerskiej, ogrzewanie, radar i dwie wspomagające pompy. Już poprzednio wyłączył wszystkie bufety i jeden radioaparat. W świetle latarki sprawdził teraz, czy wszystko zostało wyłączone. Stwierdził, że radio nie działa, ale że bufety są nadal włączone. Pamiętał jednak dobrze, że je wyłączył. Sprawdził wyłącznik. Był w porządku. Dopiero teraz spojrzał na duży czerwony wyłącznik obok i nieco ku dołowi. Akumulator był wyłączony. Nawet w tym momencie nie zdał sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało. Po prostu - pomyślał - wysiadł wyłącznik

akumulatora. Przekręcił go na próbę i wtedy światło zabłyśło, a wskazówki wszystkich przyrządów zadrgały i wróciły do życia. Co, u licha, mo^o się stać?

- Wspaniale! - krzyknął Duckham i zaczął kolejno sprawdzać przyrządy. Peter obrócił się do George'a i uśmiechnął się.

Zdaje się, że przez pomyłkę przekręciłem niewłaściwy wyłącznik. To straszne! - myślał George. - Pomyliłem wyłącznik akumulatora z wyłącznikiem bufetów.

Spróbował włączyć generator numer trzy, który po odciążeniu zaczął działać normalnie.

- Sprawdź, co z tym pożarem! - zawołał Duckham.

- Włączam dzwignię pożarową numer dwa. Nie ma światła ostrzegawczego.

Pożar, ugaszony.

- Jeżeli w ogóle był.

- Sprawdź wysokość Peter.

- Wznosimy się przez osiem tysięcy pięćset stóp.

- Jeszcze dwa tysiące i będziemy w porządku. - George pomyślał, że Etna ma około dziesięciu tysięcy ośmiuset stóp wysokości.

Peter przypomniał sobie widok dymiącego krateru. Było to zaledwie osiem czy dziewięć minut wcześniej, ale zdawało mu się, że minęły wieki. Jak, do cholery, zorientować się, gdzie jesteśmy? Dlaczego ten kretynek Duckham jest taki spokojny?

Nagle zrobiło się jaśniej za szybami, wstrząsy znacznie zmalały, a Duckham poczuł* że samolot wznosi się ła-

twiej. Prąd wstępujący - pomyślał. Pewnie znajdujemy się bardzo blisko tej parszywej góry.

- Wysokość?

- Dziewięć osiem.

- Kurs jeden dziewięć pięć. - Głos Petera był cichy, ale J przenikliwy. - Czy my wiemy dokładnie, gdzie jesteśmy? j

Spóźniłeś się, bracie - myślał Duckham. ~ Powinieneś 1 był sprawdzić kurs natychmiast po odzyskaniu prądu, to | twój obowiązek. Głośno jednak nie powiedział nic, nie | chciał denerwować i tak już zdenerwowanego Petera.

- Kurs jeden dziewięć pięć - powtórzył Peter.

- Wiem, widzę. Zawracać nie ma już sensu. Idę w górę j w linii prostej.

Lecieli mniej więcej na południowy zachód, zamiast na północny zachód, ku Etnie, zamiast w przeciwnym kie- fi runku, ale dokładne określenie ich obecnej pozycji nie | było możliwe. Zależało to od pozycji sprzed dwóch czy | trzech minut i obecnego kierunku lotu. Stopniowo znⁱ- ło ich. Odczyt sygnału Oscar Echa, zniekształcony przez | burzę, mógł przesunąć ich kurs o dwadzieścia do trzy- jj dziesiętu stopni. Potem lecieli już na ślepo. Kiedy Duck- i ham zdecydował, że zakręcają w prawo, wyrównał za daleko i spowodował łagodne, ale ciągle zbaczanie | o dziesięć stopni. Cztery do pięciu minut takiego lotu, mimo że lecieli tylko na dwóch silnikach i stale się wznosili, posunęło ich 0 jakie trzydzieści do czterdziestu kilometrów naprzód. Wpakujemy się na górę - pomyślał Duckham w panice. Musimy się wnieść jeszcze o pięćset stóp.

- Rany boskie!

Czerwony błysk i wstrząs nastąpiły równocześnie. Wy- | 1 sadziło silnik numer dwa - pomyślał Duckham - albo rąbnęliśmy w Etnę. Ale samolot leciał dalej i stale się wznosił. Czteryście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Wszystkie instrumenty na chodzie. Spojrzał przez szybę.

Chmury rozstały się nagle, samolot wyleciał jakby zza grubego muru.

Krwistoczerwone słońce wisało tuż nad taflą morza i jego promienie wypełniły kokpit

złowrogim szkarłatnym blaskiem. Musieli po prostu wpaść w dziurę powietrzną, znajdującą się na skraju chmur.

Lecieli wprost na niższy, północny grzbiet wulkanu i mogli przelecieć nad nim z zapasem około dwustu stóp, pod warunkiem, że samolot nadal będzie się wznosił. Główny grzbiet krateru sterczał nieco na prawo, oddalony o jakie dwa kilometry. Uda się przelecieć czy nie? Niebo przed nimi było czyste.

- Alleluja! ~ zawołał wesoło Peter.

Duckham poprawił się na fotelu. Był mokry, jak gdyby wyszedł spod prysznicu, a nogi i ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Był to skutek nagłego odprężenia mięśni, nagłej ulgi. To najpiękniejszy wschód słońca, jaki w życiu widziałem - pomyślał.

- Bogowie są dla nas łaskawi - odezwał się George. Ale to ja spieprzyłem sprawę - powtarzał sobie w duchu. Przyznam im się po wylądowaniu. Wyłączyłem akumulator zamiast bufetów. Trzeba będzie, kurwa, napisać raport. Dostanę krechę! A może zamazać zapis lotu na taśmie magnetofonu? W ten sposób nikt nie będzie mógł zorientować się, co się stało?

Trzeba zażądać zezwolenia na lądowanie na Malcie - pomyślał Duckham. Wrócimy, kiedy rozejdą się te cholerne chmury. Do diabła z rozkładem lotów! Greyhound jakoś to przeżyje!

Patrzył przez prawe okno na groźny wulkan i kłęby dymu wydobywające się z krateru. Pod nimi ziała niemal pionowa przepaść. Jeszcze kilka sekund, a przelecą nad Etną i będą bezpieczni.

Cholerny dym - pomyślał nagle Duckham. - Ta smuga opada gwałtownie w dół tuż za kraterem. A my lecimy prosto z wiatrem i wcale nie nabieramy wysokości. A co będzie, jeżeli taki sam podmuch wiatru, jaki pomógł nam wznieść się ponad szczyt góry pchnie nas w dół z chwilą, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie Etny?

Znowu ogarnął go niepokój. Zmęczony mózg domagał się odpoczynku. Ale to, czego się obawiał, zaczęło się realizować, i to błyskawicznie. Pierwszym objawem było gwałtowne dygotanie samolotu. Duckham myślał teraz w tempie zwolnionym, jakby odczytywał punkty instrukcji z podręcznika. Spokojnie - mówił do siebie - tylko spokojnie. Wszystko może się zdarzyć. Gwałtowne drganie powietrza dokoła krateru może wywołać oderwanie się skrzydeł albo silników. Tak rozbił się niedawno boeing 707 nad Mount Fidzi. Ostrożnie, człowieku, skup się, bo będzie źle.

Przelecieli ponad kraterem i natychmiast wpadli w prąd zstępujący, jak w gigantyczną dziurę. Pierwszy spadek wyniósł około pięciuset stóp. George Raven, który nie zapiął pasów, uderzył głową w sufit. Po chwili silnego kołysania i dygotania maszyna wyrównała. Lecieli teraz na wysokości dziewięciu tysięcy pięciuset stóp. Podnimi ciągnęła się szeroka dolina, obramowana wysokimi grzbietami.

Trzymaj się, cholero – myślał Duckham nie spuszczać oczu z wysokościomierza. Czekał niecierpliwie, żeby prąd wstępujący podniósł ich znowu do góry. Najwyższy ze sterczących przed nimi grzbietów mógł mieć sześć tysięcy pięćset, najwyżej sześć tysięcy sześćset stóp. - Mamy luz - pomyślał.

Wysokościomierz utrzymywał się jeszcze przez pewien czas na dziewięciu i pół tysiącach stóp, ale Duckham czuł, że obniżają się wolno acz nieubłagane.

Wskazówka drgała i przesuwiała się powolnym, ale stałym ruchem - dziewięć cztery ... dziewięć trzy... dziewięć dwa... jeden ... osiem dziewięć... osiem... siedem... sześć ... osiem pięć ... a na pozór lecieli prosto. Jedynie wysokościomierz

i wskaźnik szybkości pionowej wskazywały, że są coraz niżej, że opadają miarowo, jak w złym śnie. Nie było na to żadnej rady, można było tylko czekać, aż prąd powietrza zmieni kierunek i podniesie ich, zanim spadną na dno doliny. Ale czy wystarczy im wysokości dla przelecenia ponad szczytem grzbietu?

- Jak tam, George?

George Rayen był jeszcze lekko ogłuszony i niezdarnie gramolił się na fotel. Peter utkwiał nieruchomy wzrok w szybę, przez którą widać było zbocze wzgórza otoczone małymi obłoczkami.

Osiem dwa... osiem jeden... osiem... siedem dziewięć....

Dolina ciągnęła się ukośnie z południa na północ, pod lewym stokiem wulkanu. Można by było spróbować zakręcić w dolinie - myślał gorączkowo Duckham - ale chyba nie wystarczy przestrzeni, a ostry skręt wywoła dalsze zmniejszenie Szybkości. Byli więc całkowicie zależni od grzbietu sterczącego przed nimi. Stał odległy 0 trzy kilometry, ale zbliżał się coraz szybciej. Strzałka wysokościomierza wciąż opadała.

- Na miłość boską! Zrób coś! - rozległ się ochrypły głos Petera.

Duckham wiedział, co Peter ma na myśli. Opuść dziób samolotu, zakręć i poleć lejem doliny. Ale jeżeli w tej spirali coś ich nie zatrzyma, nie wyjdą już z tego nurkowania i rozbiją się na dnie zielonej doliny.¹ Podniesiemy się na pewno - myślał Duckham - ten prąd powietrza zmieni za chwilę kierunek i poniesie nas ponad grzbietem wzgórza. Takie jest prawo natury. Prawo, które rządzi życiem i śmiercią.

Prąd zstępujący zmienił kierunek, kiedy byli na wysokości pięciu tysięcy dziewięciuset stóp, może trzysta stóp poniżej grzbietu. Widzieli wyraźnie wierzchołki jodeł'

1 koronę zakrzepłej lawy. Teraz zaczęli znowu się wznosić. Sześć tysięcy... sześć tysięcy sto ... sześć tysięcy

dwieście... "Tango November" szedł w górę z trudem. Sunął po niebie jak ogromny, zmęczony bocian.

Duckham wiedział już teraz, w które miejsce uderzą. Był to występ skalny, nie większy od małej ciężarówki.

- Prawy ster!

- Będzie zderzenie! – wrzasnął Peter.

Niewielka była ta skała, taka, na jaką byle szczeniak mógł się wdrapać w czasie niedzielnego spaceru. Oderwała im dolną część lewego skrzydła. Trzasnęło i wstrząsnęło nimi, a cały samolot obrócił się o trzydzieści stopni, jak samochód zarzucający na zakręcie.

- Zabiłeś nas! - ryknął Peter. ,

Duckham wparł się z całych sił w wolant. Za skałą teren opadał bardzo stromo, potem był las, a dalej łagodny stok, prowadzący ku morzu, odległemu o trzydzieści kilometrów. Na niebie nie było ani jednej chmury.

Stracili część lewego skrzydła, ale byli jeszcze wciąż w powietrzu. Duckham manewrował prawym sterem i lotkami.. "Tango November" leciał ciężko, ukosem, chwiejąc się jak akrobata na linie, który stracił równowagę.

Duckham spojrzął przez boczne okienko. Odcięło im ze trzy metry lewego skrzydła, z obnażonych przewodów ciekła benzyna i płyn hydrauliczny. Lewe lotki były oderwane. Wobec zmniejszonego oporu, jaki stawiali powietrzu z tej strony, samolot zakręcał w lewo wielkim łukiem, prowadzącym ich znowu w kierunku Etny. -

Ich szybkość spadała. Może opuścić łeb samolotu i w ten sposób powiększyć szybkość i uzyskać większą możliwość manewru? Prawy ster odchylić do oporu, co może częściowo zrównoważyć maszynę, dodać jej szybkości i pozwoli ją nieco podnieść ...

Ale nie było już miejsca na manewr. Czyste niebo i spokojne morze powoli oddalały się w prawo.

- Nie wyprowadzę już maszyny ze skrętu. Musimy spaść - powiedział Duckham z absurdalnym spokojem i zdziwił się samemu sobie.

Wpadali i wypadali teraz z chmur. Byli już tylko tysiąc stóp nad ziemią.

- Opuść podwozie. Spróbuję znaleźć możliwie gładki teren. .

Normalna procedura awaryjna - myślał Duckham - ale nie widzę gładkiego terenu. Lecieli ku ziemi, a ziemia biegła im na spotkanie.

- Peter! Opuść podwozie!

Głos Petera był ledwo dosłyszalny:

- Podwozie opuszczone i zablokowane.

Na litość boską, to jest niemożliwe! Czyżby nadeszła owa słynna chwila, kiedy człowiekowi przepływa przed oczami całe życie? Wszystko, co przeżył. Więc jak to właściwie było z tym życiem - myślał Duckham - jak, po co i dlaczego? Ale nie było odpowiedzi. Urodzony w Ran- gunie w 1922 roku...

' Peter zastygł z otwartymi ustami, jak dzieciak na diabelskiej kolejce w lunaparku. George majstrował przy fotelu. Duckham pomyślał ze zgrozą o pasażerach, którzy wiedzą już na pewno, co ich czeka. Czy jest jeszcze czas na ostrzeżenie ich? Niechby chociaż przyszła chmura i zakryła wulkan. Niech to, co się ma stać, stanie się szybko, jak najszybciej.

Ster w prawo i wyrównać maszynę. Dwieście stóp... sto pięćdziesiąt ... Sto... pięćdziesiąt ... Nie lecieli już, ale spadali, a świat kończył się dla nich lawiną drzew, krzewów, skał i kamieni.

Peter wydawał żalosne jęki i wyciągnął przed siebie nogi i ręce niczym małe dziecko w wózek. George gwałtownie zapinał pas na swoim obracającym fotelu.

Patrz przed siebie - powtarzał sobie w duchu Duckham - nie trać przytomności umysłu. Zobaczył kilkusetmetrową przestrzeń, która Wydawała się stosunkowo płaska. Może uratuję życie choć części pasażerów, jeżeli wytracę Szybkość. Hamulce na płatach, włączyć rewers w turbinach i w ostatniej chwili uruchomić gaśnice. Trzy czynności. Trzeba się na nich skoncentrować. Raz, dwa i sięgnij po dźwignie przeciwpożarowe.

Jęki Petera zamieniły się w krzyk. George puścił klamry pasów.

Duckham poczuł, że podwozie zaczepia o drzewo. Trzeba utrzymać samolot w powietrzu, bo inaczej lewe skrzydło uderzy o ziemię i maszyna przekoziółkuje. Prawą nogą przyciskał mocno orczyk steru. Trzy czynności - pięć ruchów. Wyciągnąć hamulce na płatach - znaleźć drążek rewersu turbiny - poczekać na kontrolne światło - zamknąć gaz - pociągnąć za dźwignie gaśnic.

Mike Duckham sięgnął jedną ręką do wyłącznika silnika ka numer jeden, a drugą do silnika numer t :y. Silnik numer dwa był od dawna wyłączony.

George krzyczał coś, a jego fotel obracał się gwałtownie. Już byli na ziemi. Podwozie podskakiwało, potem rozerwało się pod ich nogami. Wolniej, Boże, wolniej, niech to cholerne bydlę zwolni!

Duckham podciągnął i zamocował dźwignie gaśnic. Było po wszystkim. Wykonał wszystkie trzy czynności. Wszystko, co do niego należało,

W okienkach pociemniało. Mike Duckham podniósł wzrok. Na czarnej ścianie lawy, odległej o jedną setną sekundy, zobaczył śmierć.